

Biblioteka
PROBLEMÓW

Martin Gardner

**PSEUDONAUKA
I PSEUDOUCZENI**

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

Pseudonauka i pseudouczeni

Martin Gardner

Spis treści

Przedmowa do polskiego wydania	3
Rozdział I W imię nauki.....	5
Rozdział II Ziemia płaska i ziemia pusta	15
Rozdział III Groza zagłady	24
Rozdział IV Fortyści	34
Rozdział V Latające spodki.....	43
Rozdział VI Ruchy zygzakowate i wirowe	55
Rozdział VII Precz z Einsteinem	63
Rozdział VIII Czarodziejskie różdżki i inne „wykrywaczki”	72
Rozdział IX Pod mikroskopem	83
Rozdział X Geologia przeciw Genesis	88
Rozdział XI Apologeci nienawiści.....	100
Rozdział XII Atlantyda i Lemuria	109
Rozdział XIII Wielka Piramida	115
Rozdział XIV Ekscentryczne teorie seksuologiczne.....	125
Rozdział XV Orgonomia	131
Rozdział XVI Od guzów frenologicznych do charakteru pisma.....	142
Rozdział XVII ESP i PK.....	147

Przedmowa do polskiego wydania

Książka, którą oddajemy do rąk Czytelnika, jest pozycją dość niezwykłą w naszym piśmiennictwie, omawia bowiem działalność ludzi, którzy tracą wiele czasu i energii na coś, co w ich rozumieniu jest nauką, a co w istocie jest maniactwem, czy po prostu bzdurą. Chodzi o szerzące się bujnie w pewnych kręgach przejawy patologii nauki; o pseudonaukę uprawianą zarówno przez ludzi uczciwych, jak i żerujących na naiwności ludzkiej oszustów.

Martin Gardner, znany amerykański popularyzator nauki, demaskuje w swej książce te maniactwa i zwyrodnienia, czasami ostro, czasami ze sporą dozą pobłażliwości, często z humorem, zawsze jednak w sposób żywy i zajmujący. Tu i ówdzie stara się wniknąć w motywy skłaniające ludzi do uprawiania pseudonauki i wyświetlić mechanizm zadziwiającego szerzenia się pseudonaukowych idei w swoim kraju. Wyłania się z tego dość żywy obraz stosunków społecznych panujących w Stanach Zjednoczonych, niezmiernie sprzyjający pleniению się absurdu i bzdury, dość niezwykły dla Czytelnika polskiego¹.

Błędem byłoby jednak sądzić, że tego rodzaju działalność ludzka jest czymś typowym dla Stanów Zjednoczonych, aczkolwiek kraj ten jest terenem bardziej sprzyjającym maniactwu naukowemu, niż wiele innych, a to ze względu na rentowność tego rodzaju zajęcia. Iluż to ludzi na różnych „teoriach” i „hipotezach” zrobiło tam majątek. Widocznie jednak nie tylko bodziec ekonomiczny jest tu motorem działania, skoro również i w Polsce, gdzie tego typu działalność absolutnie nie popłaca, mamy sporo maniaków uprawiających swą pseudonaukę na polu astronomii, fizyki i wielu innych nauk. Iluż to ludzi zasypuje nasze wydawnictwa sążnistymi elaboratami dowodzącymi na przykład, że Kopernik najzupełniej błędnie ujął sprawy mechaniki układu planetarnego, i że to Słońce obiega Ziemię, a nie odwrotnie. Ktoś od wielu lat próbuje zadziwić całą Polskę swoim odkryciem hormonów kosmicznych, mających w jakiś sposób uratować nasz kraj od zguby. Inny znów obdarza ciała niebieskie cechami różnych płci, budując na tym założeniu całą mechanikę i astrofizykę planetarną. A spodki latające? Reakcja naszej publiczności niewiele się różniła od tego, co się działo w innych krajach. Iluż praktykujących astrologów mamy jeszcze w Polsce, aczkolwiek dokładna ich liczba nie jest do ustalenia z powodów zrozumiałych.

I co dziwniejsze, cechy psychiczne rodzimych maniaków są uderzająco podobne do cech ich kolegów z drugiej półkuli. I tu i tam odkrywamy niewątpliwie manię wielkości, szaloną nienawiść do wszystkich uczonych z prawdziwego zdarzenia, których działalność określa się pogardliwie jako naukę oficjalną, jak gdyby kiedykolwiek i gdziekolwiek taka nauka istniała. I tu i tam zdarzają się przypadki wyjątkowe: ludzie, którzy na pozór świetnie opanowali naukę i dobrze umieją operować pojęciami z niej zaczerpniętymi, a mimo to zupełnie nie rozumieją właściwego jej sensu, nie rozumieją „ducha” nauki - tacy wykształceni nieucy! To oni żądają od teorii naukowych nieomyślności i doskonałej zgodności z doktrynami filozoficznymi. To oni życzą sobie, aby nauka była zawsze w doskonałej zgodzie ze „zdrowym sensem”, jak gdyby coś takiego w ogóle istniało jako rzecz niezależna od nauki, nie będąca jej implikacją. To oni żądają od nauki, aby bezpośrednio służyła nie tylko szczęściu ludzkości, lecz każdemu konkretnemu celowi, który oni uznali za szczęście. Z takich to ludzi wywodzą się najczęściej

¹ Polskie tłumaczenie nie zawiera wszystkich rozdziałów oryginału. Niektóre opuściliśmy, ponieważ wydawały się mniej aktualne na naszym gruncie, niż w Stanach Zjednoczonych.

rasišci i podżegacze wojenni, dowodzący „teoretycznie” i „naukowo” konieczności zbrodni zbiorowych i wzbudzania nienawiści jednej grupy ludzi do drugiej.

Lektura książki Gardnera działa podobnie jak przeczytanie dobrej komedii lub powieści satyrycznej. Czytając - świetnie się bawimy, potem przychodzi niezmiernie smutna refleksja; smutniejsza, niż przy lekturze powieści. Bo w powieści czy sztuce mamy ludzi, którzy popełniają takie czy inne błędy, którzy za to cierpią, którzy są ośmieszani, ale jakoś swe życie prowadzą według swojej niekoniecznie najmądrzejszej idei. Książka Gardnera pokazuje nam ludzi, którzy swe życie po prostu marnują. A to jest chyba najsmutniejsze i najtragiczniejsze.

Włodzimierz Zonn

Rozdział I

W imię nauki



Od czasu wybuchu bomby nad Hiroszimą prestiż nauki w Stanach Zjednoczonych wzrósł ogromnie, jak grzyb po wybuchu atomowym. Młodzież coraz częściej widzi swoją karierę życiową w studiowaniu różnych dziedzin nauki. Budżety wojskowe przeznaczone na badania naukowe nigdy przedtem nie były tak fantastycznie wysokie. Książki i czasopisma naukowe drukowane są w nakładach nie notowanych dotąd w historii. Literaturze rozrywkowej i powieściom detektywistycznym grozi zagłada ze strony naukowych powieści fantastycznych.

Jednym z osobliwych następstw tej gwałtownej mody na naukę jest pojawienie się twórców różnych nowych, dziwacznych teorii „naukowych”. Gonią oni za sławą, czepiając się - że tak powiem - połów uczonych z prawdziwego zdarzenia, którzy ze swej strony mało zwracają na nich uwagi, jako że są zajęci ważniejszymi sprawami. Jednak szeroki ogół społeczeństwa, mniej uświadomiony, a żądny sensacyjnych odkryć i wszechdziałającego panaceum, często odnosi się do tych „twórców” z hałaśliwym entuzjazmem.

Pseudonauka kwitnie we wszystkich dziedzinach. Prymitywne sposoby interpretacji cudownych opowieści ze *Starego Testamentu*, które, z chwilą odejścia Williama Jenningsa Bryana² uważano już za niemodne, otrzymały nowy bodziec. Czyż wybitny „astrofizyk”, dr Immanuel Velikovsky nie ustalił

² William Jennings Bryan (1860-1925), amerykański działacz polityczny, ekonomista, wybitny mówca, zwolennik bimetalizmu w systemie pieniężnym Stanów Zjednoczonych. Gorący rzecznik fundamentalizmu, sekty religijnej głoszącej dosłowne pojmowanie *Pisma Świętego*, które chciał wprowadzić do konstytucji Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).

faktu, że Ziemia przestała się obracać w chwili, gdy Jozue rozkazał Słońcu i Księżycowi zatrzymać się? W ciągu pięćdziesięciu lat geolodzy i geofizycy jednoczyli wysiłki nad udoskonaleniem subtelnych przyrządów do badania struktury górnych warstw skorupy ziemskiej. Ale według poczytnego pisarza, Kennetha Robertsa, był to czas zmarnowany. Wystarczy tylko rozwidlony pręt i, aby to udowodnić, napisał bardzo przekonywającą i bojową książkę.

Od czasu pojawienia się w roku 1947 pierwszych doniesień prasowych o latających spodkach mnóstwo ludzi uwierzyło, że Ziemia znajduje się pod obserwacją przybyszów z innych planet. Wielbicieli książek Franka Scully'ego o latających spodkach podejrzewali, że te tajemnicze krążki są pilotowane przez mieszkańców Wenus, którzy są bardzo podobni do Ziemiaków, z tą tylko różnicą, że wzrost ich wynosi około 3 stóp (90 cm). Nowsze natomiast „badania” Geralda Hearda przyczyniły się do umocnienia wiary w to, że spodkami kierują inteligentne pszczoły z Marsa.

W latach dwudziestych gazety zarzucały czytelników publikacjami poświęconymi spekulacjom ekscentrycznych uczonych. W każdą niedzielę tygodnik Hearsta „American Weekly”, upstrzony sensacyjnymi fotografiami, dostarczał nowych porcji dziwacznych urojeń naukowych. Szpalty prasy codziennej roiły się od takich historii, jak wyssane z palca opowiadania o potwornym wężu morskim, o żywych żabach, znalezionych w fundamentach starożytnych budowli, albo o ludziach, którzy słuchali audycji radiowych za pomocą złotych koronek na zębach. Stopniowo jednak, w ciągu dwóch, następnych dziesięcioleci ustalił się wśród zawodowych dziennikarzy niepisany kodeks etyki naukowej. Agencje telegraficzne zaczęły angażować odpowiedzialnych naukowo autorów, czołowe pisma stołeczne starały się pozyskiwać wybitnych redaktorów naukowych. Amerykańskie Towarzystwo Lekarskie wszczęło kampanię przeciw popularyzowaniu w prasie szarlatanerii lekarskiej i przywołała do porządku swoich członków, którzy nieraz ogłaszali sprawozdania ze swoich badań, zanim zostały one potwierdzone przez ich kolegów. Dzisiaj amerykańską publicystyką naukową bardziej stroni od wszelkich szarlatanerii i fałszywych informacji, niż kiedykolwiek przedtem. W ustanowieniu tego dobrowolnego kodeksu w dużej mierze współdziałały redakcje czasopism i wydawnictwa książkowe. Niestety jednak, na przełomie lat pięćdziesiątych niektóre z nich sprzeniewierzyły się tej zasadzie. „True” na przykład, usiłując podnieść swój nakład, rozgłaszało wiadomości, że latające spodki przybywają z innej planety. „Harpers” opublikowało pierwszy artykuł wychwalający nadzwyczajne odkrycia Velikovsky'ego, w ślad za tym podobne publikacje pojawiły się w „Collier's” i w „Reader's Digest”.

Nie lepszymi osiągnięciami mogło się poszczycić wielu wydawców książek. Nedorzeczną książką Velikovsky'ego zainteresowali się aż dwaj szanowani wydawcy. Kilka dużych wydawnictw firmowało książkę Kennetha Robertsa o sztuce znajdowania wody za pomocą różdżki, Scully'ego o latających spodkach i jeszcze bardziej fantastyczne badania Hearda.

Interpelowani w tej sprawie wydawcy mają zawsze gotową odpowiedź. Żyjemy w wolnym kraju. Jeśli czytelnicy chcą tego rodzaju książek, my, jako słudzy społeczeństwa, musimy to zapotrzebowanie zaspokoić.

Nikt, oczywiście, kto szanuje niezależność myśli ludzkiej, nie zaproponuje rządowi, aby zmuszał firmy wydawnicze lub redakcje czasopism do drukowania tylko materiałów zaakceptowanych przez kompetentne koła naukowe. Nie byłoby to wyjściem z sytuacji. Istnieje natomiast problem przestrzegania dobrowolnego kodeksu etycznego, który z takim trudem udało się stworzyć w ciągu

ostatnich dziesięcioleci. I tak na przykład książkę Velikovsky'ego³ szeroko rozreklamowano jako rewolucyjne odkrycie astronomiczne. Wydawcy mają wszelkie prawo do publikowania takich książek. Tymczasem uczeni, którzy zagrozili bojkotem firm wydających podręczniki, jeśli nie zostaną z katalogów usunięte książki Velikovsky'ego, korzystali również tylko z demokratycznych przywilejów wyrażania zorganizowanego protestu. Nie jest to w końcu ani sprawa prawna, ani polityczna; jest tylko kwestią odpowiedzialności osobistej.

Może robimy z igły widły? Ktoś mógłby powiedzieć, że działanie na wyobraźnię ludzką za pomocą opowieści o pszczołach z Marsa jest czymś doprawdy zabawnym! Przecież ani uczeni nie są głupcami, ani nie są nimi czytelnicy, którzy otrzymali jakieś wykształcenie. Jeśli czytelnicy mają ochotę płacić za tego rodzaju bzdury, niech płacą! Na to odpowiemy, że wprowadzanie ludzi w błąd za pomocą bredni naukowych, nie jest zabawne. Powoduje to, że tysiące neurotyków potrzebujących opieki psychiatrycznej, zamiast się leczyć, igra tymi maniactwami. Ostatnio wykryto, że pośród pacjentów stosujących tę wątpliwą wartość zabawę mamy zastraszająco dużo samobójców i maniaków. Żaden szanujący się wydawca nie opublikuje książki o leczeniu na przykład raka, jeśli autorem jej jest lekarz uważany powszechnie przez kolegów za szarlatana. A przecież różnica między taką książką a książką pseudonaukową nie jest na pierwszy rzut oka dostatecznie jaskrawa.

Cóż można powiedzieć o roli tak sugestywnych książek jak książki Velikovsky'ego, lub traktaty o latających spodkach? Należy niestety stwierdzić, że nie przynoszą one niczego, oprócz szkód. Kto wie, ilu prawowiernych chrześcijan i Żydów po przeczytaniu *Worlds in Collision* (Światy w „zderzeniu”) wpadło w prymitywne sekciarstwo, ponieważ wmówiono w nich, że nauka potwierdziła na nowo cuda *Starego Testamentu*. Mencken powiedział kiedyś, że wyrzucając w dowolnym miejscu Stanów Zjednoczonych przez okno wagonu jajko, trafi się nim w fundamentalistę⁴. Działo się to wprawdzie przed przeszło dwudziestu laty i czasy się zmieniły, mimo to jesteśmy jeszcze bardzo dalecy od wygrania bitwy przeciwko przesądom religijnym. Tysiące nauczycieli biologii w niektórych stanach południowych nie chce w szkołach wykładać teorii ewolucji w obawie przed utratą posady. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wielu świątłych chrześcijan, zarówno katolików jak i protestantów, do żywego dotknęło entuzjastyczne przyjęcie przez zmarłego niedawno Foultona Ouslera⁵ (w „Readers Digest”) książki Velikovsky'ego, będącej jakoby naukowym potwierdzeniem najbardziej żalosnej interpretacji *Pisma Świętego*.

A latające spodki? Słyszałem wypowiedzi wielu czytelników książek na ten temat, zarzucających rządowi w sposób niewybredny, że uporczywie odmawia powiedzenia „prawdy” o tych nieuchwytnych naczyniach stołowych. Mówi się przy tym o złośliwej polityce „ciszy” władz amerykańskich, będącej dowodem, że przywódcy wojskowi i polityczni stracili zaufanie do rozsądku swych obywateli.

Jeszcze bardziej pożałowania godnym skutkiem publikowania różnych bredni naukowych jest zupełny zamęt w głowach ludzi łatwowiernych na temat, czym jest, a czym nie jest wiedza naukowa. Im bardziej zaś ludzie są zdezorientowani, tym łatwiej stają się łupem doktryn pseudonaukowych, na których w przyszłości mogą się oprzeć potężne grupy polityczne. Odrodzenie niemieckiej niby-nauki -

³ Patrz rozdział III (przyp. red. pol.)

⁴ Por. str. 184 (przyp. red. pol.).

⁵ Charles Foulton Ousler (1893-1953), pseudonim Anthony Abbot, dziennikarz amerykański i autor powieści kryminalnych, scenariuszy filmowych oraz książek o tematyce religijnej (przyp. tłum.).

jak zobaczymy później - szło ręką w rękę z dojściem Hitlera do władzy. Gdyby Niemcy byli narodem lepiej umiejącym odróżniać prawdziwą naukę od pseudo-nauki, czyż mogliby tak łatwo wchłonąć obłąkane teorie rasistowskie niemieckich antropologów?

Najlepszym w końcu środkiem zwalczania szerzącej się pseudonauki jest zdolność społeczeństwa do odróżniania badaczy rzetelnych od ludzi zakłamanych i niekompetentnych. Odróżnienie to nie jest znów czymś aż tak trudnym, jakby się na pozór zdawało. Zawsze się znajdą wprawdzie pewne przypadki pośrednie, trudne do sklasyfikowania; to jednak, że czarne przechodzi w białe poprzez wiele odcieni szarego, nie oznacza bynajmniej, że odróżnienie czarnego od białego ma być czymś trudnym.

Występują tu dwa układy, których wartości przechodzą jedna w drugą, w sposób ciągły. Pierwszy układ ustala, do jakiego stopnia należy uważać teorię naukową za potwierdzoną. Na jednym jego krańcu znajdują się teorie niemal na pewno fałszywe, głoszące na przykład, że embrión w wieku jednego dnia może zapamiętać właściwie rozmowę matki. Pośrodku znajdują się teorie wysuwane w charakterze hipotez roboczych, wysoce jednak sporne ze względu na brak odpowiednich danych, na przykład teoria o rozszerzającym się Wszechświecie. Na przeciwległym zaś krańcu znajdują się teorie z całą pewnością prawdziwe, jak na przykład przekonanie o kulistości Ziemi, albo też o tym, że zwierzęta są dalekimi krewnymi człowieka. Ustalenie, w jakim stopniu należy daną teorię uważać za sprawdzoną, jest dość trudne i niekiedy specyficzne, nie znamy metod umożliwiających dokładne ustalenie „stopnia prawdopodobieństwa” danej hipotezy. Nie potrzebujemy się jednak tym niepokoić, ponieważ w naszych rozważaniach będzie szło jedynie o teorie zbliżone do „niemal na pewno fałszywych”, a więc niewątpliwie bezwartościowe.

Drugim układem jest skala kompetencji naukowych. Ma ona również dwa krańce: od uczonych cieszących się oczywistym uznaniem do ludzi wyraźnie niekompetentnych. Są jednak ludzie o sytuacji spornej; ich teorie leżą na pograniczu zdrowej myśli; są to ludzie kompetentni w pewnym okresie swego życia, a niekompetentni w innym. To jednak nie powinno przysłańać nam oczywistego faktu istnienia typu uczonego samozwańczego, którego mamy pełne prawo nazwać maniakiem, i to nie z powodu niezwykłości jego poglądów, ani też neurotycznego podłoża jego prac, lecz na podstawie fachowych kryteriów, za pomocą których oceniamy wszelkie teorie naukowe. Jeśli ktoś obstaje przy poglądzie sprzecznym ze wszystkimi istniejącymi dowodami, przy tym poglądy te nie tworzą podstawy do jakichś dalszych poważnych rozważań, musi być nazwany maniakiem.

Maniacy różnią się znacznie od siebie zarówno pod względem inteligencji, jak i zasobu posiadanych wiadomości. Są wśród nich tępi ignoranci, niemal analfabeci, ograniczający swoją działalność do wysyłania „maniackich listów” do wielkich uczonych. Niektórzy fabrykują i wydają własnym kosztem broszury o długich tytułach, ze swoimi portretami na okładce. Inni znów - to ludzie błyskotliwi, wysoce wykształceni; nierzadko doskonale rozumieją tę gałąź nauki, w której snują swoje spekulacje. Ich książki zwodzą czytelnika doskonałym naśladownictwem prawdziwych, dobrze napisanych i poczytnych prac. Mimo istnienia tak znacznych różnic, większość pseudouczonych ma jednak pewne cechy wspólne.

Pierwszą z nich i najważniejszą jest to, że maniacy pracują niemalże w całkowitej izolacji i to nie w znaczeniu geograficznym, lecz w znaczeniu jakichś kontaktów z kolegami pracującymi nad danym zagadnieniem. W okresie odrodzenia odosobnienie w pracy nie było cechą tylko maniaków. Nie było wtedy organizacji nauki. Nie istniały czasopisma, ani towarzystwa naukowe; porozumiewanie się zaś

w jakiejś dziedzinie wiedzy było czymś bardzo trudnym. Istniał ponadto niezwykle silny nacisk społeczny, skierowany przeciw takiemu porozumiewaniu się uczonych ze sobą. W przypadku tak klasycznym, jak sprawa Galileusza, inkwizycja zmusiła go do odosobnienia przeczując, że poglądy Galileusza mogą podkopać wiarę chrześcijańską. Nawet później, w czasach Darwina, nacisk konserwatywny religijny był tak silny, że Darwin z garstką uczniów znalazł się wśród biologów w osamotnieniu.

Dzisiaj tych warunków społecznych nie da się już przywrócić. Nauka odniosła całkowite zwycięstwo w bitwie o wyzwolenie się spod władzy religii. Wprawdzie Kościół przeciwstawia się jeszcze pewnym doktrynom w biologii i psychologii, opozycja ta jednak nie ma już wpływu ani na uczonych, ani na czasopisma naukowe. Między poszczególnymi gałęziami nauki powstała sprawna łączność. Rozwija się współpraca w sprawdzaniu każdej nowej teorii; współpraca nad podziw wolna od wszelkiego narzucania własnych poglądów ze strony wyższych „autorytetów”. W takim układzie sił, gdzie postęp nauki polega na ciągłym wzajemnym przekazywaniu sobie uzyskanych wyników badań, czynny uczony nie może tkwić w odosobnieniu.

Współczesny maniak powtarza z uporem, że wcale nie pragnie trwać w izolacji. Izolacja wynika - jak twierdzi - z uprzedzeń pewnych klik uczonych) do jego nowatorskich myśli. Trudno o większe nieporozumienie! Dziś czasopisma naukowe zalewane są artykułami na temat dziwacznych teorii. Obalenie dobrze ugruntowanej teorii jest obecnie często najszybszą drogą do sławy. Wybornym tego przykładem była praca Einsteina o teorii względności. Spotkała się wprawdzie w pierwszej chwili z silną opozycją, jednak opozycją inteligentną. Z nielicznymi tylko wyjątkami, nikt z poważnych oponentów nie traktował Einsteina jako pomyłki. Nie mógł tego zrobić chociażby dlatego, że w ciągu wielu poprzednich lat Einstein publikował znakomite artykuły i zdobył rozgłos jako fizyk-teoretyk. Jego teoria względności, szczególna i ogólna, w niespodziewanie krótkim czasie zdobyła sobie powszechne uznanie; największa rewolucja w dziejach nauki odbyła się więc spokojnie.

Nie należy jednak zapominać o tym, że w historii nauki były smutne przykłady rodzenia się nowych poglądów, które nie spotkały się z bezstronną oceną; dopiero znacznie później przekonywano się o ich słuszności. Pseudouczeni nigdy nie omijają okazji, aby o tym przypomnieć czytelnikom. Wybitnym przykładem niedoceny przez współczesnych było przeciwstawienie się tradycyjnych psychologów badaniom zjawisk hipnotycznych (oponenci podkreślali przy tym, że Mesmer⁶ był zarówno maniakiem jak i szarlatanem). W dziedzinie zaś medycyny można przytoczyć bakteryjną teorię Pasteura, sprawę używania środków znieczulających, oraz zalecenie dra Semmelweissa co do konieczności sterylizacji rąk przez lekarzy asystujących przy położeniu, oraz jeszcze wiele innych, szeroko znanych teorii, które się spotkały z silnym sprzeciwem fachowców.

Najbardziej chyba znamienitym przykładem uporu uczonych są osiemnastowieczni astronomowie, którzy nie chcieli przyjąć do wiadomości tego, że kamienie rzeczywiście spadają z nieba. W ten sposób protestowali oni przeciw średniowiecznym przesądom i „babskim plotkom”. Przy każdym więc upadku meteorytu obstawali przy tym, że kamień ten został przyniesiony przez wiatr, albo też, że naoczny świadek tego zjawiska po prostu kłamie. Nawet wielka francuska „Académie des

⁶ Franz Anton Mesmer (1734-1815), lekarz niemiecki, który głosił istnienie „magnetyzmu zwierzęcego” i skuteczność jego stosowania w wielu schorzeniach. Nauka wykazała błędność hipotez Mesmera i uznała, że uzyskiwane przez niego dobre wyniki lecznicze należy przypisać sile sugestii i zdolnościom hipnotycznym. Tak więc miarą zasług Mesmera dla medycyny jest zastosowanie po raz pierwszy, choć nieświadomie, metod sugestii i hipnozy, rozwiniętych później przez Charcota i innych (przyp. red. pol.).

Sciences” wyśmiała to jako przesady ludowe, mimo że już wtedy prowadzono liczne badania nad zjawiskami meteorycznymi. Dopiero 26 kwietnia 1803 roku, kiedy na miasto L'Aigle we Francji spadło wiele tysięcy małych meteorytów, astronomowie zaczęli traktować serio kamienie spadające z nieba.

Moglibyśmy przytoczyć jeszcze wiele przykładów zarówno tradycjonalizmu naukowego, jak i poważnego wkładu do nauki ludzi będących różnego typu maniakami. Klasycznym przykładem drugiego rodzaju działalności było odkrycie prawa zachowania energii przez Juliusa Roberta Mayera, chorego umysłowo lekarza niemieckiego. Przypadkowo nawet laik, daleki od wszelkiej działalności naukowej, może coś zdumiewająco trafnie odgadnąć, jak to było ze Swiftem i dwoma księżycami Marsa (o czym będzie jeszcze mowa później). Takim przykładem było też przekonanie Samuela Johnsona⁷ (wyrażone w liście z roku 1781, a więc przeszło osiemdziesiąt lat przed odkryciem zarasków) ó tym, że przyczyną dyzenterii są mikroby.

Porównując prace współczesnych dziwaków z dawniejszymi, tak chętnie cytowanymi w niemieckich utworach, musimy zachować szczególną ostrożność. Pamiętajmy bowiem, że medycyna na przykład dopiero w początkach naszego wieku stała się czymś podobnym do właściwej dyscypliny naukowej. Cofając się wstecz natrafimy na okres jej dzieciństwa, kiedy to stanowiła beznadziejną mieszaninę wiedzy z przesądami. Wielu uczonym zdarzało się wypowiadać całkiem niepopularne poglądy, które później okazywały się słuszne. To samo odnosi się do innych nauk. Dziś sytuacja gruntownie się zmieniła. Myślą przewodnią wszystkich uczonych jest tworzenie nowych idei. W szeroko zakrojonych badaniach nad leczeniem raka przeryto każdy zakątek i „wetknięto nos” w każdą najdrobniejszą szczelinę. I jeżeli dziś nasze czasopisma naukowe popełniają jakiś błąd, to właśnie ten, że dopuszczają do publikowania tez spornych. Robią to jednak w nadziei wywołania dyskusji, dzięki której może zostanie odkryte coś cennego. Charakterystyczna jest wypowiedź pewnego studenta z Instytutu Badań Zaawansowanych w Princeton, opublikowana przez któreś czasopismo. Na zapytanie, jaki był przebieg seminarium, odparł: „Wspaniały! Wszystko, cośmy dotychczas wiedzieli o fizyce, w ostatnim tygodniu okazało się nieprawdziwe!”

Wprawdzie tu i ówdzie spotykamy się z dość irracjonalnymi uprzedzeniami do wszelkich nowych poglądów, zwłaszcza wśród starszych uczonych, mających naturalne skłonności do trwania przy swoim zdaniu. Nie sposób jednak winić ich za to, że podświadomie przeciwstawiają się teoriom, które przekreślają nieraz pracę całego ich życia. Nawet wielki Galileusz nie chciał przyjąć teorii Keplera, mimo istnienia całkiem pewnych dowodów na to, że planety rzeczywiście poruszają się po elipsach. Na szczęście mamy jednak zawsze ludzi „młodych, bystrych, pełnych zapału”, jak to powiedział Alfred Noyes⁸ - oni tworzą awangardę nauki.

Musimy się pogodzić również i z tym, że w pewnych dziedzinach nauki, gdzie brak jest dostatecznie jasnych danych empirycznych, jakiś pogląd może zamienić się w rodzaj kultu, a w końcu przekształci się w dogmat. Modyfikacje teorii Einsteina na przykład, natrafiają niekiedy na podobny opór, z jakim się spotkała jego pierwotna teoria. Czytelnik będzie miał w tej książce niejedną okazję zawrzeć znajomość z kimś, dla kogo osobliwy rodzaj psychoanalizy stał się religią i kto płonie oburzeniem wtedy, gdy jego postulaty są kwestionowane przez adherentów z grupy konkurencyjnej.

⁷ Samuel Johnson (1709-1784), pisarz angielski (przyp. red. pol.).

⁸ Alfred Noyes (1880-1958), poeta angielski, który większość życia spędził w Ameryce. W twórczości swej hołdował formom tradycyjnym, unikając eksperymentowania poetyckiego (przyp. tłum.).

Pewna doza dogmatyzmu i ślepego uporu jest nawet dla rozwoju nauki konieczna. Dzięki temu uczeni-nowatorzy chcąc, aby ich teorie zostały przyjęte poważnie, starają się zgromadzić jak najwięcej dowodów. Gdyby nie to, nauka dreptałaby w miejscu, badając każdą nowomodną koncepcję. Uчени mają, rzecz jasna, ważniejsze zadania. Jeśli ktoś oznajmi, że Księżyc jest zbudowany z zielonego sera, nie spodziewajmy się od zawodowego astronoma, że porzuci teleskop po to, by opracować szczegółowe sprostowanie tej wiadomości. „Właściwie jedyną odpowiedzią na występy Velikovsky'ego mógłby być dobry podręcznik fizyki” - pisze prof. Laurence J. Lafleur w doskonałym artykule *Cranks and Scientists* (Maniacy i uczeni) w „Scientific Monthly” z listopada 1951 roku. „Toteż nic dziwnego, że zdaniem uczonych, odpowiedzi tej dawać nie warto...”.

Wracając jednak do punktu, od którego zaczęliśmy naszą dygresję, należy stwierdzić, że współczesny pseudouczony znalazł się całkowicie poza ściśle ustalonym systemem kanałów, przez które się dziś wprowadza i wartościuje wszelkie nowe idee. Pseudouczony pracuje w odosobnieniu. Nie posyła wyników swych odkryć do cieszących się uznaniem czasopism, a jeśli nawet to czyni, prace te są przeważnie najzupełniej słusznie odrzucane. Maniak bowiem nie wie nawet jak należy pisać artykuł, aby stwarzał przynajmniej pozory naukowości. W rezultacie czuje się odsunięty od czasopism i towarzystw naukowych i prawie powszechnie zignorowany przez kompetentnych specjalistów w danej dziedzinie. Szanujący się uczoney nie wie nawet o istnieniu maniaków, chyba że ich prace zdobyły szeroki rozgłos i dotarły doń przez kanały pozaakademickie, bądź też jeśli kolekcjonowanie literatury maniackiej stało się jego hobby. Maniak musi więc iść własną drogą. Przemawia do organizacji stworzonej przez siebie, pisze do czasopism przez siebie założonych i publikuje książki - przynajmniej do niedawna - wtedy tylko, gdy sam lub jego koledzy mogą uruchomić dostatecznie duże sumy na ich wydanie.

Drugą cechą pseudouczonych, która ogromnie pogłębia ich odosobnienie, jest skłonność do paranoi czyli obłąd⁹. Tym terminem określamy chorobliwy stosunek do świata: błędne, chorobliwe tłumaczenie sobie zjawisk w otoczeniu, stosunków między zjawiskami a przedmiotami, motywów postępowania ludzi itp. Z czasem powstaje cały system błędnych przekonań, pozornie logiczny, ale opierający się na urojeniach. Na temat przyczyn obłądki psychiatrzy mają bardzo różne zdania. Nie będziemy jednak w ramach naszej książki rozpatrywać wszystkich możliwych przypadków obłądki u każdego maniaka. Ale warto zwrócić uwagę, że u każdego samotnego maniaka w jego zgryźliwej opozycji przeciw każdemu uznanemu w danej dziedzinie autorytetowi musi występować mania wielkości.

Jeśli samozwańczy uczoney - jak to często bywa-- działa pod wpływem jakiegoś silnego przekonania religijnego, jego skłonności paranoidalne mogą się zredukować do minimum. Chęć zdobycia poparcia naukowego dla wierzeń religijnych jest u wielu ludzi potężnym bodźcem. Analizując na przykład

⁹ W roku 1952 obłądne maniactwo naukowe doprowadziło pewnego człowieka o nazwisku Bayard P. Peakes do bezsensownego morderstwa. Ów młody weteran wojny i samozwańczy geniusz wszedł pewnego dnia do biura „American Physical Society” na Uniwersytecie Columbia i zastrzelił 18-letnią stenografistkę, której przedtem nigdy nie widział na oczy. Po aresztowaniu przyznał się, że zrobił to dlatego, że Towarzystwo odmówiło wydrukowania jego książki *Jak żyć wiecznie*, w której przedstawia swoją teorię przedłużenia życia za pomocą elektronów. Sądził, że zabijając kogoś związanego z Towarzystwem uzyska uznanie ogółu dla swego dzieła. W roku 1949 wydał broszurę pt. *So You Love Physics* (Tak kochasz fizykę) rozsyłając 6000 egzemplarzy do różnych fizyków, w tym 10 do Einsteina. „Einstein nie odpowiedział mi”, powiedział Peakes, „myślę więc, że jest nienormalny”.

działalność George'a Mc Cready Price'a¹⁰ najbardziej zagorzałego współczesnego przeciwnika ewolucjonizmu, znajdziemy wyczerpujące wyjaśnienie jego dziwacznych poglądów geologicznych w tym, że jest wiernym wyznawcą adwentyzmu. Ale i w tym przypadku tkwi w człowieku pierwiastek obłądu. Inaczej zabrakłoby mu wytrwałości do toczenia zaciętej walki przeciw aż tak zdecydowanej przewadze sił. Jeśli natomiast poglądy maniaka nie wypływają z jego głębokiego przekonania, lecz kieruje nim bądź chęć zysku, bądź też chęć zwodzenia innych, wówczas w jego strukturze psychicznej obłąd raczej nie występuje. Takie przypadki są jednak niezmiernie rzadkie.

Tendencje paranoidalne „klasycznego” pseudouczonego przejawiają się najczęściej w następujących pięciu właściwościach:

1. Uważa się za geniusza.
2. Traktuje wszystkich bez wyjątku kolegów jak głupców. Nikt się nie liczy, tylko on. Często szkaluje oponentów, zarzucając im głupotę, nieuczciwość, lub podobne pobudki działania. Jeśli go ignorują, uważa to za dowód braku argumentów przeciwko jego teorii. Jeśli traktują go łagodnie, jeszcze bardziej utwierdza się w tym, że walczy z łajdakami. Zastanówmy się nad taką oto cytata: „Dla mnie prawda jest czymś bezcennym... Wolałbym raczej mieć rację w odosobnieniu, niż solidaryzując się z większością znaleźć się w błędzie... Ujawnienie tego poglądu ściągnęło na mnie pogardę, lekceważenie i uśmiechy kolegów. Prawda jest jednak prawdą i gdyby odtrącił ją cały nawet świat i wszystko się obróciło przeciwko mnie, będę dalej do niej lgnął...”. Zdania te wyjęliśmy ze wstępu do broszury opublikowanej w roku 1931 przez Charlesa Silvestera de Forda z Fairfield (stan Washington), w której dowodzi, że Ziemia jest płaska. Każdy pseudouczony wcześniej czy później daje wyraz takim właśnie odczuciom.
3. Uważa się za niesłusznie prześladowanego i dyskryminowanego. Znane towarzystwa naukowe odmawiają mu zgody na wygłaszanie odczytów. Czasopisma naukowe odrzucają jego artykuły, ignorują jego książki, albo też w swoich recenzjach traktują je „wrogo”. Wszystko to są dlań objawy istnienia nikczemnego spisku. Nigdy nie przyjdzie mu do głowy, że sprzeciw jest wynikiem błędów jego pracy. Natomiast jest przekonany o tym, że opozycja wpływa ze ślepego uprzedzenia ludzi należących do ustalonej hierarchii wysoko postawionych kapłanów wiedzy, obawiających się obalenia ich ortodoksyjnej nauki. Rozwodzi się zwykle nad skierowanymi przeciw niemu złośliwymi oszczerstwami i bezpodstawnymi napaściami. Siebie porównuje z Giordanem Brunem, Galileuszem, Kopernikiem, Pasteurem i wielu innymi wielkimi ludźmi, niesłusznie prześladowanymi za rzekome herezje. Jeśli nie ma formalnego wykształcenia w obranej przez siebie dziedzinie badań, przypisuje owe prześladowania naukowej masonerii, która nie chce dopuścić do swej świątyni nikogo, kto się nie poddał właściwemu rytuałowi wstępnemu. Stale powołuje się na doniosłe odkrycia naukowe dokonane przez laików.
4. Ma wyraźną skłonność do kierowania swoich ataków na największych uczonych i na teorie najbardziej ustalone. W okresie, gdy Newton był najwybitniejszą postacią w fizyce, powstawały dziwaczne prace wybitnie anty-Newtonowskie. Dziś, gdy symbolem autorytetu w fizyce stał się Einstein, maniacy najczęściej atakują teorię Einsteina, w imię Newtona. Taka sama zuchwałość cechuje ich skłonność do bronienia wszystkiego, co jest zaprzeczeniem

¹⁰ Patrz rozdział X (przyp. red. pol.).

dobrze ugruntowanych przekonania¹¹. Matematycy udowodnili ongiś, że trysekcja kąta za pomocą cyrkla i linijki jest niemożliwa. Maniak dokonuje właśnie tej trysekcji. Wiemy o tym, że zbudowanie perpetuum mobile jest niemożliwe. Maniak je buduje. Znamy wiele teorii, w których przyciąganie grawitacyjne zastępuje się odpychaniem. Wielu współczesnych maniaków upiera się przy tym, że zarazki nie wywołują chorób; przeciwnie, to choroby produkują zarazki. Z następnego rozdziału dowiemy się o tym, w jaki sposób Cyrus Teed odwrócił podszewką do góry, w dosłownym sensie, cały Kosmos, ścieśniając go do tego stopnia, iż znalazł się wewnątrz pustej Ziemi, zamieszkałej jedynie na jej wewnętrznej powierzchni.

5. Maniak ma często skłonność do zawiłego żargonu, używając raz po raz zwrotów przez siebie wymyślonych. Schizofrenicy mówią językiem, zwanym przez psychiatrów „neologizmami”, które mają tylko znaczenie dla pacjenta, w uszach zaś wszystkich innych ludzi brzmią jak bełkot. Taki bełkot występuje w wielu klasycznych przykładach „nauki” maniackiej.

Maniak o niskiej inteligencji - takim był zmarły Wilbur Glenn Voliva¹², który twierdził, że Ziemia ma kształt naleśnika - rzadko zdobywa sobie licznych zwolenników. Natomiast maniak o błyskotliwym umyśle zdolny jest rozwinąć nieprawdopodobnie zawiłe teorie; potrafi też obronić je w literaturze, wykorzystując swą szeroką erudycję i zdolność obserwacji, a niekiedy szermując argumentacją zaczerpniętą z nauki „zdrowej”. Krasomówstwo jego może być niezwykle przekonujące. Wszystko w jego rozumowaniu znakomicie do siebie pasuje, jak w łamigłówce z klocków. Żaden argument skierowany przeciw niemu nie potrafi go zaskoczyć, jest bowiem przygotowany na wszelkie zarzuty oponenta, odparowując je za pomocą odpowiedzi niespodziewanych i niezmiernie pomysłowych. Nawet na temat kształtu Ziemi laik, dyskutując z wyznawcą płaskiej Ziemi, musi się poczuć bezsilny. W *Everybody's Political What's What* (Popularny Informator Polityczny) George Bernard Shaw dał humorystyczny opis zebrania, na którym „płaskoziemiec” zmusił do milczenia oponentów, którzy podnosili przeciwko niemu zarzuty. „Burza, jakiej nie ściągnąłby na siebie żaden ateista, rozpętała się nad jego głową - pisze Shaw - a on, który słyszał już takie argumenty setki razy, bawił się nimi, jak kręglami, powodując wśród zebranych niesłychany zgłęb tym, że z łatwością odparowywał wszystkie, zdawałoby się, niemożliwe do odparcia zarzuty”.

Rozdział po rozdziale, będziemy poznawać bliżej wybitniejszych pseudouczonych lat ostatnich, ze szczególnym uwzględnieniem okazów amerykańskich. Niewiele czasu poświęcimy książkom brytyjskim i dziwacznym teoriom europejskim; nie dotkniemy większości innojęzycznej literatury maniackiej, ponieważ tylko bardzo małą jej część przetłumaczono na angielski. Dostęp zaś do prac oryginalnych był nader trudny. Mają one poza tym tak luźne powiązania z życiem amerykańskim, że porównywanie ich z pracami rodzimych amerykańskich maniaków nie może wzbudzić większego zainteresowania.

¹¹ Jedną z najzabawniejszych tego typu teorii „odwracających” jest „wszechświat ziarnisty” („granular universe”) Osborne'a Reynoldsa (1842-1912), profesora inżynierii na Uniwersytecie Owensa w Manchester (Anglia). Na podstawie doświadczenia z wilgotnym piaskiem, Reynolds wnioskuje, że przestrzeń składa się z ciasno upchanych kul, których średnica jest siedemset miliardów razy mniejsza od długości fali światła. Cząstki materialne są zatem bańkami próżni poruszającymi się w tym gęstym, sprężystym ośrodku. Im większą jest „dziura” w tym ośrodku, tym silniejsze mamy zakłócenie normalnego „spiętrzenia” otaczających ziaren. Grawitacja jest ciśnieniem wywołanym tymi właśnie zakłóceniami.

¹² Patrz rozdział II (przyp. red. pol.).

Nieco tylko miejsca poświęcimy na przykład szeroko rozpowszechnionym teoriom objętym wspólną nazwą „nauki okultystyczne”. Astrologia na przykład ma wprawdzie jeszcze miliony zwolenników, jest jednak tak dalece wyzbyta wszystkim, co przypomina naukę, że omawianie jej tutaj nie wydaje się słuszne. Z wiary w istnienie związku między losami ludzkimi a zjawiskami astronomicznymi warta uwagi jest tylko teoria o tym, że plamy słoneczne wywołują depresje (jest ona niezmiernie popularna wśród konserwatywnych bussinessmanów, którzy o wszystkie krachy i niepowodzenia, będące w ich przekonaniu zjawiskami przyrodzonymi, oskarżają obiekt jakże odległy - Słońce). Tego rodzaju literatura należy raczej do ekonomii niż do astronomii. Wprawdzie nauki społeczne też bywają terenem działalności dziwaków, z wielu jednak powodów stanowią one oddzielny temat do dyskusji.

Przegląd nasz rozpoczniemy od dziwacznych teorii astronomicznych, a więc od nauki najbardziej dalekiej sprawom ludzkim. Przejdziemy następnie - poprzez fizykę i geologię - do nauk biologicznych, aby potem przejść do spraw ludzkich za pośrednictwem antropologii i archeologii. Omówimy też dziwaczne teorie seksuologiczne i metody odczytywania charakterów. Zakończymy zaś poważną oceną sławnej (w Stanach Zjednoczonych) pracy dra Rhine'a i szybkim, lecz niezbyt poważnym rzutem oka na niektórych pionierów w dziedzinie parapsychologii.

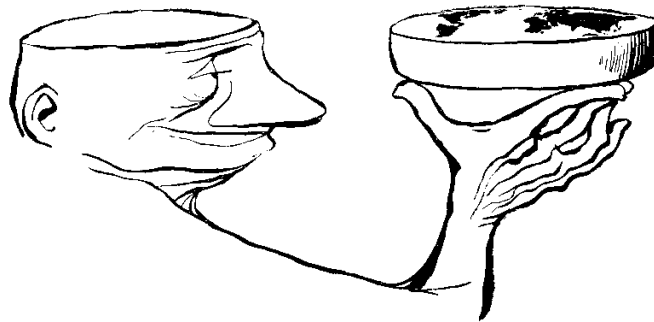
Trudno uwierzyć, ile energii intelektualnej zmarnowano na tego rodzaju bezpłodne rozważania! Rzeczą nader interesującą, niekiedy wręcz przerażającą, jest prześledzenie, do jak groteskowych i skrajnych sytuacji mogą być doprowadzeni obalamuceni uczeni i do jakże niezwykłych sytuacji mogą oni z kolei doprowadzić innych. Ich uczniowie - jak się przekonamy - bywają nawet ludźmi inteligentnymi, nieraz wybitnymi, nie dość jednak wykształconymi w danej dziedzinie, aby nie wpaść w sidła zastawione przez ich mistrzów. Przywiązanie uczniów do mistrzów bywa często tylko przejawem ich własnych buntów neurotycznych. Następnie - co ważniejsze - będziemy mogli uświadomić sobie pewne rysy wspólne wszystkim „uczonym”; z chwilą gdy zaczniemy oddychać powietrzem ich fantastycznych światów, oswoimy się z atmosferą, w jakiej działają.

Podobnie jak doświadczony lekarz potrafi rozpoznać pewne dolegliwości pacjenta już w chwili, gdy przekracza on próg gabinetu lekarskiego, albo jak oficer policji uczy się rozpoznawać typy kryminalne na podstawie pewnych niedostrzegalnych dla niewprawnego oka oznak w zachowaniu się swoich podopiecznych, tak my nauczymy się, być może, rozpoznawać przyszłego maniaka naukowego w chwili pierwszego z nim spotkania.

Wcześniej czy później z nim się spotkamy. Jeśli tendencja obecna potrwa jeszcze dłużej, możemy się spodziewać w przyszłości wielu rozmaitych twórców tego rodzaju „teorii”, których treści nie da się przewidzieć nawet na kilka lat naprzód. Będą oni pisali imponujące książki, wygłaszali zachęcające mowy i tworzyli podniecające kultury. Będą zdobywać sobie zwolenników; może jednego, a może milion. W każdym przypadku dobrze się stanie, jeśli i my, i całe społeczeństwo będzie się przed nimi miało na baczności.

Rozdział II

Ziemia płaska i ziemia pusta



Każdy uczeń w szkole wie, że Ziemia jest ciałem stałym o kształcie kuli lekko spłaszczonej na biegunach, otoczonej bezkresnym Wszechświatem. Od kiedy w roku 1519 Magellan opłynął Ziemię, w jej kulistość mało kto może już wątpić. I właśnie dlatego, że ów pogląd przyjęto powszechnie, kształt Ziemi stał się przedmiotem zabawnych spekulacji wielu pseudouczonych.

W naszym stuleciu zdobyły sobie licznych zwolenników trzy dziwaczne teorie dotyczące kształtu Ziemi. Pierwsza, to teoria Volivy głosząca, że Ziemia jest płaska; druga, że kula ziemską jest wydrążona i otwarta na biegunach, oraz trzecia i najbardziej niewiarygodna ze wszystkich, że żyjemy po wewnętrznej stronie pustej kuli.

Trudno doprawdy uwierzyć w to, że wykształcony Amerykanin, żyjący w pierwszym dziesięcioleciu ery atomowej, może wątpić, że Ziemia ma kształt okrągły. Tymczasem takich jest kilka tysięcy! Większość z nich mieszka w małym, nudnym miasteczku zwanym Zion, w stanie Illinois, nad brzegiem jeziora Michigan, w odległości około czterdziestu mil na północ od Chicago. Ludzie ci, to resztką kwitnącej niegdyś sekty religijnej, zwanej Chrześcijańskim Kościołem Apostolskim w Zionie, założonym w roku 1895 przez szkockiego znachora, Johna Alexandra Dowiego.

W roku 1905 Dowiego usunięto siłą ze stanowiska generalnego superintendenta tego kościoła. W ciągu następnych 30 lat sześciotysięcznym społeczeństwem kierowała żelazna ręka Willburna Glenna Volivy. Większość mieszkańców pracuje w Ziońskich Zakładach Przemysłowych, produkujących najróżnorodniejsze artykuły, poczynawszy od sznurowadeł, aż do belek. Żadne miasto w Ameryce nie miało bardziej purytańskich praw. Automobilści jadący wzdłuż wybrzeża jeziora szybko nauczyli się omijać to miasto, ponieważ za palenie papierosów lub gwizdanie w niedzielę groziło im areszt lub grzywna.

Voliva był brzuchatym, łysym panem o ponurym wyrazie twarzy, ubranym zwykle w zmięty surdut, z olbrzymimi białymi mankietami. Całe życie był głęboko przekonany o tym, że Ziemia jest płaska jak placek, z biegunem północnym pośrodku, a południowym rozciągającym się wzdłuż obwodu placka. W ciągu wielu lat obiecywał nagrodę w wysokości 5000 dolarów każdemu, kto udowodni, że Ziemia jest kulą. Odbił też kilka podróży dookoła świata, wygłaszając na ten temat odczyty. W jego jednak mniemaniu nie objechał globu, lecz jedynie zakreślił koło na płaskiej powierzchni Ziemi.

Zdaniem Volivy, olbrzymie zwały lodu i śniegu uniemożliwiają statkom dotarcie do skraju Ziemi, zapobiegając tym samym ewentualnemu wpadnięciu statku do Hadesu. Pod Hadesem leżą

podziemia, w których mieszkają duchy pewnej rasy zamieszkałej na Ziemi jeszcze przed Adamem i Ewą. Gwiazdy są znacznie mniejsze niż Ziemia i obracają się wokół niej. Księżyc jest ciałem mającym własne światło. A Słońce? Posłuchajmy, co na ten temat mówi Voliva:

„...Jakże niedorzeczna jest myśl, że średnica Słońca wynosi miliony mil i że odległość jego od nas równa się 91 000 000 mil! Średnica Słońca wynosi tylko 32 mile, jego odległość od nas nie przekracza 3000 mil. Tak musi być i żadne rozumowanie tutaj nie pomoże. Przecież Bóg stworzył Słońce po to, by oświetlało Ziemię, dlatego więc musiał umieścić je blisko, aby czyniło zadość swemu przeznaczeniu. Co byśmy pomyśleli o kimś, kto zbudowawszy dom w Zionie lampę mającą go oświetlać umieściłby w Kenosha w stanie Wisconsin?”.

Specjalny numer czasopisma tej sekty „Leaves of Healing” (Uzdrowiające kartki), z dnia 10 maja 1930 roku poświęcono wyłącznie astronomii. Ów stronicowy zeszyt jest chyba najpełniejszym (z tego co się ukazało drukiem) wykładem naukowych i biblijnych racji Volivy, że Ziemia jest płaska i nieruchoma.

„Czy ktoś, kto traktuje sprawy poważnie - pyta autor w jednym z artykułów - może uczciwie stwierdzić, iż wierzy, że Ziemia porusza się z tak zawrotną prędkością? Jakże to jest możliwe? Gdyby tak było, podróżowanie w kierunku zgodnym z jej ruchem byłoby łatwiejsze, niż w kierunku przeciwnym. Wiatr powinien wiać stale w kierunku przeciwnym do tego, w jakim porusza się Ziemia. Gdzież są jednak ci ludzie, którzy by w to wierzyli? Gdzie jest człowiek, który wierzy w to, że gdy podskoczy na Ziemi i pozostanie w powietrzu w ciągu jednej sekundy, wyląduje w odległości 193,7 mili od miejsca, w którym podskoczył?”.

W jednym z najbardziej znanych doświadczeń dowodzących obrotu Ziemi posługujemy się urządzeniem zwanym wahadłem Foucaulta. Składa się ono z dużego ciężarka zawieszonoego na długiej nici. Na skutek bezwładności ciężarek w czasie wahań pozostaje w jednej i tej samej płaszczyźnie wtedy, gdy Ziemia pod nim się obraca. W wyniku doświadczenia obserwujemy, że płaszczyzna wahań wahadła Foucaulta powoli obraca się. Wspomniany artykuł Volivy najwyraźniej odwołuje się do tego dowodu. „Gdyby ruch Ziemi miał jakiś związek z ruchem wahadła - pyta autor - dlaczego musielibyśmy wprawiać je w ruch? Każdy kto myśli poważnie, przekona się o tym, że w rzeczywistości, gdyby Ziemia wirowała z prędkością, jaką jej przypisują astronomowie, wahadło odleciałoby w przestrzeń i tam pozostało”.

W tym numerze magazynu głównym punktem obrony jest dwustronicowe zdjęcie 12-milowej linii brzegowej jeziora Winnebago w stanie Wisconsin.

„Użyto aparatu fotograficznego Eastmana 8 na 10 - brzmi wyjaśnienie. - Soczewki znajdowały się dokładnie na wysokości trzech stóp nad wodą. Każdy może pojechać do Oshkosh i, o ile dopisze pogoda, zobaczyć to na własne oczy. Mając dobrą lornetkę można dostrzec niektóre drobne obiekty na przeciwległym brzegu, z czego wynika poza wszelką wątpliwością, że powierzchnia jeziora jest płaska, czyli jest linią poziomą... Wartość naukowa tego obrazu jest niezmierna”.

Niesłychana ignorancja Volivy ułatwia nam dostrzeżenie pobudek psychologicznych, kryjących się za tymi nieprawdopodobnymi poglądami. Trudniej je natomiast dostrzec w przypadku maniaków mądrzejszych, którzy potrafią ukryć swoje właściwe motywy działania za zasłoną erudycji i żwawą polemiką. W przypadku Volivy mamy dwie pobudki: chęć obrony dogmatów religijnych i obłądana wiara w swoją wielkość - wiara tak daleka od rzeczywistości, że aż graniczy z psychopatią. Pierwsza

podbudka nie wymaga objaśnień. „Jesteśmy fundamentalistami” - zadeklarował gdzie indziej Voliva - „Jesteśmy jedynymi prawdziwymi fundamentalistami”. Istotnie miał rację. W Biblii mamy wiele miejsc, które brane zbyt dosłownie sugerują, że Ziemia jest raczej płaska, niż kulista; tymczasem jedną z podstawowych doktryn kultu Dowiego - jego istotą, jak by ktoś mógł powiedzieć - jest dosłownie przyjmowanie każdego słowa Biblii.

Jednak wyjaśnienie astronomii Volivy tylko na podstawie jakiegoś racjonalistycznego sposobu interpretacji *Pisma Świętego* byłoby niepełne. W minionych wiekach, oczywiście, takie wyjaśnienie wyczerpywałoby sprawę. W pierwszych stuleciach chrześcijaństwa, zanim zdobyto zupełnie przekonujące dowody na to, że Ziemia jest okrągła, wielu inteligentnych i całkiem rozsądnych teologów wolało interpretować dosłownie pewne wersety *Starego Testamentu*. Możemy zrozumieć dlaczego, na przykład, Św. Augustyn lub Marcin Luter głosili, że żadna istota ludzka nie może mieszkać po drugiej stronie Ziemi, gdyż nie byłaby w stanie zobaczyć Chrystusa zstępującego na Ziemię przy drugim wcieleniu. Ale co mamy myśleć o człowieku dwudziestego wieku, nie chcącym uznać kulistości Ziemi?

Odpowiedź na to znajdziemy w manii wielkości Volivy. Uważa wszystkich astronomów, za „biednych, ciemnych i zarozumiałych głupców”, i chwali się: „Potrafię w walce intelektualnej rozbić w drzazgi każdego człowieka na świecie. Nie spotkałem nigdy ani profesora, ani badacza, który by wiedział z każdej dziedziny jedną milionową tego, co ja wiem”. Kiedyś w czasie procesu sądowego Voliva zawołał: „Každy, kto walczy przeciwko mnie, padnie. Zapamiętajcie te słowa! Cmentarze są pełne tych, którzy chcieli mnie obalić. A ten nowy spisek też się znajdzie na cmentarzu. Zniszczy ich wszechmoc boska”. Aczkolwiek sekta Volivy liczyła zaledwie dziesięć tysięcy ludzi, jednak uważał on za słuszne oznajmić, że „dopiero rozpocząłem moje prawdziwe dzieło. Nawrócę resztę Stanów, a następnie również i Europę...”.

Voliva wielokrotnie przepowiadał koniec świata. Mimo że lata 1923, 1927, 1930 i 1935, które miały być latami zagłady, minęły szczęśliwie, nigdy nie przyszło mu na myśl, że ta ciągła niechęć niebios do runięcia nam na głowy dowodzi jego omylności. Zaskoczeniem była także jego śmierć w roku 1942, ponieważ dzięki diecie złożonej z orzechów brazylijskich i maślanki miał dożyć 120 lat.

Dzisiaj w Zionie czasy się zmieniły. Pojawiły się tam inne sekty. Odwołano purytańskie prawa. Dziewczęta używają szminki do ust i lakierują paznokcie; nawet ukazanie się w szortach na głównej ulicy nie pociąga za sobą sankcji karnych! Dziwnym zbiegiem okoliczności Uniwersytet Nowojorski, jako nowy właściciel, sprawuje rządy w Zakładach Przemysłowych w Zionie. Istnieje jednak jeszcze parę tysięcy starych epigonów Volivy, żyjących spokojnie w zrzeczeniu, którzy wierzą w słowa swego nieżyjącego mistrza; że: „tak zwani fundamentaliści odcedzają komara ewolucji, ale przetykają wielbłąda współczesnej astronomii”.

Chociaż trudno znaleźć wyznawcę płaskiej Ziemi, zarówno w Zionie jak i gdzie indziej, który nie byłby fundamentalistą, jednak błędem byłoby przypuszczać, że pochodzenie tej dziwnej wiary tkwi w przesądach religijnych. Najlepszym przykładem teorii dotyczącej kształtu Ziemi, która nie wywodzi się z wierzeń religijnych, jest teoria wydrążonej Ziemi, stworzona przez kapitana piechoty amerykańskiej Johna Clevesa Symmesa. Po wyróżnieniu się odwagą w wojnie 1812 roku Symmes wycofał się z wojska i spędził resztę życia próbując przekonać naród o tym, że Ziemia składa się z pięciu koncentrycznych kul, z otworami na biegunach o średnicy kilku tysięcy mil każdy.

Po raz pierwszy ogłosił tę teorię w roku 1818, w szeroko rozesłanym liście otwartym, w którym nawoływał setki „odważnych towarzyszy” do odbycia wespół z nim ekspedycji polarnej, w celu odkrycia na biegunie „dziur Symmesa”. Dziury te stały się później przysłowiowe. Kapitan bowiem niezłomie wierzył w to, że ocean przepływa przez oba otwory biegunowe i że życie roślinne i zwierzęce kwitnie zarówno po stronie wklęsłej, jak i na wypukłej powierzchni następnej kuli.

Im bardziej wyśmiewano teorię Symmesa, tym bardziej wzrastał gniew jej twórcy i tym energiczniej szukał on „faktów” potwierdzających swą teorię. Stało się to jego obsesją. W ciągu 10 lat wędrował po Stanach, wygłaszając mowy swoim nosowym, jękającym się głosem i usiłując zebrać fundusze na planowaną podróż. W latach 1822 i 1823 zaapelował nawet do Kongresu, aby sfinansował jego wyprawę. Petycje te spokojnie odrzucano, aczkolwiek za drugim razem udało mu się, dzięki darowi przekonywania, pozyskać 25 głosów. W roku 1829 na skutek nadmiernego wysiłku związanego z wykładami podupadł na zdrowiu

W Hamilton, w stanie Ohio, gdzie mieszkał przed śmiercią, możemy oglądać zwietrzały pomnik, postawiony przez syna Symmesa swemu ojcu. Kamienny model pustej wewnątrz Ziemi wieńczy ten pomnik.

Najbardziej wyczerpujące opisy teorii Symmesa znajdziemy w dwóch książkach: w *Symmes' Theory of Concentric Spheres* (Teoria Symmesa sfer koncentrycznych) napisanej w roku 1826 przez Jamesa Mc Bride'a, pierwszego nawróconego przez Symmesa, oraz w *The Symmes' Theory of Concentric Spheres* (Teorii Symmesa sfer koncentrycznych), opublikowanej w roku 1878 przez jego syna Americusa Symmesa. Znajdziemy tam setki argumentów na rzecz „pustej” Ziemi; argumentów zaczerpniętych z fizyki, astronomii, klimatologii, z wędrówek zwierząt i z opisów podróży. Oprócz tego planeta pusta wewnątrz, podobnie jak kości szkieletu, jest dowodem doskonałości i oszczędności, z jakimi Stwórca te sprawy rozwiązuje. Jeden z uczniów Symmesa tak to sformułował: „Pusta wewnątrz Ziemia, zamieszkała od środka, daje w wyniku największą oszczędność materiału. Rozum, zdrowy rozsądek i wszystkie przykłady we Wszechświecie każą nam przyjąć ostatecznie tę teorię” - mówi syn kapitana.

Przekonania Symmesa nie uczyniły żadnego wyłomu we współczesnej nauce, odbiły się jednak silnie w dziedzinie książek typu „science fiction”. W roku 1820 anonimowy autor, ukrywający się pod pseudonimem kapitana Seaborna, ogłosił zmyśloną groteskę o Ziemi-pustaku, pt. *Symzonia*. Jest to przyjemnie opowiedziana historia o podróży statkiem parowym do otworu w biegunie południowym Ziemi, dokąd silny prąd morski zaniósł statek poza „krawędź świata”. Po wklęsłej stronie Ziemi kapitan Seaborn odkrył ląd nazwany przezeń Symzonią. Spotkał tam rasę życzliwych sobie istot, ubranych w śnieżnobiałe szaty, mówiących śpiewnym językiem i żyjącym w ustroju socjalistycznej utopii. Edgar Allan Poe w niedokończonej *Narrative of Arthur Gordon Pym* (Opowieści Arthura Gordona Pyma) opisać miał podobną podróż. Prawdopodobnie Jules Verne nie pisał swojej *podróży do środka Ziemi* pod wpływem teorii Symmesa, jednak inni autorzy licznych powieści i nowel opierali się bezpośrednio na tej teorii.

Czy Symmes nie oparł swojej teorii na spekulacjach wcześniejszych? Nic na to nie wskazuje, aczkolwiek podobnego poglądu broni wcześniejsza książka Cottona Mathera z roku 1721 pt. *The Christian Philosopher* (Filozof chrześcijański). Mather z kolei zapożycza swoją teorię z broszury opublikowanej w roku 1692 przez znanego astronoma angielskiego Edmunda Halleya (którego imieniem nazwano kometę). Otóż Halley przekonuje nas o tym, że Ziemia składa się z warstwy o grubości 500 mil i dwóch warstw wewnętrznych o średnicach porównywalnych do średnic Marsa i

Wenus, oraz stałego kulistego wnętrza o średnicy zbliżonej do średnicy Merkurego. Każda z tych warstw -- zdaniem Halleya - może być siedliskiem życia. Stałe oświetlenie w dzień zapewniają tym warstwom bądź „specjalne świetliki”, takie jakie umieścił Wergiliusz na Polach Elizejskich, bądź też świecąca atmosfera między warstwami. Kiedy w roku 1716 pojawiła się wspaniała zorza polarna, Halley sugerował, iż jest to świecący gaz ulatniający się z wnętrza. Ponieważ Ziemia jest spłaszczona przy biegunach, warstwa zewnętrzna w tych punktach jest oczywiście odrobinę cieńsza - rozumował Halley – i dlatego gaz łatwiej tamtędy się wydostaje.

W roku 1913 mieszkaniec Aurory w stanie Illinois, Marshall P. Gardner, konserwator maszyn w dużej fabryce gorsetów, opublikował własnym kosztem małą książkę pod tytułem *Journey to the Earth's Interior* (Podróż do wnętrza Ziemi). Podobnie jak Symmes opisał w niej pustą wewnątrz Ziemię. Dostawał jednak szału na każdą wzmiankę o tym, że swoją ideę oparł na wcześniejszej doktrynie. W roku 1920 rozszerzył książkę do 456 stron. Na pierwszej stronie widzimy fotografię autora - tęgiego człowieka z kwadratową twarzą, bladymi oczyma i zwisającymi czarnymi wąsami.

Gardner odrzuca „fantastyczną koncepcję” Symmesa o wielu kulach koncentrycznych twierdząc, że istnieje tylko jedna - zewnętrzna, o grubości 800 mil. Wnętrze tej kuli oświetlane jest stale przez Słońce (o średnicy 600 mil). Na obu biegunach są otwory o średnicy 1400 mil. Inne planety mają budowę podobną. Tak zwane „czapki polarne” na Marsie są w rzeczywistości otworami, przez które czasami można dojrzeć blaski wewnętrznego słońca Marsa. Na Ziemi zaś widzimy je w formie zorzy polarnej, wychodzącej z otworu na biegunie północnym.

Zamarznięte mamuty odnajdywane na Syberii pochodzą z wnętrza Ziemi, gdzie niektóre z nich może tam jeszcze żyją. Z wnętrza Ziemi pochodzą także Eskimosi, jak to wynika z ich legendy o kraju, gdzie stale trwa lato. Jeden rozdział poświęca autor opisowi wymyślonej podróży poprzez Ziemię, od jednego bieguna do drugiego. Piękna, kolorowa ilustracja pokazuje wewnętrzne słońce tuż nad linią horyzontu wody, w chwili gdy statek zbliża się do wielkiej krawędzi. Siedem innych rozdziałów poświęcił autor opisowi różnych ekspedycji na biegun północny. Gardner dowodzi, że w rzeczywistości żaden odkrywca nie znalazł się na biegunie.

Autor oznajmia, że nie spodziewa się „bezstronnego przyjęcia” swoich poglądów, a to ze względu na „konserwatyzm uczonych, którzy nie zadają sobie trudu zrewidowania swoich teorii, zwłaszcza wtedy, gdy staje się to konieczne wobec odkryć... dokonanych niezależnie od wielkich uniwersytetów”. „Uczeni - tak się skarży - tworzą swoją zawodową masonerię. Jeśli do nich nie należysz, nie będą cię słuchali”. Wierzy jednak, że w końcu ogół społeczeństwa przyjmie jego poglądy i wymusi na uczonych przyjęcie ich.

Gardner wyraźnie zaznacza, że nie wolno go mylić z innymi pretendującymi do uczoneści, jak na przykład z Symmesem, którzy nie opierają swojego myślenia na pewnych faktach. „Łatwo jest zaprzeczyć wszystkim faktom naukowym i stworzyć sobie własne wytłumaczenie powstania Ziemi. Człowiek, który tak postępuje jest pomyłony”. Podobnie jak wszyscy inni obłąkani uczeni, Gardner nie jest w stanie potraktować siebie samego inaczej, niż jako zapoznanego geniusza, chwilowo ośmieszanego, lecz predestynowanego do przyszłych zaszczytów. Nieuniknienie porównuje siebie do Galileusza. Uwaga świata odwróciła się od jego wcześniejszych książek jedynie w wyniku wybuchu pierwszej wojny światowej.

I jak na ironię w sześć lat po opublikowaniu przez Gardnera bardzo kosztownego, nowego, poprawionego wydania jego dzieła, admirał Richard Byrd przeleciał samolotem nad biegunem. Oczywiście nie dostrzegł tam żadnej dziury. Gardner przestał wtedy wygłaszać swe wykłady i publikować artykuły, niemniej aż do śmierci, która nastąpiła w roku 1937, był wciąż przekonany o tym, że jego teoria ma pewne zasługi.

Jakkolwiek fantastyczna była teoria Symmesa i jej modyfikacja w redakcji Gardnera, obie zostały pobite absurdalnością przez teorię innego Amerykanina - Cyrusa Reeda Teeda z roku 1870. Jej autor w ciągu 38 lat z niesłabnącą energią wykładał i bronił swego poglądu, że Ziemia jest pusta w środku i że mieszkamy po wewnętrznej jej stronie!

Niewiele wiemy o wcześniejszym okresie życia Teeda. Urodził się na farmie w Delaware County, w stanie Nowy Jork i w młodości był wiernym baptystą. Podczas wojny secesyjnej był żołnierzem Armii Zjednoczenia, przydzielonym do szpitala polowego. Potem ukończył Eklektyczną Szkołę Medyczną w Nowym Jorku i rozpoczął praktykę w Utica w stanie Nowy Jork (eklektyzm był w ubiegłym stuleciu bardzo modną metodą lekarską, sprowadzającą się do stosowania bezwartościowych leków ziołowych).

System Kopernikański, z nieskończoną przestrzenią i olbrzymimi słońcami, musiał przerażać młodego Teeda. Tęsknił za przywróceniem Kosmosowi właściwości zawartych w *Piśmie Świętym* - za małym, podobnym do macicy, schludnym Wszechświatem. Nie mógł oczywiście wątpić w to, że Ziemia jest okrągła; przecież marynarze okrążali Ziemię. Jeśli tak jest, to gdzie jednak kończy się przestrzeń? Trudno sobie wyobrazić, że można iść i iść i nigdzie nie dosięgnąć jej granic.

Pewnej nocy 1869 roku Teed, siedząc w swoim laboratorium, które założył w Utica do badań alchemicznych, miał widzenie, które szczegółowo opisał w broszurze pt. *The Illumination of Koresh: Marvelous Experience of the Great Alchemist at Utica N. Y.* (Oświecenie Koresha: Zdumiewające doznanie Wielkiego Alchemika z Utica, stan Nowy Jork). Objawiła mu się piękna kobieta, która opowiedziała o jego dawnych wcieleniach i o roli, do jakiej jest przeznaczony, jako nowy Mesjasz. Ujawniła mu klucz do prawdziwej kosmogonii. Tym prostym kluczem było, że żyjemy na wewnętrznej stronie Ziemi. Astronomowie mają we wszystkim rację, z tym tylko, że wszystko to się dzieje wewnątrz Ziemi. Czyż w *Piśmie Świętym* Bóg nie mówi, że „zmierzył wodę w zagłębieniu swej ręki”? (Izajasz 40; 12). Im dłużej nad tym Teed medytował, tym bardziej się przekonywał o prawdziwości twierdzenia. W roku 1870 opublikował pod pseudonimem „Koresh” (Hebrajski odpowiednik Cyrusa) dzieło pt. *The Cellular Cosmogony* (Kosmogonia komórkowa), w którym naszkicował nowe rewelacyjne odkrycia astronomiczne.

Zdaniem Teeda, Kosmos jest podobny do jajka. Żyjemy po wewnętrznej stronie skorupki; we wnętrzu jajka znajdują się: Słońce, Księżyc, gwiazdy, planety i komety. A co na zewnątrz? Absolutnie nic! Wnętrze jest wszystkim. Nie jesteśmy w stanie zobaczyć całego wnętrza, ponieważ atmosfera ziemską jest zbyt gęsta. Skorupa jajka ma grubość 100 mil i składa się z 17 warstw. Pięć wewnętrznych - to warstwy geologiczne, pod którymi leży pięć warstw mineralnych, pod spodem zaś siedem metalicznych. Słońce znajdujące się w środku otwartej przestrzeni jest ciałem niewidzialnym; widzimy jedynie jego odbicie, które bierzemy za Słońce. Słońce centralne jest w połowie jasne, w połowie ciemne. Jego obrót wywołuje złudzenie wschodu i zachodu Słońca. Księżyc jest odbiciem Ziemi, planety zaś są odbiciami „tarcz rtęciowych unoszących się między warstwami metalowych

„płaszczyzn”. Ciąta niebieskie, które widzimy, nie są materialne; są to miejsca ogniskowania się światła, którego istotę zbadał Teed szczegółowo za pomocą praw optyki.

Wahadło Foucaulta zajmuje w jego książce cały rozdział. „Najbardziej zadziwiający w tym wszystkim - pisze Teed - jest to, że wielu pretendujących do nazwy uczonych akceptuje ten eksperyment”.

Według teorii Teeda, obrót płaszczyzny wahań wahadła następuje pod wpływem Słońca. Cały ów eksperyment - tak wnioskuje autor - „jest najprawdziwszym nonsensem i kiedyś «uczni» będą się śmieli z własnej głupoty”.

Ziemia rzeczywiście wydaje się wypukła, lecz w myśl wywodów Teeda jest to tylko złudzenie optyczne. Jeśli zadamy sobie trud przedłużenia linii horyzontu dostatecznie daleko, napotkamy zawsze na zakrzywienie Ziemi ku górze. Takie doświadczenie wykonał istotnie w roku 1897 zespół geodetów-koreshajczyków w Gulf Coast na Florydzie. W ostatnim wydaniu książki Teeda jest zdjęcie pokazujące grupę wybitnych uczonych z brodami, w czasie pracy. Używając kompletu trzech tzw. dwuteówek ułożonych w kwadrat - Teed nazywa to urządzenie „retilineatorem” (wyprostowywaczem) - wytyczali oni prostą o długości 4 mil, biegnącą wzdłuż brzegu, aby w końcu utknąć w morzu. Podobne doświadczenia wykonano w poprzednim roku na powierzchni kanału odpływowego Old Illinois¹³.

Podobnie jak inni pseudouczni usiłujący wyrzucić na czytelniku wrażenie posiadania rozległej wiedzy naukowej, również Teed starał się za pomocą żonglerki słownej tak sprawę zaciemnić, aby była trudna do zrozumienia. Tak, na przykład, planety są „kulami substancji skupionej przez wpływ dośrodkowych i odśrodkowych wahań substancji...”. Komety zaś są „czymś złożonym z sił kruzyczych, wywołanych kondensacją substancji przez rozproszenie substancji kolorowej w przerwach przy otwarciu obwodów elektromagnetycznych zamykających przepust energii słonecznej i księżycowej”.

Cechy obłądki Teeda ujawniają się w sposób niewątpliwy w goryczy, z jaką atakuje uczonych „ortodoksyjnych”, nazywając ich „oszustami” „szarlatanami”, którzy „przekupują” swymi pracami naukowymi „ufnych czytelników”. Cały rozdział książki poświęcił „niedorzecznej opozycji” i „upartej niechęci” jego wrogów. Porównuje siebie (tak jak to czyni niemal każdy pseudouczony) do wielkich nowatorów z dawnych czasów, którzy również mieli trudności z uznaniem ich poglądów. „Opozycja

¹³ Teeda teoria pustej Ziemi i inne tego rodzaju teorie są bardzo podobne do tego, co głosił Duran Navarro, prawnik z Buenos Aires. Według relacji ogłoszonych w „Time” w dn. 14 lipca 1947 Navarro uważa, iż grawitacja jest w istocie siłą odśrodkową, powstającą w wyniku obrotu pustej wewnątrz Ziemi zamieszkałej po jej wewnętrznej stronie. W miarę jak się oddalamy od powierzchni Ziemi w kierunku środka kuli, siła oczywiście musi maleć. W tym środku elektrony i protony są tak silnie skupione, że tworzą pewien „foton”, którym jest Słońce.

W tejże notatce „Time” zawiadamia o tym, że w Berlinie ukazała się wiadomość jakoby Ziemia obraca się nie z zachodu na wschód, lecz w kierunku przeciwnym. Do takich wyników doszedł Valentin Herz.

W Niemczech również doszło w końcu do tego, że pseudouczni dostali raz w skórę. Zachodnioniemiecki adwokat Godfried Bueren zaofiarował śmiało 25 000 marek (około 6000 dolarów) każdemu, kto udowodni, iż jego teoria Słońca-pustaka jest niesłuszna. Według niego Słońce jest płonąca warstwa zewnętrzna, otaczająca zimne wnętrze. To zimne jądro, pokryte roślinnością staje się niekiedy widoczne jako plamy słoneczne, będące tylko krótko trwającymi rysami na rozżarzonej powierzchni Słońca. Niemieckie Towarzystwo Astronomiczne starannie rozprawiło się z tą teorią; a kiedy Bueren odmówił zapłacenia, Towarzystwo wszczęło kroki sądowe. I nie do uwierzenia - sąd przyznał rację astronomom! Pana Buerena zmuszono do zapłacenia sumy, którą zaofiarował, plus koszty sądowe.

skierowana przeciwko naszym pracom jest dzisiaj czymś równie niedorzecznym, absurdalnym i idiotycznym, jak wystąpienia przeciwko pracom Harveya i Galileusza". W innym miejscu czytamy:

„Zużyliśmy wiele energii i wysiłku, aby problem koreshańskiej uniwersologii poddać dyskusji publicznej. Wysiłki nasze spotkały się jednak z bezczelnym ośmieszeniem i najprzykrzejszymi prześladowaniami, które spotykają, zgodnie zresztą z uświęconą regułą, wszystkie innowacje sprzeczne z ustalonymi zamiłowaniami ogółu... Będziemy dotąd żądali uznania naszej kosmologii, dopóki obrońcy fałszywej «nauki» nie poczują się zagrożeni...”.

I tutaj następuje szokująca i rewelacyjna deklaracja:

„...poznanie wklęsłości Ziemi... jest poznaniem Boga, ponieważ wiara w wypukłość Ziemi jest zaprzeczeniem Boga i jego dzieła. Wszyscy, którzy się przeciwstawiają Koreshanizmowi, są antychrystami”.

Nie dziwny się więc, że Teed uważał siebie za Mesjasza. Nie dziwny się też zbytnio temu, że jego lekarska praktyka w Utica, gdzie był znany jako „zwariowany doktor”, nagle skończyła się. Żona jego, w stanie depresji i chora, opuściła go (jego jedyne dziecko, Douglas Teed stał się później znanym na południu artystą i portrecistą). W końcu „Cyrus Wysłannik”, jak siebie nazywał Teed, porzucił całkowicie medycynę i poświęcił się wyłącznie głoszeniu swoich rewelacji.

Musiał być znakomitym mówcą. W Chicago zdobył sobie tak duże uznanie, że osiedlił się tam w roku 1886 na stałe, założył „Szkołę życia” (College of Life) i czasopismo pt. „Guiding Star” (Gwiazda Przewodnia), wkrótce zastąpione przez „Flaming Sword” (Płonący Miecz). Potem założył „Jedność Koreshańską”, małą wspólnotę, mieszczącą się na Cottage Grove Avenue. W roku 1894 „Chicago Herald” przypisał mu 4000 uczniów i obliczył, że w samej Kalifornii zarobił swymi kazaniem 60 000 dolarów. Pismo to przedstawia Koresha jako „niedużego, gładko ogolonego człowieka, w wieku 54 lat, o niespokojnych oczach, które płoną i błyszczą jak rozpalone węgle...”. Na swych wyznawców, zwłaszcza na płeć słabą, działał hipnotyzująco. W latach późniejszych nosił zawsze płaszcz w stylu księcia Alberta, czarne spodnie, rozwiewający się krawat z białego jedwabiu, i miękki czarny kapelusz z szerokim rondem. Trzy czwarte jego uczniów stanowiły kobiety.

W książce Carla Carmera *Dark Trees to the Wind* (Ciemne drzewa na wietrze) napisanej w roku 1949 znajdziemy doskonały rozdział o koreshanizmie, zawierający relację jednego z członków tej sekty, o tym jak stał się jej wyznawcą. Jego zdaniem istotną rolę w powodzeniu kultu odegrała tęsknota do powrotu do łona matki. Członkiem tym był fryzjer z hotelu Shermana w Chicago. W roku 1900 szedł pewnego dnia wzdłuż State Street i nagle wpadł mu w oczy olbrzymi napis: „Żyjemy wewnątrz”, pod nim jakiś człowiek mówił coś do małego tłumu ulicznego i sprzedawał zeszyty „Płonącego miecza”. Fryzjer kupił jeden zeszyt. „Przeczytałem go tegoż wieczora w łóżku - mówi - i zanim zasnąłem, żyłem już wewnątrz”.

W roku 1890 Koresh otrzymał na Florydzie niedaleko Fortu Meyers kawałek ziemi, gdzie założył miasto Estero. Nazwał je „Nowa Jerozolima” i przepowiedział, że pewnego dnia stanie się ono stolicą świata. Poczyniono przygotowania na przyjęcie ośmiu milionów wiernych. Tymczasem przybyło dwustu. Niemniej jednak zrobili oni wszystko, aby utrzymać tę kolonię, wbrew szyderstwom kilku miejscowych dzienników.

Śmierć Teeda, która nastąpiła na skutek ran zadanych mu przez szeryfa Fortu Meyers w roku 1908, była bardzo kłopotliwa. Teed napisał bowiem książkę pt. *The Immortal Manhood* (Nieśmiertelna ludzkość) w której głosił, że po „śmierci fizycznej” nastąpi jego zmartwychwstanie; wówczas zabierze do nieba wszystkich tych, którzy pozostali mu wierni. Gdy zmarł 22 grudnia, członkowie wspólnoty rzucili pracę i czuwając przy zwłokach wznosili modły. Po dwóch dniach ciało Koresha zaczęło wykazywać oznaki rozkładu. Nadeszło i minęło Boże Narodzenie. W końcu wkroczył w to urzędnik sanitarny i nakazał pogrzebać ciało.

Uczniowie Teeda pochowali swego ukochanego przywódcę w betonowym grobie na Wyspie Estero. W roku 1921 huragan podzwrotnikowy zalał wyspę i olbrzymie fale zmyły grób. Nie znaleziono ani śladu po zwłokach Teeda.

Sympatyczne pismo sekty „Płonący miecz” nie umieściło nawet wzmianki o śmierci Teeda. Wychodziło dalej aż do roku 1949, kiedy to pożar zniszczył drukarnię. W roku 1946 w jednym z numerów wspomniano o tym, że Teed w dziedzinie alchemii przewidział bombę atomową. W roku 1947 pozostało zaledwie kilkunastu wyznawców kultu, procesujących się o prawa własności.

W Niemczech pisma Teeda stały się podstawą kultu, który w antynaukowym klimacie ruchu nazistowskiego bujnie się rozplenił pod nazwą „Hohlweltlehre” (Nauka o pustym świecie), albo jako „doktryna pustej ziemi”, proklamowana po raz pierwszy przez Petera Bendera, lotnika ciężko rannego podczas pierwszej wojny światowej. Bender długi czas korespondował z koreshanami, aż do swojej śmierci w nazistowskim obozie koncentracyjnym. Jego praca w dalszym ciągu znajduje uznanie w Niemczech, zwłaszcza u Karla E. Neuperta, którego książka *Geokosmos* jest najważniejszym źródłem kultu.

W Ameryce, po 60 latach mężnej walki, „Płonący miecz” poddał się. Jego ostatni numer zawiera artykuł pełen oburzenia na opublikowany przez „Life” obraz przedstawiający słone równiny w Utah. Obraz ten ma za zadanie wykazać wypukłość Ziemi. Wydawca „Miecza” napisał list do „Life”, tłumacząc ich pomyłkę. „Life” odpowiedziało: jednak odpowiedź tę wydawcy „Płonącego miecza” uznali za wykrętą.

Rozdział III

Groza zagłady



Astronomowie ciągle jeszcze prowadzą długie dysputy o tym, w jaki dokładnie sposób powstała Ziemia i jej siostrzyce - planety. Istnieje kilka rywalizujących ze sobą teorii, z których każda wydaje się równie prawdopodobna. Wszyscy jednak zgadzają się z tym, że nastąpiło to przed kilku miliardami lat i że przez cały krótki okres historii ludzkości Ziemia obracała się wokół osi i odbywała swoją wędrówkę wokół Słońca z niezakłóconą regularnością.

Ale każda zgodność między „prawowiernymi” wywołuje u pseudouczonych sprzeciw. Nic więc dziwnego, że przeszłość Ziemi i jej kształt stały się tematem najdziwniejszych dociekań. W tym rozdziale rzucimy okiem na cztery takie teorie. Każda z nich utrzymuje, że Ziemia od chwili pojawienia się na niej człowieka uległa przynajmniej jednemu kataklizmowi, wywołanemu przez bliski jej kontakt z innymi ciałami niebieskimi.

Najnowsza z tych teorii zawarta jest w książce dra Immanuela Velikovsky'ego pt. *Worlds in Collision* (Światy w zderzeniu). Książka ukazała się w roku 1950 - poprzedzona sprytnie przeprowadzoną akcją reklamową. Pierwszą reakcją astronomów zawodowych było potraktowanie jej jako zwykłej mistyfikacji. Kiedy jednak się okazało, że nie tylko Velikovsky, lecz także wydawca i redaktorzy biorą tę sprawę straszliwie serio, astronomów ogarnął gniew. Skierowali do wydawców i redaktorów masę listów, w których zagrozili bojkotem firmom wydającym podręczniki, w wyniku czego zwolniono zastępcę redaktora naczelnego, który przyjął tę książkę do wydania. Wówczas prawo publikowania książki otrzymało wydawnictwo Doubledaya. Książka stała się już bestsellerem i Doubleday, który nie posiadał wcale działu podręczników, jak najchętniej ją przyjął.

Czymże się zajmują teorie Velikovsky'ego? Mówiąc krótko, wierzy on w to, że kiedyś z Jowisza została wyrzucona olbrzymia kometa, która dwukrotnie przeszła blisko Ziemi, aby w końcu dać się uwikłać w aferę miłosną z Marsem, który ją usidlił. W wyniku tej afery pojawiła się cała plejada mniejszych komet. W końcu owa kometa-olbrzym ustatkowała się już jako planeta Wenus. Pierwsze spotkanie komety z Ziemią nastąpiło 1500 lat p.n.e., w okresie Exodusu u Izraelitów. Wywołało ono albo całkowite wstrzymanie obrotu Ziemi, albo też nagłe jego zwolnienie; tego Velikovsky nie jest pewny.

Uczony doktor rozumuje prawidłowo, że w każdym z tych wypadków, w wyniku działania siły bezwładności wywołałoby to kataklizm. Powierzchnia Ziemi wówczas dosłownie wybuchła. Jedne góry się zapadały, inne się wylaniały; następowały powodzie, huragany, burze piaskowe, pożary, wrzała woda w morzach; rzeki barwiły się krwawo, spadały deszcze meteorytów, waliły pioruny i z Ziemi ku głowie komety były potoki ropy naftowej. Dzisiejsze samoloty i samochody - mówi Velikovsky - są pędzone „pozostałościami po owej natrętnej gwiazdzie, która wznieciła ogień i duszące wyziewy...”.

Próżno szukalibyśmy zarówno wyjaśnienia braku wyraźnej wschodnio-zachodniej orientacji warstw geologicznych, którą musiałyby takie zderzenie wywołać, jak i wyjaśnienia faktu istnienia dość delikatnych struktur pozostałych z czasów najdawniejszych; jak mogły one przetrwać ową katastrofę? Najmniejsze nawet przesunięcie skorupy ziemskiej musiałyby wywołać zmianę ukształtowania pionowego długich stalaktytów w Karlovyh Varach; wiek tych stalaktytów przekracza znacznie najwcześniejszą z katastrof Velikovsky'ego. Powolny wzrost delty Missisipi, bardzo powolna erozja obserwowana w Wielkim Kanionie, lub stopniowe cofanie się wodospadu Niagary, jak też i wiele, wiele innych procesów geologicznych stworzyło formacje, które nie mogły ulegać zakłóceniom w ciągu dziesiątków tysięcy lat.

Według Velikovsky'ego zatrzymanie się obrotu Ziemi (czy też nagłe jego zwolnienie) wywołało rozstąpienie się Morza Czerwonego akurat wtedy, gdy Mojżesz wyciągnął rękę, aby pozwolić dzieciom Izraela przejść bezpiecznie przez to morze, zanim fale nie pochłoną prześladowających ich Egipcjan. Potem, na krótki okres dwóch miesięcy, kometa opuściła Ziemię, aby powrócić i znów wywołać gromy, błyskawice, trzęsienie Ziemi i głosy trąb, w chwili gdy Bóg przekazywał Mojżeszowi na górze Synaj dziesięcioro przykazań. W kilka lat później dwutlenek węgla z warkocza komety osiadł na Ziemi w postaci manny niebieskiej, która utrzymywała przy życiu Żydów przez 40 lat. Velikovsky nie tłumaczy jednak, dlaczego owa manna (zgodnie z rozdziałem XVI *Exodusu*) przestawała padać każdego siódmego dnia tygodnia.

Po 52 latach spokoju kometa znów nawiedziła Ziemię. Zbiegło się to z chwilą, gdy Jozuemu udało się wstrzymać Słońce nad Gibeonem i Księżyc nad doliną Ajalon. Velikovsky nie jest pewny, czy było to wynikiem wstrzymania się obrotu Ziemi, czy też złudzeniem wywołanym przesunięciem osi obrotu obracającej się w dalszym ciągu Ziemi. W każdym razie towarzyszyły temu olbrzymie przemiany geologiczne, aczkolwiek tym razem nie było błyskawic i nie nastąpiło odwrócenie biegunów magnetycznych Ziemi. Jedynie grad, utrzymujący się w pobliżu Ziemi od czasów pierwszych odwiedzin komety, nagle spadł na szczyty gór Kanańskich.

W ciągu wielu lat Ziemia stygła i osiadała, towarzyszyły temu częste trzęsienia Ziemi. Jedno z nich wywołało właśnie zburzenie murów Jerycha i upadek tego zepsutego miasta w chwili, gdy trąby kapłanów zabrzmiały po raz siódmy. „Plemiona Żydów, wierzących w magię, były przekonane, że trzęsienie Ziemi nastąpiło na skutek trąbienia baranich rogów” - tak to wyjaśnia Velikovsky. Zdaniem doktora, Pan Bóg układał wszystkie cuda *Starego Testamentu* w sposób tak pomysłowy, aby się dawały tłumaczyć prawami natury.

W siedem wieków po Jozuem, a więc w połowie VIII wieku p.n.e. nastąpiła nowa seria katastrof wywołanych tym razem zbliżeniem się do Ziemi planety Mars. Odpowiadają one licznym zdarzeniom opisanym w *Starym Testamencie*, takim, jak nagłe załamanie się armii Sennacheriba i przeróżne trzęsienia Ziemi zapowiedziane przez Amosa, Izajasza i innych. Druga część książki poświęcona jest

drobniejszym zaburzeniem wywołanym przez Marsa. Brakuje jej jednak tego rozmachu i talentu, które cechują pierwszą część; zawiera poza tym wiele nudnych szczegółów. Dlatego też nie będziemy się nią tu zajmowali.

Warto jednak zwrócić uwagę na to, że Velikovsky wykorzystał znaczne zbliżenie Marsa, aby wytłumaczyć jeden z najbardziej zadziwiających domysłów naukowych wszystkich czasów: Otóż w *Podróżach Guliwera* Swift wspomina mimochodem, że astronomowie z Laputy odkryli istnienie wokół Marsa dwóch księżyców. Istotnie, Mars ma dwa księżyce, ale zostały one odkryte dopiero w 156 lat po wydaniu *Guliwera* i w 100 lat po doprowadzeniu teleskopów do takich rozmiarów, że można było przez nie zobaczyć księżyce Marsa. Ponadto przewidywania Swifta dotyczące okresów obiegu obu księżyców dokładnie odpowiadały rzeczywistości. Jeden z nich - Phobos - obiega Marsa w tym samym kierunku, w którym się odbywa obrót planety, w okresie wynoszącym jedną trzecią okresu obrotu Marsa, tak że wschodzący księżyc widzimy tam na zachodzie, a zachodzący na wschodzie. Jest to jedyne znane we Wszechświecie ciało, które obiega wokół ciała centralnego szybciej, niż się obraca samo ciało centralne; fakt ten znalazł się również w opisie Swifta! Zdaniem Velikovsky'ego Swift odnalazł tę wiadomość w starych manuskryptach, które udało mu się zdobyć, a które opierają się na obserwacjach tych księżyców z okresu, gdy Mars był bardzo bliski Ziemi. Doktor przypuszcza, że dlatego właśnie w mitologii greckiej powóz Marsa ciągną dwa konie, których imionami, nawiasem mówiąc, nazwano księżyce Marsa.

Wszystkie wywody, zawarte w *Światach w zderzeniu* Velikovsky'ego - od pierwszej do ostatniej strony - są tylko legendami, które, zdaniem autora, odzwierciedlają dawne katastrofy. Trud zebrania ich nie jest znów aż tak duży, jakby to się komuś mogło wydawać. Legendy trudno jest umiejscowić w czasie i każdy prawie typ cudów można spotykać w różnych folklorach. Wystarczy zatem tylko uważnie „wyczesać” literaturę mitologiczną, wybierając odpowiedni materiał, a pomijając inny. Jednak, nawet przy takim sposobie postępowania, starożytne podania nie zawsze zadowolają Velikovsky'ego i wówczas przypisuje on winę milczenia mitologii „zbiorowemu zanikowi pamięci”.

I chociaż nikt już dzisiaj nie bierze *Światów w zderzeniu* poważnie, zadziwiające jest jednak, jak wielu recenzentów tej książki uległo jakby oślepieniu. John J. O'Neil, redaktor naukowy „New York Herald Tribune” przedstawił ją jako „wspaniałą próbkę badań naukowych”. Współzałożyciel „New School for Social Research” i wybitny pedagog, Horace Kallen, napisał o niej: „Podziwem napętnia mnie wyobraźnia naukowa, śmiałość konstrukcji, oraz zakres zagadnień i wiadomości w niej zawartych”. Ówczesny dyrektor New York City's Hayden Planetarium, Gordon Atwater, oświadczył, że „teorie wysunięte przez dra Velikovsky'ego są jedyne w swoim rodzaju i należy je przedstawić światu naukowemu po to, by zrewidował punkty oparcia nauki współczesnej”. Zaś Ted Thackerey - wydawca „New York Compass” - uważa, że odkrycia Velikovsky'ego „stawiają go we współczesnej i przyszłej historii obok Galileusza, Newtona, Plancka, Keplera, Darwina i Einsteina...”. Książkę Velikovsky'ego wyróżnili entuzjastycznie również Clifton Fadiman¹⁴ i Fulton Ousler.

Dr Velikovsky jest doskonałym „pokazowym” przykładem pseudouczzonego. W dziedzinie, w której snuje swoje spekulacje, jest samoukiem; pracuje w całkowitej izolacji. Motywem jego działalności jest silny przymus wewnętrzny bronięcia dogmatów, utrzymujących się z powodów poza naukowych oraz niewzruszone przekonanie o rewolucyjnym znaczeniu jego prac i ślepcie krytyków.

¹⁴ Clifton Fadiman (ur. 1904), amerykański krytyk literacki i pisarz (przyp. tłum.)

Doktor urodził się w Rosji w roku 1895. Wędrował następnie po Europie i Środkowym Wschodzie, uczęszczając do różnych szkół. W końcu uzyskał stopień doktora medycyny na uniwersytecie w Moskwie i osiedlił się w Palestynie jako praktykujący lekarz. Potem, po studiach pod kierunkiem Wilhelma Stekela w Wiedniu, stał się psychoanalitykiem (próbę twórczości doktora w tym charakterze można zobaczyć w artykule omawiającym Freuda teorię snów w „Psychoanalytic Review”, październik 1941). W roku 1939 osiedlił się z żoną i dwiema córkami w Nowym Jorku. W ciągu następnego dziesięciu lat - mówiąc jego słowami - „pierwszy otwierał i ostatni zamykał drzwi do Biblioteki Uniwersytetu Columbia”. Tam właśnie prowadził badania nad kometami.

Velikovsky jest człowiekiem wysokim, nieco przygarbionym, o siwych włosach i ostrych rysach, czarujących manierach i przekonującym sposobie mówienia. W stosunku do tych, którzy się z nim nie zgadzają, wykazuje rozbijającą grzeczność. Kiedyś powiedział do reportera: „Gdybym nie był doświadczonym psychoanalitykiem, powiedziałbym pod adresem moich krytyków parę ostrych słów”. Jest przekonany o tym, że brak uznania dla jego nauki u wszystkich wielkich uczonych świata, wynika nie z błędów tej nauki, lecz z obawy „przecięcia owej pępowiny”, która łączy tych uczonych z nauką ortodoksyjną.

Takie właśnie silne uczucia przewijają się w jego *Answer to My Critics* (Odpowiedź moim krytykom), opublikowanej w czerwcu 1951 roku przez Harpera. Autor mówi w niej o „wysokiej nienaukowej furii”, z którą się spotkała jego książka ze strony uczonych, a ich niezdolność do właściwego zrozumienia jej, nazywa zbiorową zaćmą. Nie żywi nadziei, że starsza generacja uczonych przyjmie jego teorie, ponieważ ma „interes w tym, by zachować teorie ortodoksyjne” i „jest psychicznie niezdolna do uczenia się czegokolwiek na nowo”. Toteż ogląda się za młodszym pokoleniem, o dostatecznie elastycznym umyśle do przyjęcia „nowego”.

Odpowiedzią Velikovsky'emu był artykuł prof. Johna Stewarta - fizyka i astronoma z Princeton. Doktor jednak krótko załatwia się z druzgocącą krytyką Stewarta. Każdy, kto choć trochę orientuje się we współczesnej nauce, stwierdzi natychmiast, że artykuły doktora są przepojone chęcią uniku. Tak na przykład Stewart wskazuje na to, że żadne ze znanych nam praw grawitacji i ruchu nie tłumaczą ani możliwości zatrzymania przez komety obrotu Ziemi, ani wprowadzenia jej z powrotem w ruch obrotowy, ani też możliwości, aby Mars wprowadził Wenus na jej obecną orbitę. Na to wszystko Velikovsky ma proste wyjaśnienie: wprowadza siły elektromagnetyczne, zdolne do wykonania dokładnie tego wszystkiego, czego od nich żąda. Nie mamy tymczasem żadnych danych o wielkości tych domniemyanych sił. Spełniają one w teorii Velikovsky'ego tę samą rolę, co niezwykle prawa optyki u Cyrusa Teeda. Tłumaczą to, czego się nie da wytłumaczyć. Niemniej jednak ów uczone-samotnik jest tak mocno przekonany o tym, że wszyscy są do niego uprzedzeni, iż z podniesionym czołem chłozcze „ortodoksów” za odmowę uznania jego wymyślonych rodzajów energii! „Niechęć do uznania istnienia sił magnetycznych i elektrycznych tkwiących w sferze niebieskiej... - pisze doktor - staje się dogmatem dla obrony obecnej nauki o mechanice nieba”.

U podłoża zręcznych zdań Velikovsky'ego i powodzi przytaczanych przezeń faktów, cytat, odsyłaczy i notek zebranych w czasie jego dziesięcioletniego „snu zimowego” w Bibliotece Uniwersytetu Columbia, leżą przesłanki emocjonalne - co jest rzeczą jasną, aczkolwiek rzadko stwierdzaną. „Wiosną 1940 roku - mówi Velikovsky - doszedłem do przekonania, że, jak to wynika z wielu miejsc *Pisma Świętego*, w czasie Exodusu nastąpiła jakaś żywiołowa katastrofa...”. *Stary Testament* jest rzeczą świętą dla wszystkich fundamentalistów i tradycyjnych judaistów; teorie zaś Velikovsky'ego,

podobnie jak Volivy, nie są niczym innym, jak tylko racjonalizacją z góry powziętych wierzeń. Pocziwy doktor jest jednak bardziej uczony w sofistyce, niż biedny Voliva, i dlatego jego spekulacje nie sprawiają wrażenia takich urojeń.

Gdybyż Velikovsky pierwszy rozwinął teorię katastrof powodowanych przez komety, książka jego miałaby przynajmniej tę zasługę, że zapoczątkowałaby jakąś dziedzinę dociekań pseudonaukowych. Tymczasem i tego musimy mu, niestety, odmówić. Ma aż dwóch wybitnych poprzedników o podobnych zupełnie zapatrywaniach. I każdy z nich uzasadnia swoją rację za pomocą tych samych mitów i opowieści ludowych, które zebrał doktor; i każdy przedstawia swoją teorię, jako zgodną z tymiż samymi wersetami *Starego Testamentu*.

W roku 1696 William Whiston, brytyjski duchowny i matematyk (który odziedziczył po Newtonie stanowisko profesora matematyki w Cambridge), opublikował swoją *New Theory of the Earth* (Nową teorię Ziemi). Wtedy już wszyscy zdawali sobie jasno sprawę z tego, że Ziemia jest okrągła. Również i teologowie znaleźli w *Piśmie Świętym* wiele miejsc, sugerujących, że Ziemia jest kulą. Nawet teksty, które dawniej dowodziły „płaskości” Ziemi, jak na przykład: „I siedział na obwodzie Ziemi...” (Izajasz 40;22) wówczas uznano za opis globu. W powietrzu unosiły się poglądy Newtona, i dlatego chęć dopasowania ich w sposób możliwie ścisły do zwrotów *Biblij* wydała się słuszna.

Według Whistona pierwotnym „chaosem” był warkocz olbrzymiej komety. „Ziemia nie miała kształtu i zawartości. I ciemność panowała na obliczu otchłani”. Z tego chaosu wyłoniła się Ziemia, planety i ich księżyce. Orbity były wtedy doskonałymi kołami: Ziemia obiegała Słońce dokładnie w ciągu 360 dni, Księżyc zaś obiegał Ziemię w ciągu dni 30. Początkowo Ziemia nie miała ruchu obrotowego i dlatego w okresie stworzenia dzień na niej trwał cały rok. Tak było, zanim Adam i Ewa zjedli owoc zakazany; wtedy na Ziemię zaczęła wywierać swą siłę kometa, zmuszając ją do obrotu. W tych dawnych czasach atmosfera ziemską była przezroczysta i ciepła; wilgotność była rozłożona w sposób tak doskonały, że na Ziemi nie było wcale tęczy.

W piątek 28 listopada 2349 p.n.e. inna kometa „kierowana przez Opatrzność” nawiedziła Ziemię, jako kara boska na nasz zepsuty świat. Skraplająca się woda z warkocza komety padała na Ziemię przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Noemu szczęśliwie udało się uratować od katastrofy swoją rodzinę i zwierzęta, które wsadził do arki. Wtedy to orbita Ziemi przemieniła się w elipsę; odtąd eliptyczność jej wzrasta z roku na rok. Jednocześnie prędkość obrotu Ziemi zaczęła się zmniejszać, jak początkowo przypuszczał Whiston, wyłącznie wskutek bezwładności dużych mas wody, które się znalazły na Ziemi. W późniejszych wydaniach książki jednak zdecydował się zaangażować w to siły magnetyczne. W końcu podobno niebo się wypogodziło i po raz pierwszy ukazała się na nim tęcza; woda zaś stopniowo wsiąkała do „wnętrzości” Ziemi. Wszystko to opracował autor bardzo szczegółowo również od strony matematycznej, dołączając stos wykresów i „uczonych” odsyłaczy po grecku. Autor cytuje też mnóstwo legend z różnych kultur, a wszystko po to, by dowieść słuszności *Pisma Świętego*.

W siedemnastowiecznej Anglii klimat naukowy sprzyjał tak dalece prawowierności protestanckiej, wiedza zaś astronomiczna i geologiczna była jeszcze tak prymitywna, że pracę Whistona przyjęli jego koledzy z uznaniem. Zachwalał ją również wielki Newton, jak też ówczesny angielski filozof John Locke. Whistona nie należy więc uważać za pseudouczzonego tej rangi, co tych, którzy znacznie później propagowali swoje teorie kataklizmów kosmicznych, wywołanych przez komety.

Po śmierci Whistona myśl o wędrującej komecie wywołującej katastrofy w dalszym ciągu rozpałała umysły pseudouczonych. Zupełnie nowy obrót tym spekulacjom dała nowa sensacyjna praca Irlandczyka, Ignatiusa Donnelly'ego, opublikowana w roku 1882 pod tytułem *Ragnarök*.

Donnelly był jedną z najbardziej malowniczych postaci politycznego życia Ameryki. Aczkolwiek nie ukończył on szkoły średniej, dość wcześnie przyjęto go do sądownictwa. Wkrótce jego płomienna wymowa i projekty reform rolnych sprawiły, iż wybrano go zastępcą gubernatora stanu Minnesota. Miał wtedy zaledwie 28 lat. W cztery lata potem został członkiem Kongresu, następnie senatorem stanowym. Jako reformator o skłonnościach radykalnych wydawał w ciągu wielu lat tygodnik pod nazwą „Anti Monopolist”. Jego powieść *Doctor Huguet* była wzruszającą obroną tolerancji rasowej; druga zaś, *Caesar's Column* (Kolumna Cezara), stanowiła pierwszą w Ameryce powieść fantastyczną typu „to mogło by się u nas zdarzyć”. Oburzony korupcją polityczną, panującą w jego rodzinnym stanie, przedstawia w niej makabryczne obrazy nadchodzącego dwudziestowiecznego faszyzmu. O tej powieści z uznaniem mówił Hawthorne¹⁵; sprzedano jej ponad milion egzemplarzy. W chwili śmierci, która nastąpiła w 1901 roku, Donnelly był kandydatem Peoples Party¹⁶ na wiceprezydenta.

Słusznie Donnelly'ego pasowano na księcia dziwaków Stanów Zjednoczonych. Zazwyczaj każdego dziwaka ogarnia obłąd na punkcie jednego zagadnienia. Donnelly miał ich aż trzy: istnienie Atlantydy, zaszyfrowane wiadomości w sztukach Szekspira (zakładając, że napisał je Francis Bacon) oraz katastrofalne skutki odwiedzin komety. Jego *Atlantis* omówimy w jednym z następnych rozdziałów. Natomiast dwoma pozostałymi książkami; *The Great Cryptogram* (Wielki kryptogram) i *The Cipher in the Plays* (Szyfr w sztukach teatralnych) nie będziemy się zajmować, ponieważ tematyka ich wykracza poza ramy naszej książki. Teraz zaś przyjrzyjmy się jego dziełu pt. *Ragnarök*.

Wydana przez firmę D. Appleton i Spółka książka odniosła od razu duży sukces wśród szerokiej publiczności. Wprawdzie uczeni ją zignorowali, jednak w popularnych czasopismach uzyskała dobre recenzje. Zwróćmy uwagę na podobieństwo sformułowań dotyczących jej i pracy Velikovsky'ego cytowanej poprzednio. „Jest to śmiałe przedsięwzięcie - pisze jeden krytyk - śmiałość ta sprawia fascynujące wrażenie. Szeroki zasięg tego przeglądu i bogactwo świadectw z wszelkich epok i klimatów, które autor rozciąga przed nami, dostarczają czytelnikowi całkowicie nowych przeżyć...”. W innej recenzji czytamy: „Ragnarök wysuwa nową teorię... zwartą we wszystkich swoich częściach, budzącą zaufanie, zgodną ze współczesną wiedzą i w sposób ciekawy opartą na tradycjach ludzkości. Jeśli ta teoria okaże się prawdziwa... zrewolucjonizuje współczesną naukę geologii...”.

Słowo „Ragnarök” pochodzi ze starej legendy skandynawskiej i oznacza „deszcz pyłu”. Dwieście stron poświęca Donnelly mitom z całego świata, opisującym ową dawną katastrofę, którą, zdaniem autora, spowodowała olbrzymia kometa. Jej nagłemu upadkowi na Ziemię towarzyszyły „...przeraźliwy hałas, niesamowity huk grzmotów wstrząsający całym globem, ryk i wycie... deszcz kamieni, żwiru i pyłu... zrównanie dolin, zmiżdżenie pagórków... zmiana całego wyglądu środowiska globu... przez ulewę gruzów widać płonące giganty, podczas gdy skroś i wokół wszystkiego żar jest niesłychany...”.

¹⁵ Nathaniel Hawthorne (1804-1864), pisarz amerykański typowy dla okresu purytańskiego w wieku XIX (przyp. tłum.).

¹⁶ Peoples Party (Partia Ludowa) – postępowe stronnictwo polityczne istniejące w Stanach Zjednoczonych w latach 1891-1904 (przyp. tłum.)

Po przejściu komety i ustaniu pożarów cały świat ogarnęła Epoka Ciemności i zaczęła się Epoka Lodowa. Donnelly stanowczo odrzuca szeroko rozpowszechnioną w geologii teorię, w myśl której osady geologiczne - nieuwarstwiony piasek i glina, znajduwane tu i ówdzie na powierzchni Ziemi - są produktem działalności lodowców. Pochodzą one - zdaniem Donnelly'ego - z zamrożonego pyłu w warkoczu komety. Trzęsienia Ziemi doprowadziły wtedy kwitnące miasta do zagłady. Wspomnieniami o tych zdarzeniach jest *Księga Hioba*, opowieść o Sodomie i Gomorze, i inne opowieści *Starego Testamentu*. Odnośnie cudu Jozuego autor pisze:

„Nawet ten, tak wyśmiewany przez współczesnych, cudowny wypadek zatrzymania Słońca na rozkaz Jozuego może być również odbiciem tej katastrofy... W amerykańskich legendach czytamy, że Słońce zatrzymało się, a Owidiusz mówi, że jeden dzień przepadł. Kto może wiedzieć, jakie okoliczności towarzyszyły wydarzeniu tak potężnemu, że wywołało powstanie w Ziemi potężnych szczelin? Dziwny co najmniej jest fakt, że wg *Księgi Jozuego* (Rozdział X) zatrzymaniu się Słońca towarzyszyło padanie kamieni z nieba, które uśmierciły mnóstwo ludzi”.

Donnelly, jako reformator nie oparł się pokusie zakończenia swojej książki pewnym przytykiem pod adresem plutokracji. Zwracając się do „Bogacza” autor błaga: „Otwórz swe serce. Wykorzystaj swój umysł do pracy wartościowej, podnoszącej zdolność twórczą Natury, a wtedy dobrobyt, szczęście, światłość i nadzieja zamieszkają w sercu każdego... Od takiego świata Bóg swoją wszechmocną sprawiedliwą ręką odwróci komety, a aniołowie będą się w niebie cieszyli”.

Trudno orzec, w jakim stopniu Donnelly wierzył w „naukowe” twierdzenia wysunięte w swej książce. Było w nim coś z szarlatana; a Ragnarök napisał przede wszystkim dla zdobycia popularności i pieniędzy. Tak czy inaczej astronomia i geologia, które od czasów Whistona posunęły się naprzód, przeszły nad tym do porządku, a jego kometa nawet nie zasłużyła na oficjalną wzmiankę.

W dwanaście lat po śmierci Donnelly'ego, wiedeńczyk, inżynier górnictwa Hans Hörbiger, opublikował wspólnie z pewnym astronomem-amatorem monumentalną, 790-stronicową książkę pt. *Glazial Kosmogonie* (Kosmogonia glacialna). Mamy tu jeden z najbardziej klasycznych w dziejach ludzkości przykładów obłąkańczej nauki. Książka pełna zdjęć, zawitych diagramów, przepojona jest typowo niemiecką dokładnością i od początku do końca pozbawiona jakiegokolwiek wartości. Robi to wrażenie, jakby Niemcy, przodujący w wielu dziedzinach) nauk, również i w pseudonauce nie chcieli ustąpić pierwszeństwa.

Ukazanie się książki Hörbigera wywołało falę oburzenia wśród astronomów niemieckich. Mimo to w mistycznej i antynaukowej atmosferze rodzącego się ruchu nazistowskiego tego rodzaju teorie wkrótce znalazły miliony zwolenników. Kult ów stał się znany pod skróconą nazwą WEL - początkowe litery Welt Eis Lehre (nauka o lodzie kosmicznym) - termin użyty przez Hörbigera na oznaczenie swojej doktryny.

Według opinii Willy Leya - znanego specjalisty od rakiet, mieszkającego wówczas w Niemczech - WEL było czymś w rodzaju partii politycznej. Wydawało ulotki, afisze i udzielało wywiadów. Drukowało dziesiątki popularnych książek wykładających te poglądy, propagandą zaś nowych zapatrywań zajmował się miesięcznik „The Key to World Events” (Klucz do zdarzeń światowych). Jak relacjonuje Ley (patrz artykuł *Pseudo-Science in Naziland* w „Astounding Science Fiction” z maja 1947 roku), wyznawcy WEL często zjawiali się na wykładach różnych uczonych, by przerywać okrzykami: „Precz z uświęconą astronomią. Dajcie nam Hörbigera”.

Cechy paranoidalne mistrza nie są znów takie trudne do wykrycia. W liście do Leya pisze on: "albo pan uwierzy we mnie i moją naukę, albo będziemy musieli potraktować pana, jak wroga". Do jego „wrogów” należeli w ten sposób wszyscy wybitniejsi astronomowie świata. Wiedeński inżynier był głęboko przekonany o tym, że odrzucenie jego nauki wynikało tylko z tego, że nie był uznanym astrofizykiem.

Hörbigera fascynował Księżyc, nie komety. Zanim Ziemia pojmowała Lunę (jej obecny Księżyc), posiadała co najmniej sześć innych księżyców. Wszystkie przewroty geologiczne, które Donnelly przypisywał komete, austriacki pseudouczony przypisuje działaniu owych dawnych satelitów Ziemi.

Wśród skaptowanych przez Hörbigera uczonych satelitów, pierwsze miejsce zajął angielski badacz mitologii, Hans Schindler Bellamy. Po śmierci Hörbigera w roku 1931 Bellamy przełożył na angielski WEL, podbudowując je 500 legendami zaczerpniętymi z folkloru całego świata. W ten sposób powstała książka pod tytułem *Moons, Myths and Man* (Księżycy, mity i człowiek), którą wydała najpierw firma Faber i Faber w Londynie, później, w roku 1936 Harper w Ameryce; nowe zaś poprawione jej wydanie znów puścili w świat Faber i Faber. Z tego właśnie wydania czerpiemy główne wiadomości o WEL.

Zdaniem Hörbigera przestrzeń wypełniona jest rozrzedzonym wodorem, który stawia dostateczny opór planetom i księżycom, by spowodować ich powolny ruch po spirali wokół ciał centralnych. W końcu wszystkie planety spadną w ten sposób na Słońce. Może się też zdarzyć, że małą planetę, podczas jej ruchu po zwijającej się spirali, może wychwycić jakaś duża planeta, czyniąc z niej swego satelitę. Bellamy najbardziej się interesuje ostatnim księżycem przed Luną, ponieważ w okresie od narodzin tego księżycza aż do śmierci, ludzkość już istniała, mogła zatem pozostawić w formie legend bardzo dokładne „relacje o tym, co . się działo. Bo mity - zdaniem Bellamy'ego są „skamieniałościami historii”. Ich badanie stanowi „nową naukę o prelunarniej kulturze”.

Ów trzeciorzędowy księżyc - jak go nazywa Bellamy - był nieco mniejszy od obecnego. W miarę zbliżania się do Ziemi, poruszał się wokół niej coraz prędeziej. Wywołało to powstanie „opaski przyptywowej”, czyli wysokiego, wąskiego pasa wzdłuż równika ziemskiego.

Na pozostałej części Ziemi rozpoczęła się wtedy epoka lodowa. Ludność przed mrozami uciekła na „wyspy schronienia”, to jest w wysokie góry położone z obu stron owej opaski - do Meksyku, Tybetu na Wyżynę Abisyńską i do Mesety w Boliwii. Księżyc wydawał się wtedy duży; obiegał on niebo sześć razy na dobę, zaćmiewając w tym czasie Słońce trzykrotnie i ulegając trzykrotnemu zaćmieniu przez cień Ziemi. Jego poorana powierzchnia wyglądała, jak pokryta łuską; stąd powstała legenda o smoku i latających potworach. Był to właśnie „szatan” z wierzeń żydowsko-chrześcijańskich.

W końcu przyciąganie ziemskie stało się silniejsze niż spoistość księżycza, toteż zaczął się on rozpadać. Pękła pokrywająca go gruba warstwa lodu, a topiąc się spowodowała olbrzymie deszcze i straszliwe burze gradowe. W chwili ostatecznego jego rozpadu nastąpiły burze skalne. Zwalenie się kolosa wykoszlawiło Ziemię. Obecnie powróciła ona znów do formy kulistej wskutek silnych trzęsień Ziemi i ożywionej działalności wulkanicznej. „Opaska przyptywowa” rozplynęła się po Ziemi. To właśnie wywołało potop Noego, i stało się podstawą innych legend o olbrzymiej powodzi. Tu i ówdzie niektórym ludziom udało się uratować. Bellamy pisze na ten temat:

„...Nie bez tklivości rozstajemy się z rozdziałem o Arce. Miejsce to w Genesis zawsze przemawiało do naszej wyobraźni; kiedy byliśmy młodzi i uczęszczaliśmy do szkoły niedzielnej, był to nasz ulubiony tekst. Lecz kiedy jako dorośli zaczęliśmy wątpić w wiele niejasnych twierdzeń *Pisma Świętego*, nie wyjaśnionych wyraźnie w mitologii, to miejsce pozostało dla nas najważniejsze; przeczuwaliśmy bowiem, iż się opiera na faktach. Istotnie, w końcu epoki trzeciorzędowej na falach potopu kołysała się niejedna arka - kolebka nowej rasy. My sami jesteśmy może potomkami jednego z tych bohaterów potopu - jeśli, oczywiście, nasi przodkowie schronili się gdzieś na szczytach gór, lub w jakiś inny sposób uniknęli zagłady”.

Legenda o zabiciu smoka i walkach bogów przeciwko potworom jest odbiciem rozpadu satelity. Na bezkieszyńcową Ziemię zstąpił klimat łagodny i spokojny. Tę epokę przypomina mit o raj. Skończyła się ona w chwili, gdy Ziemia pochwyciła obecny Księżyc, co wywołało nowy paroksyzm trzęsień Ziemi. Wtedy to oś obrotu Ziemi pochyliła się, bieguny przykrył lód, ląd Atlantydy zatonął i rozpoczął się czwartorzęd.

Według obliczeń Bellamy'ego pojmanie Księżyca przez Ziemię nastąpiło przed około 13 500 lat. Znamy to nie tylko z mitów; pewne atawistyczne wspomnienia tkwią także w naszej podświadomości.

„...Kiedy byłem jeszcze chłopcem - mówi Bellamy - często śnił mi się olbrzymi księżyc, niezmiernie jasny, i tak bliski, że zdawało się, iż mogę dotknąć jego powierzchni. Poruszał się szybko po niebie. Nagle wygląd jego zmieniał się i, jak gdyby w wyniku jakiegoś wybuchu, rozpadał się na kawałki, które jednak nie runęły od razu. Grunt pod mną zaczynał się kołysać, trząść i czułem, jak strach ściska mi gardło. Budziłem się z uczuciem, jakie się ma zazwyczaj po nocnych koszmarach”.

Potem, gdy po raz pierwszy zerknął na Księżyc przez teleskop, odczuł, że jego pomarszczona powierzchnia jest czymś dobrze mu znanym. W roku 1921 poznał teorię Hörbigera i ku swemu zdziwieniu stwierdził, iż odnalazł w niej swój sen.

„Od tego czasu na próżno starałem się namówić moją podświadomość, aby udzieliła mi jeszcze jednego spełnienia mego kosmologicznego snu. Jednak wysiłek umysłowy zapewne poraził ową komórkę odtwarzającą wspomnienia z czasów dawno minionych. Albo też raz znalazłszy zadowalające rozwiązanie tego snu-wizji, podświadomość nie uważała za potrzebne, aby ją ponownie odtwarzać”.

Dwie spośród książek Bellamy'ego zasługują na wzmiankę ze względu na ich wyjątkową osobliwość: *The Book of Revelation Is History* (Księga objawień jest historią) jest komentarzem wszystkich komentarzy Apokalipsy. Traktuje wizję świętego Jana jako rejestr faktów z końca epoki trzeciorzędu. Podobny cel ma komentarz do *Genesis* występujący pod tytułem *In the Beginning God* (Na początku był Bóg). Genesis jest tam jednak sprawozdaniem nie ze stworzenia świata, lecz z odtworzenia go po ostatniej katastrofie. Bellamy podaje nową interpretację stworzenia Ewy z żebra Adama. Przywodzi to na myśl pierwsze cesarskie cięcie. Coś w tym micie nie jest jednak w porządku z płcią!

Nasz obecny Księżyc - zdaniem Hörbigera - zbliża się zawzięcie do nas po spirali. Otacza go warstwa lodu o grubości 140 mil. Podobne warstwy otaczają Merkurego, Wenus i Marsa. Na Marsie głębokość zamrożonego morza sięga do 250 mil. Pęknięcia w tym lodzie bierzemy za słynne kanały Marsa. Droga Mleczna jest pierścieniem złożonym z olbrzymich bloków lodowych. Gdy ktoś przypomniał

Hörbigerowi, że ze zdjęć fotograficznych wynika, iż Droga Mleczna jest zbiorowiskiem miliardów gwiazd, odpowiedział na to prosto i bezceremonialnie: „zdjęcia te są sfalszowane”.

Olbrzymie bloki lodowe zbliżają się również do Układu Słonecznego po spirali. Gdy któryś z nich spadnie na Słońce, w tym miejscu powstaje plama słoneczna, a lód natychmiast zamienia się w parę; w taki sposób powstała chmura zostaje wyrzucona w przestrzeń. Tam tworzy się z niej drobny pył kosmiczny. Tym lodem pokryte są wszystkie planety z wyjątkiem Ziemi. Z przyczyn zbyt zawitych, by w nie wnikać, lód kosmiczny nie wywołuje na Ziemi żadnych skutków, z wyjątkiem pojawiania się wysokich obłoków pierzastych i od czasu do czasu silnego gradu.

„Wyłuskiwanie błędów z tej teorii - pisze Willy Ley - jest zajęciem równie łatwym i przyjemnym, jak zbieranie na klombie rojących się chrabąszczy”. Jednak, gdy prąd ów zaczął przybierać na sile, niemieccy astronomowie przestali się śmiać. Kombinacja WEL z nazistowską doktryną polityczną miała takie powodzenie, że ministerstwo propagandy zmuszone było opublikować oświadczenie, z którego się dowiadujemy, iż, można być dobrym narodowym socjalistą nie wierząc w WEL. Z literatury poświęconej temu kultowi Ley przytacza między innymi następujące twierdzenia:

„Nasi nordyccy przodkowie stali się silni w lodzie i śniegu; wiara w Światowy Lód jest zatem naturalnym dziedzictwem Człowieka nordyckiego”.

„Tak jak potrzebny nam jest syn austriackiej kultury - Hitler - aby wskazał politykom żydowskim ich właściwe miejsca, tak samo potrzebujemy Austriaka do oczyszczenia świata z nauki żydowskiej”.

„Führer całym swoim życiem dał przykład, że tak zwany «amator» może przewyższać samozwańczego fachowca; do pełnego zrozumienia, czym jest Wszechświat, potrzeba nam innego «amatora»”.

Przytoczone cytaty przekonują nas z niezwykłą wyrazistością o tym, jak łatwo obłęd mistrza wywołuje przychylny odzew w obłędnych dążeniach jego fanatycznych uczniów.

Warto zwrócić uwagę na to, że książka Velikovsky'ego nie zawiera żadnej wzmianki o rywalizującej z nią teorii Hörbigera, ani też o pomysłowej dokumentacji folkloru dokonanej przez Bellamy'ego, aczkolwiek pod względem liczebności uczniowie doktora daleko ustępują szkole WEL. W Niemczech i Anglii mamy dotychczas przeszło milion wyznawców WEL. Instytut Hörbigera dalej kwitnie w Niemczech. A filia tego ruchu w Anglii wydaje w dalszym ciągu książki, broszury i czasopisma.

„Ostatecznego dowodu słuszności teorii - tak pisze ostatnia ulotka londyńska - dostarcza nam wynik pierwszego udanego lotu międzyplanetarnego i w tym właśnie nasz Instytut jest wysoce zainteresowany”.

Doktryn pseudonaukowych nie da się wytępić, podobnie jak nie da się wytrzebić sekciarstwa religijnego. Na to, by zlikwidować „dziury Symmesa” trzeba było aż lotu Byrda nad Biegunem Północnym. Teoria lodu kosmicznego będzie zapewne miała swoich wiernych, aż do chwili, gdy pierwszy statek kosmiczny wyląduje na pokrytej kraterami i wolnej od lodu powierzchni Księżyca.

Rozdział IV

Fortyści



Wcześniej czy później musimy zawrzeć znajomość z Charlesem Fortem. On to bowiem wytoczył najcięższe działa przeciwko astronomom i puszczając wodze swojej wyobraźni wysunął najbardziej „obrazoburcze” poglądy na niebo. Toteż przedstawienie go w tym miejscu wydaje nam się słuszne.

Charles Hoy Fort urodził się w Albany w stanie Nowy Jork, w roku 1874. Jako chłopiec zdradzał zainteresowania przyrodnicze, co skłoniło go do kolekcjonowania owadów i minerałów; kiedyś nawet wypchał ptaka. Nigdy natomiast nie zdobył normalnego wykształcenia. Próbował pisać reportaże, powieści (*Outcast Manufacturers*, 1909) i nowele (które Theodor Dreiser publikował w swoim „Smith's Magazine”). Potem otrzymał w spadku nieduży majątek, z którego dochodów mógł finansować badania - zresztą nader skromne - na własną rękę. W ciągu następnych 26 lat Fort ślęczał nad starymi czasopismami i dziennikami wynotowując z nich każde zagadkowe zdarzenie, nie zgadzające się z ustalonymi poglądami naukowymi. Większość tej pracy wykonywał w British Museum w Londynie. Potem powrócił do Nowego Jorku, gdzie zamieszkał razem z żoną Anną, aby kontynuować swe badania w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej.

Fort był nieśmiałym, roslym, niedźwiedziowatym człowiekiem, o brązowych, opadających wąsach i oczach ukrytych za grubymi okularami. Jego pokój był zatłoczony pudełkami od butów, wypełnionymi po brzegi notatkami i wycinkami z prasy. Na ścianach wisały gablotki z okazami pająków i motyli, pod szkłem zaś przechowywał bryłkę czegoś brudnego, podobnego do azbestu, która jakoby spadała z nieba. Odpoczywając, grywał samotnie w wymyśloną przez siebie grę, którą nazwał „superszachami”. W grze tej występowało tysiące figurek ludzkich na olbrzymiej tablicy o wielu tysiącach kratek. Według relacji pisarza Tiffany Thayera, żona Forta nigdy nie była w stanie zrozumieć, co się dzieje w umyśle jej męża i „nigdy nie przeczytała ani żadnej jego książki, ani też niczego innego”.

Fort miał dwóch tylko przyjaciół: Dreisera i Thayera. Przekonany o genialności Forta Dreiser namówił swego wydawcę do puszczania w świat pierwszej z czterech jego książek, mianowicie *The Book of the Damned* (Księgi rzeczy wyklętych). Przez „wyklęte” rozumiał Fort wszystkie te poglądy, które oficjalna

nauka odrzuca - zatracone „dusze” danych naukowych. Za swoją misję uznał „zdjęcie z nich klątwy”. Książka pisana jest ciekawym, zapierającym dech stylem; niekiedy pojawiają się w niej partie pełne głębokiej mądrości, doskonałego humoru i pięknych zwrotów.

Druga książka Forta *New Lands* (Nowe krainy) ze wstępem Bootha Tarkingtona, ukazała się w roku 1923. W tym czasie wielu pisarzy amerykańskich było pod wrażeniem buńczucznych ataków Forta na to wszystko, co nazwał on naukowym „klerykalizmem”. W roku 1931 Thayer zgromadził wielu pisarzy na historycznym bankiecie w Savoy Plaza i przy tej właśnie okazji narodziło się „Towarzystwo Fortystów”. Założycielami jego, oprócz Dreisera i Thayera, byli tacy luminarze literatury amerykańskiej, jak Alexander Woolcott, Tarkington, Ben Hecht, Burton Rascoe i John Cowper Powys.

Trzecią swoją książkę nazwał Fort: *Lo* (Patrz). Thayer pisze, że sam zasugerował autorowi ten tytuł, jako że w książce są opisani astronomowie, którzy ciągle wskazują na niebo, myśląc że znajdą tam nową gwiazdę, lub coś innego, i mówią „patrz”! A tam, gdzie wskazują, nie ma nic do zobaczenia. Fort od razu zgodził się na to *Lo*. Ostatnią książką Forta była *Wild Talents* (Dziki talenty) opublikowana w roku 1932, w kilka tygodni po śmierci autora.

W roku 1937 Tiffany Thayer zaczął wydawać na własny koszt „Fortean Society Magazine” (Magazyn Towarzystwa Fortystów) przemianowany obecnie na „Doubt” (Wątpliwość). Fort przekazał w spadku Thayerowi (gest, który do furii doprowadził Dreisera) trzydzieści dwa pudła nieopublikowanych notatek. Jednym z założeń owego magazynu było publikowanie tych właśnie notatek. Podstawowa jego działalność polegała jednak na publikowaniu nowych zagadnień, których uczeni nie potrafiliby wyjaśnić, jak również na przytaczaniu niepochlebnych historyjek o tych uczonych.

Takie „nowości” nadsyłają Thayerowi stali „korespondenci” - fortyści.

Cel Towarzystwa określa broszura zawierająca takie na przykład fragmenty:

„Towarzystwo Fortystów jest międzynarodowym zrzeszeniem filozofów - to jest mężczyzn i kobiet, których tryb życia nie zmieniłby się, gdyby nie było żadnych praw; mężczyzn i kobiet, których zachowanie się nie jest następstwem nagłych odruchów wywołanych warunkami zewnętrznymi, lecz raczej wynikiem pewnej umysłowej rozwagi lub pewnej mistycznej kapryśności... Członkami Towarzystwa są wybitni uczeni, fizycy, lekarze, jak również chiromanci, spirytyści i chrześcijanie - nawet jeden ksiądz katolicki...

...Towarzystwo zapewnia przystań sprawom straconym, z których większość, mimo naszej do nich sympatii, bywa zupełnie beznadziejna. Członkami naszymi są liczni zwolennicy płaskiej Ziemi, przeciwnicy wiwisekcji, przeciwnicy szczepień ochronnych, przeciwnicy prób Wassermana oraz ludzie, którzy wciąż wierzą w to, że rozbrojenie narodów byłoby rzeczą słuszną...

...Członkowie wyznają jedną tylko „doktrynę” fortystów: powstrzymywanie się chwilowo od wydawania sądów, chwilowe zgadzanie się i wieczne kwestionowanie...”.

Towarzystwo Fortystów pod wielu względami przypomina kult Sherlocka Holmesa, owych „Irregulars” z Baker Street. Podobnie jak tamci upierają się przy tym, iż Holmes był postacią rzeczywistą, tak Fortyści upierają się przy tym, że dzikie spekulacje Forta zasługują na wiarę w tej samej mierze, co i „ustalone przez naukę niedorzeczności” (jak to określił Fort). U podstaw Towarzystwa leży gigantyczny żart, lecz Thayer i większość członków Towarzystwa bierze go

najzupełniej poważnie. Część tego żartu polega na tym, że każdy kto twierdzi, iż to jest żart, spotyka się z oburzeniem. Dziwnym zbiegiem okoliczności wszystkie listy fortystów są datowane według 13-miesięcznego kalendarza, pierwszym zaś rokiem jest rok 1931 - kiedy to na słynnym bankiecie zostało ufundowane Towarzystwo. Trzynasty miesiąc nosi oczywiście imię Forta.

Zanim się zajmiemy stanowiskiem Forta wobec nauki i wnioskami, do jakich on doszedł, warto przyjrzeć się jego jedynej w swoim rodzaju kosmologii.

Fort żywił namiętą nieufność do astronomów.

W całej pierwszej części swoich Nowych ziem usiłował dowieść, że wszyscy astronomowie są nieukami gorszymi od astrologów przepowiadających różne wydarzenia; odkryć swoich dokonują tylko przypadkowo i sprytnie ukrywają przed społeczeństwem podstawową nierzetelność ich „średniowiecznej nauki”.

„Obliczyli orbitę Urana - pisze Fort - lecz Uran wędrował gdzie indziej. Wyjaśnili to. Obliczyli jeszcze raz; wciąż obliczają i tłumaczą, rok za rokiem, a Uran wędruje wciąż inaczej”. W końcu, żeby zachować twarz, astronomowie zdecydowali, że ruch Urana jest zakłócony przez inną planetę. W ciągu następnych pięćdziesięciu lat kierowali swe teleskopy ku różnym punktom nieba, aż przypadkowo odkryli Neptuna. Teraz Neptun zaczął się poruszać po nieprzewidzianej orbicie. „Jeśli istotnie astronomowie są tak mądrzy, za jakich się podają, niechże znajdą teraz inną planetę poza Neptunem” - szydzi Fort. Na nieszczęście napisał to w roku 1930, tuż przed odkryciem Plutona. Jednak Fort zawsze się śmieje ostatni. Okazało się, że Pluton jest znacznie mniejszy, niż tego się spodziewali astronomowie.

Fort nie opracowuje swojej kosmologii w szczegółach. Proponuje jedynie szereg sugestii, które, jego zdaniem, nie są bardziej bezsensowne, niż „system słoneczny” astronomów... „rzecz poroniona pętająca się w przestworzach, zakłócająca każdy sprawny, zdrowy układ swym krostowatym Słońcem, widmowym Księżycem, cywilizacjami rozbitymi przez naukę; trędowaty wędrowiec niebieski, wyciągający swe trzęsące się otchłanie, do których litościwsze systemy wrzucają złote komety...”.

Zdaniem Forta Ziemia jest prawie stacjonarna. „Być może, że ona wiruje, lecz z okresem trwającym około roku. Tak jak każdy, mam własne zdanie o tym, co rozsądne, i to właśnie jest moja idea kompromisu”. Dalej następują dość szczegółowe repliki przeciwko tradycyjnym dowodom obrotu Ziemi, takim jak wahadło Foucaulta.

Aby wyjaśnić obrót gwiazd wokół Ziemi Fort zakłada, że Ziemię otacza niezbyt odległa, nieprzezroczysta skorupa; gwiazdy są otworami, przez które przenika światło. Migotanie gwiazd pochodzi od „drgań” skorupy. Nie jest ona ciałem sztywnym.

„...W najbardziej sztywnej substancji mogą występować wiry i w ten sposób gwiazdy, czyli dziurki, mogą obracać się jedna wokół drugiej... Tu i ówdzie przez galaretowatą część tej skorupy przyskają meteory, odrywając od niej po drodze oddzielne grudki”. Fort zebrał liczne notatki” dotyczące wieluset przypadków spadnięcia z nieba substancji galaretowatej. Ostrzega lotników, że kiedyś mogą nią być „nadziani jak rodzynkami ciasto”. Jednak dopuszcza: „...że twierdzenie, iż całe niebo składa się z galarety jest absurdalne; rozsądniejsza wydaje mi się myśl, że tylko jego niektóre części mają taką konsystencję”.

Zdaniem Forta mgławicami są miejsca świecące w owej skorupie, ciemnymi zaś mgławicami - miejsca nieprzezroczyste. Niektóre mogą być sterczącymi występami, „zwisającymi niby superstalaktyty w bezmiernej, kulistej pieczarze”. Jedną z tych mgławic zwana Końskim Łbem „odcina się od innych, jak olbrzymi ponurak, nie chcący mieszać się do szaleństwa migocącego Karnawału”.

„W krainie gwiazd może istnieć cywilizacja - pisze Fort w *Lo*. - Być może, że po wklęsłej stronie otoczek gwiazdnych znajdują się olbrzymie, nadające się do zamieszkania przestrzenie, jako rezerwa dla kolonizacji z Ziemi”. I dalej następuje poetycka wizja Forta przyszłych podróży kosmicznych.

Czas nadchodzi
I hasło rodzi –
ku gwiazdom, hej!

Wędrowniki do gwiazd, potok awanturników” - wiadomości dźwiękowe - wywiady i agenci prasowi - ktoś właśnie wybierający się na gwiazdozbiór Lutnia zwraca sobie część kosztów podróży, ogłaszając dla reklamy, jaki gatunek papierosów ze sobą zabiera. Skrzydlate pojazdy i opancerzone samoloty na niebie. I skargi w listach do gazet: ten dumping mleka butelkowanego, to pogwałcenie praw. Gdy długie szeregi statków z podróżnikami ku gwiazdom nocą zapalają światła, wyglądają z Ziemi jak nowe komety. Pojawiają się nowe gwiazdozbiory - miasta w krainie gwiazd.

Jakże to wszystko jest banalne!”

„Wycieczki indywidualne na Oriona i Byka. Wakacje letnie na skraju Vegi. Ojciec opowiadał mi o czasach, kiedy to ludzie przed wędrownką na Księżyc sporządzali testament. Również na starych niebiosach był spokój. Reklamy szminki do ust, mydła i kostiumów kąpielowych działały mi na nerwy”.

Fort oznajmia, że nad tym wszystkim znajduje się morze Super-Sargasso, z wyspą, którą nazywa Genesistrine, skąd często spadają na Ziemię różne przedmioty i żywe istoty. Fort przecież zebrał tysiące notatek o tajemniczych ulewach robaków, ryb, martwych ptaków, cegieł, wyrobów z żelaza i kamienia, o kolorowych deszczach, małych żabach (dziwiło go, że nigdy nie zanotowano spadających kijanek) i ślimakach. Większość tych przedmiotów, to śmieci zawleczone przez wiatr do Morza Super-Sargasso, niedawno, lub przed wiekami, z Ziemi lub z innych planet. Znamy autentyczne przykłady czerwonych deszczów.

Tłumaczymy je zazwyczaj tym, że czerwony pył miesza się w obłokach z wodą. Fort ma inne zupełnie wyjaśnienie tego zjawiska:

„Rzekami krwi pożyłowane są białkowe morza o układzie jajopodobnym, w którego wylęgu Ziemia jest miejscowym ośrodkiem rozwoju - są to superarterie krwi w Genesistrine; Zachody Słońca są ich świadomością: jako że czasami rozjaśniają niebo blaskami zorzy polarnej... Cały nasz Układ Słoneczny jest żywą istotą, a ulewy krwi na tej Ziemi są jego wewnętrznym krwotokiem... A olbrzymie stworzenia na niebie, są jako olbrzymie stworzenia w oceanach... Albo jakaś istota wyjątkowa, wyjątkowy czas, wyjątkowe miejsce... Istota wielkości Mostu Brooklyńskiego. Ona żyje w zewnętrznej przestrzeni - coś wielkości Parku Centralnego zabija tam to... Kapie”.

Charles Fort ma tysiące podobnych barwnych teorii. Zanim zakończymy naszą książkę, niejedną z nich jeszcze poznamy. Już teraz jednak musimy rozstrzygnąć, co sądzić o tych irytujących spekulacjach?

Czy Fort był człowiekiem z poczuciem humoru, czy też pomyleńcem? Czy książki jego są, jak mówi Hecht, żartem Gargantui, czy też ich autor rzeczywiście wierzył w wysuwane przez siebie teorie?

We wstępie do jednotomowego wydania z roku 1941 czterech książek Forta Tiffany Thayer, znający dość dobrze autora, daje nam na to jasną odpowiedź:

„Pozwólcie mi, jako wieloletniemu przyjacielowi autora, zapewnić, że on w nic podobnego nie wierzył... Charles Fort nie był wcale pomyleńcem. Nie wierzył ani na jotę w żadną ze swoich zaskakujących hipotez, o czym zresztą każdy rozsądny człowiek potrafił zorientować się z tekstu. Wysuwał swoje tezy tylko dla zabawy - tak jak Jehowa, gdy tworzył dziobaka, a może nawet i człowieka...”.

Poprzednio, w tym samym szkicu Thayer pisze, że Fort: „...zaśmiewał się, aż trząś mu się brzuch, a wraz z nim maszyna do pisania... kpił z tego, co sam pisał, śmiał się z pretensji poważnych fachowców, chichotał z powodu wprowadzenia ich w błąd, bawił się swymi czytelnikami, parskał śmiechem czytając ich listy, cieszył się z własnego udziału w takim przedsięwzięciu, śmiał się z recenzji swoich książek i bawił się moim kosztem widząc, że istotnie organizuję Towarzystwo Fortystów”.

„...Charles Fort miał najwspanialsze poczucie humoru, które każdemu myślącemu człowiekowi wzbogaca życie. Czytając go nie zapominajcie o tym. Jeśli zapomnicie, traficie w jego sidła. Czasami doprowadzi was do wściekłości, ale w chwili gdy was krew zalewa, pamiętajcie o tym, że to było zamierzeniem autora, który w momencie ostatecznego waszego zirygowania, wystawia głowę i gra na nosie”.

Ktoś mógłby w tym miejscu zapytać, dlaczego Fort, nie wierząc we własne teorie, spędził jednak 26 lat nad takim „zadankiem” (jak to sam gdzieś określił), jak przewertowanie 25 roczników „London Daily Mail”? Na to możemy odpowiedzieć, że spoza wariactwa Forta wyziera więcej rzeczy sensownych, niżby to się na pierwszy rzut oka wydawało.

Fort był heglistą. W ostatecznym wyniku byt - a nie Wszechświat, który obserwujemy, ze wszystkim co w nim się znajduje - jest pewną jednością. Wszystko się trzyma dzięki „podłożu jedności” i „wzajemnie się przenikającemu powiązaniu”. „Myślę, że jesteśmy wszyscy myszami i pluskwami - pisze Fort - i że to wszystko są różne wyrażenia na wszechobejmujący ser”. Fort nie był człowiekiem religijnym, wierzył jednak w to, że ogół rzeczy jest jakimś organizmem obdarzonym inteligencją. „Nic też nie szkodzi, jeśli się go nazwie Bogiem. Może „on”, czy też „to” bredzi kometami i bełkoce trzęsieniami Ziemi”.

Aczkolwiek istnieje ostateczna rzeczywistość i prawda, dla nas jednak, małych pluskiew i myszy, są tylko mrugające światła półprawd i widma rzeczywistości. Wszystko jest w stanie „dającego się domyśleć istnienia”. Fort jest niezmordowany w produkowaniu takich przymiotników jak: „rzeczywisty-nierzeczywisty”, „podobny-niepodobny”, „dobry-niedobry”, „materialno-niematerialny”, „rozwiązalno-nierozwiązalny” itp. Ponieważ wszystko się nawzajem przenika w sposób ciągły, nie sposób znaleźć widocznej granicy pomiędzy prawdą a fikcją. Jeśli nauka chce przyjąć rzeczy czerwone, a odrzucić żółte, gdzie się znajdą rzeczy pomarańczowe? Podobnie w nauce nie ma rzeczy zaakceptowanych, które nie zawierałyby błędów, tak jak nie ma rzeczy „potępionych” przez naukę, które by nie zawierały żdźbła prawdy.

Takie właśnie medytacje na temat ciągłości wszystkiego doprowadziły Forta do wybujałego sceptycyzmu. Podobnie jak sceptyk w starożytnej Grecji, którego dewizą było „nie więcej” - to znaczy, że sens jednego wierzenia nie zawiera więcej prawdy, niż drugiego - Fort nie akceptował niczego. „Sierp Lwa - pisze Fort - majaczy, jak znak zapytania na niebie... Bóg tylko zna odpowiedzi na wszystkie pytania”. I dalej: „Nie wierzę w nic. Odciałem się od wszystkich epok i mądrości wieków, od tak zwanych wielkich nauczycieli wszystkich czasów i zapewne z powodu tego odosobnienia jestem zdany na dziwną gościnność. Zamknąłem drzwi frontowe przed Chrystusem i Einsteinem, otwierając drzwi kuchenne, przez które wyciągam rękę do małych żab i ślimaków”.

Forta stać na to, aby pisać: „Nie wierzę w nic z tego, co kiedykolwiek napisałem”, lecz, co ważniejsze, pamiętajmy, że również nie wierzy w nic, co kiedykolwiek sam przeczytał. „Wszystko... co podaję w tej książce, traktuję jako urojenie” - powiada w *Wild Talents*, lecz nieomieszka dodać, że są to takie same urojenia, jak *Principia* Newtona, *O pochodzeniu gatunków* Darwina, jak twierdzenia matematyczne i każda drukowana historia Stanów Zjednoczonych.

Fort wątpi we wszystko, nawet we własne spekulacje. Ale bardziej przenikliwi z jego wielbicieli upierają się przy tym, że nie jest on tak wielkim wrogiem nauki, za jakiego uchodzi, lecz tylko wrogiem uczonych, którzy zapominając o efemeryczności wszystkich nauk, tym samym uwypuklają zdrową i pozytywną stronę fortyzmu. Istotnie, żadnej z teorii naukowych nie można nazwać niewątpliwą. Każdy „fakt” naukowy podlega nie kończącemu się sprawdzaniu wtedy, gdy się odkrywa nowe „dane”. I żaden człowiek nauki, zasługujący na to miano, nie myśli inaczej. Fort jednak przeoczył, świadomie lub nieświadomie, podstawowy fakt, że teorie naukowe mogą być w różnym stopniu potwierdzone faktami. I w tym właśnie tkwi najbardziej zwodniczy i niezdrowy element fortyzmu. Gdyby członkowie „Baker Street Irregulars” uwierzyli, że Sherlock Holmes był postacią rzeczywistą, przepadłby cały efekt dobrego żartu. Podobnie kiedy fortysta naprawdę wierzy, że wszystkie teorie naukowe są jednakowo absurdalne, wspaniały humor Towarzystwa ustępuje miejsca ignoranckiej kpinie.

Sam Fort twierdzi, że wszystko na świecie jest ciągle, przyjmuje jednak istnienie pewnej w nim nieciągłości. Wyraża to w sposób bardzo charakterystyczny: „Nie potrafimy orzec, czy jakaś mikroskopijna forma życia należy do roślin, czy do zwierząt; nie znaczy to jednak, że nie potrafimy odróżnić form krańcowych, na przykład hipopotama od fiołka... „Nikt z nas nie pośle przecież komuś w dowód uznania wiązanki hipopotamów”. Widocznie jednak nigdy nie przyszło Fortowi do głowy, że skoro tak jest, to można przeprowadzić linię podziału między teorią bardzo prawdopodobną, a teorią bardzo wątpliwą.

Tą sprawą warto się zająć bardziej szczegółowo, ponieważ będzie miała znaczenie w dalszym ciągu naszej książki. Gdybyśmy nie potrafili odróżnić prawdy od fałszu, nauki prawdziwej od pseudonauki, musielibyśmy tutaj pisać także o Newtonie i Darwinie. I dobry fortysta gorliwie by to potwierdził. Tymczasem jest rzeczą oczywistą, że taki podział da się przeprowadzić. Istnieją wprawdzie pewne przypadki graniczne, jak barwa pomarańczowa między żółtą a czerwoną, w których nie możemy mieć pewności, czy dana teoria jest, słuszna, czy niesłuszna, zasługująca na uznanie, czy nie. Jeśli jednak rozpatrujemy przypadki skrajne, takie jak z hipopotamem i fiołkiem, możemy wyraźnie odróżnić wartość naukową pracy Einsteina od tego, co wniósł do nauki Velikovsky. Możemy założyć, że Einstein się myli, jak też, że istnieje pewne prawdopodobieństwo (aczkolwiek znikome) że Velikovsky

ma rację; jednak są to przypadki tak skrajne, że możemy śmiało jeden nazwać nauką, drugi - pseudonauką.

Fort zdawał sobie sprawę z możliwości dokonania takiego właśnie podziału. W jednej ze swych książek tłumaczy skrupulatnie, dlaczego postać Świętego Mikołaja uznał za nierealną. „Jestem drobiazgowy w kwestii danych, lub rzekomych danych - pisze Fort. - Lecz nie natknąłem się na żadne zapiski, lub rzekome zapiski o tajemniczych śladach stóp na śniegu, prowadzących po dachu do komina”. Ów brak danych musiał więc mieć duże znaczenie w ustaleniu prawdopodobieństwa istnienia św. Mikołaja, skoro to właśnie skłoniło Forta do „wykluczenia” tego świętego.

W *Wild Talents* jest bardzo zabawny fragment, w którym Fort krytykuje pewien reportaż o psie, który mówił „dzień dobry”, potem zaś zniknął, rozptywając się w zielonej mgle. Forta nie to zaniepokoiło, że pies mówi; ma on wiele wycinków gazetowych, które donoszą o mówiących psach; niepokoi go to, że się rozptynął w zielonej mgle. „Nie zrobicie ze mnie durnia tą historyjką o psie” mówi Fort. Wyjaśnia jednak, że prowadzi tę linię podziału tylko dlatego, że każdy musi przecież gdzieś tę linię przeprowadzić. Jest przy tym dostatecznie ostrożny, by przemilczeć, iż znajduje na to usprawiedliwienie w dziedzinie pojęć prawdy i fałszu.

Kto wie, czy nie traktujemy Forta zbyt poważnie i nie wpadamy w ten sposób w inną przez niego zastawioną pułapkę. Nie był on wcale ignorantem, jego zaś rozważania na temat „zasady nieoznaczoności” we współczesnej teorii kwantów dowodzą umiejętności szybkiego uchwycenia istoty rzeczy. W tej chwili nie jest na ogół modne przeciwstawianie się pojęciu „przypadkowości” ruchu elektronu. Niemniej jednak, to na co Fort się godzi, przypomina bardziej fachowy krytycyzm Einsteina i Bertranda Russela. Nawet w przypadku, gdy Fort popełnia błąd naukowy, co mu się czasami zdarza, trudno poznać, czy robi to świadomie, czy też z braku gruntowniejszej wiedzy.

Ciekawe jest, że Fort nie przejawiał żadnego zainteresowania literaturą typu „science fiction”. Nie mamy żadnych danych świadczących o tym, że przeczytał choćby jeden wiersz na ten temat. W tym tkwi zapewne przyczyna, że jego spekulacje, aczkolwiek zabawne, nie są specjalnie pomysłowe. Jego na przykład wirująca skorupa gwiazd jest pomysłem nader prymitywnym i wcześniej już opisanym przez włoskiego dziwaka. Twierdzenie, że Fort miał silny wpływ na współczesną fantastykę naukową, wydaje się przesadą. Wprawdzie kilkanaście powieści i dziesiątki nowel oparto na pomysłach Forta, jednak te utwory zaliczylibyśmy raczej do „opowieści niesamowitych”, niż do „science fiction”. Niektóre terminy fortowskie, takie jak na przykład „teleportacja”, stały się głównym rekwizytem w fantastyce naukowej, lecz na ogół jego idee okazują się zbyt przyziemne, aby służyć karkołomnym sztuczkom. Dreiser próbował kiedyś bezskutecznie przekonać H. G. Wellsa, że w tym, co pisze Fort, tkwi wiele materiałów do „science fiction”, Wells nigdy nie traktował spekulacji Forta inaczej, niż jako zabawne bzdury naukowe.

Trudno zrozumieć, że Towarzystwo Fortystów przetrwało dotychczas. Gdybyśmy żyli w epoce, w której większość obywateli lepiej rozumiałaby istotę nauki, zachowanie takiego typu organizacji miałoby może ten sens, że przypominałoby uczonym o ich ograniczonych możliwościach. Jednak przyciągające wzrok w oknach wystawowych czasopisma astrologiczne i pokupność książek Velikovsky'ego dostatecznie dowodzą, jak dalecy jesteśmy jeszcze od tej epoki.

Wszystko to było dość zabawne w roku 1931. Dziś „Doubt” - organ tego Towarzystwa - stał się ponurą kontynuacją żartu, który powinien był umrzeć wraz z Fortem. Pismo to nie jest niczym innym,

jak powtarzaniem pewnego schematu fortyzmu, zawierającym mało dowcipne wiadomości i bezwartościowe notatki, które Fort pozostawił Thayerowi. Szczególnie nieprzekonywające i pozbawione nawet krzty humoru są ostatnie ataki na wycinanie migdałków (grozi to jakoby chorobą Heinego-Medina) i na wiwisekcję, nie mówiąc już o częstym przemycaniu w artykułach niefortowskich przesądów politycznych.

Nawet popierani przez Towarzystwo „uczni” są ludźmi w większości pozbawionymi polotu i nudnymi. Takim jest na przykład generał major Alfred Wilkes Drayson, mający wśród członków Towarzystwa rangę pierwszego po Forcie. W końcu ubiegłego stulecia Drayson był profesorem Królewskiej Akademii wojskowej w Woolwich, w Anglii. On to tłumaczył pochodzenie epoki lodowej na Ziemi tym, że oś jej obrotu ulegała przesunięciu. „Hipoteza Draysona” cieszyła się w Anglii dość dużym uznaniem, zwłaszcza wśród wojskowych. Opublikował on również - wkładając w to poważne środki finansowe - wiele książek i broszur; był też szczególnie uszczypliwy w stosunku do opozycji ogólnie uznanych astronomów, z jaką spotkały się jego poglądy. Inny członek Towarzystwa Fortystów, późniejszy astrolog, Alfred H. Bailey opublikował w roku 1922 książkę *The Drayson Problem* (Zagadnienie Draysona), sprzedawaną przez Towarzystwo w tych raczej rzadkich przypadkach, gdy ktoś chciał poznać teorię generała majora.

W ostatnich latach zauważa się u fortystów powolny, ale wyraźny zwrot w kierunku podniesienia poziomu wykształcenia. Wynika to częściowo z odrodzenia się religijności, a częściowo z obawy przed bombą atomową. Przejawia się zaś w sposób subtelny w działalności niektórych sekcji ruchu „Great Books” kierowanych przez Hutchinsa i Adlera. Większość wychowawców „Great Books”, oczywiście nieoficjalnie, uważa uczonych w ogóle za głupców, w przeciwieństwie do profesorów nauk wyzwolonych, a zwłaszcza tych, którzy współpracują z „Great Books”.

„Klasyki” nauki, wymienieni w 54 tomowej serii *Great Books of the Western World* (Wielkie Księgi Zachodu), wydanej przez Hutchinsa i Adlera w roku 1952, są tak przestarzali i potraktowani często tak formalnie, że książka nie ma prawie żadnej wartości dla czytelnika, z wyjątkiem może specjalisty w historii nauki.

Poglądy pedagogiczne Roberta Hutchinsa znalazły najszerze zastosowanie w St. John College w Annapolis, uczelni, w której głośno się krzyczy o znaczeniu nauki. Jej programy nauczania zachłystują się tym, że wymagania w dziedzinie matematyki i prac laboratoryjnych są tam wyższe, niż w innych uczelniach. Widzimy tam jakże pretensjonalny wykaz wszelkiej aparatury używanej przez studentów, aż do takich drobnostek, jak kompas, cyrkiel i linijka. W rzeczywistości jednak położenie głównego nacisku na znaczenie dawnej historii nauki nie pozostawia czasu na opanowanie współczesnych koncepcji naukowych.

Najmocniejszym ciosem wymierzonym w „uczoność” miała być książka pt. *Science Is a Sacred Cow* (Nauka jest Świętą Krową), napisana w roku 1950 przez Anthony Standena, brytyjskiego, chemika (obecnie obywatela Stanów Zjednoczonych). Standen w latach 1942-1946 nauczał w St. John College; to doświadczenie, jak pisze „Catholic World” (Świat katolicki) z lutego 1950 roku, „doprowadziło go do nawrócenia się na łono Kościoła”.

Uczni współcześni, jako grupa, są, według odczucia Standena, aroganccy, pewni siebie i zarozumiali, i wcale nie tak bystrzy, za jakich się mają. Ludźmi zaś bezpretensjonalnymi i skromnymi są oświatowcy ożywieni duchem gorliwości, tacy jak Mortimer Adler lub Robert Hutchins. Standen ma

pretensje do Deweya za to, że zasugerował światu, iż przyszłość cywilizacji zależy od rozpowszechnienia światopoglądu naukowego. Czyż nie pouczał nas Hilaire Belloc¹⁷, że im bardziej rozprzestrzenia się nauka, tym gorszy staje się świat.

Mamy tam, jak zawsze, bicie w bębny ku chwale Arystotelesa. Grecki filozof miał w końcu rację twierdząc, że ciało ciężkie spada szybciej niż lekkie, ponieważ opór powietrza wywiera mniejszy wpływ na ciało cięższe niż na lżejsze; dlaczegóż więc obdarzamy Galileusza aż tak dużym uznaniem? Ponadto Galileusz zrzucił swoje ciężarki nie z pochyłej wieży w Pizie, lecz z jakiejś innej. Standen przemilcza jednak to, że przykład spadających ciał posłużył Arystotelesowi do najzupetniej bezsensownego dowodu niemożliwości istnienia próżni.

„Głównym celem nauki - oznajmia Standen - jest nauczanie o Bogu i wielbienie Go w Jego dziele”. Uczni humaniści są na tyle głupi, by przypuszczać, iż uda im się poza teologią rozwinąć naukę etyki. Uczni biolodzy usiłują wmówić nam, że ewolucja, to powolna kolejność stadiów, kiedy w rzeczywistości, na co mamy dowody, odbywa się ona skokami (tutaj Standen nie wyjawia swoich ukrytych motywów: jeśli ewolucja odbywa się skokami, można w dziejach wyraźnie oddzielić duszę człowieka od duszy zwierzęcia). Kiedy biolog występuje z tak nonsensownym poglądem, jak to, że podstawowym celem życia zwierząt jest osiągnięcie wygody, „jedyną na to odpowiedzią jest «bzdura»„.

„Musimy uważnie śledzić uczonych - konkluduje Standen - aby nas nie oszukiwali”. Tę samą myśl wyraża Fort nieco inaczej: „...jeśli nikt nie będzie śledził i sprawdzał tego, co mówią nam astronomowie, pozostawimy im pełną swobodę mówienia nam tego wszystkiego, co im się podoba”.

Nauka jest „Wielką Świętą Krową naszych czasów” - pisze Standen. Jeśli uczeni mają choć trochę poczucia humoru, pojmą chyba całą śmieszność tego oświadczenia, i skłonią przed nim głowę. Sądzymy jednak, że krowa wspomniana przez Forta zabawi ich jeszcze bardziej. Bo oto „Toronto Globe” z 25 maja 1899 roku przyniósł nam historię o krowie, która urodziła dwie owieczki i jedno cielątko.

„Nie wiem, jak dalece wstrząśnie ta wiadomość umysłami ogółu ludzi - twierdzi Fort - jednak dla umysłu przeciętnego biologa nie będzie to większą niedorzecznością niż opowiadanie o słoniu, który urodził dwa rowery i słońiątko”.

¹⁷ „Uczoności” Belloc'a będziemy się mogli przyjrzeć w rozdziale X (przyj. red. pol.).

Rozdział V

Latające spodki



Charles Fort zmarł w roku 1932, a więc w piętnaście lat przed początkiem psychozy latających spodków. Jaka szkoda, że nie dożył tych czasów i nie był świadkiem tej zbiorowej manii, będącej w pewnym sensie triumfem czystego fortyzmu. Na niebie widywano zagadkowe obiekty, które wymykały się wszelkim „urzędowym” i „naukowym” tłumaczeniom. Aby wyjaśnić ich pochodzenie, wysuwano najdziwsze hipotezy w duchu fortyzmu, nad którymi głowili się nie tylko przeciętni ludzie, lecz także na pozór inteligentni pisarze i wydawcy. Jak się przekonamy za chwilę, sam Fort zebrał setki wycinków gazetowych omawiających pojawianie się na niebie zagadkowych światel i przedmiotów, i rozводził się długo i szeroko nad ich pozaziemskim pochodzeniem. Najpierw jednak zestawmy pokrótce kronikę głównych zdarzeń w dziejach owej zbiorowej hysterii, zwanej latającymi spodkami.

Zacząło się to we wtorek 24 czerwca 1947 roku, kiedy to Kenneth Arnold, właściciel przedsiębiorstwa dostarczającego sprzęt przeciwpożarowy w Boise w stanie Idaho, leciał swoim samolotem nad Górąmi Kaskadowymi w stanie Waszyngton. Arnold, to przystojny, atletycznie zbudowany człowiek (dawny skrzydłowy reprezentacji piłkarskiej stanu Północna Dakota), mający wówczas około trzydziestu pięciu lat. Swego samolotu używał do rozwożenia sprzętu przeciwpożarowego. W pobliżu Mount Rainier w odległości około 25 mil zobaczył 9 mijających go okrągłych obiektów, tworzących rodzaj skośnego łańcucha i poruszających się z ogromną szybkością. Arnold określił rozmiary tych obiektów jako nieco mniejsze niż samolotu DC-4, znajdującego się też przypadkowo w polu jego widzenia. Obiekty poruszały się - jak to później opisał Arnold - jak gdyby były związane ze sobą, kołyszając się nad wysokimi szczytami gór „błędnym drgającym ruchem”.

Wylądowawszy w Pendleton, w stanie Oregon, Arnold natychmiast zakomunikował reporterowi o tym, że obiekty „leciały jak rzucony płasko na wodę spodek, gdy się odbija od jej powierzchni”. Już następnego dnia agencje telegraficzne uraczyły tą historyjką naród używając właśnie słowa spodek („saucer”) na określenie wspomnianych obiektów. Tymczasem w pierwotnym „Oświadczeniu Arnolda nie było mowy o podobieństwie do spodków. Słowo to jednak się przyjęło i tak się rozpoczęła owa zbiorowa mania. Na redakcje gazet w całym kraju spadła lawina telefonów od podnieconych ludzi, donoszących o dostrzeżeniu przez nich spodków nad farmami, miasteczkami i miastami. Większość tych historii była publikowana bez zmian, albo też tylko z nieznacznymi zmianami, zarówno w czasopiśmie jak i przez radio. Jeżeli jednak w relacji nie użyto słowa „spodek”, gazety, które ją

odebrały, skwapliwie w nagłówku dodawały to słowo. W ciągu kilku tygodni z każdego stanu, a nawet z Kanady, Australii, Wielkiej Brytanii i Iranu donoszono o spodkach.

Przy tej okazji pojawiły się wiadomości o obiektach mających inny kształt: ogniste kule, stożki podobne do tych, w jakich się sprzedaje lody, latające czapeczki o kształcie przykrywki na piastę samochodu, a nawet obwarzanka. Raz doniesiono o maszynie w kształcie cygara, bez skrzydeł, z rzędem oświetlonych) okien, pomarańczowoczerwona smuga spalin i niebieskimi ognikami migającymi spod jej brzucha. Davis Lawrence z „U. S. News” oznajmił, że latające spodki stanowią tajemnicę lotnictwa amerykańskiego, i są „kombinacją helikoptera z szybkim samolotem odrzutowym”. Walter Winchell uzyskał wiadomość z dobrze poinformowanego źródła, że dziwne talerze pochodzą z Rosji. Sam ponoć Andrzej Gromyko w rzadkim przyпыtywie szczerości miał oznajmić, że spodki latające pochodzą zapewne z radzieckiej wyrzutni, która nie zna jeszcze własnej siły.

Przy badaniu owych spodków trzech wojskowi stracili życie. Pierwsza tragedia nastąpiła wkrótce po odkryciu tego zjawiska. Arnold dowiedział się, że niedaleko Tacoma w stanie Waszyngton jakaś dziwaczna maszyna w kształcie obwarzanka wypluła z siebie dużą ilość skał podobnych do lawy, które spadły na oddaloną o parę mil wyspę Maury. Arnold poleciał tam samolotem, aby zbadać to zjawisko. Po drodze przypadkowo spotkał jeszcze jedną grupę małych spodków w liczbie 25 (o średnicy dwóch do trzech stóp każdy), o barwie bursztynu.

Całe to zdarzenie na wyspie Maury - jak się później okazało - było żartem obmyślonym starannie przez dwóch panów z Tacoma, którzy chcieli sprzedać ową zmyśloną bajeczkę pewnemu sensacyjnemu czasopismu. Obaj ci panowie w końcu przyznali się do wszystkiego. Arnold dał się jednak nabrać na ten kawał i jego telefon do wywiadu lotnictwa w Hamilton Field w Kalifornii sprowadził na arenę dwóch oficerów. W drodze powrotnej lewy silnik bombowca B 25, w którym lecieli, nagle stanął w płomieniach. Dwaj żołnierze znajdujący się oprócz pilotów w samolocie szczęśliwie wyskoczyli na spadochronach. Po jedenastu minutach samolot się rozbił grzebiąc pod swymi szczątkami obu pozostałych lotników.

Według głośnych a mętnych relacji Arnolda samolot ów wiozł skrzynię po płatkach zbożowych wypełnioną próbkami zagadkowej lawy. Tymczasem w szczątkach samolotu - jak doniesiono - nie znaleziono żadnej skrzyni. „Czy obaj lotnicy nie byli już martwi, zanim się samolot rozbił, i dlatego był on prowadzony źle, lub też nie był prowadzony wcale?” zapytuje Arnold. We wszystkim zresztą, co napisał Arnold oplatających spodkach, przebijają jego domysły o jakichś tajemniczych siłach i o zмовie udaremniającej wszelkie wysiłki zmierzające do wykrycia prawdy.

Następna katastrofa była w dziejach manii spodkowej zdarzeniem najbardziej może dramatycznym. Działo się to w; styczniu 1948 roku, w bazie lotniczej koło Fortu Knox w stanie Kentucky. Za okrągłym, białym przedmiotem dostrzeżonym na niebie puścił się w pogoń na bojowym samolocie P 51 kapitan Thomas F. Mantell Jr. Przedmiot szybko wznosił się w górę. Mantell gonił go do wysokości 18 000 stóp i wtedy zapowiedział przez radio: „Idę na 20 000 stóp. Jeśli się nie zbliżę, zaniecham pogoni”. Był to ostatni jego meldunek. Prawdopodobnie stracił przytomność i po osiągnięciu 30 000 stóp samolot wpadł w korkociąg.

Siły Zbrojne Stanów Zjednoczonych początkowo uchylały się od zajęcia się sprawą latających spodków, traktując je jako zbiorową halucynację. Potem jednak, gdy doniesienia zaczęły się mnożyć,

zorganizowano akcję pod nazwą „Plan spodek”, której celem było dokonanie w tej sprawie szczegółowych badań. Po piętnastu miesiącach zakomunikowano, iż nie znaleziono żadnych dowodów, które można by interpretować inaczej, niż jako żart, złudzenie, bądź też pomylenie z balonami, lub innymi znanymi na niebie obiektami. Potem prezydent Truman w oficjalnym wystąpieniu zaprzeczył, jakoby armia posługiwała się jakimkolwiek bądź typem maszyn latających, odpowiadających opisom latających spodków.

W lutym 1951 Biuro Badań Morskich wydało dziesięciostronicowy raport o pojawiających się na niebie olbrzymich balonach-sondach używanych przez marynarkę do badań promieniowania kosmicznego. W raporcie tym wyjaśniono dość szczegółowo, że owe olbrzymie plastikowe kule o średnicy 100 stóp, łatwo wziąć za latający dysk. Balony te docierają do wysokości 100 000 stóp, niesione zaś przez prądy powietrzne często osiągają prędkość 200 mil na godzinę. Jeśli obserwatorowi wyda się, że balon jest od niego dalej, niż w rzeczywistości, jego ocena prędkości może być bardzo przesadzona.

Obserwowany z dużej odległości balon zatracą zupełnie swój kulisty kształt i staje się podobny do dysku. Instrumenty wiszące pod balonem, przy oglądaniu z dołu łatwo można wziąć za „otwór”; w ten sposób dysk sprawia wrażenie obwarzanka; z boku zaś wygląda jak latające koło od wozu.

Ciekawe złudzenie optyczne występuje przy obserwacji balonu przez lunetę lub lornetkę; złudzenie to wzmacnia wrażenie „płaskości” balonu. Otóż luneta wcale nie daje obrazu takiego, jaki byśmy otrzymali zbliżając do siebie oglądane ciało, lecz taki, jaki mamy z danej odległości, jedynie tylko powiększony. Wydaje się nam ono bliższe, jednak perspektywa pozostaje nie zmieniona, taka, jak gdybyśmy ciała wcale nie zbliżyli. W wyniku tego oglądany przez lunetę przedmiot kulisty wydaje się najwyraźniej spłaszczony. Jeśli kiedykolwiek oglądaliście przez lornetkę na prostej szosie zbliżające się z oddali samochody, zwróciliście pewnie uwagę na to, że sprawiają wrażenie dziwnie płaskich.

Ponadto powłoki balonów wykonane ze sztucznego tworzywa wyglądają w świetle słonecznym, jakby były zrobione z metalu. W większości raportów o spodkach opisywano je jako srebrzyste tarcze. Balony mogą jeszcze świecić pół godziny po zachodzie Słońca, a więc po tym jak na Ziemi zapadnie zmrok¹⁸. Jeśli macie bujną wyobraźnię - mówi dalej autor oświadczenia marynarki - światło odbite od jednej strony balonu może sprawić na was wrażenie, jak gdyby żarzyła się jakaś maszyna atomowa; wiązka zaś instrumentów zawieszonych w ogonie balonu wygląda jak jasna smuga. Promienie słoneczne mogą wówczas wywołać wrażenie ognistego świecenia całej plastikowej powłoki balonu”.

Pierwsze tego rodzaju balony-sondy wypuszczono w roku 1947, a więc akurat wtedy, kiedy pojawiły się pierwsze doniesienia o latających spodkach. Pierwotny opis tego, co Arnold zobaczył nad Górami Kaskadowymi doskonale można dopasować do przelatującej w pobliżu grupy małych balonów plastikowych, użytych zamiast jednego dużego balonu. Ich rozmiary oszacował Arnold jako mniejsze od samolotu, odległość zaś na około 25 mil. Z tej odległości musiałyby to być ledwie widoczne plamki na niebie. A że Arnold oglądał je okiem nieuzbrojonym, nie możemy polegać zbyt na jego ocenie rozmiarów, kształtu, odległości i prędkości tych balonów. W ocenach prędkości zakłada się dokładną znajomość odległości, której z kolei nie możemy oszacować należycie, dopóki nie znamy rzeczywistych rozmiarów obserwowanego obiektu.

¹⁸ I oczywiście pół godziny przed wschodem Słońca, nad ranem (przyp. tłum.).

Wszystkie szczegóły związane z tragiczną śmiercią kapitana Mantella wskazują również na to, że gonił on balon. Wiemy ponadto, że w dniu jego fatalnego lotu taki właśnie balon znajdował się w powietrzu. Nawet opisy kilkuset małych „spodków” szybujących 17 marca 1950 roku nad Farmington w stanie Nowy Meksyk zgadzają się z wyglądem balonów, aczkolwiek nie mogły to być zwykłe balony-sondy. Spodki te były białe i okrągłe. One „trzepotały”; wydawało się, że się „bawiły na niebie w berka”.

Jednym z nielicznych punktów, w których wszyscy obserwatorzy latających spodków są ze sobą zgodni, jest to, że spodki nie wydają dźwięków: Wyłącza to istnienie jakiegokolwiek bądź napędu i doskonale się zgadza z rzeczywistym zachowaniem się balonów. Czasami obserwatorzy obstają przy tym, że to co widzieli, nie mogło być balonem, ponieważ poruszało się przeciw wiatrowi. Zapominają o tym, że kierunki wiatru w stratosferze mogą się znacznie różnić od kierunków wiatru przy powierzchni Ziemi. Do czasu opublikowania przez marynarke wspomnianego raportu wypuszczono z różnych miejsc Stanów Zjednoczonych 270 balonów-sond, przebywających w powietrzu nieraz dłużej niż po 30 godzin. Zaobserwowane przedmioty w wielu przypadkach okazały się zagubionymi balonami, mimo to jednak w prasie pojawiły się notatki o latających spodkach.

Po opublikowaniu przez marynarke tych danych, liczba doniesień o latających talerzach wyraźnie spadła. Wtedy uwagę publiczności przyciągnęły z kolei zielone kule ogniste, szybujące na południowo-zachodnim niebie. Jednak wiosną i latem 1952 roku znowu wybuchła nowa fala obserwacji spodków. Dramatyczną panikę w stolicy wywołały wówczas punkty świetlne ukazujące się i znikające na ekranach radarowych.

Na manię spodkową składają się liczne elementy¹⁹. Aczkolwiek większość raportów dotyczy obserwacji pojedynczych lub grupowych balonów-sond, nie należy zapominać, że na niebie unosi się stale wiele jeszcze innych typów balonów. Balony meteorologiczne często są zaopatrzone w światła stałe lub migające oraz w różnego kształtu urządzenia metalowe. Balony, które służą za cel dla radaru, niekiedy ciągną za sobą długie pasma aluminiowej folii. W wielu przypadkach zaobserwowane spodki można zaliczyć na rachunek zdalnie sterowanych pocisków lub samolotów eksperymentalnych o specjalnym przeznaczeniu.

Ponadto musimy wziąć pod uwagę również złudzenia pochodzące z błędnych obserwacji samolotów, ptaków w locie, planety Wenus, odbicia światła od chmur oraz podobnych zjawisk. Donald H. Menzel, profesor astrofizyki z Uniwersytetu Harvardzkiego, wysunął teorię, w myśl której obrazy dysków na niebie są wynikiem mirażu, wywołanych niezwykle warunkami atmosferycznymi. Teorii tej broni w książce *The Truth About Flying Saucers* (Prawda o latających spodkach). Tego rodzaju złudzenia występują raczej rzadko; jednak pod wpływem nawet dość umiarkowanej zbiorowej histerii stają się one znacznie częstsze, i oczywiście chętnie się o nich informuje. W chorym umyśle można wywołać złudzenie nawet bez działania czynników zewnętrznych, jeśli temu towarzyszy silna powszechna wiara w autentyczność powstających złudzeń.

¹⁹ Mamy tutaj pewne paralele między manią latających spodków, a manią widzenia węzów morskich - dlatego warto sobie przypomnieć to drugie minione już maniactwo. Wystarczył wtedy jeden lub dwóch naocznych świadków, jakiś uroczysty artykuł w piśmie, aby połowa marynarzy pływających na otwartych morzach doniosła o zobaczeniu w głębi wód tego potwora. Podobnie nagły wzrost zainteresowania „potwornym człowiekiem śniegu” w Himalajach, fikcyjnym stworzeniem, pozostawiającym ślady olbrzymich łap na śniegu, i szczęśliwie unikającym nie tylko schwywania, lecz nawet sfotografowania swojej osoby, wszystko to dowodzi, że zainteresowanie ludzi wszelkiego rodzaju potworami „nie znanymi w nauce” jest wciąż żywe i aktualne.

Pozostają jeszcze pół-kłamstwa i kłamstwa. O bzdurach na temat latających spodków, rozgłaszanych w ostatnich latach przez różnych dowcipnisiów, poszukiwaczy rozgłosu i psychopatów, można napisać grube tomy. Niestety, zdemaskowanie tych bzdur rzadko pozwala na odtworzenie prawdziwego przebiegu zdarzenia.

Jeszcze trudniejsza jest sprawa owych pół-kłamstw, opierających się wprawdzie na faktach, jednak niebawale przesadzonych. Ktoś widząc na przykład balon jest przekonany, że ma do czynienia ze spodkiem. Irytuje się, gdy ktoś inny odnosi się do jego relacji sceptycznie. Aby przekonać sceptyków dorabia szczegóły, albo też opisuje zdarzenia z wielką przesadą, niekiedy nawet bezwiednie. Jest to powszechnie znana wada ludzka i trudno przypuszczać, że w setkach „obserwacji spodków” nie odegrała ona istotnej roli.

Oczywiście, mogą to być jakieś nowe typy samolotów doświadczalnych o kształcie dysków, latających bezdźwięcznie i stanowiących jeszcze tajemnicę; nie wydaje się to jednak prawdopodobne. To, co wiemy o balonach badających promieniowanie kosmiczne, i to, o czym mówiliśmy poprzednio, całkowicie wyjaśnia wszystko, co się zdarzyło. Zresztą oficjalne zaprzeczenia władz wojskowych i prezydenta noszą też piętno autentyczności. Udowodnienie, że spodków latających nigdy nie było, jest oczywiście rzeczą niemożliwą, ludzie zaś, którzy wierzyli w owe złudne spodki, istnieli już wiele dziesiątków lat temu. Mamy jednak obecnie wszelkie powody przypuszczać, że mania spodkowa przejdzie wreszcie do historii jako jeszcze jeden przykład zbiorowej halucynacji.

W tym miejscu Czytelnik może się spytać: „A co to wszystko ma wspólnego z pseudonauką?” Odpowiadamy: miałyby bardzo niewiele, gdyby nie to, że szeroko się rozpowszechniła wiara, iż spodki latające nie tylko istnieją, ale że są pojazdami kosmicznymi z innych światów. Wiara ta posłużyła za temat wielu artykułów i trzech książek opublikowanych przez znanych wydawców.

Teorię o pozaziemskim pochodzeniu spodków pierwsze rozpowszechniło brukowe pisemko „Fate” (Przeznaczenie), specjalizujące się w artykułach o telepatii, spirytyzmie i innych ciemnych tematach²⁰. Wydawcą jego był Raymond Palmer, poprzedni wydawca „Amazing Stories” poświęconego „science fiction”. Jako wydawca tego pisma Palmer ponosi odpowiedzialność za największą bujdę w dziedzinie „science fiction”; która się tam ukazała w zbiorze opowiadań pod tytułem *Great Shaver Mystery* (Wielka zagadka Shavera) w roku 1945. Było to rozwinięcie krótkich szkiców spawacza z Pensylwanii, Richarda Shavera, który odwołując się do swojej „pamięci rasowej” opisał ze wszystkimi szczegółami działalność pewnej karłowatej rasy zwyrodniałych istot, zwanych „derosami”, żyjących w olbrzymich jaskiniach pod Ziemią. Istoty te, korzystając z telepatii i nieznanych promieni, wywołują większość klęsk na Ziemi: wojny, pożary, katastrofy samolotowe i okrętowe oraz depresje psychiczne u ludzi. A co się stało z sędzią Craterem? Został porwany przez derosów! Te potwory nawet skradły rękopis z biurka Palmera!

²⁰ Kilkadziesiąt sekt okultystycznych typu teozoficznego połączyło wiarę w spodki z innymi wierzeniami, tworząc coś w rodzaju ogólnego przekonania o tym, że istoty z zewnątrz przygotowują Ziemię do nadejścia Nowej Ery. W większości tych przypadków czołowi przywódcy tych sekt pozostają w stałych kontaktach z istotami pozaziemskimi za pośrednictwem percepcji pozazmysłowej. Otrzymują oni szczegółowe instrukcje, które następnie przekazują neurotycznym damom w średnim wieku, stanowiącym ogromną większość członków tego rodzaju kultów.

U schyłku 1945 mania spodków latających ogarnęła Francję i przeszła przez Europę. Prasa francuska prześcignęła amerykańską w publikowaniu zupełnie nieczytalnych doniesień o fantastycznych małych ludziach opuszczających spodki obserwowanych w wielu miejscach.

Opowiadania Shavera podano jako zdarzenia prawdziwe i to tak sugestywnie, że tysiące naiwnych czytelników wzięło i prawdopodobnie dalej bierze je za prawdę. Jednak bardziej dojrzały zwolennicy „science fiction”, sprzeciwiający się ze względów etycznych działalności Palmera, podnieśli tak głośny protest, że wydawca „Amazing Stories” musiał wreszcie położyć kres tej działalności. W ostatniej opowieści Shavera rozpowszechnianej przez Palmera, latające spodki przypisuje się szczepowi Tytanów (pierwotnych mistrzów derosów), którzy odlecieli w przestrzeń przed dwustu stuleciami, i obecnie powracają na Ziemię.

To, że pierwszy artykuł Arnolda pt. *I Did See the Flying Disks* (Naprawdę widziałem latające dyski) poświęcony latającym spodkom ukazał się wiosną 1948 roku w pierwszym zeszycie „Fate”, nie świadczy na korzyść autora. Palmer ponadto zapowiedział ukazanie się wkrótce książki napisanej wspólnie przez niego i Arnolda, poświęconej latającym spodkom, a która będzie kosztowała 5 dolarów.

Arnold dostarczył „Fate” wiele jeszcze innych artykułów. Jego książka *Phantom Lights in Nevada* (Upiorne światła w Nevadzie), wydana jesienią 1948 roku, opisuje dziwne dyski świeczce w nocy bladoczerwonym i żółtym światłem, tuż nad Ziemią w Oregon Canyon Ranch koło Mc Dermott w stanie Nevada. „Przeszło pięćdziesięciu pasterzy widziało w tej okolicy te tajemnicze światła - pisze Arnold. - Stwierdzono, że czekały na nie psy, co jest dowodem, że widzieli je nie tylko ludzie, lecz i zwierzęta”. W innym artykule pt. *Are Space Visitors Here?* (Czy tutaj są goście z przestworzy?), opublikowanym latem 1948 roku Arnold opisuje kule o barwie niebiesko-zielono-purpurowej. Widzieli je podobno także rybacy z Ontario; Arnold przypuszcza, że były to pojazdy z innej planety. Jego ostatni artykuł *The Real Flying Saucers* (Prawdziwe spodki latające) pojawił się w innym czasopiśmie Palmera, w styczniu 1952 roku.

Sam Arnold opublikował i sprzedawał po 50 centów pięćdziesięciostronicową broszurę pod tytułem *The Flying Saucer as I Saw It* (Spodek latający taki, jakim go widziałem). Treść tej broszury, tak zresztą jak i sam fakt istnienia spodków, mają być przyjmowane na wiarę. Całą bzdurę z wyspy Maury autor traktuje tam poważnie; są nawet rysunki olbrzymiego obwarzanka plującego bryłami lawy. Arnold utrzymuje, że reporter z Tacomy, który opisał to zdarzenie, zmarł nagle z nieznanych przyczyn (prawdopodobnie zabili go ludzie ze spodka). Katastrofę samolotu nad Mount Rainer, w której zginęło trzydziestu dwóch marynarzy, powiązał z dyskiem na tej podstawie, że katastrofa zdarzyła się tuż przed pierwszym dostrzeżeniem przez Arnolda latającego spodka. Mało tego, w roku 1947 wiszący most w pobliżu Riggins w stanie Idaho został w sposób zagadkowy podpalony przez „coś”, co miało „w sobie” tak wysoką temperaturę, iż stalowe liny mostu paliły się jak drewno!

Arnold zupełnie poważnie traktuje wiadomość o tym, że jeden ze spodków gonionych przez pilota zrobił unik, reagując na myśl pilota. Dwie strony poświęca on opisowi białych, świecących plamek, które niekiedy pojawiają się na ekranach radarowych; nie wyjaśnia jednak wcale ich związku ze spodkami. Mamy tam też fotografię zmumifikowanego mężczyzny, o wzroście wynoszącym zaledwie 14 cali, odkrytego w roku 1932 w Górach Skalistych, a będącego obecnie własnością pewnego człowieka w Caspar w stanie Wyoming. Zdaniem Arnolda jest to dowód potwierdzający doniesienia, że w spodkach, które uległy rozbiciu, znaleziono malutkich ludzi (owej mumii Ray Palmer poświęcił oddzielny artykuł w wrześniowym numerze „Fate” w roku 1950). Arnold domyśla się istnienia pewnych złowieszczych związków między latającymi spodkami a zagadkowymi łodziami podwodnymi, zauważonymi jakoby z dala od brzegów.

W pewnym cytowanym wycinku gazetowym Arnold mówi do reportera: „Zdaję sobie sprawę z tego, że są to tak «przeklęte dane», że trudno z nich zrobić reportaż... Któż jednak potrafi rozstrzygnąć, co jest faktem, a co nim nie jest?” Zdanie to, oczywiście pochodzi od Forta. Otóż Arnold drukuje bardzo wiele podobnych „danych” dotyczących tajemniczych obiektów niebieskich, dodając, że jest w posiadaniu całej kolekcji tego rodzaju sprawozdań.

Drugim pismem rozpowszechniającym teorię o rzekomych statkach kosmicznych był „True”. Tak oto rozpoczyna się artykuł Donalda Keyhoe ze stycznia 1950 roku:

„Po ośmiomiesięcznych wytężonych badaniach czasopismo «True» doszło do następujących wniosków:

- 1) Od 175 lat Ziemia jest pod ścisłą obserwacją inteligentnych istot z innej planety.
- 2) Nasilenie tych obserwacji i częstość odwiedzin... w ciągu ostatnich dwóch lat wyraźnie wzrosły”.

W dwa miesiące potem „True” umieścił inny „kawałek” o spodkach, napisany przez Roberta B. McLaughlina, komandora marynarki Stanów Zjednoczonych. Artykuł ten rozwija teorię, twierdzącą, że spodki są pilotowane przez Marsjan, którzy są tak mali, że się mieszczą w 20-calowych dyskach. „Trudno jest wyobrazić sobie tak małe inteligentne istoty - wyznaje McLaughlin - jednak nie możemy odrzucić tej możliwości”. Komandor snuje dość długie rozważania o rodzaju użytego napędu i dochodzi do wniosku, że mamy tu do czynienia prawdopodobnie z trzema zespołami silników wykorzystujących ciśnienie światła (ze źródła atomowego) na „silnie osłonięty zakrzywiony reflektor”.

Ostatni artykuł broniący teorii pozaziemskiego pochodzenia spodków pojawił się w „Life” 7 kwietnia 1952 roku, wtedy, gdy inne pisma puściły już tę sprawę w niepamięć. Artykuł ów sprawił, że w następnych miesiącach znowu odżyły doniesienia o latających spodkach. Skłoniło to Einsteina do oświadczenia, że go te spodki nie interesują; wywołało też wypowiedź ojca Francisca J. Connella, dziekana Świętej Teologii Uniwersytetu Katolickiego, w której podkreślił, że wiara katolicka nie wyklucza możliwości istnienia istot rozumnych na innych planetach. „Jeśli domniemane istoty rozumne są obdarzone nieśmiertelnym ciałem, jakie otrzymali w darze Adam i Ewa - twierdzi ojciec Connell - strzelanie do nich, tak jak to robią nasi piloci odrzutowców i rakiet, jest bezsensowne. Istot tych nie można zabić”.

W roku 1950 wydawnictwo Fawcett Publication (które wydaje „True”) wypuściło również książeczkę *The Flying Saucers Are Real* (Spodki latające rzeczywiście istnieją). Autorem książki jest dziennikarz, Donald Keyhoe, dawny pilot marynarki. Czytając jego książkę odnosi się wrażenie, że aczkolwiek autor włożył w nią dużo dobrych chęci, aby stworzyć coś w rodzaju podsumowania wszystkich posiadanych przezeń wiadomości o spodkach, jednak całość wypadła naiwnie i nieprzekonywająco. Opowieść o swoich badaniach prowadzi chronologicznie, niemal jak powieść fantastyczną. W miarę rozwoju akcji wzrastają podejrzenia autora, że władze wojskowe nie prowadzą uczciwej gry. W końcu dochodzi do wniosku, że akcja „Plan Spodek”, zorganizowana przez władze lotnictwa, miała na celu nie tylko zbadanie tej sprawy, lecz także ukrycie przed opinią publiczną faktu, iż spodki pochodzą z innej planety.

„Czekając na taksówkę patrzyłem w niebo - pisze autor. Była pogodna letnia noc, bez najmniejszej chmurki. Nad niskim wzgórzem na zachodzie mogłem dojrzeć gwiazdy. Pamiętam, że wtedy pomyślałem: Jeśli to jest prawda, już nigdy nie zobaczymy takich gwiazd, jakimi są teraz”.

Keyhoe jest przekonany, że w ciągu dwóch ostatnich stuleci Ziemia znajduje się pod okresową obserwacją mieszkańców innej planety, lub planet. Jego zdaniem w roku 1947 liczba tych obserwacji wzrosła w wyniku serii wybuchów naszych bomb atomowych, które wzbudziły zainteresowanie istot pozaziemskich. Ich odwiedziny są tylko „częściową realizacją jakiegoś długoterminowego planu sięgającego w nieskończoność. Nie obserwuje się wyraźnych prób kontaktu z Ziemią. Być może, że istnieją jakieś nie znane nam przeszkody, które uniemożliwiają te kontakty; bardziej jednak prawdopodobne wydaje się, że plany istot z przestworzy jeszcze nie dojrzały”.

Keyhoe wierzy w to, że Mantell nie tylko gonił statek kosmiczny, lecz także i w to, że załoga tego statku za pomocą jakiejś nieznannej siły zabiła Mantella, zanim go dogonił. W jednym z poprzednich rozdziałów Keyhoe pisze: „Wykrycie tajemnicy środków, którymi rozporządził pojazd, jest sprawą nawet ważniejszą, niż sprawa bomby wodorowej. Ta tajemnica może stać się kluczem do losów świata”.

Spekulacje te sprawiają wrażenie romantycznych i niedorzecznych. W porównaniu jednak z następną z serii książką na ten temat brzmią niemal jak uwagi rozsądnego uczonego. Bo *Behind The Flying Saucers* (Za latającymi spodkami) Franka Scully'ego, wydana przez Henry Holta w roku 1951, zawiera tyle dzikiej fantazji i bredni naukowych, że ukazanie się sprostowania tych fałszerstw we wrześniowym numerze „True” z roku 1952 nikogo nie zaskoczyło. Scully jest hollywoodzkim felietonistą pisma „Variety”. Jego poprzednia książka *Fun in Bed* (Żarty w łóżku) daje pojęcie o umysłowości i stopniu przygotowania naukowego jej autora.

Myślą przewodnią książki Scully'ego jest teza, że spodki poruszane jakimś napędem magnetycznym przybywają do nas z Wenus. Lecą one z prędkością światła (lub jeszcze szybciej) i są pilotowane przez Wenusjan, którzy są dokładną kopią istot ziemskich, z tą tylko różnicą, że mają wzrost równy trzem stopom oraz zęby bez żadnych przerw. Głównym źródłem informacji Scully'ego jest tajemniczy „Dr Gee”, specjalista od magnetyzmu. Z czterech spodków, które wylądowały na Ziemi, trzy się rozbiły; tylko jednemu udało się odlecieć. Te trzy strzaskane statki zawierające kilkadziesiąt ciał Wenusjan są obecnie badane w niedostępnych laboratoriach rządowych.

Według Scully'ego spodki są wykonane z bardzo lekkiego, a zarazem bardzo twardego metalu, nie znanego naszym chemikom. Wszystkie wymiary statku są podzielne przez 9. Jego kabiny obracają się na jakichś niezwykłych mechanizmach. Jeden ze statków „oparł się wysiłkom otwarcia go, mimo użycia diamentowych świrdrów, wartości 35 000 dolarów”. Wenusjanie używają „ciężkiej wody” do picia i żywności w formie koncentratów w opłatkach. Ich małe radio działa na nie znanej nam zasadzie. Odnaleziono tam też broszurki pisane pismem obrazkowym, które nasi eksperci próbują odczytać.

Wszystko to jest przeplatane nieustannymi atakami na administrację prezydenta Trumana za to, iż w sprawie spodków prowadzi politykę „cicho-sza”; za jej niedołęzną biurokrację i tchórzliwą odmowę obdarzenia zaufaniem szerszego kręgu ludzi. Tych zaś, którzy zaprzeczają istnienia spodków, traktuje autor jako działających „po linii partii”.

Trzecią i najnowszą książką²¹ na ten temat jest *Is Another World Watching?* (Czy inny świat czuwa?), napisana w roku 1951 przez Geralda Hearda i wydana przez Harpera. Jest też ze wszystkich trzech najbardziej przerażająca. Mamy tu bowiem do czynienia z najzupełniej realną możliwością, iż autor (szczerzy i oddany mistyk) rzeczywiście wierzy w to wszystko, co pisze. Heard jest ponadto autorem wielu wielce uczonych prac z dziedziny religii, psychologii i antropologii, a także licznych powieści sensacyjnych. Jak można się było spodziewać, pisze bardziej gładko, niż Keyhoe i Scully, cytując od czasu do czasu Szekspira lub Johna Stuarta Milla i robiąc wielki rwetes wokół tego, że jego rozumowanie jest rzetelne.

Heard twierdzi, że spodki pochodzą z Marsa. Biorąc pod uwagę ich małe rozmiary oraz dużą szybkość przy manewrowaniu dochodzi do wniosku, że tylko owady są dostatecznie małe i mają dostatecznie twardą skórę, aby się przeciwstawić niszczącemu działaniu bezwładności przy nagłych skrętach statku. Takie i podobne wnioski przywodzą autora do przekonania, że statki są pilotowane przez marsjańskie „super-pszczoły” o długości około dwóch cali, posiadające jednak znacznie wyższą od naszej inteligencję. A oto jak Heard wyobraża sobie te pszczoły:

„Stworzenia o oczach jak z brylantów, z głową z szafiru, o tułowi szmaragdowym, z odwłokiem z rubinów, skrzydłach podobnych do opalu i nogach jak z topazu - takie ciało jest godne tej super-inteligencji. Jestem przekonany, że na ich widok zawołalibyśmy: «Cóż to za diadem z żywych klejnotów!. Poczujemy się wobec nich jak istoty marne, może nawet odpychające, z naszym wilgotnym ciałem w kolorze kitu!...

Istotnie... musimy zrozumieć, że znalezienie sobie przyjaciół wśród istot mających więcej niż dwie nogi, nie będzie należało do rzeczy łatwych...”.

Heard, podobnie jak Keyhoe również wierzy w to, że ludzie z przestworzy są wywiadowcami zajmującymi się sprawą wybuchów; jądrowych. Nasze Słońce jest cefeidą, czyli gwiazdą pulsującą - tak twierdzi Heard (co oczywiście nie jest prawdą) - i może w każdej chwili wybuchnąć, jeśli się naruszy jej subtelna równowagę chemiczną. Nasze bomby atomowe już zwiększyły rozmiary plam słonecznych. A plamy te „mogą być oznaką nadchodzących zaburzeń - podobnie jak plamy na naszych twarzach mówią niekiedy o pewnych zaburzeniach wewnętrznych... A może Marsjanie, obawiając się jakichś kłopotów ze strony Słońca, w ten sposób odczytują owe plamy?”

Wywiadowcy marsjańscy - zdaniem Hearda - zbierają wiadomości o nas; czynią to jednak ostrożnie, aby uniknąć z nami bezpośrednich kontaktów. Skonstruowali w tym celu olbrzymi „statek macierzysty”, będący satelitą Ziemi. Z tego statku wypuszczają statki mniejsze, maszyny podobne do spodków, które „lądują” na Ziemi w celach wywiadowczych. Heard przypuszcza, że dwa księżycy Marsa nie są księżycami naturalnymi. Są to sztuczne wyrzutnie dla statków kosmicznych.

²¹ Od czasu napisania tego rozdziału sprzedano i to po dość wysokiej cenie kilkadziesiąt starannie wydanych książek poświęconych latającym spodkom. Ich poziom jest niejednorodny: od pracy G. Adamskiego poprzez Scully-Scully, aż do nowych dwóch książek Keyhoe'go. Otóż Keyhoe, w przeciwieństwie do Adamskiego, nie chwali się tym, że się przejechał w spodku, rozmawiając z rozwiązłym, obutym w złote sandały, Wenusjaninem. Powściągliwość ta sprawiła, iż wielu recenzentów zaczęło brać serio rozważania Keyhoe'go. Groff Conklin pisząc w „Galaxy” w kwietniu 1954 twierdzi, że dane zawarte w artykule Keyhoe'go *Flying Saucers from Outer Space* (Latające spodki z zewnętrznej przestrzeni) są „proroczo-przekonywające” i „pełne faktów nie do odparcia”. Wydawca zaś „Fantasy and Science Fiction” pisze w lutym 1954, że książka ta jest czymś „nie wzbudzającym żadnych kontrowersji” i sądzi, że jest najwybitniejszym dziełem kiedykolwiek recenzowanym na szpaltach tego pisma.

Na okładce książki widzimy kilka reprodukcji zdjęć spodków. Dwa z nich, na których można coś niecoś zobaczyć, zrobił Paul Trent, farmer z McMinville w stanie Oregon. Reprodukowano je także w „Life” z 26 czerwca 1950 roku. Przypominają przykrywkę od blaszanego kubła na śmieci, wyrzuconą w powietrze.

Zarówno Heard, jak i Keyhoe przyjmowali, że nauka uznała istnienie na Marsie istot inteligentnych za wysoce prawdopodobne. W rzeczywistości wcale tak nie jest. Nie mamy żadnych danych potwierdzających to przypuszczenie. Możemy najwyżej pewne nieznaczne zmiany barwy na powierzchni planety interpretować jako roślinność zmieniającą swą barwę w zależności od pór roku. Bardzo wątpliwa jest natomiast cała historia tzw. kanałów na Marsie. Pierwszym który doniósł o ich istnieniu był pewien włoski astronom²²; potem bronił ich istnienia amerykański astronom Percival Lowell. Niestety późniejsi obserwatorzy, posługujący się lepszymi teleskopami o większej zdolności rozdzielczej, nie byli w stanie owych kanałów dostrzec. Astronomowie współcześni są zgodni co do tego, że „kanały” są wrażeniem subiektywnym, a więc czymś nie istniejącym poza umysłem Lowella i innych, którym się wydawało, że je widzą.

Zadziwiająca jest łatwość, z jaką szeroka publiczność przyjmuje wszelkie wieści o życiu na sąsiednich światach. Jednym z najlepszych (ego rodzaju przykładów był słynny „żart księżycowy” spreparowany przez „New York Sun” w roku 1835. Pismo to ogłosiło serię artykułów donoszących o tym, co zobaczył przez swój teleskop w Kapsztadzie słynny astronom brytyjski John Herschel. W artykułach opisano życie na Księżycu, a załączone ilustracje ukazywały istoty podobne do małp, mające: „...średnio 4 stopy wysokości, pokryte wszędzie, z wyjątkiem twarzy, połyskującą krótką sierścią o barwie miedzi, i ze skrzydłami złożonymi z cienkich błon... Nasze dalsze obserwacje zwyczajów tych stworzeń, należących do dwóch różnych płci, doprowadziły do tak niezwykłych wyników, że uznałem za stosowne, aby publiczność dowiedziała się o nich z pracy samego dra Herschela... Są to niewątpliwie stworzenia niewinne i szczęśliwe, aczkolwiek niektóre ich rozrywki nie dają się w żaden sposób pogodzić z naszym ziemskim pojęciem przyzwoitości”.

Otóż żart ów miał być satyrą; tymczasem połowa mieszkańców New York City uwierzyła w to, i wielu z nich nie dało się przekonać nawet wtedy, gdy reporter Richard Locke przyznał się publicznie do tej mistyfikacji.

Coś podobnego, lecz jeszcze bardziej niepokojącego zaaplikowano publiczności amerykańskiej w wilię wszystkich świętych 1938 roku, kiedy to Orson Welles przedstawił przez radio wersję *Wojny światów* H. G. Wellsa. Audycję rozpoczęła muzyka taneczna, po czym nastąpiło kilka krótkich wiadomości. Pierwsza z nich doniosła o wybuchu gazu na Marsie. Druga - o wstrząsach wywołanych trzęsieniem Ziemi w New Jersey. W końcu połączono się z lokalną radiostacją w Grovers Mili w stanie New Jersey, która poinformowała o wylądowaniu olbrzymiego statku kosmicznego w kształcie walca, z którego wyszły potwory o oczach jak pluskwy, uzbrojone w promienie śmierci. W ślad za nim wylądowały następne walce, a potwory znajdujące się w ich wnętrzu zaczęły się szykować do zniszczenia Nowego Jorku. Na szczęście jednak zostały zabite zarazkami, przeciwko którym nie były uodpornione.

Audycji słuchało sześć milionów ludzi, z których - jak to oceniono - około miliona ogarnęła panika. Tysiące ludzi płakało, modliło się, zamykało szczelnie okna, aby nie dopuścić gazu trującego, albo uciekało z domów myśląc, że nastąpił koniec świata. Linie telefoniczne były kompletnie zablokowane.

²² Giovanni Virginio Schiaparelli (1835-1910) (przyp. red. pol.).

Panika ogarnęła cały kraj, od wybrzeża do wybrzeża, jednak najsilniejszą histerię zanotowano w stanach południowych, wśród najmniej wykształconej ludności. Otóż, jeśli w roku 1835 uwierzono w „żart księżycowy”, a w roku 1938 wzięto poważnie wiadomość o inwazji Marsjan, wobec tego nietrudno zrozumieć, dlaczego nawet w dobie rozszczepienia atomu i osiągnięcia radarem Księżyca tak powszechnie przyjęto teorię traktującą spodki latające jako statki kosmiczne.

Charles Fort w jednej ze swych książek poświęcił cały rozdział obserwacjom na niebie obiektów o kształcie cygara. Jego konkluzja brzmiała: „Niektóre sprawozdania nie są zbyt dokładne, jednak pomijając drobne niezgodności, moim zdaniem na supergeograficznych drogach poruszają się superkonstrukcje o kształtach torped, które przypadkowo nas odwiedzają, lub trafiają w atmosferę ziemską”.

Wiele dziwnych obiektów na niebie, nad którymi Fort się zastanawiał, miało kształt spodków, aczkolwiek nie użył on tego terminu. Takim był na przykład szary dysk obserwowany w roku 1870 przez pewnego kapitana marynarki; albo też ciemny okrągły obiekt „z jakimś urządzeniem po jednej jego stronie, lecący z dużą szybkością”. Ten obiekt obserwowali w noc księżycową w roku 1908 pracownicy Norweskiego Towarzystwa Transportowego w Mousehead, w Anglii. „Jak na latawca, był zbyt duży - orzekli świadkowie - ponadto ruch jego wyraźnie był kierowany, ponieważ leciał on pod wiatr”.

Fort znalazł wiele tłumaczeń dla tych obserwacji. „Być może - pisał - są to mieszkańcy Marsa, którzy potajemnie przesyłają wiadomości o naszym świecie swoim rządóm”. W innym miejscu rozważa: „...Wyobrażam sobie, że są to olbrzymie konstrukcje, z innych światów, które mijają nas w odległości kilku mil, bez najmniejszej chęci skomunikowania się z nami; tak jak statki-trampy mijające liczne wyspy”.

Najodważniejszą z hipotez Forta był pomysł, że ludzkość została nabyta i zawładnięta przez istoty o wyższej inteligencji, które od czasu do czasu odwiedzają Ziemię, aby skontrolować swoich podopiecznych.

„...Ktoś, kto ma do nas zupełnie legalne prawa, uzyskane siłą, lub w wyniku zakupu za coś w rodzaju paciorków od naszych poprzednich bardziej prymitywnych właścicieli... I że może to wszystko było znane od wieków komuś na tej Ziemi, jakiemuś kultowi czy zakonowi, którego członkowie działali jako nasi przywódcy, albo jako starsi niewolnicy, lub nadzorcy, kierujący nami zgodnie z instrukcjami otrzymywanymi skądś spoza Ziemi...”.

„Myślę, że jesteśmy czyjąś własnością” - pisze Fort. To dość przypadkowo wypowiedziane zdanie stało się natchnieniem doskonałej powieści typu „science fiction” ostatnich lat - *Sinister Barrier* (Złowieszcza bariera), napisanej przez Erika Franka Russella. Russell był specjalnym korespondentem Towarzystwa Fortystów w Wielkiej Brytanii, który nawet wierzył w pewne spekulacje Forta.

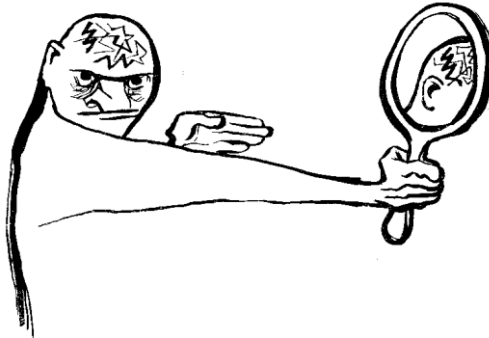
Dziwnym zbiegiem okoliczności Towarzystwo nie uległo manii spodków latających. W roku 1947 Thayer poświęcił spodkom jeden numer (nr 19) „Doubt” pisząc na zakończenie z pewną niechęcią: „Fortyści mają słuszny żal do wojska i jego służalczej prasy, że uzurpowały sobie prawa do naszych pradawnych przywilejów zajmowania się światłami i obiektami na niebie”.

Sądzymy jednak, że gdyby Fort dożył ery latających spodków, cieszyłby się niepomiarnie czytając cały potok typowo fortowskich rozważań na temat zastawy niebieskiej. Jakżeby chichotał z owych

zapamiętałych prób armii, aby przekonać oszołomioną publiczność o tym, że nad jej głowami nic się nie dzieje ani złowieszczo, ani nadzwyczajnego!

Rozdział VI

Ruchy zygzakowate i wirowe



Alfred William Lawson, najwyższy zwierzchnik i „Pierwszy Wtajemniczony” Uniwersytetu Lawsonomii w Des Moines w stanie Iowa, jest w swoim mniemaniu największym z żyjących dziś geniuszy. Wielka szkoda, że nie ma jakiegoś rodzaju nagrody Nobla, która by odpowiadała jego fantastycznej karierze i niewiarygodnemu dorobkowi literackiemu. Oto jakie zdanie ma Lawson o sobie:

„Jego umysł (Lawson chętnie pisze o sobie w trzeciej osobie) jest zdolny udzielić odpowiedzi na każde pytanie, a zagadnienia, które tzw. mądrych ludzi przyprawiają o zawrót głowy, są dla niego dzieciinną igraszką”.

„Gdy patrzę na ogrom przestrzeni i widzę bajeczne funkcjonowanie wszystkiego, co się tam znajduje... myślę czasami, że rodząc się, wyprzedziłem czas o dziesięć lub dwadzieścia tysięcy lat”.

Niemniej pochlebne zdanie mają wydawcy jego książki pt. *Manlife* (Życie człowiecze): „W porównaniu z Lawsonowskim prawem przenikalności i ruchów zygzakowatych i wirowych, Newtonowskie prawo powszechnego ciężenia nie jest niczym więcej, niż wstępną lekcją; nauki zaś Kopernika i Galileusza - nieskończenie małymi ziarnkami wiedzy”. (Uwaga: wydawcą *Manlife* był sam Lawson).

We wstępie do tej książki ktoś o nieprawdopodobnym nazwisku Cy Q. Faunce, oświadcza, że „próbę napisania na kilku stronicach zarysu życia i twórczości Alfreda W. Lawsona można porównać z usiłowaniem ograniczenia samej przestrzeni. Tego nie da się zrobić... Któż z nas, śmiertelników jest w stanie zrozumieć Lawsona, który się wznosi ponad przeciętność? Zdaje się, że głębia jego działalności umysłowej nie ma granic... Licznym pokoleniom ludzkim wystarczy zajęcia na tysiące lat, aby rozwijać niezliczone odgałęzienia wyrastające z pnia i korzeni największego drzewa mądrości, które kiedykolwiek wyhodowała rasa ludzka”.

Zanim ośmielimy się naszkicować życie tego wybitnego myśliciela, przyjrzymy się krótko podstawowym zasadom lawsonomii. Aczkolwiek Lawson napisał przeszło pięćdziesiąt książek i broszur, głównymi źródłami jego poglądów są trzy tomy *Lawsonomy* (Lawsonomia) wydane w latach 1935-39, *Manlife* z roku 1923, i *Penetrability* (Przenikliwość) z roku 1939. Większość cytata będziemy czerpać z tych właśnie książek.

Lawsonomia - jak ją skromnie definiuje Lawson - jest „wiedzą o Życiu i o wszystkim, co do niego należy”. Niewiele sobie robi z „tzw. mądrych ludzi i niby to uczonych... każda rzecz musi być czymś

rozsądnym, dającym się udowodnić; inaczej nie jest lawsonomią... jeśli nie jest rzeczywista, jeśli nie jest prawdziwa, jeśli nie jest wiedzą, jeśli nie jest inteligencją, nie jest też lawsonomią”.

Podstawą, na której się opiera cała konstrukcja lawsonomii, jest pewna teoria fizyczna, tak nowa, że do jej opisu Lawson musiał wprowadzić zupełnie nowe pojęcia fizyczne. Bowiem zgodnie z oświadczeniem Lawsona: „Nie znaleźliśmy dotychczas podstawowych praw fizyki, które odkrył dopiero Lawson”. Przydługie wyjaśnienia, określające te nowe i rewolucyjne pojęcia o fizyce można znaleźć we wstępach do jego wielu książek.

Lawson pomija zupełnie pojęcie „energii”. Rozpatruje Kosmos, w którym nie ma energii, ani też nie ma pustej przestrzeni; są tylko substancje o zmiennej gęstości. Otóż substancje o dużej gęstości mają tendencję do ruchu w kierunku substancji o mniejszej gęstości, w którym to ruchu operują dwa podstawowe pojęcia lawsonowskie: ssanie i tłoczenie. Prawo rządzące tym ruchem nazywa się „przenikliwością”. „Otóż prawo to było czymś bardzo nieosiągalnym dla zgrzybiałych profesorów fizyki - pisze Lawson - jednak nadchodzące pokolenie postępowych uczonych stopniowo uprzytomni sobie jego niebywałą wartość...”.

Stan, przy którym następuje równowaga między większą a mniejszą gęstością, nazywa Lawson „equaeverpois”. Znacznie ważniejsza jest jednak zasada „zygzakowania i wirowania”. Lawson określa ją jako „ruch, w którym każdy układ porusza się w różnorodnych kierunkach, zgodnie z ruchem układów coraz większych, w zależności od kierunku ruchu większego układu, od zmian spowodowanych przez przeciwdziałające wpływy ssania i tłoczenia w różnych proporcjach”.

Wszystko to ma więcej sensu, niżby na pierwszy rzut oka mogło się nam wydawać. Można to wyjaśnić w sposób następujący: Żadne ciało we Wszechświecie nie porusza się po linii prostej, ani po jakiejś określonej krzywej, ponieważ jednocześnie bierze udział w wielu różnych ruchach, które w ostatecznym efekcie dają drogę zygzakowatą, która „ani się schodzi, ani rozchodzi”. Lawson barwnie to ilustruje zarodkiem wędrującym w ciałku krwi człowieka, który idzie wzdłuż przejścia w lecącym samolocie. Zarodek sądzi, że się porusza po linii prostej. W rzeczywistości jednak porusza się razem z krwią, krew krąży w ciele człowieka, człowiek wędruje wzdłuż samolotu, samolot porusza się względem Ziemi, Ziemia się kręci i biegnie dookoła Słońca, które wraz z całym układem planetarnym porusza się w przestrzeni. W ten sposób droga zarodka jest czymś zygzakowatym, „nie mającym kierunku ani końca”. Lawson sądzi, że do obliczenia tak skomplikowanej drogi należy wynaleźć „najwyższą matematykę”.

Koncepcja tłoczenia i ssania raz po raz przewija się w rozważaniach Lawsona. W wyniku działania tych dwóch sił powstają takie „prądy”, jak deszcz, ciepło, krew itd. Światło jest substancją wssaną przez oko. Inną substancją w podobny sposób wessaną przez ucho, jest dźwięk. A grawitacja? Jest ona po prostu działaniem „ssania Ziemi”. Bo Lawson z właściwą sobie szczerością oświadcza, „jeśli się studiuje lawsonomię... wszystkie zagadnienia sklecone przez teorie fizyczne od razu odpadają...”.

Jak się tego możemy spodziewać, ciało ludzkie działa dzięki tysiącom pompek ssących i tłoczących. Płuca wssają powietrze, żołądek - pokarm, ciało zaś - krew. Każda komórka zawiera malutkie pompki. Zużyty natomiast materiał jest wydalany przez tłoczenie. I tak „wirowanie wewnętrzne trwa tak długo, jak długo... utrzymuje się w stanie właściwym tłoczenie i ssanie na stacjach końcowych”. Z chwilą gdy stacje przestają ciągnąć i popychać, człowiek umiera.

Ziemia jest olbrzymim mechanizmem działającym dzięki ssaniu i tłoczeniu. Aczkolwiek unosi się ona w morzu „eteru” o niezmiernie małej gęstości, zawiera jednak w sobie substancję o jeszcze mniejszej gęstości, którą Lawson nazwał „lesether”. Wywołuje ona ssanie, które poprzez otwory na jej biegunach wciąga do wnętrza Ziemi różne materiały dostarczane Ziemi przez Słońce i przez gazy powstające z meteorów. Niektóre materiały wciąga Ziemia przez „pory” znajdujące się na jej powierzchni. Główny przewód wewnątrz Ziemi biegnie od bieguna do bieguna. Od niego odchodzą arterie dostarczające substancji życiodajnych do wszystkich części Ziemi, oraz żyły, które usuwają materię zużytą. Odbytnicą Ziemi jest Biegun Południowy, przez który wydobywają się „uwolnione gazy”, chociaż pewną część materii zużytej wydała Ziemia poprzez pory wulkaniczne. Ów ruch obustronny gazów wywołuje zorze polarne na obu biegunach. Na stronie 32 *Przenikliwości* widzimy piękną kolorową ilustrację przedstawiającą Ziemię w czasie takiej gwałtownej akcji odbywającej się na obu jej końcach.

Płeć jest też tylko ssaniem i tłoczeniem. „Ssanie jest ruchem żeńskim. Tłoczenie - męskim... Ruch żeński wciąga z zewnątrz do wewnątrz, męski zaś pcha od wewnątrz na zewnątrz... Pociąg jednej płci ku drugiej jest tylko przyciąganiem wywołanym przez ssanie i tłoczenie”.

Magnetyzm, który wciąż jeszcze wprawia w zakłopotanie „profesorów”, jest niższą formą aktywności seksualnej. Jeśli magnes ma w sobie „więcej żeńskich cząstek, niż męskich, wtedy będzie miał własności tłoczenia i będzie odpychał od siebie materię...”.

Według Lawsona, mózg ludzki zawiera dwa rodzaje małych, żywych stworzeń, zwanych przezeń „menorgi” i „disorgi”. Menorgi (od „mentalni organizatorzy”) są to „mikroskopijne istoty myślące, które tworzą organy myślenia i rządzą nimi wewnątrz komórek systemu myślowego. Są one motorem wszystkiego, co jest dobre i twórcze”. Poruszenie ręki wymaga skoncentrowanego wysiłku miliardów menorgów działających zgodnie pod rozkazami jednego małego menorga. „Niestety, menorgom przeciwstawia się diabelska działalność destrukcyjnych disorgów (dezorganizatorów), „mikroskopijnych szkodników, które zarażają komórki systemu myślowego człowieka i niszczą narządy myślenia stworzone i kierowane przez menorgów”. Zgodnie z relacją Lawsona „menorg, poświęca siebie dla dobra ciała, natomiast disorg poświęca to ciało dla swego dobra”.

Można by jeszcze wiele napisać o niezwykłych zasadach lawsonomii. Niemniej jednak, aby przedstawić sobie ich głębię i zakres, wystarczy to, cośmy już podali. Teraz postaramy się naszkicować życie i karierę odkrywcy tej nauki oraz omówimy instytucje przez niego założone.

Według Cy Q. Faunce'a „narodziny Lawsona były największym wydarzeniem od chwili pojawienia się ludzkości”. Nastąpiło to w Londynie, 24 marca 1869 roku. Rodzice Lawsona (szkocko-skandynawskiego pochodzenia) wkrótce po jego urodzeniu opuścili Anglię, udając się najpierw do Kanady, potem do Detroit. Pierwsze nauki przyrodnicze pobierał - jak sam pisze - „mając zaledwie trzy lata, gdy pracował na małej fermie w pobliżu Detroit. Pierwsze wiadomości o owadach uzyskał przy oczyszczaniu winorośli ze szkodników”.

Mając 4 lata młody Lawson „zwrócił uwagę na to, że gdy za pomocą tłoczenia płuc dmuchał na kurz znajdujący się w sypialni, kurz ów poruszał się od niego; natomiast gdy stosował ssanie i wciągał w siebie powietrze, kurz poruszał się ku niemu”. Było to pierwsze wielkie odkrycie Lawsona w dziedzinie fizyki.

Potem przechodził różne koleje losu: sprzedawał gazety na ulicach Detroit, obsługiwał maszynę tkacką w przędzalni ojca (który stał się tkaczem dywanów), pracował jako czyściciel butów; w końcu uciekł z domu. Wiele lat spędził na włóczędź po całym kraju, podróżując wagonami towarowymi. W większości jego książek, w których połowę objętości zajmuje zwykle jego życiorys, znajdziemy ilustrację przedstawiającą autora stojącego na spychaku przed szybko mknącą lokomotywą, walczącego z wiatrem. Podpis brzmi: „Alfred Lawson badający opór powietrza stawiany wszystkim poruszającym się ciałom”.

Mając lat 19 Lawson zostaje kapitanem drużyny piłkarskiej w Goshen w stanie Indiana. W ciągu następnych 19 lat (do roku 1907) był zawodowym baseballistą. W wielu jego książkach można zobaczyć obrazki przedstawiające Lawsona w strojach różnych klubów piłkarskich. Ma przystojną, o ładnie rzeźbionych rysach twarz, ciemne kręcone włosy, wysokie czoło i marzycielskie oczy.

I wtedy właśnie, kiedy rozpoczął karierę baseballisty, koledzy doprowadzili go do moralnego upadku. Zaczął zarabiać pieniądze dla pieniędzy; co gorsza, zaczął używać tytoniu, napojów wysokowych i jadać mięso. Zdrowie jego pogorszyło się. Zaczęły mu się psuć zęby. Mając 28 lat nadludzkim wysiłkiem woli zerwał z tymi nałogami. Zanik sił natychmiast ustąpił; od tego dnia, aż do chwili obecnej²³ (ma 83 lata) cieszy się doskonałym zdrowiem. Jego pierwszą książką była powieść pt. *Born Again* (Odrodzony), wydana w roku 1904. Opisuje w niej swoje przejścia. W rzeczywistości jest to jedna z najgorszych książek fantastyczno-naukowych jakie kiedykolwiek wydrukowano. Lawson jednak twierdzi, iż „wiele osób uważa ją za najwspanialszą powieść, jaką kiedykolwiek napisał człowiek”. Jeśli można wierzyć jego zapewnieniom, powieść tę wydano również w Anglii, w Niemczech, Francji, Szwajcarii, we Włoszech, a także w Japonii.

Zbieraczy wczesnej literatury typu „science fiction” zainteresować może, że *Born Again* jest fantazją utopijną, w której autor przepowiada radio (przekazywane przez ssanie i tłoczenie), gazy trujące i wiele innych rekwizytów, świata współczesnego. Bohater powieści, John Convert, stara się nakłonić świat do tego, by żył według zasad prawa natury, o którym się dowiedział poprzez doznanie mistyczne od śpiącej piękności imieniem Arletta. Obudzona pocałunkiem, wtajemniczyła go w organizację jej ojczystego kraju, Sagelandu (Krainy Mędrców) - Utopii zniszczonej przez potop Noego. Potem Convert zakochał się w kobiecie pochodzącej z bogatych sfer chicagowskich, Arletcie Wright, będącej wcieleniem tamtej Arletty. Akcję powieści komplikuje to, że Arletta ma swego sobowtóra, Arletkę Fogg, sam zaś bohater ma też swego sobowtóra o tym samym nazwisku. Zły Convert morduje Arletkę Fogg, za co aresztują Converta dobrego. Ginie on na krześle elektrycznym w minutę przed przybyciem Arletty Wright z wyznaniem winy złego Converta. Grupa zwolenników Johna Converta pozostaje mu jednak przez cały czas wierna, a Arletta Wright tej wielkiej sprawie poświęca swe życie i bogactwo. John Convert umiera z pragnieniem posiadania innego ciała, aby prowadzić dalej swą pracę. I gdyby Bóg wysłuchał jego prośbę, gotów jest w zamian dać swą duszę, i „przyjąć na siebie na zawsze wszystkie cierpienia, tortury i ubóstwo gnębiące ludzkość”.

Wkrótce po opublikowaniu tej powieści Lawson rozpoczął zawrotną karierę w lotnictwie. W roku 1908 założył w Filadelfii pierwsze popularne pismo lotnicze pod nazwą „Fly” (Lot). W latach 1910-1914 wydawał w New York City inne pismo, zwane „Aircraft” (Lotnictwo). Był to nowy, przez niego wymyślony termin. W roku 1908 wprowadził go sam, jako redaktor działu lotnictwa, do poprawionego wydania słownika Webstera. W latach 1917 i 1918 zaprojektował i wykonał dla armii

²³ Do roku 1952 (przyp. red. pol.).

samoloty ćwiczebne. Lawson pretenduje do pierwszeństwa w koncepcji płaskopokładowych lotnikowców, zwracał bowiem na to uwagę Kongresu i Marynarki Wojennej w licznych swoich tygodniowych biuletynach.

W roku 1919 wynalazł, zaprojektował i zbudował pierwszy samolot pasażerski, mieszczący 18 pasażerów. Ponieważ powstała wątpliwość, czy samolot poleci, Lawson sam pilotował go z Milwaukee do Waszyngtonu i z powrotem. W Green Bay, w stanie Wisconsin założono „Lawsonowskie Towarzystwo Lotnicze”. W roku 1920 Lawson zbudował samolot pasażerski na 26 miejsc i nieźle zarobił na jego lotach dokoła Stanów Zjednoczonych. Był to pierwszy samolot z miejscami sypialnymi. W rok potem jeden z jego samolotów się rozbił i wkrótce Towarzystwo przestało istnieć.

Z lotnictwa przerzucił się Lawson do nauk społecznych, zakładając w Detroit „Fundację Dobroczyńców Ludzkości”. Wydała ona jego drugą książkę, pt. *Manlife*. Na ogół mało kto zwracał uwagę na jego poglądy, do chwili wielkiego kryzysu. Lawson nagle nabrał wówczas znaczenia jako wybitny przywódca ruchu dążącego do reformy ekonomicznej, zwanego „Towarzystwem Bezpośredniego Kredytu”.

Podstawową doktrynę „lawsonowskiego systemu pieniężnego” przedstawił autor w dwóch książkach: *Direct Credit for Everybody* (Bezpośredni kredyt dla każdego) z roku 1931 i *Know Business* (Znaj interes) z roku 1937. Należy obalić pokrycie walut w złocie. Należy wypuścić „pieniądz bezwartościowy” nie dający się na nic wymienić. Należy znieść wszelkie transakcje kredytowe. Tylko takie środki drastyczne mogą wybawić od głównego źródła zła, „od świńskich maniaków, zwanych finansistami”. Ci finansisci - zdaniem Lawsona - ciągną ze wszystkiego niezastąpione zyski. Rządzą prasą krajową, szkołami, kościołami i „każdą wpływową organizacją w Stanach Zjednoczonych Ameryki, z wyjątkiem Towarzystwa Bezpośredniego Kredytu”.

Towarzystwo publikowało (i publikuje po dziś dzień) czterostronicową gazetę zwaną „Benefactor” (Dobroczyńca), która w swoim czasie osiągnęła siedem milionów nakładu i wychodziła w 10 różnych językach. W nagłówku jej widnieje motto: „Sprawiedliwość dla każdego nikomu nie szkodzi”.

Najsmutniejsze w całej historii Towarzystwa Bezpośredniego Kredytu było to, że istotnie przyciągnęło ono dziesiątki tysięcy zapalonych zwolenników. Trudno o bardziej przerażający dowód atrakcyjności, niż ta bezwartościowa teoria ekonomiczna, która w okresie trudności ekonomicznych zdobyła sobie wśród szerokich mas ludności Stanów Zjednoczonych taką popularność, a którą przedstawił Lawson w książce *Fifty Speeches* (Pięćdziesiąt przemówień) w roku 1941. Mamy tam kilkaset zdjęć masówek, defilad, sal odczytowych, urzędów, orkiestr, grup funkcjonariuszy TBK ubranych w specjalne białe uniformy. Wszystko to razem robi wrażenie takiego bezsensu, że gdyby nie zdjęcia, nikt by w to nie uwierzył. Największa ze wszystkich masówek organizowanych w miastach Środkowego Zachodu, odbyła się w październiku 1933 roku w Detroit. Olbrzymi tłum przewalał się ulicami miasta, niosąc liczne transparenty z takimi mniej więcej napisami: „Wszystkie narody domagają się bezpośredniego kredytu dla małych dzieci i słabych starców”. Po kolosalnej paradzie Lawson przemawiał dwie godziny do 16-tysięcznego tłumu, zebranego w audytorium „Olimpia”. Przy jego wejściu na scenę wśród historycznych powiewań flagami i muzyce wygrywającej „Hail to the Chief” (Witaj wodzu) zrobiono mu owację trwającą piętnaście minut.

Dla tego rodzaju wieców komponowano specjalne pieśni; słowa i muzykę tych pieśni odtwarza Lawson w *Short Speeches* (Krótkie przemówienia) z roku 1942. A oto tytuły tych pieśni: „Słuchajmy Lawsons” autorstwa Alli Heft, „Boski dar dla ludzi” Marii Plucks i wiele innych. Każda zwrotka kończy się: „Alfred William Lawson jest wielkim wiecznym darem Boga danym człowiekowi”.

W roku 1942 Lawson nabył Uniwersytet w Des Moines. Szkoła ta mająca na 14 akrach ziemi sześć budynków i internat studencki na 400 osób, była od roku 1929 zamknięta. Obecnie nazwano ją „Uniwersytet Lawsonomii w Des Moines”.

Lawson miał jak najgorszą opinię o poziomie nauczania w Ameryce. Kiedyś oświadczył: „Jeśli chcesz zacząć tysiąc, idź do szkoły średniej. Jeśli chcesz zupełnie wyłysieć - idź na uniwersytet”. Jego własny pogląd na wykształcenie wyraża następująca strofka:

„Wykształcenie jest nauką, jak poznać prawdę.
Złe wykształcenie jest sztuką pochłaniania fałszu.
Prawdą jest to, co jest, nie to, czego nie ma.
Fałszem jest to czego nie ma, nie to, co jest”.

Istotnie, Uniwersytet Lawsonomii uczy „prawdy”. Jako podręczników używa się tam wyłącznie prac Lawsons, przy tym student musi je przeczytać, zanim jeszcze dopuści się go do uczęszczania na wykłady. Kiedyś skazano na banicję książkę o zasadach basketbally dlatego tylko, że jej nie napisał Lawson. Akredytowani nauczyciele lawsonomii zwą się „wtajemniczonymi”; wtajemniczeni rangi najwyższej są generałami. Lawson zaś jest najwyższym zwierzchnikiem i Pierwszym Wtajemniczonym.

Tutaj nie ma wpisowego. Pomieszczenie i wyżywienie są bezpłatne. Studenci poświęcają część swego czasu pracy w warsztatach mechanicznych i biorą udział w pracach rolnych. Podobnie jak wszystkie inne organizacje lawsonowskie, uniwersytet działa bez zysku, bez kapitału zakładowego, i jest kierowany przez kuratorów, którzy dostają „na swe ubogie życie” to, co otrzymają ze sprzedaży książek Lawsons. Ten ostatni twierdzi, że w roku 1931 obiecał Bogu, iż nigdy nie będzie gromadził bogactw na użytek osobisty; Lawson lubi przedstawiać siebie, jako człowieka „bez pieniędzy i nie posiadającego żadnej własności”. Aby tego dowiedzieć, często podczas zebrań, wywraca na wierzch kieszenie. Członkowie jego rady są ludźmi, których nazwiska pozostają w tajemnicy; nie podaje się też miejsca zamieszkania samego Lawsons; mieszka gdzieś „koło Ann Arbor”.

W marcu 1952 roku Podkomisja Senacka do Spraw Handlowych wezwała Lawsons do Waszyngtonu, aby wyjaśnił, jak doszło do tego, że jego szkoła nabyła „dla celów szkoleniowych” 62 maszyny warsztatowe z nadwyżek wojennych, z których 45 odprzedała potem z pokaźnym zyskiem. Lawson objawił brak znajomości wszelkich szczegółów tej transakcji. „Nie wiem - powiedział- nigdy nie zagłębiał się w liczby”. Próby, aby wyjaśnić Podkomisji, czym jest lawsonomia i dlaczego obejmuje również urządzenia mechaniczne, skończyły się fiaskiem. Lawson opuścił konferencję parskając ze złości: „Nie słyszałem w życiu czegoś bardziej obrzydliwego”, co z kolei poruszyło senatora Blaira Moody z Michigan, który mu odpowiedział: „nie wiem czy mówimy o tym samym, skłonny jestem jednak zgodzić się z panem”.

Pierwotnie Uniwersytet Lawsonomii był uczelnią koedukacyjną. Potem jednak, gdy jeden z ojców, po sprawie sądowej, zabrał córkę ze szkoły, Lawson zdecydował się przyjmować samych tylko mężczyzn. Są oni przyjmowani na okres dziesięcioletni; obecnie przebywa tam około 20 studentów. Można ich

zobaczyć przypadkowo przez wysokie ogrodzenie otaczające teren szkolny. Rada Wydziałowa jest jeszcze mniej widoczna. Krąży szeroko rozpowszechniona wśród dziennikarzy w Des Moines opinia, że Lawson jest jedynym członkiem tej Rady.

Na terenie szkoły zabrania się surowo palenia papierosów i picia napojów wysokokowych. Takie trucizny osłabiają menorgów, dając w ten sposób przewagę disorgom. „Choćby się przewędrowało cały świat - napisał kiedyś Lawson z cechującą go dokładnością - nigdzie nie znajdzie się innego zwierzęcia krocącego z fajką lub papierosem w zębach, używającego pyska do wciągania i wydmuchiwania dymu i zamieniającego swoje nozdrza w komin...”. Wstręt Lawsons do palenia znalazł następnie swój wyraz w wynalezieniu przez niego w roku 1946 „wyciągacza dymu Lawsons”. Prawa patentowe tego wynalazku (polegającego na usuwaniu sadzy z fabryk za pomocą ssania i tłoczenia) przekazał wynalazca Uniwersytetowi.

Lawson przyznaje duże znaczenie sprawności ciała i zaleca swoim studentom cały zespół reguł zdrowotnych. Wierzy w dietę bezmięsną, składającą się głównie z surowych owoców i jarzyn, zjadanych „od skórki aż do rdzenia”, z pestkami włącznie. „Kaźda sałatka - pisze Lawson - powinna zawierać pędy świeżej ściętej trawy”. Przed snem i tuż po obudzeniu się należy zanurzyć głowę w zimnej wodzie. Wierzy też w dobroczynne działanie ciepłej wody, sypania nago i codziennej zmiany bielizny pościelowej.

Lawson jest przeciwny pocałunkom. „Czy możemy wymyśleć coś bardziej plugawego niż... mężczyznę i kobietę przyklepionych do siebie twarzami i wstrzykujących sobie wzajemnie mikroby chorobowe?”

Lawson nigdy nie był żonaty.

Uniwersytet jego miał dostarczyć ludzkości „soli Ziemi”. W miarę rozpowszechniania się zasad lawsonomii z pokolenia na pokolenie, powstać może w końcu nowy gatunek ludzki, superrasa odznaczająca się długowiecznością i porozumiewająca się drogą telepatii (działającej na podstawie ssania i tłoczenia).

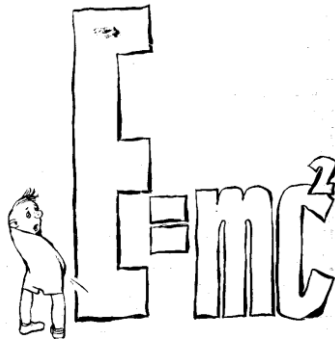
Dziś Lawson jest szczupłym starszym panem, o gęstych siwych brwiach zwisających nad szarostalowymi oczami. Według opinii Oliviera Raucha, kwestora Uniwersytetu Lawsonsomii (wyrażonej w prywatnym liście), oczy Lawsons mają „właściwości kalejdoskopu, wyrażające się w nieustannych zmianach, zależnie od tego co mówi, lub o czym myśli”. Jest też bardzo podejrzliwy. Wydaje mu się, że otaczają go sami wrogowie, którzy tylko czyhają na jego śmierć, aby zagarnąć jego organizację. Ostatnio wyobraził sobie, że jest prorokiem Boga. Planuje stworzenie tysiąca kościołów lawsońskich w różnych miastach Środkowego Zachodu. Od roku 1949 kościół Lawsons w Detroit odprawia nabożeństwa niedzielne; podobny kościół zbudowano w Des Moines. W ostatniej swojej książce: *Lawson Religion* (Religia Lawsońska) z roku 1949, autor przedstawia swoje credo religijne. W gruncie rzeczy jest to dość mętne połączenie wędrówek dusz z lawsonomią i chrześcijaństwem bez Chrystusa.

Kluczowymi koncepcjami w Dekalogu Lawsons są - miłość i altruizm. „Alfred Lawson nigdy w życiu nie nienawidził ani nie skrzywdził żadnego mężczyzny, kobiety czy dziecka - pisze tam. - Dawniej, kiedy ktoś go boleśnie uraził, Lawson obezwładniał go i rzucał na ziemię, aby dać poznać swą siłę i zręczność. Potem jednak z przyjaznym uśmiechem podnosił obalonego, aby pokazać, że w jego światopoglądzie nie ma miejsca na nienawiść...”

I chociaż przyszłość Ziemi wygląda ponuro, ponieważ w duszach ludzkich zwyciężają raczej disorgi, Lawson jest przekonany, że pewnego dnia zwycięstwo przejdzie na stronę menorgów. Przewiduje, że w roku 2000 wszystkie narody świata przyjmą jego zasady. Nastanie jednak kościoła Lawsona wymaga pozyskania milionów wierzących uczniów jego nauki. „Aby to mogło nastąpić - pisze Lawson - trzeba już teraz masowo zacząć kształcić w Uniwersytecie Lawsonomii profesorów lawsonomii dla lawsonowskich szkół duchownych, nauczycieli lawsonowskich dla szkół parafialnych, zwiastunów kościoła, siły administracyjnej, kaznodziei, misjonarzy i najrozmaitszych innych dygnitarzy.

Rozdział VII

Precz z Einsteinem



W żadnej dziedzinie nauk przyrodniczych, nie wyłączając fizyki i chemii, nie ma wyraźnej granicy pomiędzy spekulacjami pseudouczonych, a teoriami uczonych z prawdziwego zdarzenia. Jedne przechodzą w drugie, tworząc przypadki graniczne. Do takich granicznych przypadków można zaliczyć twórczość angielskiego fizyka, Olivera Heaviside'a, która stanowi zaskakującą mieszankę nauki z dziwactwem. Kiedy Einstein po raz pierwszy ogłosił swoją teorię względności, Heaviside, jako jedyny ze znanych fizyków, wystąpił przeciw niemu. Rozważania jego przy tym były miejscami tak absurdalne, że żadne poważne czasopismo naukowe nie mogłoby ich opublikować. A równocześnie uczony ów wniósł dużo cennego materiału do teorii elektryczności.

Weźmy inny przykład: Nicola Tesla - wynalazca silników na prąd zmienny, transformatorów (nazwanych jego imieniem) i wielu innych wartościowych urządzeń, stawał się z biegiem lat paranoikiem. Ostatnie lata jego życia opisał John H. O'Neil w interesującej książce pt. *Prodigal Genius* (Geniusz marnotrawny). A oto smutny obraz tego człowieka: samotny, skryty egoista, straszliwie zazdroszczący sławy Edisonowi; nikomu nie podawał ręki bojąc się zarazków; lękał się wszelkich okrągłych przedmiotów (jak kule bilardowe, perły w naszymyjniu); nie lubił nikogo prócz gołębi, które codziennie karmił. Tesla trwonął swój talent na wynajdywanie promieni śmierci, na próby odkrycia jakiegoś aparatu odtwarzającego myśli ludzkie na siatkówce oka...

Można się niekiedy spotkać z tak gorącą, inteligentną i rzeczową obroną jakiejś nie uznanej przez specjalistów teorii chemicznej czy fizycznej, że trudno się zorientować, kto naprawdę ma rację. Tak właśnie było w chemii jądrowej. Dr Albert Cushing Crehore większość życia poświęcił obronie tego, co sam nazwał „atomami Crehore'a”. Mówiąc krótko, Crehore odrzucił przyjęty pogląd, że elektrony w stanie stacjonarnym krążą po orbitach wokół jądra atomu, i przyjął, że elektrony są częścią składową jądra. Ciężenie powszechne jest, zdaniem Crehore'a wynikiem krążenia ładunków dodatnich wewnątrz jądra... Książki Crehore'a, z których ostatnia *A New Electrodynamics* (Nowa elektrodynamika) ukazała się w roku 1950, uważane są powszechnie przez jego kolegów za bezwartościowe. Z drugiej jednak strony wiemy, że Crehore był profesorem fizyki w Dartmouth, uzyskał kiedyś stopień doktora na Uniwersytecie Cornella i miał duże powodzenie jako wykładowca i wynalazca. Trudno się więc dziwić, że nie chciano zająć wobec tej teorii zdecydowanego stanowiska. Nie będziemy się jednak tutaj zajmowali tymi przypadkami granicznymi. Mamy bowiem w zapasie obfitość literatury z dziedziny fizyki i chemii tak bzdurnej, że bez wahania możemy ją zaliczyć do pseudonauki. Tylko teozofowie mogą przypuszczać, że na przykład *Occult Chemistry* (Chemia okultystyczna), napisana w roku 1908 i wydana ponownie w roku 1919 przez Annie Besant i Charlesa

W. Leadbeatera zawiera coś wartościowego. Jest to studium o budowie atomu, oparte na jasnowidzeniu i obejmujące atomy wielu pierwiastków, dotychczas jeszcze nie znanych prawdziwym chemikom. Większość tego rodzaju literatury jest jednak wyjątkowo nudna, toteż uwagę naszą zwrócimy tylko na jej mały odcinek, który jest i ciekawszy i zabawniejszy od reszty.

Każda teoria naukowa o znaczeniu rewolucyjnym z chwilą, gdy zdobywa sobie uznanie większości uczonych, staje się przedmiotem ataków maniaków, buntujących się przeciw wszelkim ustalonym autorytetom. W wieku XVIII i XIX wielkim symbolem autorytetu był Isaak Newton. I dlatego - jak się zresztą tego można było spodziewać - ataki na niego można by zebrać w setkach grubych tomów. Nawet wielki Goethe wydał dwutomową pracę o barwie zawierającą gwałtowną polemikę z Newtonowską teorią światła. Ponieważ Goethe nie znał się ani na metodach eksperymentalnych, ani na metodach matematycznych, ataki jego stały się czymś najbardziej nieodpowiedzialnym w dziejach fizyki²⁴.

W Ameryce największym przeciwnikiem Newtona stał się pewien ksiądz-metodysta z Nowego Jorku, Alexander Wilford Hall (1819-1902); największym jego dziełem zawierającym w dwudziestym poprawionym wydaniu 524 strony, było *The Problem of Human Life* (Zagadnienie życia ludzkiego). Książka w znacznej części zawiera ataki na ewolucję, pozostała część jest obroną oryginalnej teorii fizycznej zwanej „substancjalizmem”. Według tej teorii wszystkie tak zwane „siły”, a więc również i siła grawitacji, są „substancjami”. Składają się one w rzeczy samej z mniejszych atomów niż substancje „materialne”, niemniej jednak są to cząstki rzeczywiste. Światło, ciepło, elektryczność, magnetyzm a nawet dźwięk, wszystko to jest „substancjalne”, podobne do cząstek przenoszących zapachy. W pierwszym wydaniu swej książki (z roku 1877) Hall zdradza ciekawą skłonność do argumentowania w formie trocheja tetrametrycznego, podobnego do *Hiawatha* Longfellowa.

Czcigodny Hall skwapliwie uchwycił się zjawiska, że dźwięki wydawane przez szarańczę potrafimy słyszeć z odległości przeszło mili. Według niego, oznacza to, że mały owad utrzymuje w stanie ciągłego ruchu tysiące ton powietrza, jeśli oczywiście teoria dźwięku jest słuszna. Otóż żaden normalny człowiek - twierdzi Hall - nie potrafi w to uwierzyć. Hall jednak nie tłumaczy, w jaki sposób mała szarańcza może wypełnić substancją tak olbrzymią przestrzeń. Przy tym wszystkim ksiądz Hall był ogromnie bojowy. W ciągu jedenastu lat wydawał czasopismo zwane „The Microcosm” (Mikrokosmos), a potem przez dalsze dwa lata „Scientific Arena” (Arena naukowa), w których bezskutecznie usiłował wciągnąć uczonych w dyskusję. Ich stała niechęć do podjęcia dyskusji była dla Halla potwierdzeniem słuszności jego teorii.

Inny jeszcze Amerykanin bronił zaciekle teorii korpuskularnej dźwięku. Był nim Joseph Battell (1839-1915) z Middlebury w stanie Vermont, właściciel kilku farm i około 20 000 akrów lasu. Ponadto hodował konie i kierował Amerykańskim Towarzystwem Wydawniczym, które wydało jego największe, trzytomowe dzieło (każdy tom ma ponad 600 stron) pt. *Ellen - or the Whisperings of an Gold Pine* (Ellen, czyli szepty starej sosny).

²⁴ Mamy dwa klasyczne szkice w języku angielskim przedstawiające dzieje walki Goethego z Newtonem: jedną w pierwszej serii *Popular Lectures* Helmholtza i drugą w *New Fragments* Tyndalla. Walkę wygrał Newton w sposób tak zdecydowany, że trudno sobie wyobrazić aby w XX wieku ktokolwiek mógł brać serio wywody Goethego. Pseudouczeni są jednak ludźmi o nieograniczonej odwadze. Ernst Lehrs w książce pt. *Man or Matter* łączy metafizyczną fizykę Goethego z antropozoficznymi bzdurami Rudolfa Steinera. Największym wyczynem Lehresa jest przywrócenie do życia dawnego pojęcia „lekkości” - siły przeciwnej do grawitacji. Książkę jego opublikował Harpers w 1951 roku.

Trudno byłoby znaleźć w Stanach Zjednoczonych bardziej dziwaczną książkę. Wszystkie trzy tomy pisane są w formie platońskiego dialogu pomiędzy szesnastoletnią dziewczyną Ellen, a narratorem, którym była Stara Sosna z Vermont. Nie wiadomo jednak; skąd obie bohaterki czerpały swe rozległe wiadomości przyrodnicze i matematyczne. Podobnie jak Hall, tak i Battell przeciwstawia się wszelkim teoriom falowym, szczególnie falowej teorii dźwięku, którą piętnuje jako „monstrualne kłamstwo”. Nam wszystkim się wydaje, że drgania widełek stroikowych wywołują dźwięk; Battell natomiast utrąca to od razu. To dźwięk wychodzący z widełek stroikowych wywołuje ich drgania. Ponadto dzieło Battella zawiera przydługie ataki na ogólnie przyjętą algebrę i geometrię. Autor zaopatrzył swą książkę w przeszło 200 ilustracji przedstawiających Ellen na tle krajobrazów z Vermont.

Kiedy teorie Einsteina zrewolucjonizowały świat fizyki, Newtonowskie prawo powszechnego ciążenia i teoria dźwięku przestały być głównym postrachem pomyleńców. Nic więc dziwnego, że literatura atakująca Einsteina stała się równie obszerna i gwałtowna, jak ta, która dawniej godziła w jego wybitnego poprzednika. Często atakujący czynią to w imię Newtona, który stał się symbolem porzuconego stanowiska w nauce.

Niektórych wcześniejszych wystąpień przeciw Einsteinowi (głównie w języku francuskim i niemieckim) nie można zaliczyć do pseudonauki. Autorami ich w wielu przypadkach byli koledzy po fachu, mający pewne trudności w przyjęciu nowych, dziwnych doktryn. Jednym z nich był profesor mechaniki nieba na Uniwersytecie Columbia, Charles L. Poor, który napisał książkę *Gravitation versus Relativity* (Grawitacja przeciw względności) opublikowaną w roku 1922 przez Wydawnictwo Putnama. Książka ta zawiera krytykę danych doświadczalnych, będących wówczas podstawą teorii względności. Autor wysuwa w niej wiele istotnych zastrzeżeń i wnioskuje w sposób bynajmniej nie dogmatyczny: „Teoria względności może być prawdziwa; dotychczas jednak nie dostarczono nam istotnych dowodów jej prawdziwości”.

Znacznie swobodniej potraktował tę sprawę w roku 1932 Arthur Lynch, publikując pracę pt. *The Case Against Einstein* (Rozprawa z Einsteinem), której również nie zaliczylibyśmy do bezwartościowych. Liczne wystąpienia „antywzględnościowe” w latach dwudziestych i trzydziestych, to nie tyle prace maniaków, co dziennikarzy czy fizyków-amatorów, którzy porwali się do krytyki, zanim należycie zrozumieli, przeciw czemu właściwie występują. Ale i dziś - i o tym warto pamiętać - wielu poważnych fizyków wyznaje poglądy skrajnie inne niż Einstein. Wybitnym tego przykładem jest „względność kinematyczna” wielkiego matematyka brytyjskiego, Edwarda A. Milne'a.

Inny jednak ton i inną wartość ma piśmiennictwo antyrelatywistyczne, o odmiennym charakterze, dalekie od wspomnianej wyżej literatury krytycznej. Jest ono, podobnie jak w przypadku literatury skierowanej przeciwko Newtonowi i Darwinowi, owocem prac napastliwych ignorantów. I mimo że autorzy mają wiele okazji do zdobycia niezbędnej wiedzy, ich wypowiedzi świadczą o kompletnej nieznajomości zwalczanego przez nich poglądu. Gdyby się nawet okazało, że Einstein się myli w swoich głównych tezach, fakt ten nie wprowadziłby tej literatury w świat właściwych dyskusji naukowych. Teoria Einsteina poczyniła daleko sięgające uproszczenia w obecnym stanie fizyki (mamy tu głównie na myśli sprowadzenie grawitacji i bezwładności do jednego zjawiska) i gromadzi dalej dane obserwacyjne dla potwierdzenia swojej słuszności. Otóż nawet ci przeciwnicy Einsteina, którzy przyznają to, czynią jednocześnie zarzuty równie niewłaściwe, jak ataki Halla i Bettella na falową teorię dźwięku.

Wybitnym przykładem z lat trzydziestych bezsensownego ataku jest *Back to Newton* (Powrót do Newtona) pióra samozwańczego fizyka francuskiego Georges'a de Bothezat. Tę książkę opublikowano w Stanach Zjednoczonych w roku 1936, na parę lat przed śmiercią autora.

Sam Bothezat uważa, że jego dzieło niewątpliwie obala teorię względności, jest w nim jednak znacznie więcej obelg, niż właściwych argumentów. Autor oskarża Einsteina nie tylko o to, że „nie jest zdolny zrozumieć wielkiej koncepcji Newtona”, lecz ponadto, że nie rozumie również samego siebie. Uczniowie zaś, którzy przyjęli teorię względności, uczynili to, „wskutek zupełnego braku znajomości fizyki i całkowitej niezdolności do poznania przedmiotu”. Powszechne przyjęcie przez uczonych całego świata poglądów Einsteina przypisuje autor prawdopodobnie „osłabieniu w nauce zmysłu krytycznego, które nastąpiło w wyniku wielkiej wojny”. Wdawanie się w szczegóły tej zawiętej i źle napisanej pracy byłoby raczej nudne. Jeden tylko jej aspekt zasługuje na uwagę, ponieważ stale powtarza się jako motyw w wielu napaściach na teorię względności: jest nim powołanie się na doświadczenie dra Daytona C. Millera. Miller był rzetelnym fizykiem, który w latach dwudziestych powtórzył sławny eksperyment Michelsona-Morleya uzyskując wynik zaprzeczający teorii względności.

Otóż doświadczenie Michelsona-Morleya było, jeśli nie najważniejszą, to jedną z najważniejszych podstaw eksperymentalnych teorii względności. Od pewnego czasu wiedziano, że prędkość światła wysyłanego przez jakieś źródło jest jednakowa, niezależnie od tego, jak szybko się porusza źródło światła.

Oznaczałoby to, że dokonując pomiarów prędkości światła na Ziemi w różnych kierunkach, powinniśmy się spodziewać występowania w obserwowanych prędkościach różnic, wywołanych różnym kierunkiem ruchu Ziemi względem drogi światła. Gdy w roku 1887 Michelson i Morley po raz pierwszy sprawdzili, to doświadczenie, okazało się, ku ich wielkiemu zdziwieniu, że prędkość światła wcale owych spodziewanych różnic nie wykazuje. Doświadczenie to zapoczątkowało jeden z najbardziej nieoczekiwanych kroków naprzód w dziejach rozwoju fizyki. Szczególna teoria względności wysunięta przez Einsteina wyjaśniała w pewnym sensie nieudany wynik doświadczenia Michelsona-Morleya.

W czterdzieści lat po tym historycznym doświadczeniu dr Miller postanowił je powtórzyć. Wtedy to otrzymał wyniki świadczące o istnieniu niewielkich różnic prędkości światła, które potraktował jako obalenie teorii względności. Miller wielokrotnie powtarzał swoje doświadczenie, za każdym razem z wynikiem dodatnim. Napisał o nich dziesiątki artykułów do czasopism fachowych i aż do śmierci (która nastąpiła w roku 1941) był przekonany o prawdziwości wyników swoich doświadczeń.

Dotychczas żaden z fizyków nie jest przekonany, czy istotnie doświadczenia Millera były przeprowadzone poprawnie. Ponadto ani Bothezat, ani inni jeszcze mniej odpowiedzialni krytycy teorii względności nie poinformowali czytelników o tym, że doświadczenie Millera było tylko jednym z wielu tysięcy doświadczeń odtwarzających eksperyment Michelsona-Morleya, i że tylko ono jedno dało wynik pozytywny. Inne natomiast doświadczenia wykonywane we wszystkich niemal krajach wysoko rozwiniętych, na wszystkich wysokościach w różnych porach roku, przy użyciu rozmaitych przyrządów, dały wynik negatywny. Dość zgodna opinia fizyków głosi, że na aparaturę Millera mogły działać jakieś zakłócenia lokalne, albo też autor zapisując otrzymywane dane popełniał bezwiednie jakiś błąd.

W pseudonaukowej literaturze skierowanej przeciwko Einsteinowi spotykamy się często z gwałtownym uprzedzeniem do złożoności równań matematycznych jego teorii. Autorzy, nie rozumiejąc ich istoty, upierają się przy tym, że naturą muszą rządzić proste prawa matematyczne i tym usprawiedliwiają swoją ignorancję. Klasycznym przykładem tego rodzaju uprzedzeń jest praca chemika amerykańskiego Thomasa H. Graydona z Santa Monica w Kalifornii. W pracy pt. *New Laws for Natural Phenomena* (Nowe prawa zjawisk przyrodniczych) powielonej w roku 1938 autor pisze: „Część inteligencji, która opiera swój autorytet na bardzo zawiłych metodach, nie chce przyjąć mojej koncepcji, ponieważ przeciwstawiam się powszechnie przyjętym metodom, które pływają się w zawiłości”. Metoda Graydona upraszcza astronomię przez usunięcie grawitacyjnego „przyciągania” i wprowadzenie w to miejsce „odpychania” działającego od Słońca ku Ziemi. Dziwnym zbiegiem okoliczności ten motyw często się powtarzał we wczesnych napaściach na Newtona.

Powielaną pracę Graydona pt. *Relativity's Failure* (Upadek teorii względności), wydaną w roku 1947 można znaleźć w Towarzystwie Fortystów. Einsteina teoria grawitacji - według autora - mniej budzi zaufania niż teoria „odpychania”. Gdyby nie było grawitacji, planeta spadłaby na Słońce nie w wyniku istnienia „przyciągania”, lecz dlatego, że „nastąpiłoby najmniejsze napięcie, lub najmniejszy czas, w którym ona może dokonywać obiegu...”. Na szczęście grawitacja dostatecznie silnie odpycha planetę, aby utrzymać ją w miejscu. Dlaczego jednak ciała spadają na Ziemię? Dlatego, że nie mamy dostatecznie silnego promieniowania emanującego z Ziemi, aby utrzymać je na orbitach otaczających powierzchnię Ziemi.

Jak można się było spodziewać, Graydon uważa siebie za nowoczesnego Galileusza. Cytuje on list pewnego wybitnego astronoma do wydawcy, w którym astronom ów odradza przyjęcia jednego z rękopisów Graydona, motywując, że teoria Graydona jest tak prosta, że gdyby miała jakąkolwiek wartość, dawno by ją już przyjęto. Argumentacja użyta w tym liście - pisze Graydon - „niewiele odbiega od nagany udzielonej Galileuszowi przez Francesca Sizzi, ówczesnego wybitnego astronoma, któremu Galileusz zakomunikował o dostrzeżeniu przez swój pierwszy teleskop czterech satelitów obiegających Jowisza”.

Znacznie zabawniejszy od Graydona jest drugi dziwak, również „czczony niezmiernie przez Tiffany Thayera i fortystów, mianowicie George Francis Gillette z jego „spiralnym wszechświatem”. Dane biograficzne Gilletta są nader skąpe; wiemy tylko, że się urodził w roku 1875, studiował na Uniwersytecie w Michigan i pracował jako inżynier w wielu dużych firmach. Jednak jego cztery, wydrukowane własnym nakładem, książki są trwałym pomnikiem oryginalności i pomysłowości autora.

We wszystkich pismach Gillette'a teoria względności dostaje straszne ciągi. „Czyżby Einstein był uczonym? - pyta autor. - Trudno sobie wyobrazić, aby ktoś mniej odpowiadał wszystkim wymaganiom stawianym uczonemu... Jak na fizyka, Einstein jest za dobrym skrzypkim”. Teorię względności obdarza Gillette tego rodzaju epitetami jak „dziecko kretyńskiego mózgu, cierpiącego na mentalną kolkę”, „zezowata fizyka”, „beznadziejnie wariacka”, „nadir czystej bzdury” lub „czarnoksiężskie nonsensy”. Autor przewiduje (w roku 1929), że w roku 1940 „teorię względności będzie się uważało za żart”. „Einstein już zmarł i pogrzebano go obok Andersena, braci Grimm i Baby Jagi”.

Nieograniczone natomiast uznanie ma Gillette dla Newtona; wychwala go jako najbardziej genialny umysł, jaki kiedykolwiek pojawił się. Teoria „Wszechświata spiralnego” jest, rzecz jasna, udoskonaleniem teorii Newtona. Jak ją określa Gillette, jest to „Newton z Newtona”.

Czymże właściwie jest ta teoria? Zaiste dość trudno to zrozumieć. Podstawowymi jednostkami niepodzielnymi i niezmiennymi są w niej „unicząstki”. Nasz świat jest „supraunicząstką”, cały zaś Wszechświat „maksicząstką”. Istnieją także „ulticząstki”, które się określa jako „N-tą płaszczyznę subświatową”. A oto próbka wykładu Gillette'a:

„...Każda ultracząstka jest jednocześnie częścią integralną zylionów jednostek inno-płaszczyznowych i tylko w ten sposób jej nieskończona współpłaszczyzna prędkości i energii rozkłada się na zyliony skończonych płaskich porcji prędkości i energii”.

Główną koncepcją Gillette'a są „zderzenia”. Wszystkie ruchy dążą zawsze do prostoliniowości aż do chwili zderzenia. Wszystko w istocie sprowadza się we Wszechświecie do ruchu kończącego się zderzeniem. „Nic innego nie może w końcu nastąpić. To jest wszystko... W całym Wszechświecie nie ma niczego, oprócz zderzeń ciał biegnących po liniach prostych, karamboli i znowu ruchu prostoliniowego”. Zjawiskami są tylko: grupowanie się, skoki i zderzenia²⁵. Jednostki masy nie podlegają innym kolejom, jak tylko grupowaniu się przeskokowi i zderzeniu, odskokowi, odbiciu się i w końcu rozproszeniu.

Jednym z największych wkładów Gillette'a w fizykę jest jego słynne prawo „teorii grawitacji na zasadzie odkręcającej się śruby”. Ocena tej teorii byłaby nader trudna. Niechże dopomogą nam tu niektóre cytaty:

„Grawitacja jest odrzuconą nakrętką zakręconej śruby promieniowania. Grawitacja jest synonimem odśrubowywania. Wszystkie ciała materialne są układami słonecznymi... wzajemnie ześrubowanych jednostek niższych”. A w końcu: „Grawitacja nie jest niczym innym, jak tylko reakcją w formie podpłaskiego systemu słonecznego wkręconego w wyższą płaszczyznę mas”.

Trudno się dziwić, że Gillette bardzo dotkliwie odczuł odrzucenie jego poglądów przez tych, których określił „ortodoksyjnymi wołami” nauki. Nie szczędzi epitetów, nazywając ich „niby-uczonymi”, „windowanymi w górę faworytami wydawców”, „przeciwieństwem prawdziwych uczonych”, „błaznami”. Wszystko to pochodzi z „ich zaryglowania w Homoplani, w nieświadomości ulticząstkowego powiązania z sub i supraplanami”.

Gillette poczytuje sobie za zaszczyt to, że „profesorowie” z ich „zastygłymi przekonaniem” atakują jego teorię. „Autor nigdy by nie trwoniał swoich szczupłych środków finansowych - dodaje gorzko - na publikowanie na własny koszt swoich teorii już przyjętych”, gdyby nie zdawał sobie sprawy z tego, że przeciwko niemu pracują „potężne siły mistycyzmu, które rządzą prasą, polityką, wydawnictwami, szkołami, bibliotekami i wszystkimi innymi środkami oddziaływania”. Jest nie zrozumiany i prześladowany, tak jak Kolumb, Galileusz i Kopernik. Znosi to jednak pogodnie. „Szukający prawdy nigdy nie jest fanatykiem. On bowiem nie może sobie pozwolić na fanatyzm. A więc jest pogodny, humanitarny i cywilizowany”.

²⁵ W języku angielskim zabawna gra słów: „Lumps, jumps and bums” (przyp. tłum.).

Tylko jeden „profesor” - i o tym pisze Gillette nie bez smutku w jednej ze swoich książek - dodał mu otuchy: pewien szlachetny Rosjanin o odważnym umyśle. Niech będzie pozdrowiony! Reszcie świata naukowego hańba! Wkrótce już pójdzie w zapomnienie, w wyniku własnych o to starań.

Jeśli czytelnicy nie uzyskali jeszcze jasnego obrazu rewolucyjnej koncepcji kosmopolitycznej Gillette'a, odsyłam ich do *Rational Non-Mystical Cosmos*. (Nie mistyczny racjonalny kosmos), nowego wydania z roku 1933 książki Gillette'a, w której na 384 stronach znajdują dokładne wyjaśnienie. Jeśli lektura ta wyda wam się zbyt przerażająca, zajrzyjmy do pracy krótszej: *Orthodox Oxen* (Woły ortodoksyjne) z roku 1929. Zgodnie z tytułem książka ta jest całkowicie wolna od wszelkiej „Hej hop-matematyki” i „jeży się nowymi aksjomatami”. Ponadto zawiera mnóstwo wykresów o treści tak imponującej, jak na przykład: „Cały wszechświat” jako „pączek”, lub: „Błazkowate ciało stałe, stałe, stałe”. W niektórych wydaniach znajdują się ilustracje ręcznie malowane przez autora.

W nieco bardziej uprzejmym tonie kieruje swe ataki na teorię względności przewielebny ksiądz Jeremiah J. Callahan. W roku 1931 był on rektorem Uniwersytetu Duquesne'a w Pittsburgu. Aby należycie zrozumieć oskarżenia ojca Callahana, należy wejrzeć nieco w istotę geometrii nieeuklidesowej.

W klasycznych Elementach Euklidesa dowody wszystkich twierdzeń opierają się na zespole założeń, zwanych aksjomatami lub pewnikami. Założenia te traktuje się jako „zrozumiałe same przez się”, nie wymagające dowodu. Pewnik piąty wydawał się jednak bardziej skomplikowany, niż reszta.

Zakłada on, że przez dany punkt leżący poza daną prostą można poprowadzić tylko jedną prostą równoległą do danej. Matematycy w czas poeuklidesowych traktowali ów pewnik jako swego rodzaju plamę na systemie Euklidesa; coś, co można by usunąć, gdyby się dało to udowodnić w oparciu o inne aksjomaty. Proponowano tysiące tego rodzaju dowodów, wśród których nie brakowało wielce pomysłowych- Wszystkie jednak okazywały się fałszywe. Dopiero w wieku XIX rosyjski matematyk Łobaczewski i inni wykazali, że ów słynny pewnik o równoległych jest całkowicie niezależny od wszystkich pozostałych. Nie da się zatem go udowodnić za pomocą aksjomatów pozostałych.

Z chwilą gdy niezależność owego pewnika w pełni zrozumiano, matematycy dokonali pewnego, jeszcze bardziej zadziwiającego odkrycia. Wykazali, że pewnik ów można zastąpić czymś, co jest z nim w sprzeczności; na przykład założeniem, że przez dany punkt leżący poza daną prostą można poprowadzić więcej niż jedną prostą równoległą do danej. Ów nowy pewnik połączono z pozostałymi pewnikami Euklidesa, tworząc w ten sposób logicznie konsekwentną geometrię, nazwaną geometrią nieeuklidesową. Wcześniejsze prace w dziedzinie geometrii nieeuklidesowej były wykonywane przez matematyków jedynie z ciekawości lub dla przyjemności. W chwili jednak gdy Einstein zaczął tworzyć swoją teorię względności, stwierdził, że nieeuklidesowe traktowanie przestrzeni daje olbrzymie konsekwencje praktyczne. Geometria nieeuklidesowa stała się w ten sposób matematycznym zrębem ogólnej teorii względności.

Można by więc twierdzić, że teoria względności stała się czymś nierozdzielnym z geometrią nieeuklidesową. I gdybyśmy w pewnej chwili odkryli, iż geometria nieeuklidesowa nie jest logicznie poprawna, cały szkielet teorii względności natychmiast by runął. Ktoś, komu by się udało udowodnić słuszność pewnika o równoległych za pomocą innych założeń Euklidesa, obaliłby całą geometrię nieeuklidesową. Oznaczałoby to z kolei, że dla obalenia teorii względności wystarczy udowodnić pewnik o równoległych!.

Takie właśnie myśli przychodziły do głowy ojcu Callahanowi, kiedy pewnego dnia jechał koleją podziemną przez Nowy Jork. Wkrótce po tym - zgodnie z oświadczeniem wypowiedzianym w wywiadzie - przerwał posiłek spożywany razem z przyjacielem, okrzykiem „To można udowodnić!” Około 1931 roku ojciec Callahan ukończył dowód i oznajmił światu, że teoria względności została obalona.

W XIX wieku znakomity matematyk francuski Lagrange stanął kiedyś przed uczonym audytorium, aby wyjaśnić opracowany przez siebie dowód pewnego nie rozwiązanego do tej pory twierdzenia. Tuż po rozpoczęciu odczytywania manuskryptu nagle przerwał, zmarszczył czoło, zwinął manuskrypt i rzekł: „Panowie, muszę to jeszcze przemyśleć”. Niestety ojciec Callahan nie postąpił podobnie. Przeciwnie, w roku 1931 opublikował na 310 stronicach dowód postulatu o równoległych w dziele pt. *Euclid or Einstein* (Euklides, czy Einstein). Każdy znawca geometrii może natychmiast znaleźć w dowodzie błąd. Uczony-amator uważa jednak, że przyjmowanie zbawiennych rad jest poniżej jego godności.

Retoryka ojca Callahana karci Einsteina równie dotkliwie, jak napuszona proza Gillette'a.

„Einsteina nie należy traktować jako postać czołową w dziedzinie fizyki - pisze Callahan - lecz raczej jako kogoś, kto zaledwie próbuje znaleźć znaczenie pewnych wzorów matematycznych, którym sam nie daje zbytnej wiary, lecz po których spodziewa się - wbrew własnemu przekonaniu - że pozwolą mu coś odkryć... Einstein nie jest umysłem logicznym”.

Przewielebny Callahan odnajduje element niezamierzonego humoru w „intelektualnej mgle” i „plątaninie bezsensownych słów”, z których się składa geometria Einsteina. „Czasami zmuszają one nas do śmiechu - oświadcza - niekiedy zaś irytujemy się, że nad takimi banialukami można się tak poważnie zastanawiać... Po Einsteinie trudno jednak spodziewać się czegoś rozsądnego...”.

I znowu: „Jego [Einsteina] myśli są jakimiś strzępkami nie powiązanych ze sobą fragmentów, czymś nie przetrawionym i sprzecznym... Wtedy gdy jest czystym matematykiem... staje się coraz to bardziej niedbałym myślicielem w chwili, gdy wychodzi poza swoje symbole i równania. Myśli jego się chwieją, zataczają i potykają się padając jak ślepiec, który wyruszył w nie znaną sobie okolicę...”.

Te wypowiedzi zacytowałem in extenso (czyli w całości) dlatego, że są bardzo charakterystyczne dla sposobu krytykowania wielkich uczonych przez pseudouczonych. Jakkolwiek ojciec Callahan nosi szaty duchowne, poziom jego krytyki niewiele się różni od osobistych napaści. Musiały tu również z całą pewnością wystąpić pewne motywy psychologiczne, z których ksiądz nie zdawał sobie zapewne sprawy.

Dobrym wskaźnikiem wnikliwości ojca Callahana w sprawach matematyki jest to, że w tym samym roku, kiedy to udało mu się „udowodnić” postulat o równoległych, odkrył również metodę trysekcji kąta! Zapowiedział wtedy, że pracuje także nad podwojeniem sześciangu i nad kwadraturą koła; tego zapewne nie udało mu się jednak dokonać.

W roku 1940 ojciec Callahan mając 62 lata ustąpił ze stanowiska rektora Uniwersytetu i odtąd żyje spokojnie w Isle Brevelle w stanie Louisiana.

Ostatnie jednak słowa ze wszystkich atakujących Einsteina miał - jak to się często zdarzało - oczywiście Fort. Zastanawiając się nad znanym doświadczeniem Michelsona-Morleya, będącym kamieniem węgielnym teorii względności, uważa, że brak zmienności prędkości światła może

prowadzić do dwóch wniosków: do tego, jaki wyciągnął Einstein: że prędkość światła jest czymś absolutnie niezależnym od ruchu Ziemi. Drugim zaś, prostszym i łatwiejszym do przyjęcia wnioskiem jest to, że Ziemia w ogóle się nie porusza!

Dodaje potem: „Na nieszczęście muszę postawić jeszcze trzecie pytanie: któż, z wyjątkiem tych, którzy popierają teorię względności, wykazał kiedykolwiek, że światło w ogóle posiada prędkość?”

Rozdział VIII

Czarodziejskie różdżki i inne „wykrywaczki”



W ostatnich dziesięcioleciach geofizycy wynaleźli szereg subtelnych instrumentów do badania podziemnej struktury geologicznej. Dzięki seismografowi, na przykład, można przy poszukiwaniach określić z dostateczną dokładnością głębokość różnych warstw. Nie może on wprawdzie wykryć obecności ropy, lecz dzięki niemu można ustalić taką strukturę pokładów skalnych, przy której duże prawdopodobieństwo występowania ropy gwarantuje wynik wiercenia. Jak dotychczas nauka nie znalazła środków, za pomocą których można z powierzchni ziemi stwierdzić obecność głęboko położonych ciał (takich, jak ropa lub woda), bez uciekania się do wiercenia.

Pseudonauka działa bez takich ograniczeń. W tym rozdziale zapoznamy się z dwoma osobliwymi instrumentami służącymi do podziemnych poszukiwań: różdżką i wahadłem; przyjrzyjmy się też przy okazji zastosowaniu podobnych sztuczek i urządzeń w poszukiwaniach ropowych.

Różdżkarstwo jest sztuką szukania wód podziemnych lub innych substancji za pomocą przyrządu, którym jest po prostu rozwidlona gałąź. Różdżkarz trzyma ją silnie oburącz w ten sposób, że jej rozwidlenie podniesione jest do góry. Kiedy chodzi po terenie, patyk nagle skręca się w jego ręku, jak gdyby poruszony potężną, niewidzialną siłą. Niekiedy skręt jest tak gwałtowny, że kora zostaje w zaciśniętych dłoniach różdżkarza. W miejscu, gdzie różdżka odchyła się w dół, tam oczywiście można się spodziewać wody.

W różdżkarstwie używa się wszelkich gatunków drzewa, ale tradycyjnie ulubione są: leszczyna, brzoskwinia i wierzba. Niektórzy różdżkarze pracują na innych materiałach - takich jak kość słoniowa, metal, drut itp. Inni znów - specjalnie w Indiach, gdzie są często zatrudniani przez miejscowe zarządy wodne - posługują się tylko gołymi rękami. Ci ostatni, gdy znajdują się ponad podziemną wodą, doznają wrażenia jak gdyby przepływu prądu elektrycznego w dłoniach. Talent różdżkarski zdaje się być właściwością tylko nielicznych osobników. Niektórzy z najstydniejszych różdżkarzy byli analfabetami - nieraz zdumionymi swoim przedziwnym uzdolnieniem, którego nie potrafili wytłumaczyć.

Stosowanie różnego kształtu różdżek we wróżbiarstwie sięga czasów starożytnej Grecji i Egiptu. Ograniczało się ono jednak do przepowiadania przyszłości, wykrywania winy i podobnych sztuk czarnoksiężskich. W średniowieczu działania te przypisywano mocy szatana, mimo że wielu duchownych robiło także użytek z czarodziejskich różdżek. Dopiero w XV wieku po raz pierwszy niemieccy górnicy zastosowali rozwidloną gałąź przy poszukiwaniu minerałów w górach Harzu. W następnym wieku sprowadzeni do Anglii zaczęli ją tam stosować. W Anglii przeniesiono tę praktykę z minerałów do poszukiwań wody.

Pod koniec XVII wieku różdżkarstwo rozpowszechniło się w Anglii i w całej Europie i stało się przedmiotem gwałtownych sporów między uczonymi. Często różdżkarze używali takich zaklęć, jak: „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, ile sążni jest stąd do wody?” Mimo to Kościół w dalszym ciągu marszczył brwi na te praktyki. W roku 1659 jezuita, Gaspard Schott, napisał książkę potępiającą różdżkarstwo, jako sprawę szatana, lecz później zmienił zdanie na korzyść teorii o nieświadomej czynności mięśni. Słynny różdżkarz XVII wieku, baron de Beausoleil, był oskarżony o czary i umarł w więzieniu. W roku 1701 święta Inkwizycja wydała dekret przeciwko używaniu wróżebnych różdżek w procesach kryminalnych.

W wieku XVIII - wieku oświecenia - różdżkarstwo stało się zwykłą i szanowaną praktyką, nie mającą już nic wspólnego ze sztuką diabła. Pierwsze większe „naukowe” studium z tej dziedziny pojawiło się w roku 1891; autorem jego był sir William F. Barrett, profesor fizyki w Wyższej Szkole Technicznej w Irlandii. Jedną z głównych pozycji o tym przedmiocie jest *The Dowsing Rod* (Różdżka czarodziejska), pióra Barretta i Theodore'a Bestermana, opublikowana w roku 1926. Teza książki głosi, że obrót różdżki zawdzięcza się nieświadomej czynności mięśni różdżkarza, który posiada nadprzyrodzoną zdolność wyczuwania obecności wody.

W latach 1909-1943 francuski pisarz Henri Mager wydał serię publikacji o różdżkarstwie, w których rozwijał teorię, że różdżka jest podatna na fale elektromagnetyczne. Angielski przekład jego książki pt. *Water Diviners and their Methods* (Różdżkarze wodni i ich metody) był opublikowany w roku 1931. W Anglii dwaj członkowie Brytyjskiego Stowarzyszenia Różdżkarzy, J. Cecil Maby i T. Bedford Franklin, przeprowadzili szereg eksperymentów. Ich 452-stronicowa książka *The Physics of the Dowsing Rod* (Fizyka różdżki), wydana w roku 1939, również broni poglądu, że fale radiowe są przyczyną tych zjawisk.

Chociaż literatura o różdżkarstwie jest tak ogromna, że można by zestawić bibliografię bibliografii tego przedmiotu, jednak najbardziej znamienita ze wszystkiego co zostało napisane, jest pewna współczesna książka stanowiąca 534-stronicowy traktat pt. *Psychical Physics* (Fizyka psychiki), napisany przez dra Solcola W. Trompa, profesora geologii na Uniwersytecie Fauda I w Kairze, wydany w roku 1949 w Holandii.

Notatka wydawcy podaje, że dr Tromp urodził się w roku 1909, doktoryzował się z geologii w roku 1932 w Uniwersytecie Leydeńskim w Holandii i został mianowany profesorem na Uniwersytecie Fauda I w roku 1947. Swoje eksperymenty różdżkarskie prowadził najpierw w Lejdzie, a potem w Delft, w Holandii. Badania te przekonały go, że różdżkarstwo jest zjawiskiem realnym, występującym dzięki polom elektromagnetycznym, które otaczają podziemne złoża. Te pola - jak twierdzi - wywołują podobne pola w mózgu różdżkarza. Książka zawiera setki sugestywnych wykresów, tablic i diagramów, wraz z 25 stronicami elektrokardiogramów, otrzymanych za pomocą elektrod przytwierdzonych do rąk różdżkarzy.

Pierwsza część przyciężkiego dzieła Trompa jest poświęcona polom elektromagnetycznym w atmosferze ziemskiej, pod ziemią i w otoczeniu żyjących organizmów. Różdżkarstwo objaśnia się w jakiś sposób jako wzajemne oddziaływanie tych pól. Tromp jest przekonany, że różdżkarz nie tylko potrafi lokalizować podziemne złoża, lecz może także odróżniać płeć człowieka. Jeżeli różdżkarz stanie po lewej stronie spoczywającego mężczyzny i pozwala swojej różdżce chwiać się nad jego głową, prawa ręka badającego uniesie się wyżej niż lewa. Jeżeli spoczywającą osobą jest kobieta, lewa ręka znajdzie się wyżej. U niektórych różdżkarzy ręce przybierają położenie odwrotne. Można by myśleć, że to wprawi w kłopot dra Trompa. Wcale nie. Sądzi on po prostu, że ręce różdżkarza mają „odwrotną biegunowość”.

Dobry różdżkarz może otrzymać prawidłową reakcję na płeć po wielu nawet godzinach czy dniach, z krzesła lub z łóżka, na którym dana osoba spoczywała. Dr Tromp nazywa to „zjawiskiem cienia”.

Materiał, z którego różdżka jest wykonana, nie gra roli. Służy ona, zdaniem Trompa, tylko jako wskaźnik działania mięśni. Jeżeli różdżkarz przed pracą zamoczy ręce w gorącym roztworze soli, jego zdolność „wrośnie niepomierne”. Ale jeżeli różdżkę uziemi się miedzianym drutem, traci on tę zdolność całkowicie. Jeżeli na ręce różdżkarza padają promienie słońca, operacja przebiega z trudem. Noszenie podszew gumowych natomiast podwyższa wrażliwość.

Dr Tromp przyznaje, że niekiedy różdżkarzom próby nie udają się, lecz to go nie martwi. Znajduje on kilkadziesiąt przyczyn, które mogą wywołać niepowodzenia: zmęczenie, brak skupienia, zły stan psychiczny, zmartwienie, zbyt duże tarcie na podszewkach butów, różne rodzaje zaburzeń atmosferycznych, obecność w pobliżu przewodów elektrycznych, wilgotność gruntu itd. „Drzewa i ich korzenie są najczęściej przyczyną zaburzeń, które przeszkadzają dokładności pomiarów” - pisze. Nic też dziwnego, że w swoich eksperymentach próbował on uwzględnić te wszystkie okoliczności. Są one bowiem tak liczne i nieuchwytnie, że bardzo łatwo mógł nimi usprawiedliwić każde różdżkarskie niepowodzenie. W całym tomie nie ma przytoczonego ani jednego przypadku, który mógłby uchodzić za doświadczenie kontrolowane.

Duży dział w jego książce poświęcony jest dziedzinie bardzo podobnej do różdżkarstwa, której przyczyną jest również elektromagnetyzm. Zjawisko to, zwane pospolicie radiestezją, polega na wykorzystaniu małego wahadła, złożonego z ciężarka zawieszzonego na łańcuszku albo na nici. Zwykle ciężarkiem jest pierścionek lub drobny kawałek metalu, chociaż, podobnie jak i przy różdżkach, dopuszcza się tu wielką różnorodność materiałów.

Radiestezja rozwinęła się, jak się zdaje, najpierw w Europie, w wieku XVIII przy diagnozach lekarskich. Nad pacjentem zawieszano wahadło, które bez żadnego świadomego wysiłku ze strony operatora, zaczynało się tajemniczo kręcić. Niekiedy wirowało wkoło. Rodzaj tych obrotów miał określać chorobę pacjenta. Później to urządzenie było szeroko stosowane przy lokalizowaniu podziemnych minerałów i zakopanych skarbów.

Dr Tromp przyjmuje, że każdy na świecie przedmiot ma charakterystyczną „aurę”, czyli pole elektromagnetyczne. Osoba wrażliwa na to pole, nieświadomie przenosi swoje doznania na czynność mięśni, a to z kolei wprowadza ciężarek w ruch. Wahadła można używać - jak utrzymuje Tromp - do rozpoznawania metali, obrazów poszczególnych artystów, papierów o odmiennych kolorach, lekarstw, roślin, tudzież płci.

Wahadło, według Trompa, obraca się nad kobietą w kierunku wskazówek zegara, w kierunku zaś przeciwnym - nad mężczyzną. Nie wspomina on jednak, że u wielu operatorów ruch obrotowy w dowolnym kierunku oznacza kobietę, a ruch wahadłowy - mężczyznę. Inni znów podają ruch po kole dla mężczyzny, a po elipsie dla kobiety. Takie samo „zjawisko cienia” otrzymuje się nad miejscem, gdzie ktoś przebywał, nad moczem lub nad łonem ciężarnej kobiety.

Książka Trompa kończy się rozważaniami nad instynktem wędrowek niektórych ptaków i ssaków oraz nad innymi zjawiskami, które, jak sądzi, można tłumaczyć oddziaływaniem elektromagnetycznym. Stygmaty mistyków religijnych, telepatia, przechodzenie przez ogień, psychometria i wpływ przeżyć matki na jej jeszcze nieurodzone dziecko - wszystko to są zagadnienia, przy których badaniu powinno się mieć na względzie pole elektromagnetyczne.

„Znacznej większości uczonych XX wieku zdaje się brakować odwagi i fantazji do podejmowania problemów, które na pierwszy rzut oka wydają się niewiarygodne...” - tak kończy on swą książkę. „Tylko wyłamujący się z szablonu uczoney może zapewnić istotny postęp w nauce”. Ostatnie stronicie podają bibliografię złożoną z 1496 tytułów, z których 700 odnosi się do różdżkarstwa i radiestezji.

Wskaźnikiem popularności radiestezji w dzisiejszej Anglii i Europie jest liczba towarzystw i periodyków, poświęconych tej dziedzinie. W Anglii wychodzi miesięcznik pod nazwą „Pendulum” (Wahadło). Podobne publikacje ukazują się we Francji i w Niemczech, a ostatnio dwa nowe czasopisma poświęcone radiestezji pojawiły się we Włoszech. „Mamy teraz tak wielu uczonych, którzy wierzą w różdżkarstwo pisał Charles Fort - iż podejrzewam, że to jednak może być tylko bajką”.

W roku 1936 niemieckie i włoskie władze wojskowe poważnie rozważyły możliwość zastosowania wahadła przy poszukiwaniu wody, i nawet podczas ostatniej wojny Niemcy zaczęli je w północnej Afryce stosować. Radiestezja fascynowała pseudouczonych, którzy ogromnie rozplenili się w hitlerowskim wojsku. Istnieją dokładne dane, że w niemieckiej flocie wojennej nad olbrzymimi mapami północnego Atlantyku rzeczywiście puszczano w ruch wahadła, usiłując zlokalizować nieprzyjacielskie okręty wojenne!

Doktor Tromp patrzy krzywym okiem zarówno na ten typ radiestezji na dalekie odległości, jak i na używanie wahadła albo różdżki nad fotografiami. To nie pasuje do jego teorii elektromagnetycznej.

Jeden z ulubionych argumentów wyznawców różdżkarstwa, powtórzony przez Trompa, głosi, że coś, co utrzymuje się tak długo, musi jednak coś znaczyć. Zważmy, że astrologia ma za sobą znacznie dłuższą historię, toteż jej zwolennik miałby prawo przyznać jej tym bardziej uzasadnioną podstawę. Taka jest prawdziwa pozycja Trompa. We wcześniejszej książce *The Religion of a Modern Scientist* (Religia nowoczesnego uczonego), wydanej w roku 1947, dowodzi on, że planety i gwiazdy mogą wpływać na ziemskie pola elektromagnetyczne, a te z kolei mogą kształtować charakter i przyszłość człowieka. Sądzi on jednak, że astrologowie dopuścili do ciężkiego błędu, używając daty urodzenia człowieka, zamiast daty zapłodnienia! Ten błąd przekreśla większą część astrologii historycznej, lecz Tromp przypuszcza, że da się to naprawić i nadać astrologii podstawę doświadczalną. Są tam również fotografie noszące takie tytuły: „Kapilarne obrazy roztworu azotanu srebra, siarczanu żelaza i azotanu ołowiu, na dwie godziny przed koniunkcją Saturna z Księżycem”.

W porównaniu z napuszoną „uczonością” *Psychical Physics* Trompa, późniejszą książkę Kennetha Robertsa pt. *Henry Gross and Dowsing Rod* (Henry Gross i jego różdżka), wydaną w roku 1951, czyta

się niemal jak powieść fantastyczną. Oczywiście Roberts nie stara się uchodzić za uczonego - co często wygrywali przeciwko niemu jego liczni przeciwnicy. Przyjmuje on, na przykład, teorię, że podziemne żyły wodne nie mają związku z wodami powierzchniowymi, lecz pochodzą z olbrzymich „kopuł”, które są tłoczone do góry z wielkich głębokości. Przypuszcza, że jedna z tych kopuł wydobywa się z głębokości 57 500 stóp. Na tej głębokości wysoka temperatura wnętrza Ziemi zamieniałaby wodę w parę i powstałyby z tego gejzery, a nie źródła. Oczywiście, że cała koncepcja wody tłoczonej do góry, do kopuł, jest z punktu widzenia geologii absurdalna. Co gorsza, Roberts sugeruje, że kopuły takie są unoszone... „przez ten sam rodzaj ciśnienia, który unosi naftę...”. Roberts, jak widać, nie zna elementarnego zjawiska geologicznego, że nafta pływa na wodzie i dlatego „jest wypychana do góry, aż zostanie ujęta w odwrócone czasie nieprzepuszczalnej skały”.

Roberts jest autorem popularnych powieści historycznych. Zanim odniósł sukcesy jako powieściopisarz, był redaktorem „Saturday Evening Post”. Choć od dawna interesował się różdżkarstwem - nie oddawał się mu ze zbytnim zapałem, aż do czasu, kiedy odkrył różdżkarskie uzdolnienie Henry Grossa. Historia gwałtownie wzrastających sukcesów Grossa stanowi właśnie treść książki Roberta, w której oświadcza, że „jeżeli świat lepiej zrozumie i pełniej wykorzysta potencjalne możliwości różdżki, może to mieć znaczenie na miarę elektryczności czy energii jądrowej”.

„Dlaczego - zapytuje - uczeni tracą czas, energię i pieniądze na wątpliwe eksperymenty z różdżkarzami, a nie skierują swych wysiłków na zbadanie samego zjawiska różdżki - zjawiska bezcennego, choć tajemniczego, które, właściwie wykorzystane, usunęłoby wojny, poruszyło góry, zamieniło pustynie w ziemie obfitości, nakarmiło głodnych, uzdrowiło chorych i zmieniło oblicze świata?”

Henry Gross, którego „góry z posad poruszająca” siła zwróciła na siebie uwagę Roberta, jest przysadziстым, siwowłosym gajowym, w okularach, zamieszkałym w Biddeford, w stanie Maine. Roberts zaś mieszka na pobliskiej fermie w Kennebunkport. Kiedy pożary lasów w roku 1947 wywołały w tej okolicy posuchę, Roberts zwrócił się do różdżkarza Grossa, by wyszukał dla niego nowe źródło. Dokładność pracy Henry'ego zrobiła na nim takie wrażenie, że dostarczył mu zagranicznych książek o różdżkarstwie i radiestezji Gross oczarowany tą lekturą, zaczął robić doświadczenia ze swoim talentem i w niespełna 3 lata rozwinął się w jednego z najbardziej fantastycznych superróżdżkarzy wszystkich czasów.

Gross nie tylko jest w stanie wyznaczyć kręty bieg podziemnych cieków wodnych, lecz również podaje dokładną głębokość wody, jej kierunek i szybkość przepływu oraz określa przydatność do picia. Swoje informacje otrzymuje przez zadawanie różdżce pytań, na które następuje odpowiedź potwierdzająca lub zaprzeczająca. Różdżka na „tak” odpowiada pochyleniem, zaś na „nie” pozostaje bez ruchu. Mimo, że Gross najchętniej używa świeżo wyciętego patyka klonowego, jednak potrafi pracować na każdym materiale - nawet na długim źdźbłe trawy. Gumowe rękawiczki ani buty na gumowej podeszwie nie mają wpływu na jego pracę.

W roku 1949 Henry Gross zauważył, że aby wyznaczyć żyłą wodną, nie musi on wcale być obecny na badanym obszarze; może nawet znajdować się o wiele mil stamtąd. Roberts wylicza szereg różdżkarskich sukcesów Henry'ego na daleki dystans. Najbardziej przekonujący z nich zdarzył się w roku 1950. Gross przebywający w Kennebunkport zdołał na odległość 800 mil oznaczyć trzy źródła słodkiej wody na Bermudach. Pani Roberts posuwała ołówkiem nad mapą Bermudów, a różdżka Henry'ego pochylała się, gdy ołówek dotykał właściwych) punktów. Choć Bermudy nie miały

w owym czasie ani jednego źródła słodkiej wody i cierpiały od srogiej suszy, określenie Henry'ego okazały się potem prawidłowe.

Pewnego razu badał on różdżką mapę Afryki i ustalił pod Saharą ogromną żyłą wodną, która przebiegała przez zachodnioafrykańskie wzniesienie i uchodziła do Zatoki Gwinejskiej! Niestety, nie zostało to dotychczas sprawdzone. „Do licha! - zawołał Gross, gdy skończył wykreślać tę podziemną rzekę - tam chciałbym pojechać i pracować. Niewąska to struga!”.

Henry nie tylko może znaleźć wodę, ale potrafi również za pomocą różdżki odnajdywać ludzi. Jeśli idzie z wizytą do przyjaciół, nie musi naciskać dzwonka, by przekonać się, czy są w domu - różdżka powie mu to dokładnie. Może odnajdywać ludzi ukrytych w lesie, lub wykrywać zgubione przedmioty. Pewnego razu odnalazł na głębokości 16 stóp zatopiony motor.

Przy innej sposobności Gross i Roberts robili doświadczenia z trunkami. Jeżeli Henry dotknął końcem swej różdżki butelki z żytniówką, to różdżka w dalszym ciągu mogła drgnąć tylko nad tym samym gatunkiem trunku.- Jeżeli dotknął burbonu (whisky z kukurydzy), skinienie następowało tylko nad burbonem itd. Nie musiał nawet zamaczać końca pręta w tym napoju. Samo tylko dotknięcie zapieczętowanej butelki brandy sprawiało, że różdżka wychylała się tylko nad innymi butelkami brandy. „Trudno przypuszczać - pisze Roberts - że emanacje szkockiej whisky lub brandy mogą przeniknąć przez butelkę szklaną, musimy natomiast wziąć pod uwagę, że emanacje z północnego bieguna magnetycznego mogą przenikać zgoła wszystko...”.

Pod wpływem lektury o radiestezji Gross rozpoczął doświadczenia z wahadłem i uznał, że przyrząd ten działa bez zarzutu. Jednak inaczej, niż inne wahadła; ruchem obrotowym poruszało się ono nad męskimi cechami anatomicznymi, w przód zaś i w tył nad żeńskimi. Roberts podaje, że kiedy Henry po raz pierwszy kręcił wahadłem nad jego dłonią „...poczułem pewne zdrętwienie... które stało się tak dotkliwe, jak elektryczny wstrząs, więc wyrwałem rękę...”. Wahadło w dłoni Henry'ego oznaczało prawidłowo płęć zwierząt, jaj, a nawet ludzi na fotografiach. Był jednak pewien ciekawy wyjątek: jeżeli krew kobiety zawierała ujemny czynnik Rh, wahadło dawało reakcję męską.

Co sądzić o tym wszystkim? Oczywiście, trudno jest poddać próbie świadectwo, przedstawione w formie zbeletryzowanej przez człowieka żarliwie wierzącego w zjawiska, o których pisze. Lecz, stosując „taryfę ulgową” dla argumentacji Roberta, nie grzeszącej zresztą ścisłością (istotne luki, mimowolna przesada itp.), wydaje się możliwe wyciągnięcie tu pewnych wniosków.

Nic nie wskazuje na to, by Henry Gross był szarlatanem czy mistyfikatorem. Wydaje się on prosty i uczciwy, zdumiewa go własne szczególne uzdolnienie, ale zarazem jest głęboko zaciekawiony. Z drugiej strony wszystko wskazuje, że Gross, nie zdając sobie z tego sprawy, przekazuje swoje myśli różdżce czy wahadłu, przez podświadome ruchy mięśni.

Bezwiedne przekazywanie myśli czynnościom mięśni jest jednym z najmocniej ugruntowanych faktów w parapsychologii. U osobników szczególnie na to wrażliwych, może powodować takie zjawiska „okultystyczne”, jak ruchy na tablicach Ouija zaopatrzonych w alfabet, stukające stoliki i automatyczne pisanie. W zawodzie magików ten typ odczytywania myśli znany jest jako „czytanie mięśniowe”. Ktoś chowa szpilkę w pokoju, a szukający po wzięciu za rękę chowającego odnajduje ją szybko. Ten sądzi, że jest prowadzony przez magika, ale w istocie -to magik pozwala się prowadzić chowającemu przez podświadome mięśniowe napięcie. Wielu słynnych „mięśnioczytów” potrafi

nawet bez fizycznego kontaktu odnaleźć ukryty przedmiot, ograniczając się do obserwowania reakcji widzów na sali.

Skoncentruj się intensywnie na palcach twojej lewej stopy. Czy czujesz, jak je zlekka zginasz, albo przynajmniej powstrzymujesz silne pragnienie, by to zrobić? Wielu ludzi nie może czytać bez lekkich ruchów warg. Jeden z najdziwniejszych pokazów podświadomych reakcji mięśniowych można przeprowadzić z wahadłem domowej roboty. Doskonale do tego nadaje się pierścionek zawieszony na dwustopowej (ok. 60 cm) nitce. Powiedz sobie, że będzie on krążył wokoło nad ręką kobiety, a odchyłał się tam i z powrotem nad ręką mężczyzny - potem wypróbuj to sam. U większości ludzi działa to na tyle sprawnie, że od dziesiątków lat sprzedaje się takie wahadła w sklepach z nowościami, jako „wskaźniki płci”. Można to wytłumaczyć oczywiście tym, że nieświadome i niewidoczne ruchy twojej ręki wystarczają, by zapoczątkować obrót wahadła w taki sposób, w jaki spodziewasz się, że się ono będzie poruszać. Na takiej samej dokładnie zasadzie działa różdżka. Pręt jest mocno trzymany w rękach. Chociaż pozostaje on w pozycji pionowej, jest tak czule wyważony, że najlżejsze drgnienie mięśni skieruje go nagle w dół. Nic też dziwnego, że dobremu różdżkarzowi prawie zawsze udaje się również eksperyment z wahadłem.

Zastanówmy się, jakie mogą być wyniki prób, kiedy różdżkarz lub „wahadłowicz” nie wie z góry, jak się zachowa jego instrument. Ilekroć próby takie przeprowadzano w warunkach kontrolowanych, wyniki były zgodne mniej więcej z teorią prawdopodobieństwa. Nawet Kenneth Roberts w swej bardzo stronniczej książce podaje liczne przypadki niepowodzeń Henry Grossa, które zdarzyły się wówczas, gdy stworzono warunki zbliżone do doświadczenia naukowego. Henry na przykład nie potrafił odróżnić kamiennych dzbanów z wodą od takich samych dzbanów z piaskiem, kiedy były schowane w papierowych torbach. Nie umiał odróżnić kopert z bilonem, leżących na ziemi, od kopert pustych. Jeżeli końcem pręta dotknięto monety i zrzuciono ją na podłogę, różdżka Henry'ego wskazywała ją; jeżeli natomiast ktoś ukrył w ręku monetę za plecami, a potem przeniósł ręce do przodu, Henry zupełnie nie potrafił określić, w której ona garści się znajduje.

Jeżeli do jednych pudełek włożono monety, a do innych nie, nie potrafił on odróżnić jednych od drugich. Kiedy Henry usiłował odnaleźć złote zegarki i broszki zakopane pod darnią, wyniki nie były zadowalające. Kiedyś wydało się Henry'emu, że jego laska (w której zakończeniu osadził kawałek złota) odkryła w strumyku przy jego domu rudę złotodajną. Rudę wysłano do analizy lecz okazało się, że nie zawiera złota. Roberts wyjaśnił niepowodzenie tym, że woda poprzednio przepływała po złotodajnej rudzie, a potem po skale, zostawiając w niej ślady złota, akurat dostateczne, by oddziaływać na różdżkę Henry'ego! Wobec tego, że Roberts nie tłumaczy, skąd on to wie, jego wyjaśnienie ma zgoła niewielką siłę przekonywania. W innym przypadku profesor Joseph B. Rhine z Uniwersytetu Duke przeprowadził serię prób, w których Henry usiłował określić, czy woda w rurze płynie, czy nie. Niepowodzenie było kompletne.

Roberts stara się wyjaśnić to dwojako. Po pierwsze, sądzi on, że woda po przekręceniu zaworu nie przestaje poruszać się w rurze, lecz pozostaje w stanie „wzburzenia”. Po wtóre Rhine badał Grossa w sztucznych warunkach. Potem, jak pisze, pluł sobie w brodę, że nie wpadł na pomysł wybudowania kwadratowej platformy o boku 20 stóp, pokrytej ziemią, z przepuszczonym pod nią węzłem gumowym. Można by pod platformą wyginać go w różne strony, a zadaniem Henry'ego byłoby określić te wygięcia, chodząc po platformie. W tych warunkach Roberts jest pewny, „że różdżka Henry'ego działałaby bezbłędnie... Niestety, nie przyszło mi to do głowy”.

Naprawdę, niestety! Odgadnąć położenie węża z dokładnością stuprocentową - oto byłby właśnie ów efektowny eksperyment, którego książce tak bardzo brakuje. Przecież uczony z prawdziwego zdarzenia wzruszy ramionami na zapewnienie Roberta o wyniku doświadczenia, którego nie było! Niestety, obawiamy się, że nigdy go nie będzie. Nie wydaje się też, by Henry zechciał spróbować na ślepo doświadczenia proponowanego mu kiedyś przez mądrego profesora z Uniwersytetu Massachusetts. Jest ono nawet prostsze: niech Henry ustali miejsce, w którym jego różdżka silnie się wychyla. Potem, po dokładnym zawiązaniu oczu, zostanie oprowadzony po tym samym terenie, żeby sprawdzić, czy pręt drgnie ponownie w tym samym miejscu. Czy może być coś bardziej „fair”?

Gdy w którymś z wyżej przytoczonych doświadczeń różdżka Henry'ego doznawała niepowodzeń, reakcja Roberta była bardzo charakterystyczna. Może starał się on zachęcić swego partnera, aby na podstawie innych eksperymentów, jak na przykład z węzłem gumowym, wykazał, że jego zdolności mają jakąś podstawę naukową? Nic podobnego. Zamiast tego Roberts pisze: „Jeżeli... eksperymenty nic nie dowiodły uczynom, mnie udowodniły one bardzo wiele. Wykazały przede wszystkim, że przy dalszym eksperymentowaniu powinienem mieć jak najmniej do czynienia ze sceptykami”.

Zastosowanie zdolności Henry'ego do operowania wahadłem skończyło się równie smętnie. W oddziale położniczym głównego szpitala stanu Maine przeprowadził on badanie z wahadłem na 16 ciężarnych kobietach. Po porodach ścisłość jego przepowiedni została sprawdzona. Na 16 prognoz Henry miał słuszność tylko w 7 przypadkach. Siostrzenica Roberta w podobnej próbie z 11 kobietami uzyskiwała właściwie lepsze wyniki. Przewidziała prawdziwie 9 przypadków, a jedno z fałszywych ustaleń, jak potem stwierdzono, dotyczyło ujemnego czynnika krwi Rh.

Jeśli chodzi o sukcesy Henry'ego przy poszukiwaniu wody, wiele okoliczności składa się na to, że jego praca wydaje się bardziej zdumiewająca, niż to jest w rzeczywistości. Przede wszystkim na powierzchni ziemi istnieje sporo wskaźników, które dla człowieka gruntownie obeznanego z terenem stanowią klucz do wody podziemnej. Gajowy Gross na pewno dobrze znał badany obszar i bez wątplenia jest bystrym i inteligentnym człowiekiem. Na stronie 46 mówi się, że wyznaczył on żyłą wodną aż do miejsca, „które zawsze «zawadzało» obsłudze fermy, z racji swojej wilgotności”. Zaś na stronie 276: ustalił on miejsce do wiercenia tam, gdzie żyła wodna była tak blisko powierzchni, „że otaczające krzaki i darnina, mimo silnej posuchy, były wilgotne i zielone”. Gross - jak łatwo można stwierdzić - doskonale orientował się w glinach, osadach muszlowych, piaskach i innych formacjach geologicznych tak charakterystycznych dla tego rejonu. I mimo że nie zdawał sobie z tego sprawy, mógł z łatwością odczytywać ważne geologiczne wskazówki z otoczenia, które tak dobrze znał.

W wielu przypadkach, kiedy różdżka Henry'ego miała potwierdzić wiadomości już posiadane przez kogoś, można przypuszczać, że działał on jako nieświadomy „mięśnioczyt” - uzyskując wskazówki z reakcji tych ludzi i przekazując je swoim ręką.

Najważniejszą jednak okolicznością jest prosty fakt, że jeśli się kopie dość głęboko, to prawie zawsze trafia się na wodę. Woda blisko powierzchni występuje znacznie częściej, niż można by przypuszczać, i szanse znalezienia jej na małej głębokości, w miejscu wyznaczonym na chybił-trafił, są w wielu rejonach bardzo duże. W rzeczywistości woda rzadko ukazuje się w „żyłach” (poza przypadkami, kiedy szczeliny skalne lub wydrążenia na to pozwalają). Występuje tylko niestała porowatość podłoża wodonośnego, która zmienia się z roku na rok i z sezonu na sezon. Na wielu obszarach trudno jest uniknąć znalezienia wody gruntowej, chociaż rzadko występuje ona w takiej ilości, aby zaopatrzyć obiekt większy, niż miejscowe gospodarstwo.

Bermudy są właśnie takim obszarem. Na tego rodzaju wapiennych wyspach słodka woda deszczowa przesącza się w głąb poprzez porowatą skałę i unosi się nad słoną wodą gruntową. W każdej części wyspy studnia dokopana do tego miejsca dosięgnie słodkiej wody, chociażby w małych ilościach. Roberts wyraził raz reporterom opinię, że woda, którą Henry znalazł na Bermudach, pojawiła się z podziemnych cieków, biorących początek na kontynencie północno-amerykańskim!

Nawet uwzględniając przesadę Roberta w operowaniu danymi, trzeba zauważyć, że przytacza on kilka przypadków walnych niepowodzeń w różdżkarstwie wodnym Henry'ego. Jednak, podobnie jak dr Tromp, na wszystko znajduje usprawiedliwienia. W jednym przypadku, gdy Henry przewidział wodę na głębokości 16 stóp, okazała się ona zaledwie na głębokości 6 stóp, ale wynikało to z tego, że „żyła wodna natrafiła na przeszkodę i stworzyła strefę ciśnienia”. W innym przypadku użycie dynamitu odchyliło żyłę. Innym powodem były wstrząsy przy wierceniu, które zepchnęły wodę z jej trasy. Nawet ciężar spychacza poruszającego się po ziemi może, według Roberta, rozdzielać i odchyłać żyły. Jeśli nie można wykopać studni bez wywołania w ziemi takich zaburzeń, to nietrudno znaleźć wytłumaczenie niepowodzeń. Skoro woda jest - mniejsza o to, w jaki sposób miejsce zostało wybrane - to świetnie. Skoro jej nie ma - to żyła została „odchylona”. A skąd Roberts wie, że tak się stało? Bo nie było jej tam, gdzie, wg Henry'ego, miała być, a on nigdy się nie myli.

Ocena głębokości - trzeba to podkreślić - jest nadzwyczaj trudna do sprawdzenia. Roberts często mówi, że prognozy Henry'ego były dokładne co do cala, chociaż każdy, kto próbował zmierzyć głębokość źródła wody w studni, wie, jak nedorzeczna jest taka dokładność. W pewnych przypadkach Henry mylił się o wiele stóp, jak przy jednym ze źródeł na Bermudach. Z Kennebunkport określił tę głębokość na 15 stóp. Jego ocena na miejscu wykazała 30 stóp. W końcu znaleziono wodę na głębokości aż 73 stóp.

Pomiary szybkości przepływu są jeszcze trudniejsze, a do tego odznaczają się dużymi sezonowymi wahaniami. Thomas Riddick, inżynier budownictwa wodnego, pisze w swoim artykule pt. *Dowsing Is Nonsense* (Różdżkarstwo jest nonsensem) („Harpers”, lipiec 1951): „W całej Ameryce nie znajdzie się inżyniera wodnego, który by mógł określić wydajność studni z dokładnością do ćwierć galona na minutę, nawet po 48-godzinym próbnym pompowaniu, przy najdokładniejszych pomiarach”. Zbytecznie jest mówić, że po prognozach Henry'ego, orzekających z dokładnością kwarty na minutę, rzadko się robi tak staranne pomiary.

Różdżkarstwo wodne nie jest ani nieszkodliwym ani tanim przysądem. Dotychczas masy różdżkarzy w całym świecie pobierały za swoje usługi nie najgorsze opłaty. Obecnie Roberts i Gross założyli spółkę pod nazwą „Water Unlimited Inc.”, która za wyznaczenie jednej studni żąda minimum 100 dolarów (plus koszty podróży). W pewnych przypadkach koszt może dochodzić do tysiąca.

Większe jeszcze koszty związane są z użyciem wahadła i innych, bardziej skomplikowanych urządzeń służących do szukania ropy naftowej. Od wczesnych lat przemysłu naftowego, aż do dnia dzisiejszego, plagą geologów i przemysłowców naftowych są szarlatani i maniacy, posługujący się różnymi urządzeniami służącymi jakoby do nieomylnego wykrywania nafty. „Naftoczuje” (bil smellers) - tak nazwano początkowo te przyrządy, które później uzyskały miano doodlbug.

Zwykle tym, który płaci, jest łatwowierny farmer. Wygadany operator przyrządu żąda za zbadanie działki od 10 dolarów do małej fortuny. Potem, kiedy przedsiębiorstwo naftowe wierci już na jego gruncie, spotyka się często z protestem właściciela, który upiera się, że studnia została wyznaczona

przez firmę błędnie. Przed dziesięciu bowiem laty farmer opłacił „geologa”, który zbadał teren i wskazał dokładnie, gdzie jest nafta.

W wielu przypadkach operatorzy bezgranicznie wierzą w swój przyrząd. Są też dumni ze swego braku technicznych umiejętności i wrogo nastawieni do zawodowych geologów, którzy, według nich, niechętnie otwierają swoje umysły na przyjęcie czegoś nowego.

Niekiedy utrzymują, że ich wynalazek został zbadany przez jakiegoś światowej sławy uczonego (zwykle znajomego), który przyznał, że nie mógł pojąć, w jaki sposób przyrząd działa. Większość nowoczesnych „wykrywaczek” działa na zasadzie grawitacji, albo też przez wykrywanie jakichś mętnych rodzajów promieniowania elektromagnetycznego, wysyłanego przez naftę. Przyrządy te są nieraz starannie opracowane i pięknie skonstruowane. Oczywiście, jedynym człowiekiem, zdolnym do prawidłowej obsługi przyrządu jest sam wynalazca. Jeżeli próbna studnia została rzeczywiście odwiercona według wskazówek „wykrywaczki”, a otwór okazał się suchy, operator (jeśli można go jeszcze odnaleźć) zawsze ma w pogotowiu odpowiedź: przyczyną błędnego orzeczenia stał się jakiś rodzaj „zakłócenia”, zachodzącego w tym obszarze.

Pewien geolog naftowy w Tulsa przysłał mi egzemplarz listu obiegowego, który otrzymali nafcjarze w tym mieście, na początku roku 1952. Ponieważ jest on typowy zacytujemy fragment:

„Lata intensywnych studiów geologicznych, zarówno w górnictwie, jak i w przemyśle naftowym... dały mi szeroką wiedzę... wydałem przeszło 100 000 dolarów i poświęciłem lata badań na opracowanie specjalnej metody magnetycznej lokalizacji... która gwarantuje niezawodność w ponad 90 procentach.

...zdecydowałem zaoferować moje usługi i moje szerokie doświadczenie kilku wybranym, niezależnym nafcjarzom... Moje warunki są bardzo umiarkowane, skoro się zważy, jak wiele milionów przedsiębiorca może zarobić na zastosowaniu mojej metody...

...Mój czas jest bardzo ograniczony, tak że, jeśli Pana to interesuje...”.

Jego honorarium za ogólne zbadanie działki wynosi 1000 dolarów.

Szansę odkrycia nafty w „dzikim” szybie są oczywiście znacznie mniejsze, niż znalezienie wody w „dzikiej” studni. Lecz, jak można oczekiwać, zdarzają się przypadki powodzenia - a żaden nie był bardziej fantastyczny, niż odkrycie pól naftowych West Edmond, w środkowej Oklahomie, w roku 1943.

Otwór badawczy został odwiercony przez poszukiwacza nafty nazwiskiem Ace Gutowski, za pieniądze „Spółki Browarniczej Fox” w Chicago. W jaki sposób Ace zlokalizował działkę wiertniczą? Oto dzięki farmerowi J. W. Youngowi mieszkającemu w tej okolicy. Miał on butelkę pokrytą safianem i napełnioną tajemniczą substancją, której składu nie chciał ujawnić. Butelka była zawieszona na łańcuszku i miała tę właściwość, że kołysała się w kierunku północ-południe nad naftą, wschód-zachód zaś nad słoną wodą.

Pewien geofizyk, mój bliski znajomy, widział w roku 1944, jak Young demonstrował tę swoją „wykrywaczkę” w restauracji w Edmond. Butelka kołysała się nad próbkami piasku. Działała bez

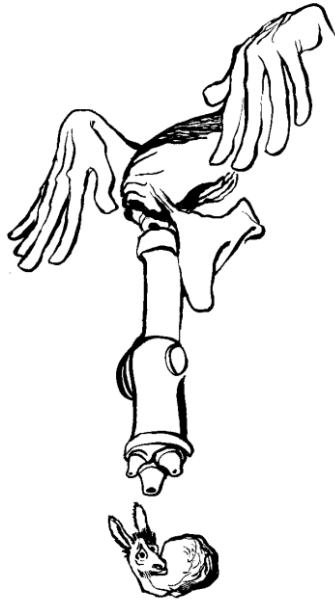
zarzutu, lecz mego znajomego uderzył fakt, że Young cierpiał na pewien rodzaj paraliżu, który sprawiał, że jego podniesiona ręka wyraźnie drżała.

Niemniej jednak otwór Gutowskiego zapoczątkował największe pole naftowe odkryte w Oklahomie w ciągu dwudziestu lat! Co więcej, pole znajdowało się pod strukturą geologiczną takiego typu, że byłoby ono nie do odkrycia zwykłymi geologicznymi i geofizycznymi metodami.

Lecz historia ta ma swoją pointę. Fermer Young, w niezachwianej wierze w swoją „wykrywaczkę” . kupił w tej okolicy kawał gruntu. Nowe pole naftowe rozszerzało się stopniowo, aż doszło w końcu do działki Younga. I tu zatrzymało się. Na ziemi Younga odwiercono pierwszy suchy otwór w historii tego pola.

Rozdział IX

Pod mikroskopem



Podobnie jak niektórzy astronomowie spoglądając przez teleskopy potrafią niekiedy dostrzec rzeczy, których inni astronomowie nie dostrzegają (np. Lowell i kanały na Marsie), tak pewni biolodzy patrząc w swoje mikroskopy obserwują szczególne zjawiska, które wszakże wymykają się ich kolegom. W jednym z dalszych rozdziałów dowiemy się, jak wybitny austriacki psychiatra Wilhelm Reich był rzekomo świadkiem tworzenia się pierwotniaków z cząstek zwanych przezeń „bionami” (patrz rozdział XV). Tutaj przedstawimy pokrótce kilka bardziej jeszcze dziwacznych relacji o podobnych mikroskopowych cudach.

Od dawna zarzucona doktryna samoródtwa, głosząca samorzutne tworzenie się form żywych z materii nieożywionej, zawsze była i jest obiecującym polem działania dla nowoczesnych pseudobiologów. W roku 1836 pewien angielski amator-uczonek, nazwiskiem Andrew Crosse, zabawiał się w swoim majątku w Quantock Hills doświadczeniami z elektrycznością. Przepuszczając prąd elektryczny przez pewne mieszaniny, próbował otrzymać sztuczne minerały. Bardzo się zdziwił, gdy stwierdził, że jako produkt uboczny jego doświadczeń ukazują się w mikroskopie owady. Tak oto opisał swoje obserwacje:

„Na czternasty dzień od rozpoczęcia eksperymentu zaobserwowałem przez soczewki kilka małych, białawych narośli czy sutków, wystających z elektryzowanego kamienia, tuż pod powierzchnią cieczy. Na osiemnasty dzień utwory te powiększyły się i na każdym z nich ukazało się 7 lub 8 nitek... Na dwudziesty drugi dzień utwory te stały się jeszcze większe i wyraźniejsze, a w dwudziestym szóstym dniu każda z tych narośli przybrała kształt owada, stojącego w pozycji wyprostowanej, na kilku szczecinkach tworzących ogon. Dotychczas nie przypuszczałem, aby zjawiska te mogły być czymś innym, niż zaczątkowymi formacjami mineralnymi; ale dopiero dwudziestego ósmego dnia, kiedy jasno zdałem sobie sprawę, że te małe stworzenia ruszają nogami - ogarnęło mnie pewne zdziwienie i muszę przyznać, że byłem tym zaskoczony...”

W ten sposób wylęgło się około setki owadów. Crosse podał, że mniejsze z nich mogły mieć po 6 nóg, większe zaś - po 8. Przypuszczał, że należą do rodzaju *Arcurus* (kleszcze), „lecz gatunku dotąd nie obserwowanego”. W końcu wychodziły z cieczy i biegały po laboratorium, chowając się przed światłem w ciemne miejsca. W późniejszych doświadczeniach kleszcze rodziły się w wielkich ilościach. Inny amator, nazwiskiem Weeks, mieszkający w Sandwich, powtórzył eksperyment Crosse'a, zachowując wszelkie ostrożności, aby do płynu nie przedostały się jaja z powietrza. Nie tylko znalazł te same kleszcze, ale również zanotował, że ich liczba zmieniała się proporcjonalnie do procentowej zawartości węgla w roztworze.

W roku 1872 inny angielski uczoney, Henry Carlton Bastian wywołał w środowisku akademickim burzliwe dyskusje swoją dwutomową pracą pt. *The Beginning of Life* (Początek życia). Bastian zastosował termin „heterogeneza” na oznaczenie procesu samorzutnego powstawania życia, który według niego, odbywa się w przyrodzie nieustannie, o czym jakoby przekonał się w swoich badaniach mikroskopowych. Kiedy jednak koledzy powtarzali jego eksperymenty w warunkach bardziej aseptycznych, rezultaty sprawiały zawód.

W roku 1906 John Butler Burkę, również Anglik, opublikował podobną pracę pt. *The Origin of Life* (Pochodzenie życia). Burkę jakoby potrafił przy użyciu radu wytworzyć prymitywne, sztuczne formy - na wpół żywe, na wpół krystaliczne - które nazwał „radiobami”. Ta praca również wywołała w swoim czasie poruszenie, lecz w końcu, gdy inni badacze nie zdołali potwierdzić jego odkryć, poszła w niepamięć.

Bardziej jeszcze zadziwiający były odkrycia Morleya Martina, amatora-biochemika, który rozpoczął swoje dziwne „przygody z mikroskopem” w roku 1927 w swoim prywatnym laboratorium w Andover, w hrabstwie Hampshire, w Anglii. Oto pokrótce czego dokonał: dotąd ogrzewał kawałek skały z ery archaicznej (era archaiczna jest geologicznie najstarsza i nie znaleziono w niej żadnych śladów skamieniałości), aż utworzył się jasny popiół. Z tego popiołu, w wyniku skomplikowanego procesu chemicznego otrzymał coś, co nazwał „pierwotną protoplazmą”. Kiedy poddał ją działaniu promieni X (z zachowaniem wielkiej ostrożności, aby uniknąć zakażenia z powietrza), jej kryształki zaczęły się stopniowo rozwijać w mikroskopijne formy żywych roślin i zwierząt - przeważnie ryb. Na przykład, na powierzchni jednego cala kwadratowego znalazł raz 15 000 tych miniaturowych rybek, które, jego zdaniem, przetrwały w stanie zawieszoności życia przez miliardy lat, od ery archaicznej.

Martin zmarł w roku 1937. Opublikował on tylko jedną, obecnie niezmiernie rzadką broszurę, pod tytułem *The Reincarnation of Animal and Plant Life from Protoplasm Isolated from the Mineral Kingdom* (Reinkarnacja życia zwierzęcego i roślinnego z protoplazmy wydzielonej z królestwa minerałów) wydaną w roku 1934. Niestety, jego zapiski laboratoryjne wyjaśniające szczegóły badań były prowadzone szyfrem, którego nie zdołano odcyfrować. Najlepiej jego pracę opisał Maurice Maeterlinck w jednym z rozdziałów książki pt. *La Grandę Porte*. Zacytowane poniżej fragmenty zaczerpnąłem z przekładu tego rozdziału, wydanego pt. *The Morley Martin Experiments* (Eksperymenty Morleya Martina) w roku 1948 przez Towarzystwo Naukowo-Badawcze w San-Diego:

„W powiększeniu pod mikroskopem widać było, jak kuleczki w protoplazmie przybierały kształt kręgów, które wydłużały się w kręgosłup, z osadzonymi na nim żebrami; potem wyłoniły się zarysy kończyn czy pazurów, głowa i oczy. Te przemiany następują dość powolnie i wymagają wielu dni, lecz niekiedy odbywają się na oczach obserwatora. Jeden na przykład skorupiak, gdy wykształciły mu się nogi, zszedł z pola widzenia mikroskopu.

Te twory zatem żyją, poruszają się niekiedy i rozwijają, jak długo znajdują dość pożywienia w protoplazmie, w której się zrodziły; potem ich wzrost zatrzymuje się, albo też pożerają się wzajemnie. Morley Martin potrafił jednak karmić je jakimś serum, którego tajemnicy nie ujawnił...”.

Te sensacyjne odkrycia nie zrobiły na bakteriologach żadnego wrażenia, natomiast teozofowie nie mieli tak ograniczonych poglądów. W ich czasopismach ukazały się liczne artykuły, podkreślające, że prace Morleya Martina potwierdzają poglądy Madame Blavatskiej, jakoby pierwotne pratyty życia, które istniały na Ziemi „w epoce ognia i mgły” stały się źródłem form, wykorzystanych następnie w procesie ewolucji.

Amerykańscy „uczeni” nie dorównywali, jak się zdaje, swym angielskim kolegom umiejętnością obserwowania przez mikroskopy tych uderzających zjawisk; niemniej jeden z nich osiągnął wyniki zasługujące na porównanie. Był nim lekarz-homeopata z Seattle, nazwiskiem Charles Wentworth Littlefield.

Niezbýt wiele wiemy o Littlefieldzie, poza tym, że urodził się w roku 1859 w rodzinie szkockiego pochodzenia, wychował się na fermie w pobliżu Muncie w stanie Indiana i rozpoczął praktykę lekarską w roku 1886 gdzieś w stanie Arkansas. W roku 1896 ukończył Wyższą Szkołę Homeopatyczną w Kansas City. Później osiedlił się w Seattle, gdzie praktykował aż do śmierci jako internista i chirurg. Sądząc z fotografii w jednej z jego licznych książek, był to wysoki mężczyzna o surowej twarzy, w okularach, z ciemnymi, gęstymi brwiami, dużymi uszami i krzaczastą brodą zakrywającą całkowicie usta.

Początek swoich osobliwych badań Littlefield przypisuje pewnemu wypadkowi, który się zdarzył jego bratu, kiedy obaj, jako młodzi chłopcy, pracowali na fermie. Młody Charles wskutek nieszczęśliwego wypadku ciężko zranił się w nogę. Obfity upływ krwi został zatamowany dzięki pomocy jednego z sąsiadów, który posiadał zdolność tamowania krwotoków. Czynił to recytując pewne zaklęcie osnute na wersecie z Biblii. Werset działał jak czary. Littlefield nauczył się go, i potem, gdy był już lekarzem, robił zeń częsty użytek przy krwotokach pacjentów, które powstały wskutek nieszczęśliwych wypadków, bądź podczas operacji.

Okolo roku 1905 Littlefield zaczął zastanawiać się, dlaczego zaklęcie to jest tak skuteczne. Na które składniki krwi ono działa? Wiedział, że w procesie krzepnięcia duże znaczenie mają niektóre sole organiczne. Postarał się o jeden z roztworów tych soli i umieścił jego kroplę na szkiełku przedmiotowym mikroskopu. Podczas gdy kropla wysychała, on trzykrotnie wyrecytował zaklęcie, jednocześnie koncentrując myśli na obrazie kurczęcia. Gdy zaś spojrzął w okular, o dziwo, cud! Kryształ soli utworzył właśnie bezbłędnie kształt kurczęcia! Nastąpiły setki eksperymentów - wszystkie z podobnym rezultatem. Przez skoncentrowanie się na pewnym obrazie Littlefield osiągał skryształizowanie się treści tego obrazu. Jego teoria głosiła, że procesowi parowania towarzyszy „delikatny magnetyzm”, który czyni sole podatnymi na wpływy władzy umysłu.

Te wczesne eksperymenty Littlefielda były szeroko omawiane w prasie amerykańskiej i opisane przez niego samego w artykułach zamieszczanych na łamach popularnonaukowych czasopism. Podstawowym zaś wykładem jest 656-stronicowe dzieło pt. *The Beginning and Way of Life* (Początek i droga życia), wydane nakładem autora w 100 000 egzemplarzy w Seattle w roku 1919. W przedmowie autor wyraża swoją wdzięczność świętemu Pawłowi, świętemu Janowi Ewangelicie

i angielskiemu fizykowi Michaelowi Faradayowi za podyktowanie mu ze świata duchów niektórych fragmentów książki.

Dzieło zawiera ponad sto mikrofotografii struktur krystalicznych. Dzielą się one na trzy rozległe grupy. Jedną składa się z form roślinnych i zwierzęcych, które rozwinęły się samorzutnie w kropelkach roztworu solnego, pozostawionego bez ruchu na szereg dni. Te formy zawierają muszle, kraby, ryby, węże, ośmiornice, jedną małpę i szereg ludzkich postaci. W przeciwieństwie do stworzeń Morleya Martina, te twory nie były żywe, chociaż zdaje się, że Littlefield sądził, iż niektóre z nich, zwłaszcza ośmiornice, znajdowały się w stanie połowicznego życia. Druga grupa fotografii zawiera wzory utworzone przez władzę umysłu: twarze świętego Pawła i świętego Jana, Wuja Sama i Johna Bulla oraz drób i nasiębierne koło wodne. Trzecią grupę autor określa jako „obrazy podświadomych myśli”. Doktor opisuje te formy jako „utrwalone w soli, bez intencji ich utrwalenia. Jednak po ich wykryciu, przypomniałem sobie, że obraz taki wyobrażałem sobie poprzednio”. Przykłady zawierają głowę Mefistofelesa, słowo „symbol” i kobietę niosącą w dzień wietrzny psa pod pachą.

Dr Littlefield zupełnie nie mógł pojąć, dlaczego ortodoksyjni biolodzy nie przejawiali do tych badań entuzjazmu. „Dlaczego ci ludzie nie spróbują wykonać tych eksperymentów - pytał - i w ten sposób nie wykażą ich prawdziwości lub fałszu? Zamiast tego rzucają czcze inwektywy na człowieka, który przedstawia im możliwość rozwiązania zagadnienia mającego podstawowe znaczenie dla nauki”.

Trzecia, końcowa część dzieła doktora jest poświęcona jego metodom leczenia. W dodatku do zwykłych homeopatycznych leków, robi on również użytek z „lampy tęczowej”, którą sam wynalazł i opatentował w roku 1918. Urządzenie to miało leczyć każdą niemal chorobę, przez napromienianie pacjenta kolorowym światłem. Sześć fotografii poświęcił on pośladowcom pewnej kelnerki w Seattle, która doznała ciężkich poparzeń. Dr Littlefield został wezwany do tego przypadku i po zbadaniu stwierdził, że poparzenia są śmiertelne. Na szczęście jednak zdołał zainstalować swoją maszynę świetlną i wykąpać odwrotną stronę kelnerki w promieniach tęczy. Fotografie pokazują postęp gojenia oparzeń. Po dziesięciu tygodniach skóra była jak nowa. Doktor miał nadzieję, że zyski ze sprzedaży swej książki będzie mógł użyć na założenie w Seattle „świątyni tęczy”, wyposażonej we wszystkich pokojach w maszyny świetlne. Wielka rotunda miała służyć do masowej kuracji tęczowej.

Na końcu książki autor przytacza wiele wzruszających listów od pacjentów, którzy z wdzięcznością opisują, jak po użyciu „witalizowanej tkanki solnej dra Littlefielda” zostali wyleczeni z raka, gruźlicy, epilepsji, i innych cierpień. Sole te można było nabyć od doktora po 2 dolary za półuncjową buteleczkę.

Późniejsze jego dzieło pt. *Man, Minerals and Masters* (Człowiek, minerały i władcy) zostało opublikowane w Los Angeles w roku 1937. Zawiera ono więcej mikrofotografii takich form wytworzonych oddziaływaniem myśli, jak Wielka Piramida, symbol falliczny, głowa Sfinksa, kobieta w bieli, głowa Indianina, prawa noga, lewa noga, oko Boga, góra Syjonu, „Krzyż i Róża”, otwarta książka z mapą Stanów Zjednoczonych i „Trzech Tybetańczyków w górach”. Trzeba dużej wyobraźni, aby dostrzec sugerowane kształty, lecz niewątpliwie istnieje jakiś związek między układem kryształów na zdjęciach, a ich podpisami. Trudno się jednak oprzeć podejrzeniu, że objaśnienia zjawyły się raczej po ukształtowaniu się kryształów, aniżeli przed tym; albo też, że doktor robił setki prób, zanim myśl jego nabrała właściwego kształtu.

W tejże książce Littlefield opisuje nową technikę, którą rozwinął dla ułatwienia procesu krystalizacji. W tym celu ucieka się on do pewnych inkwacji, nazwanych „mantra”, które tworzy za pomocą odpowiedniej numeracji. Chce na przykład odtworzyć scenę Ukrzyżowania. Przy dużym skupieniu się otrzymuje jako mantrę słowa „Lamb Sacrificed for Man” (Baranek złożony w ofierze za człowieka). Dlaczego jest to mantra? Jeżeli litery słowa „Lamb” zastąpimy cyframi (1 zamiast A, 2 zamiast B i dalej do 9 zamiast I, potem znów 1 zamiast J, i tak aż do końca alfabetu), to otrzymamy cyfry 3-1-4-2. Dają one w sumie 10. Dwie cyfry, z których 10 się składa - 1 i 0 - dodajemy do siebie jeszcze raz, co daje ostatecznie 1. Podobnie postępując z następnym słowem „Sacrificed”, otrzymujemy cyfrę 3. „For” również daje 3, a „Man” - 1. Całe zdanie jest więc przedstawione za pomocą cyfr 1-3-3-1. Gdy dwie cyfry wyrażenia są jednakowe - mamy mantrę. Jeżeli ich jest więcej niż dwie, mamy wielką mantrę. Stosując podaną powyżej mantrę Littlefield otrzymał scenę Ukrzyżowania, która jest reprodukowana w jego książce. Podobnie scena Zmartwychwstania została przedstawiona przez skoncentrowanie się na mantrze „Mental Mastery of Life Power” (Umysłowa władza siły życia).

Pogląd, że drobnoustroje z przestrzeni międzygwiazdowej mogą ustawicznie przedostawać się do atmosfery ziemskiej, ma nie mniejsze powodzenie u ekscentrycznych „mikroskopistów”, niż sztuczne tworzenie życia. Brytyjski fizyk lord Kelvin był ostatnim wybitnym uczonym, który bronił tego poglądu. Podkreślał on, że intensywne zimno w przestrzeni sprzyja zachowaniu bakterii w stanie utajonego życia. Bardziej współcześnie teorię tę²⁶ odnowili dwaj uczeni szwedzcy: Svante A. Arrhenius i profesor Louis Bachman.

Inny szwedzki profesor, Knut Emil Lundmark sądził, że meteory mogą przenosić bakterie. Prawie współcześnie, bo w latach trzydziestych naszego wieku, pogląd ten podtrzymywał profesor Charles B. Lipman z Uniwersytetu Kalifornijskiego. Wyjałowione meteory rozcierał on na proszek, następnie umieszczał na pożywkach bakteryjnych i w wyniku znajdował drobnoustroje. Inni uczeni nie potrafili powtórzyć jego eksperymentu i podejrzewali, że Lipman nie znał się dostatecznie na trudnej procedurze laboratoryjnej, niezbędnej do przeszkodzenia przenikaniu bakterii z powietrza do kultur.

Równie zadziwiającego odkrycia w dziedzinie meteorów dokonał 75 lat temu niemiecki geolog dr Otto Hahn²⁷. Hahn znalazł w meteoroidach mikroskopijne muszle, korale, gąbki i liliowce. Jego obszerna książka na ten temat *Die Meteorite (Chondrite) und ihre Organismen* (Meteoryty i ich organizmy), opublikowana w Tybindze w roku 1880, zawiera dziesiątki mikrofotografii, pięknie odbitych w sepii, które, jak sądził, potwierdzają jego odkrycie. Niestety, dowodzą one tylko, że Hahn fotografował delikatne struktury krystaliczne, a potem - podobnie, jak Littlefield - puścił wodze fantazji.

²⁶ Tzw. Teorie panspermii. Zagadnienia to m. in. porusza J. S. Szklowski w książce pt. *Wszechświat, życie, myśl*. Biblioteka Problemów, tom 84. Warszawa 1965 (przyp. red. pol.).

²⁷ Nie mylić z fizykiem niemieckim, Otto Hahnem, ur. w roku 1879, laureatem nagrody Nobla w roku 1944 (przyp. red. pol.).

Rozdział X

Geologia przeciw Genezis



Przez całe średniowiecze i odrodzenie nikt nie wiedział, co sądzić o skamieniałościach. Najczęściej przypuszczano, że są to pozostałości roślin i zwierząt zniszczonych przez potop Noego; wielu też ówczesnych wybitnych uczonych sądziło, że wyrosły one we wnętrzu ziemi, pod wpływem jakiegoś naturalnego lub tajemnego procesu. Nieliczni dowodzili, że umieścić je tam szatan, by sprowadzać wiernych na manowce. Inni przypuszczali, że sam Bóg je stworzył - czy to by zamroczyć mędrców wierzących w badania, czy też by pokazać prymitywne próbne modele żywych form.

Jednym z epigonów broniących powstania skamieniałości z woli bożej był profesor Johann Beringer z Uniwersytetu w Würzburgu. W roku 1726 opublikował on kosztowną monografię, opisującą odkryte przez siebie ciekawe wykopaliska. Wiele z nich nosiło dokładne podobizny Słońca, Księżyca oraz różnych hebrajskich słów. W rzeczywistości była to mistyfikacja. Skamieniałości te zostały bowiem przez jego studentów starannie ulepione z gliny i wypalone, a następnie zakopane do ziemi. Możemy sobie wyobrazić minę biednego profesora, kiedy pewnego dnia odkrył wykopalisko ze swoim własnym nazwiskiem na nim! Resztę życia spędził na wykupywaniu egzemplarzy swego dzieła, co oczywiście sprawiło, że stało się ono wielce poszukiwane przez kolekcjonerów. Jak na ironię, po śmierci profesora jeden z jego potomków przedrukował ten traktat i zebrał z tego ładny dochód. Jest to prawdziwie smutny przykład uczonego, którego pamięta się dzisiaj tylko z racji jego naiwności.

Stopniowo, w ciągu XVIII i XIX wieku, przyrodnicy dochodzili do wniosku, że skamieniałości w niższych i starszych złożach skał były stosunkowo proste, w miarę zaś nakładania się warstw stawały się bardziej skomplikowane. Czyżby więc życie zaczęło się w jakiejś prostej formie miliony lat temu, a potem wolno rozwijało się przez długie geologiczne okresy, aż do obecnej postaci ziemskiej fauny i flory? Wreszcie w roku 1859 Darwin opublikował swoje dzieło *O pochodzeniu gatunków*. Nie była to wprawdzie pierwsza praca o ewolucji; jednak Darwin zestawiał tam tak imponujący szereg faktów, że niepodobna było dłużej zbywać tej teorii, jako fantastycznej i bezbożnej spekulacji.

Trudno jest przecenić ów cios, jaki książka ta wymierzyła w chrześcijaństwo. Niewątpliwie stało się to główną przyczyną podziału protestantyzmu na fundamentalistów i tzw. modernistów. Moderniści oczywiście przyjęli nową teorię. Była to, jak sądzili, po prostu pewna metoda, stosowana przez Boga przy stworzeniu. Jeżeli nie weźmiemy treści Genezis zbyt dosłownie - a więc będziemy interpretować dni jako epoki geologiczne - możemy nawet z grubsza dopatrzeć się w niej opisu historii ewolucji.

Fundamentalisci w całości odrzucili ewolucję. Większość z nich przyjęła potopową teorię skamieniałości, którą tak wymownie popierał Luter. Inni, w tym brytyjski premier Gladstone, bronili poglądu francuskiego przyrodnika, barona Cuvier, że w różnych odstępach geologicznego czasu, w wyniku kataklizmów, które grzebały wcześniejsze formy życia, następowała seria aktów stworzenia. Inna znów teoria, która przetrwała do dziś w zapisach popularnej *Biblii Szolfildzkiej*, głosi, że skamieniałości są pozostałościami wcześniejszego, „przedadamowego” stworzenia świata, które wykwitło między pierwszą a drugą sentencją wstępnego wersetu Genyzy!

W XIX wieku wydano (głównie w Anglii) tysiące książek, usiłujących pogodzić geologię z Genyzą. W tej ponurej i emocjonalnej literaturze jedna z nich przerasta wszystkie inne. Nazywa się *Omphalos* (po grecku - pępek) i jest napisana przez zoologa Filipa Gossego, ojca wybitnego angielskiego poety i krytyka Edmunda Gossego. Wprawdzie książka nie pozyskała ani jednego „wiernego”, jednak ma pewną, godną uwagi zaletę: przedstawiła teorię tak doskonale logicznie i z taką zgodnością z geologicznymi faktami, że żaden naukowy argument nie może jej obalić.

Gosse przyjął, że geologia ustaliła bez żadnej wątpliwości, iż Ziemia miała długą geologiczną historię, w której rośliny i zwierzęta rozwinęły się jeszcze przed epoką Adama. Był również przekonany, że została ona stworzona około 4000 lat przed Chrystusem, w ciągu 6 dni, dokładnie tak, jak podaje Genyza. Jakże więc godzi on te, zdawałoby się, sprzeczne opinie? Bardzo prosto. Podobnie, jak Adam był stworzony z pępkiem - pozostałością narodzenia, które nigdy nie miało miejsca - tak samo cała ziemia została stworzona wraz ze wszystkimi skamieniałymi pozostałościami, które istniały tylko w umyśle Boga!

Nie jest to takie śmieszne, jak mogłoby się wydawać w pierwszej chwili. Rozważmy dla przykładu trudności, na które natrafia każdy wierzący w sześciodniowe stworzenie. Można wprawdzie wyobrazić sobie Adama bez pępka, trudno jednak przedstawić go sobie bez kości, włosów, zębów i paznokci. A przecież wszystkie te cechy noszą w sobie dowody poprzednich stadiów rozwoju. Faktem jest, że nie ma ani jednego organu, ani jednej tkanki ciała, która by nie stanowiła historii rozwoju.

To samo dotyczy każdej rośliny i każdego zwierzęcia. Jak Gosse wywodzi, ciosy słońca są świadectwem przeszłych stadiów, łozik dobudowuje dodatkowe komory do swej skorupy, żółw dodaje płytki do swego pancerza, drzewa w wyniku zmian pór roku zwiększają liczbę słoików. „Każdy argument - pisze Gosse - na podstawie którego fizjolog może stwierdzić, ... że ta oto krowa była niegdyś płodem... będzie mógł dokładnie tak samo niezbicie wykazać, że nowo stworzona krowa była na parę lat przed stworzeniem embrionem”. Wszystko to autor wyłuszczył naukowo na kilkuset stronicach swej książki, ilustrowanej dziesiątkami drzeworytów.

A oto, pokrótce, jego teza. Jeżeli Bóg stworzył Ziemię, jak to podaje Biblia, to musiał stworzyć ją „na chodzie”. Skoro przyjmujemy to za nieuniknione, to bez trudu możemy rozciągnąć tę koncepcję na geologiczną historię Ziemi. Dowody powolnej erozji Ziemi przez rzeki, fałdowanie i przechylenie warstw, góry wapienia stworzone z pozostałości życia morskiego, lawa, która płynęła z dawno wygasłych wulkanów, lodowcowe wyżłobienia skalne, ślady prehistorycznych zwierząt, ślady zębów na pogrzebanych kościach i miliony skamieniałości rozsianych w ziemi - to wszystko i wiele innych rysów świadczy o dawnych geologicznych wydarzeniach, które w rzeczywistości nigdy nie miały miejsca.

„Można tu zarzucić - pisze Gosse - że przyjęcie założenia, iż świat został stworzony ze skamieniałymi w swej powłoce szkieletami zwierząt, które w rzeczywistości nie istniały, stanowi oskarżenie Stwórcy o tworzenie obiektów, których jedynym celem było oszukanie nas. Odpowiedź jest oczywista. Czy koncentryczne słoje na pniach stworzonych drzew były jedynie kłamstwem? Czy linie wzrostu na stworzonych skorupach powstały w intencji kłamstwa? Czy pępek pierwszego człowieka miał na celu oszukanie go i wpojenie weń przekonania, że miał rodzicielkę?”.

Zagadnienie, czy Adam miał pępek, nie jest bynajmniej zapomniane. Przed kilku laty członek kongresu z Północnej Karoliny, Carl T. Durham i kierowana przez niego Podkomisja Wewnętrznych Spraw Wojskowych - mieli obiekcje co do ilustracji Adama i Ewy w broszurze Ruth Benedict i Gene Weltfische pt. *The Races of Mankind* (Rasy ludzkości) wydanej przez Ministerstwo Spraw Publicznych. Ilustracja demonstrowała dwa pępki. Podkomisja sądziła, że to może mieć coś wspólnego z komunizmem. Ta obawa została nieco rozwiana, kiedy wykazano, że Michał Anioł na swoim fresku w Kaplicy Sykstyńskiej wymalował u Adama pępek.

Gosse tak dokładnie ugruntowuje każdy aspekt tego zagadnienia, że nie pomija nawet sprawy koprolitów-skamieniałych ekskrementów. Do tej pory - i pisze - „oceniano to, jako niezwykle zwycięski dowód realności preegzystencji”. Jednak wyjaśnienie tego nie stwarza większych trudności, niż faktu, że odchody z pewnością znajdowały się we wnętrzościach nowo stworzonego Adama. Krew musiała płynąć w jego arteriach, a to pozwalało przewidywać obecność soku pokarmowego i miazgi pokarmowej, co z kolei powodowało odkładanie się niestrawionych resztek w jego wnętrzościach. „Może to wydawać się śmieszne na pierwszy rzut oka - przyznaje - ale prawda jest prawdą”.

W argumentacji Gossego rzeczywiście niepodobna znaleźć luki. Nie potrzeba obalać żadnej prawdy geologicznej, aby zgodność z Genezis była zupełna. Według Gossego możemy założyć, iż Bóg stworzył świat przed kilku minutami - kompletny, ze wszystkimi jego miastami, historią i pamięcią w umysłach ludzkich - i z teoretycznego punktu widzenia jego rozumowaniu nie można nic zarzucić.

Pomimo to *Omphalos* nie został dobrze przyjęty. „Nie było dotąd książki wypuszczonej w świat z większą nadzieją sukcesu, niż to dziwne, uparte, fantastyczne dzieło - pisze młodszy Gosse w swojej książce *Father and Son* (Ojciec i Syn). - Ojciec skierował je z życzliwym ukłonem zarówno do ateistów, jak i do chrześcijan... Ale niestety, zarówno ateiści, jak i chrześcijanie przyglądali się mu, wyśmiewali i odrzucali je... nawet Charles Kingsley²⁸ od którego mój ojciec oczekiwał gorącego uznania, napisał, że nie może... uwierzyć, iż Bóg wyrył na swoich opokach jedno tylko olbrzymie i zbyteczne kłamstwo. Po tym wszystkim w naszym domu zapanowało uczucie smutku, przygnębienia i rozczarowania”.

W porównaniu z całkowitym pojednaniem geologii z Biblią przez Gossego, późniejsze próby wydają się blade. Niemniej jednak były one i są podejmowane na nowo do dziś dnia. Bibliografia protestanckich ataków na ewolucję, opublikowanych w samych tylko Stanach Zjednoczonych od początku naszego wieku, zawiera kilka tysięcy pozycji. Przeważna część tej literatury jest zbyt stęchła, by zasługiwać na przelotne nawet spojrzenie. Niekiedy jednak książka stwarzająca pozory naukowego opracowania toruje sobie drogę do druku. Na przykład dr Louis T. More, brat wybitnego krytyka Paula Elmera More i profesor fizyki na Uniwersytecie w Cincinnati, wygłosił w roku 1925 w Princeton serię wykładów, które zostały opublikowane w książce pod tytułem *The Dogma of Evolution* (Dogmat

²⁸ Charles Kingsley (1819-1875), angielski duchowny i pisarz, propagator chrześcijańskiego socjalizmu (przyp. tłum.).

ewolucji). Jest to irytująca lektura. Dr More atakując ewolucję (za pomocą wszelkich starych i wyświechtanych argumentów), daje niekiedy czytelnikowi swoje własne objaśnienie świata skamieniałości. Autor, jak widać, wierzy, że poszczególne gatunki powstały jako rezultat niezależnych aktów stworzenia. Nieco podobnym ujęciem ewolucji tchnie artykuł w „Atlantic Monthly” (z października 1928 roku) pióra członka Ruchu Humanistyczno- Literackiego dra Paula Shoreya, kierownika katedry filologii greckiej na Uniwersytecie w Chicago. Esej ten, pod tytułem *Evolution, a Conservative's Apology* (Ewolucja, obrona konserwatysty), pęka od efektownych cytatach, zaczerpniętych z dzieł literackich i filozoficznych powag; mimo to ujawnia pełną naukową ignorancję autora.

Wśród protestanckich przeciwników ewolucji w XX wieku, jeden jedyny tylko człowiek przerasta o głowę wszystkich pozostałych. Jest to ten „geolog”, na którego autorytet powoływał się Bryan podczas słynnego procesu Scopesa w Tennessee²⁹. Prawie wszystkie ataki fundamentalistów na ewolucję w ciągu ostatnich trzech dziesięcioleci czerpały swoje najcięższe argumenty właśnie z jego pism. Jest on ostatnim i największym z antyewolucjonistów.

Nazwisko tego wybitnego autorytetu brzmi George Mc. Cready Price. Według *Who's Who* urodził się on w Kanadzie w roku 1870. Po osiągnięciu szeregu stopni naukowych w szkole adwentystów i po szeregu posad nauczycielskich w kilku miejscowościach, Price został profesorem geologii w małej uczelni adwentystów w stanie Nebraska. Po przejściu w roku 1938 na emeryturę zamieszkał w Loma Linda w Kalifornii.

Price opublikował około 20 książek. Najpoważniejszym jednak źródłem jego poglądów jest *The New Geology* (Nowa geologia) - 726-stronicowy podręcznik, wydany w roku 1923, klasyczny okaz pseudonaukowości. Spekulacje Price'a są tu tak starannie argumentowane, tak podbudowane imponującą erudycją geologiczną, że tysiące protestanckich fundamentalistów uważa dziś jego pracę za ostatnie słowo w tej dziedzinie. Nawet sceptycznie nastawiony czytelnik zgodzi się z tym, że trudno jest dyskutować z Pricem bez poważnego przygotowania geologicznego.

Trzon argumentacji Price'a można przedstawić w paru słowach. Wielką „świętą krową” ewolucji - wywodzi autor - jest wiara, że skamieniałości przechodzą od form prostszych do bardziej skomplikowanych, w miarę, jak się przechodzi od starszych do młodszych formacji. Niestety, nie ma odpowiedniej metody oznaczania wieku warstw, poza oznaczaniem skamieniałości zawartych w tych warstwach. W ten sposób tworzy się błędne koło - jak pies, biegnący za swym ogonem. Teoria ewolucji jest przyjęta dla sklasyfikowania skamieniałości w ewolucyjnym porządku; skamieniałości są używane dla oznaczania wieku pokładów. Potem, jako „dowód” rozwoju ewolucyjnego podaje się kolejność skamieniałości od „starszych” do „młodszych” warstw.

Zdaniem Price'a całe stworzenie świata nastąpiło kilka tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa, w ciągu sześciu dosłownie dni, tak właśnie, jak to podaje Genyza. Różne pokłady nie oznaczają różnych epok geologicznych. Wszystkie one były osadzone jednocześnie przez potop, spowodowany z kolei zaburzeniem, które rozhuściło olbrzymie fale morskie, tak że przewalały się wokół Ziemi;

²⁹ W lipcu 1925 roku odbył się proces Johna T. Scopesa, oskarżonego o przekroczenie obowiązującego wówczas w stanie Tennessee zakazu nauczania, że człowiek pochodzi od niższych form zwierzęcych. W wyniku procesu został on skazany na grzywnę w wysokości 100 dolarów. Wyrok był obalony w roku 1927. Jako rzecznik w tym procesie występował William Jennings Bryan, który zmarł po zakończeniu procesu (przyp. tłum.).

spiętrzyło też obecne grzbiety górskie i zniszczyło łagodny klimat Raju³⁰. „Wielki Kanion Colorado - pisał Price - ...może być niewiele starszy, niż piramidy Egiptu”. Skamieniałości, według Price'a, stanowią tylko pozostałość przeddyluwialnej flory i fauny, pogrzebanej przez gwałtowne zaburzenia wywołane potopem.

Jeżeli tak jest naprawdę, to można by oczekiwać, że w odsłonięciach, gdzie znajduje się kilka lub więcej warstw zawierających skamieniałości, będą one (skamieniałości) zalegały zarówno w porządku odwrotnym niż ewolucyjny, jak i zgodnie z nim (mimo, że Price dopuszcza fakt, że życie morskie będzie miało tendencję do osadzania się jako pierwsze, potem życie lądowe, a ptaki na końcu). Tak właśnie twierdzi Price i wiele miejsca w swych książkach poświęca rysunkom i opisom takich obszarów „do góry nogami”. Aby wyjaśnić te kłopotliwe pokłady - twierdzi - tradycyjni geolodzy wynajdują wymaginowane uskoki i fałdy. Pozwolimy sobie zacytować próbkę przekonywającego stylu Price'a, dotyczącą tej sprawy:

„...trudno jest znaleźć w naszych czasach przekrój geologiczny, który by nie zawierał jednego, lub więcej «uskoków odwróconych», czy «nasunięć». Ale bezwzględnie należy pamiętać, że takie pomysły uważa się za niezbędne jedynie z powodu odwrotnego porządku zalegania - pomysły, które jak to już było wykazane w podobnych przypadkach wyjaśniania rzeczywistości, zasługują na postawienie w jednym rzędzie ze słynnymi «epicyklami» Ptolemeusza, i pewnego dnia skończą w ten sam, co one sposób”.

Dla czytelnika nie znającego geologii dźwięczy to jak dobra moneta. Skąd bowiem może wiedzieć, na przykład, że istnieją dziesiątki ustalonych kryteriów, za pomocą których geolog określa, czy uskok bądź jak dobra moneta. Skąd bowiem może wiedzieć, na cały fałd czy uskok jest wyraźnie widoczny. W przeciwnym przypadku są inne wskazówki, którymi posługuje się wytrawny geolog. Na przykład fałd obalony odwraca złoże wierzchem w dół. To oczywiście odwraca także takie dowody kopalne, jak ukształtowanie w formie zmarszczek, spękania błotne, ślady kropel deszczu, odciski stóp. Trylobity znajdują się w położeniu „na grzbiecie”. Środek ciężkości dużych części tkwiących w tym, co poprzednio było błotem, będzie wysoko, zamiast nisko itd. W przypadku występowania uskoków znajdujemy zwykle wyraźną granicę i często wygładzone brzegi skały, wzdłuż których następowały ruchy uskokowe, a także inne dowody przesuwania się warstw.

Price - opisując swoje obszary „wierzchem w dół” i twierdząc, że nie ma innych dowodów dotyczących uskoków lub fałdów, poza odwróconym porządkiem skamieniałości - po prostu mija się z prawdą. Jeżeli tylko sięgnąłby do oryginalnych badań terenów, o których mowa, znalazłby mnóstwo takich dowodów, które nie mają nic wspólnego ze skamieniałościami. Price z upodobaniem wymienia na przykład Chief Mountain w obszarze Alberta - Montana w Górach Skalistych, gdzie starsze warstwy spoczywają na młodszych. Mimo że *Nowa geologia* reprodukuje 7 fotografii tej góry (jedna jest na okładce książki), Price nie uważa za stosowne poinformować czytelnika, że u jej podstawy linia uskoku jest wyraźnie widoczna, a wygładzone powierzchnie skał świadczą o ruchach uskokowych.

³⁰ Pseudouczni wysunęli wiele pomysłowych teorii dotyczących potopu. Towarzystwo Fortystów odnosi się ze szczególnym uznaniem do poglądów Isaaka Newtona Vaila (1840-1912) z Branesville w stanie Ohio. Jego książka *Waters above the Firmament* (Wody nad firmamentem), wydana w roku 1886 (następnie przejrzana) najpełniej przedstawia jego teorię, głoszącą, że każda planeta przechodzi przez stadium, w którym otacza ją pierścień taki, jak Saturna. W przypadku Ziemi ten pierścień miał być przyczyną potopu. Dzido Vaila prowadzi dalej na bieżąco „Światowe Towarzystwo Pierścienia” (Annular World Association) w Azusa, w Kalifornii.

Innym przykładem odwrócenia, na który Pierce się powołuje, jest Hart Mountain w stanie Wyoming. Nie podaje on jednak, że linia uskoku jest tam łatwa do prześledzenia na długości około 25 mil.

Price również nie wspomina o tym, że ilość obszarów odwróconych jest niezmiernie małą w porównaniu z dziesiątkami tysięcy odsłoneń, gdzie skamieniałości znajdują się w prawidłowym, ewolucyjnym porządku. W rzeczywistości miejsca odwrócone zdarzają się w takich ilościach, których należy oczekiwać, biorąc pod uwagę częstość występowania fałdów i uskoku. Zanim teoria ewolucji została powszechnie przyjęta, względny wiek ważniejszych złóż był dość dokładnie opracowany, a w ostatnich latach określanie wieku za pomocą metod opartych na radioaktywności potwierdziło ogólną poprawność poprzednich metod.

W sprawie kopalnych szczątków wczesnego człowieka poglądy Pricie'a idą śladem ustaleń pani E. G. White, natchnionej prorokini kultu adwentystów. Pani White w swej książce pt *Spiritual Gifts* (Własności duchowe), wydanej w roku 1864, pisze:

„Jeżeli istniał «grzech nad grzechy», który wołał o zniszczenie rasy przez potop, to była nim nikczemna zbrodnia krzyżowania się człowieka ze zwierzęciem, która zniekształciła wizerunek Boga i sprawiła wszędzie zamieszanie...

Każdy gatunek zwierzęcia, które Bóg stworzył, był zachowały w arce. Gatunki mieszane, których Bóg nie stworzył, a które były wynikiem skrzyżowania, zostały zniszczone przez potop. Od czasu potopu zachodziło ponowne krzyżowanie się człowieka i zwierzęcia, co możemy widzieć w nieskończonej różnorodności gatunków zwierząt i niektórych ras człowieka...”

„Jestem przekonany, że twierdzenia siostry White były dane przez Opatrzność po to, aby wskazywać nam kierunek... pisze Price - Wierzę, że gdyby ich nie było - tkwilibyśmy w zamęcie i niepewności wokół zagadnienia tych «gatunków»...”.

W późniejszych wydaniach książki siostry White, fragmenty poświęcone jej poglądom na sprawę krzyżowania się gatunków, zostały opuszczone, zupełnie podobnie, jak zapewnienia Hitlera o tym, że niearyjskie rasy powstały wskutek łączenia się w pary wczesnych aryjskich języków z małpami, zostały opuszczone w drugim wydaniu *Mein Kampf*. Niemniej jednak Price pozostał lojalny jej wypowiedziom. Jego zdaniem, ludzie, którzy żyli przed potopem, zostali tak całkowicie zniszczeni, że nie znaleziono po nich żadnych szczątków kopalnych, „...skoro wiemy, że Pan pragnął zniszczyć tę bezbożną rasę, to zapewne zrobił On to tak gruntownie i pochował ją tak głęboko, że dotąd jeszcze nie odnaleźliśmy jej szczątków” - pisze. Kości ludzkie, które zostały odkryte, należały - jak sądzi - do ludzi żyjących po potopie.

Jako przykłady zdegenerowanych mieszańców dawni adwentyści uważali pewne pierwotne plemiona - takie, jak afrykańscy Buszmeni, Hotentoci lub prymitywne szczepy Indian północnoamerykańskich. To samo odnoszono w niektórych przypadkach do całej rasy czarnej. Price nie idzie aż tak daleko. Sądzi, że rasy czarna i żółta są zdegenerowanymi typami powstałymi w okresie Wieży Babel ze zlania się ras czystych. A współczesne małpy są prawdopodobnie mieszańcami ludzkimi. Oto co mówi Price w tej sprawie: „Nie ma wyraźnych i pewnych dowodów paleontologicznych na to, że istniejące dziś małpy człekokształtne istniały przed wielkim światowym kataklizmem, zwanym potopem. Te dzisiejsze małpy człekokształtne mogą być akurat tak samo wytworem nowych warunków, jak murzyńskie i mongolskie typy człowieka. Gdybym musiał zdecydować, czy małpa jest

zdegenerowanym mieszkańcem ludzkim, czy też człowiek jest rozwiniętą małpą, sędzę, że nie zajęło by mi to zbyt wiele czasu. Tak samo żaden wykwalifikowany uczone nie miałby z tym trudności”.

Pogląd, że wyższe małpy nie są wcale zwierzętami, lecz prymitywnymi lub cofniętymi w rozwoju ludźmi, był przyjęty przez wielu przyrodników z epoki porennesansowej: od szkockiego antropologa lorda Monboddo, aż do popularnego amerykańskiego autora książek o zwierzętach, Ivana T. Sandersona. Monboddo myślał, że orangutan należy do rodzaju ludzkiego. Pogląd ten wykorzystał Peacock w powieści *Melincourt* i stworzył postać sir Orana Haut-tona. Sanderson ma podobny pogląd na goryla. „Obserwując życie tych stworzeń, słuchając ich krzyków i mowy... mogę tylko uważać je za cofniętą w rozwoju formę ludzkiego życia” - pisze w swej książce *Animal Treasure* (Zwierzęcy skarb), wydanej w roku 1937. (Ostatnim wkładem Sandersona w zoologię jest artykuł w „True” z czerwca 1951, o świeżych śladach dinozaura, znalezionych na plaży w zachodniej Florydzie).

Price jest naturalnie gorliwym adwentystą. Podobnie jak i Velikovskym kierują nim silne religijne pobudki, aby dowieść prawdziwości twierdzeń *Starego Testamentu*. Ale czy są to wystarczające pobudki, aby skłonić człowieka o jego inteligencji do tej osobliwej i samotnej roli, którą grał prawie przez pół wieku? Inne niekiedy aspiracje dają o sobie znać, gdy pisze, że „ma do wykonania zadanie zreformowania nauki geologicznej, prawie na własną rękę”. Ogólnie biorąc książki jego są w jakiś niezwykły sposób wolne od skondensowanego egotyzmu, tak charakterystycznego dla pseudouczonych. Price pisze spokojnie, prosto, jasno. Oto, na przykład, opis jego trudności w uzyskaniu posłuchu dla jego poglądów, zdumiewająco pozbawiony zwykłej goryczy:

„Dwadzieścia pięć lat temu, kiedy ledwo wstąpiłem na drogę moich rewolucyjnych odkryć w geologii, stanąłem przed problemem, w jaki sposób przedstawić ogółowi te nowe idee. Później przekonałem się, że normalne drogi publikacji są dla mnie zamknięte; zdecydowałem się wówczas użyć innych, bardziej dostępnych dróg. Być może popełniłem błąd. Być może należało mieć większy wzgląd na etykietę naukowej pedanterii; może lepiej było stać kornie z kapeluszem w ręku przed drzwiami wydawców, które nieraz zatrząskiwano mi przed nosem. Lecz postanowiłem inaczej z pełnym zrozumieniem następstw; i do tej pory nie widzę powodu, aby mniemać, że popełniłem błąd. Pewnego dnia może okazać się, że panująca klika «renomowanych» uczonych nigdy nie miała monopolu na fakty natury”.

Po opublikowaniu *Nowej geologii* Price oczekiwał, jak się wydaje, że teoria ewolucji uschnie i rozwieje się. W roku 1924 napisał „Ewolucja organiczna umarła... Ten tom jest tylko rodzajem mowy pogrzebowej. Requiescat in pace”. W rok później, w debacie z Josephem McGabe w Londynie, przepowiedział, że w ciągu dwóch lat opinia publiczna na temat ewolucji zmieni się również i w Wielkiej Brytanii, podobnie jak to już się - jego zdaniem - dzieje w Ameryce. Oczywiście, żadna taka zmiana wcale w Stanach Zjednoczonych nie zachodziła. Ani jeden geolog nie uważał książki Price'a za godną chociażby negatywnej oceny. Czy wzbudziło to jakieś wątpliwości w umyśle Price'a? Nic podobnego. „Mój poprzedni, obszerniejszy traktat na ten temat nie doczekał się odpowiedzi - pisał. - Odpowiedź ta nie nastąpi. Został on zignorowany i zapewne dalej będzie ignorowany, gdyż bardzo niewielu, nawet wśród ludzi nauki, ma cierpliwość, by starannie prześledzić całkowicie nową linię argumentacji, opartą na niezwykłych faktach”.

Wprawdzie adwentyści uważają Kościół katolicki za dzieło szatana, mimo to jednak wiele katolickich autorów przyjęło całkiem poważnie geologię Price'a dotyczącą ewolucji. Przykładem najbardziej naukowego stylu jest tu *The Case Against Evolution* (Sprawa przeciwko ewolucji), opublikowana

w roku 1925. Autor jej, George Berry O'Toole, przyjmuje całkowicie Price'owską naiwną krytykę chronologii warstw, a jego rozdział o rodowodzie skamieniałości (Fossil Pedigrees) nie jest niczym więcej, niż rozwlekłym streszczeniem poglądu Price'a. Podobnie Arnold Lunn w swojej *Flight from Reason* (Ucieczka od rozumu) z roku 1932 charakteryzuje Price'a, jako „profesora geologii jednego z uniwersytetów amerykańskich” i chwali go, że „słusznie ośmieszył arbitralny układ warstw”. Na początku lat trzydziestych Price zamieścił kilka artykułów w „Catholic World”. W jednym z nich pt. *Cranks and Prophets* (Maniacy i prorocy) nie potrafił uniknąć porównania siebie z wielkimi uczonymi, którzy byli przez swoich współczesnych uważani za maniaków.

Przez cały czas jednak Kościół katolicki reagował na ewolucję mniej zajadle, niż ortodoksyjne ugrupowania protestanckie.

W pierwszych dziesięcioleciach po ukazaniu się książki Darwina władze Kościoła nie ustosunkowały się do tej teorii, głosiły tylko, że katolik nie może przyjąć stopniowej ewolucji duszy ludzkiej. Ogólnie reakcja katolicka była oczywiście wroga. W porównaniu jednak z nedorzeczną literaturą protestancką, katolickich książek na ten temat było bardzo mało. Może władze katolickie wyciągnęły tu gorzką naukę ze swoich doświadczeń z Galileuszem?

Wiele jednak książek przeciw Darwinowi i jego teorii zostało napisanych przez świeckich katolików. Typową pracą tego rodzaju w Ameryce jest *God or Gorilla* (Bóg czy goryl) pióra Alfreda W. McCanna z roku 1922. Autor przykładą dużą wagę do „triasowej skamieniałości podeszwy buta”, która, jak sądzi, jest dowodem, że ludzie chodzili w obuwiu w okresie triasowym! Fotografia wskazuje, że ma się tu do czynienia z pospolitym typem konkrecji skalnej. McCann oburza się na ortodoksyjnych geologów, którzy nie chcą przyjąć tego poważnie.

The Case Against Evolution O'Toole'a ma charakter o wiele bardziej akademicki, niż praca McCanna, lecz, poza swoim ciężkim stylem, nie zawiera niczego nowego, ani znaczącego. Angielska *Flight from Reason* Arnolda Lunn jest równie banalna. Lunn twierdzi, że we wszystkich epokach geologicznych każdy „gatunek” może ulegać niewielkim zmianom, ale żaden z nich nie jest połączony z innym wspólnym pniem rodowym. Dla zapoczątkowania każdego nowego gatunku potrzebny jest specjalny akt stworzenia.

Najzabawniejszym atakiem brytyjskich katolików na ewolucję jest książka Hilaire'a Belloca pt. *Companion to Mr Wells' Outline of History* (Dopełnienie do Zarysu historii Mr Wellsa) z roku 1926. Luki w wiedzy naukowej Belloca można tylko zestawić z ogromem jego zarozumiałstwa. Większość jego argumentów jest tak przestarzała i wątpliwa, że nawet Price nie ma odwagi ich ekshumować. Książka pobudziła Wellsa do odpowiedzi, opublikowanej w końcu tego samego roku pod tytułem *Mr Belloc Objects* (Zarzuty Mr Belloca). Napisana w stylu rozbawionego zagniewania stanowi małe arcydzieło polemiczne. Niewiele dyskusji literackich w historii zostało tak zdecydowanie wygranych. Belloc wystąpił z repliką w broszurze pt. *Mr Belloc Still Objects* (Mr Belloc dalej stawia zarzuty), ze zdwojonym tupetem, ale były to już tylko wrzaski człowieka zbyt rozwścieczonego, by pojąć, jak celnie został trafiony.

Wielki i serdeczny przyjaciel Belloca, Gilbert Keith Chesterton rzadko w swojej twórczości zajmował się ewolucją. Jeżeli jednak dotknął tego tematu, prawie zawsze pisał nonsensy. W *The Everlasting Man* (Wiecznotrwałym człowieku), na przykład, marnuje wiele stron - jak to często czynią antyewolucjoniści - przekonując czytelnika, że istnieje wielka różnica między umysłem człowieka,

a zwierzęcia. Jest to strata czasu, gdyż żaden ewolucjonista nie zamierza zaprzeczać tej różnicy. Człowiek i małpa są krańcowymi punktami zupełnie odrębnych gałęzi ewolucyjnego drzewa, a formy przejściowe należą do mglistej przeszłości. „...Nikt nie jest bardziej niż ja przekonany, - pisze Huxley, wielki uczeń Darwina - o przepaści jaka dzieli człowieka cywilizowanego od bydłęcia”. Mimo to Chesterton mógł napisać: „Wyższe zwierzęta nie rysowały coraz to lepszych portretów; pies, nawet w swoim najlepszym okresie, nie malował lepiej niż w swoich marnych zaczątkach jeszcze jako szakal; dziki koń nie był impresjonistą, a koń wyścigowy - impresjonistą schyłkowym... krowa na polu nie doświadcza jakiegos lirycznego impulsu czy dyrektywy z jej nieograniczonych możliwości słuchania śpiewu skowronka”.

Teza Chestertona głosi oczywiście, że między człowiekiem, a zwierzęciem różnica jest tak olbrzymia - człowiek mówi, tworzy dzieła sztuki, śmieje się, nosi ubranie, ma poczucie winy, powołuje rządy, wielbi Boga itp. - że nie można wyobrazić sobie stadium pośredniego. Prosta odpowiedź na to jest, że ta sama ogromna różnica istnieje między człowiekiem a nowo narodzonym dzieckiem. Odpowiedź, że dziecko wyrasta w człowieka, nie ma tu znaczenia. Punkt ciężkości zawiera się w tym, że jeżeli dziecko i człowiek mogą być krańcowymi punktami pewnego ciągu (bez ostrych granic, które niemowlę musiałoby pokonać, by nabyć cech ludzkich), to nie ma żadnej, przynajmniej teoretycznej przyczyny, dla której człowiek i jego zwierzęcy przodek (znacznie bardziej „ludzki”, niż nowo narodzone dziecko) nie mogliby znajdować się w obrębie podobnego ciągu.

W tej samej książce Chesterton stroi żarty na temat pięknych malowideł jaskiniowych, tworu człowieka prehistorycznego, które odkryto w południowej Francji. Jego zdaniem, skoro artyści żyli w okresie przedhistorycznym, powinni być uważani za małpokszałtnych, i to, że malowali tak dobrze, wydaje się nam doskonałym żartem z antropologów. Niestety, Chesterton nie zadał sobie trudu, aby się dowiedzieć, że te malowidła jaskiniowe okazały się tworem człowieka kromaniońskiego, który był zupełnie rozwiniętą istotą ludzką, z objętością mózgu nieco większą niż u człowieka współczesnego. W uzupełnieniu do książki autor niezgrabnie usprawiedliwia swoje przeoczenie.

Obecnie katolicyzm jest na drodze do zupełnego przyjęcia ewolucji, z wyraźnym zastrzeżeniem, że w pewnym punkcie geologicznego czasu dusza ludzka została wlana w ciało, które w procesie ewolucji doszło do gotowości przyjęcia jej. Pogląd taki był broniony już w roku 1871 przez katolickiego biologa, St. George'a J. Mivarta w jego książce *Genesis of Species* (Geneza gatunków). Później, z innych zresztą powodów, ekskomunikowano Mivarta³¹, lecz obecnie książkę jego uważa się za wysoce proroczą. W roku 1950 papież wydał encyklikę, w której ostrzegał katolików przed tezą, „że pochodzenie ciała ludzkiego z poprzednio istniejącej, żywej materii było jakoby zupełne pewne”, lecz zezwolił im to wierzyć, jeśli tak sobie życzą. Oficjalny pogląd głosi, że ewolucja roślin i zwierząt jest przypuszczalnie prawdą, natomiast ewolucja ciała ludzkiego nie jest jeszcze stwierdzona. Katolicki uczyony może pracować w kierunku uznania tej hipotezy za prawdopodobną, lecz dopóki to nie nastąpi, nie wolno uczyć jej w katolickich szkołach.

³¹ Pewne artykuły w czasopiśmie, propagujące liberalne poglądy teologiczne, doprowadziły na kilka miesięcy przed śmiercią do jego ekskomunikacji w roku 1900. Po latach przyjaciele Mivarta przekonali władze kościelne, że jego heretyckie poglądy nie wynikały z rozmyślnego nieposłuszeństwa, lecz spowodowane były chorobą cukrzycy, która zresztą stała się przyczyną jego zgonu. Wtedy ciało jego zostało pogrzebane po chrześcijańsku.

Jest ciekawe, że dr Mortimer J. Adler z Uniwersytetu Chicagoskiego, sława „Great Books”³² i jeden z głównych amerykańskich neotomistów, przez pewien czas prowadził samotną krucjatę przeciw ewolucji. W książce pt. *What Man Has Made of Man* (Co człowiek zrobił z człowieka) z roku 1937 Adler piętnuje ewolucję, jako „rozpowszechnianą bajkę”, obstając, że nie jest ona ustalonym faktem, „...lecz w najlepszym wypadku prawdopodobną wersją, której podstawy są niedostateczne i pełne sprzeczności... fakty ustalają tylko jedną historyczną możliwość: że typy zwierząt, które niegdyś istniały, już nie istnieją, a typy zwierząt istniejących obecnie, dawniej nie istniały. Nie daje to podstaw tej kunsztownej historii, która jest tylko mitem ewolucji...

...Używam słowa mit - ciągnie dalej Adler - na określenie tej kunsztownie wypracowanej i domniemanej historii, która daleko wykracza poza naukowe dowody... Ten mit to bajeczka o ewolucji dla dzieci, które mogą ją sobie przedstawić wzrokowo, jak obraz w kinie. Oto mieszanina takich ewolucyjnych «filozofów», jak Herbert Spencer, Ernst Haeckel i Henri Bergson, a również płód wynalazczości popularyzatorów nauki”.

Dr Adler wyjaśnia, że nie neguje istnienia regularnego następstwa żywych form poprzez wieki. Nie zgadza się natomiast z poglądem, że formy te należą do pewnego ciągu, w którym jeden gatunek przechodzi w drugi przez niedostrzegalne zmiany. Świadczenia wykazują - dowodzi - że „gatunki” różnią się nie ilością, lecz jakością, i rozdziela je zasadniczo „nieciągłość”.

W *Problems for Thomists* (Problemach dla tomistów), z roku 1940 Adler rozpatruje bardzo szczegółowo, ile może istnieć oddzielnych „gatunków”. Innymi słowy, jak wiele aktów twórczych Boga jest niezbędne, aby objaśnić skoki ewolucji? Przeciwnie stawia się on pogładowi Jacquesa Maritaina, czołowego katolickiego filozofa, że ich ilość jest bardzo duża i niemożliwa do poznania. Adler uważa - a pogląd swój uznaje za „prawie zupełnie dowiedziony” - że istnieje mała ilość gatunków, zapewne cztery (materia, roślina, zwierzę i człowiek), lecz z pewnością więcej, niż trzy, a mniej, niż dziesięć. Wewnątrz gatunku następowały zmiany, lecz każdy gatunek dla siebie stanowi obraz ustalony - niezmienny w swojej istocie i powołany do istnienia specjalnym aktem Boga. Adler przypuszcza, że każdy gatunek był stworzony w kilku różnych typach, nie pochodzących jeden od drugiego - na przykład oddzielne stworzenie roślin kwiatowych i bezkwiatowych. Przyznaje on, że naukowe świadectwo co do tego jest „niezdecydowane”, lecz istnieje tu argument teologiczny „o wielkiej sile przekonywania”, oparty na pewnym ustępie z *Mądrości Salomona* (11 :21) - jednej z ksiąg *Starego Testamentu* (uważanej przez protestantów za apokryf).

W numerze „Tomisty” z kwietnia 1941 roku, Adler zamieścił artykuł pt. *Solution of the Problem of Species* (Rozwiązanie problemu gatunków), w którym twierdzi, że pozycję Maritaina należy uznać za bezwzględnie niesłuszną. Jego własne poglądy, po skorygowaniu w nich pewnego błędu, mogą być obecnie ustalone z całą pewnością. Podkreśla, że błąd ten powstał „z nadmiaru gorliwości”. „Mogę powiedzieć, że to, co oślepiło mnie - to była jasność nowego światła”.

Ostatnim wyzwaniem Adlera rzuconym ewolucji był jego odczyt dla studentów klubu katolickiego na Uniwersytecie Chicagoskim, w roku 1951. Człowiek i małpa - twierdził - są tak różni „jak kwadrat i trójkąt. Nie ma formy pośredniej - figury trzy i pół bocznej”. „Czasem różnica między dzieckiem, a prosiakiem - pisze - nie jest zbyt dostrzegalna. Lecz dziecko wyrasta na człowieka, natomiast świni się to udaje rzadko”. Gdyby uczony był zdolny wychować małpę, która by mogła mówić „prostymi,

³² Wydawnictwo w Chicago usiłujące publikować tylko książki „najbardziej” wartościowe (przyp. tłum.).

deklaratywnymi zdaniem - powiada Adler - przyznałbym, że istnieje ścisły związek między człowiekiem a małpą³³.

Tylko dwa wytłumaczenia będą pasowały do wszystkich faktów - kończy Adler swoją mowę. Albo człowiek „wyłonił się” z bydlęcia przez nagły, ewolucyjny skok, albo też został po prostu stworzony przez Boga. Należy przyjąć, że Adler nie miał na myśli stworzenia ciała i duszy, lecz raczej przyjął utwierdzający się katolicki pogląd o wlaniu duszy w ciało, które miało zwierzęcych rodziców.

Oczywiście, pogląd ten poruszył zagadnienie sporne i niewątpliwie w przyszłości w świecie katolickim powstanie wiele spekulacji na ten temat. Gdzie, na przykład, należy zaliczyć dziesiątki dobrze zachowanych szkieletów człowieka neandertalskiego - istoty z czołem niskim, jak u małpy, z głową wysuniętą naprzód, bez podbródka, i bez przeciwstawnego kciuka? Twór ten umiał rozniecać ogień i grzebał swoich zmarłych pod ozdobnymi kamieniami. Wells w swojej odpowiedzi Bellocowi postawił ten problem w taki oto sposób:

„Kiedy postyszałem, że pan Belloc zamierza polemizować z moim *Zarysem historii*, pomyślałem zaraz o tej istocie. Co o niej powie pan Belloc? Czy umieści ją on przed, czy po potopie. Czy będzie korygował jej anatomię za pomocą godnej podziwu nowej nauki ze swego skarbcza wiedzy? Czy będzie ją traktował jak brata i twierdził, że nieobcy jej jest podniosły monoteizm, czy też uzna ją za potwora stworzonego po to, by wprowadzać w błąd niegodziwego człowieka?

On będzie milczał. Skoro tylko ta istota zbliży się do niego, on po prostu odejdzie.

Nie wątpię jednak, że ona go nie opuszcza. Jeżeli nie w dzień, to w nocy musi go pytać: «Czy mam duszę, panie Belloc, która będzie zbawiona? Czy ten od heidelberskiej szczęki, to jeden z naszych, panie Belloc, czy nie? Pan zapomniał o mnie, panie Belloc. Przez cztery piąte epoki paleolitycznej byłem człowiekiem. Nie było innego. Powłóczę nogami i nie mogę chodzić wyprostowany i patrzeć w niebo, jak to pan czyni, panie Belloc, lecz czy znajdzie pan śmiałość przepędzić mnie jak psa?» Żadnej odpowiedzi”.

Inną ważną sprawą, dotyczącą ortodoksyjnych ujęć, jest ustalenie, czy pierwsze wlanie duszy miało miejsce w odniesieniu do jednej pary, czy też wiele istnień ludzkich zostało stworzonych jednocześnie? Ten ostatni pogląd umożliwiłby Kainowi poślubienie kogoś innego, niż własnej siostry. W encyklice papieskiej z roku 1950 ten pogląd został jednak przezornie potępiony, z uwagi na to, że kolidowałby z doktryną grzechu pierworodnego. Ponadto: w jakim okresie życia to wlanie duszy nastąpiło? Jeżeli mężczyzna i kobieta dorośli, zanim otrzymali dusze, to wynikałoby z tego, że przeżyli pierwszą część swego życia jako zwierzęta, a drugą jako ludzie. Z drugiej strony, jeżeli dusza została wlana przy poczęciu (lub przy urodzeniu) - oznaczałoby to, że pierwszy mężczyzna i pierwsza kobieta byli chowani i karmieni piersią przez pozbawioną duszy matkę, czy matki. W żadnym z tych poglądów nie ma nic nielogicznego, lecz na pierwszy rzut oka wydają się nam raczej dziwaczne.

Najpełniej zawiłe problemy ujmuje książka ojca Ernesta C. Messengera pt. *Evolution and Theology* (Ewolucja i teologia), opublikowana w roku 1932. Ojciec Messenger mężnie broni ewolucji ciała Adama, lecz obstaje przy tym, że stworzenie Ewy było wydarzeniem cudownym. Część boku Adama

³³ Mimochodem zanotujmy, jako zabawny drobiazg, że pewien amerykański zoolog-amator Richard Lynch Garner poświęcił znaczną część swego życia na notowanie i analizowanie mowy małpiej i w końcu, jak twierdził, rozwinął u siebie zdolność porozumiewania się z małpami w ich własnym języku.

(niekoniecznie żebro) musiała zawierać „zasadniczą doskonałość gatunku” i stworzenie z niego Ewy byłoby analogiczne do tego, co biologowie nazywają „rozmnażaniem bezpłciowym”. Ojciec Messenger konkluduje:

„Stworzenie Ewy ex Adamo wydaje się wynikać tak jasno z *Pisma Świętego* i tradycji, że w najmniejszym nawet stopniu nie można go kwestionować. Nie ma zatem powodów poddawać tego w wątpliwość; trudno jest tylko zrozumieć, w jaki sposób mogło się to odbyć”.

Teologowie Kościoła i dr Adler powinni by bardziej może wnikliwie rozważyć rewolucyjną geologię George'a Mc Cready Price'a. Z wielką łatwością odczytuje on skały i obywa się bez tych przygnębiających punktów spornych, które zjawiają się przy zastosowaniu chronologii pokładów geologicznych. „Można uwierzyć - pisał Price ostatnio - w jedno bezpośrednie stworzenie pięknego i doskonałego świata; lecz ta rozciągnięta męka niekończących się epok... nie wygląda... na inteligentną metodę stworzenia świata. Może to być proces przyrodniczy... ale bardziej wygląda na kosmiczną zmołę, niż na stworzenie”.

Albo jeszcze lepiej pozwólmy im rozważyć te mądre słowa św. Augustyna: „Zdarza się często, że powstaje kwestia dotycząca ziemi, nieba, czy innych żywiołów tego świata, w której ktoś, kto nie jest chrześcijaninem, posiada wiedzę. Wtedy bardzo sromotne, niegodziwe i ze wszech miar godne unikania jest, by chrześcijanin, zapuszczający się w takie materie, z powołaniem się na *Pismo Święte*, był słuchany przez obcego w wierze, gdy mówi tak bardzo od rzeczy, że innowierca ten, pojmując, że jest on tak daleko od istoty sprawy, jak wschód od zachodu słońca, tylko z trudnością może powstrzymać się od śmiechu”.

Rozdział XI

Apologeci nienawiści



Wiele doktryn genetycznych stało się, jak wiemy, gruntem sprzyjającym powstawaniu nowego szczególnego typu rasizmu. Nigdy nie można przewidzieć, jak się te doktryny rozwiną i ile przyniosą ludziom zła. Wiemy jednak, jaką masę zbrodni zrodziły nazistowskie teorie rasowe. To największe w dziejach ludzkości zło było zrośnięte z obłąkańczą nauką bardziej ściśle, niż kiedykolwiek przedtem.

Antysemityzm niemiecki, jak wiemy, jest znacznie starszy, niż nazizm. Podobnie jak i w innych krajach Europy, ma długą i niesławną historię sięgającą wstecz aż po średniowiecze. Czytelnicy-protestanci łączący zazwyczaj początki antysemityzmu ze średniowiecznym katolicyzmem i Inkwizycją będą zapewne zdziwieni dowiadując się, iż pierwszym wpływowym i namiętym antysemitą w Niemczech był Marcin Luter. Podał on nawet proste rozwiązanie „zagadnienia żydowskiego”: należy Żydów wyrzucić z Niemiec. „Otwórzmy im bramy miasteczek i drogi - pisze Luter - ...są oni dla nas takim ciężarem, jak zaraza, morowe powietrze i nieszczęście...”. Tym, którzy odmówiliby opuszczenia kraju, Luter zaleca, „aby do rąk młodych i silnych Żydów i Żydówek włożyć cepy, topory, motyki, łopaty, wrzeczona i kądziele i zmusić ich do zarabiania na chleb powszedni w pocie czoła, tak jak to nakazano wszystkim potomkom Adama”. Proponuje dalej „...spalenie synagog, szkół, rozbicie i zniszczenie domostw... umieszczenie Żydów pod dachami stajen, jak Cyganów, aby żyli w niewoli i nędzy, dlatego, że zawsze skarżą się na nas, lamentując do Boga”.

Gwałtowny nacjonalizm niemiecki, związany z doktryną „rasy panów” predestynowanej do rządzenia światem, pojawia się jednak znacznie później. Pierwsze teoretyczne sformułowanie tej doktryny odnajdujemy w roku 1807 u Fichtego w *Odezwie do Narodu Niemieckiego*. Co dziwniejsze, antropologiczna obrona wyższości nordyków nad innymi rasami pochodzi nie od Niemca, lecz od francuskiego szlachcica, Josepha hrabiego de Gobineau. Opublikowane w latach 1853-55 dzieło pt. *Essai sur l'Inegalité des Races Humaines* (Nierówność ras ludzkich) obejmuje cztery tomy. Gobineau nie interesuje się nacjonalizmem. Chodzi mu o zwalczanie demokracji, która stała się popularna dzięki Wielkiej Rewolucji Francuskiej, i o obronę zalet rządów arystokratycznych. Poplątawszy mnóstwo faktów z dziedziny antropologii ze zwykłymi przesądami, Gobineau ustala hierarchię ras, z rasą

nordyczną na czele (wysocy blondyni o niebieskich oczach i gładkiej skórze), a Murzynami na ostatnim miejscu.

Poglądami Gobineau ogromnie przejął się znany kompozytor niemiecki Richard Wagner i zięć jego Houston Steward Chamberlain. Ów Chamberlain był Anglikiem osiadłym w Niemczech, gdzie przesiąkł rozwijającym się tam poczuciem narodowego niemieckiego posłannictwa. W roku 1899 opublikował swoje *Die Grundlagen des neunzehnten Jahrhunderts* (Podstawy dziewiętnastego wieku) - drugą wielką pracę w historii mitu nordyckiego, która wywarła niezmiernie silny wpływ na sposób myślenia Niemców. W istocie Chamberlain połączył teorię Gobineau o wyższości rasy nordycznej z niemieckim nacjonalizmem i silnym antysemityzmem.

Trzecim „wielkim” nazwiskiem w dziejach niemieckiego rasizmu był profesor uniwersytetu w Jenie Hans F. K. Günther. Ów dojrzały naukowo antropolog stał się w całym ruchu nazistowskim największym autorytetem w sprawach rasowych. Byłoby jednak śmieszne takich ludzi, jak Günthera lub jego kolegów po fachu: Ludwiga Woltmana lub Ludwiga Schemanna obciążać odpowiedzialnością za zbrodnie nazistów dokonane na Żydach. Korzenie bowiem antysemityzmu tkwią znacznie głębiej, w kulturalnym obłędzie Niemców. Książki ludzi w rodzaju Günthera jaskrawo świadczą, jak łatwo nauka może zostać zdeprawowana przez silne, emocjonalne przesady, które uczoney czerpie nie ze swojej wiedzy fachowej, lecz z wpływających nań nacisków kulturowych.

Günther uważa Niemców za mieszaninę ras, z tym że proporcja nordyków jest wśród nich znacznie większa, niż u innych narodów. Długo się rozwodzi w swej książce nad wyjaśnieniem, czym się różnią nordycy od niższych ras. Nordyk bardziej dba o czystość. Mydło i szczotka są, zdaniem Günthera, wynalazkiem nordyków. Są oni bardziej atletyczni³⁴. Nordyk woli barwy: niebieską i bladozieloną. Nordyczne kobiety mają piegi, które według Günthera są cechą wybitnie nordyczną. Należy bezwzględnie potępić piosenkę o „śniadej dziewczynie”, ponieważ dziewczyny o ciemnej cerze nie są nordyczkami. Kobiety rasy nordycznej są skromne. W przeciwieństwie do kobiet innych ras, nordyczki, kiedy siedzą w dorożce, trzymają nogi złączone. W książce *People Under Hitler* (Ludzie pod rządami Hitlera) Wallace'a Deuela, z której zapożyczyliśmy powyższe cytaty, autor zauważa: „Dr Günther... poświęcił jak widać wiele czasu temu problemowi (tj. siedzeniu w dorożce)...”.

Zdaniem Günthera mieszanie się ras jest rzeczą złą. Nadzieją Niemiec jest zapobieżenie temu i podniesienie czystości rasy nordycznej. Niestety, prawdziwe cnoty nordyków wpływają na ich upadek. Nordyk jest niezmiernie odważny, dlatego zostaje żołnierzem i pada w walce. Żadny przygód - emigruje. Jest cnotliwy, to też żeni się późno i ma nieliczne potomstwo. Nie znając, czym jest przebiegłość, wpada łatwo w sidła małżeńskie zastawione przez „diabelsko kuszące” kobiety innych ras.

Rozwijający się pod rządami Hitlera antysemityzm niemiecki, podsycany przez propagandę partyjną i mający „naukowe” zaplecze w postaci profesora Günthera i innych antropologów, wzrastał crescendo. Nie było nigdy w dziejach świata narodu, który by w sposób tak zimny i tak metodyczny zabierał się do wyniszczenia ludzi. Nie ma potrzeby przypominać czytelnikom w całej rozciągłości dobrze wszystkim znanych dziejów koszmarnych okropności. Wprowadzono w Niemczech system kastowy uzależniony od zawartości krwi żydowskiej, z bardzo zawiłymi i sztywnymi przepisami,

³⁴ W czasie Olimpiady w roku 1936 odbywającej się w Niemczech, Hitler, wściekły z powodu zdobywania nagród przez Murzynów, nie chciał podawać im ręki.

określającymi, kto z kim może się pobrać. Stosunki płciowe między Żydami i aryjczykami karano więzieniem. Prawo broniło nawet prostytutki przed „skalaniem rasowym” przez żydowskich klientów. Jedynie kontakty w sprawach interesów handlowych nie podpadały pod „hańbę rasową”. Niepożądane były wszelkie formy poufałości, jak na przykład tańce, lub wspólne zabawy. Za pocałowanie aryjki, nawet wtedy gdy sobie tego życzyła, skazywano Żyda na karę więzienia. Albowiem „całując dziewczynę aryjską Żyd hańbi nie tylko tę dziewczynę, lecz także cały naród niemiecki” - tak brzmiał wyrok w jednym z tego rodzaju procesów.

Jak wiadomo, Żyd nawet nie miał prawa wykonywania zawodu; w handlu zaś konfiskowano jego majątek, a także odbierano obywatelstwo. Krańcowym szczytem historycznej nienawiści stały się obozy koncentracyjne, komory gazowe i nieprawdopodobnie sadystyczne doświadczenia lekarskie.

W tym narastającym obłąkaniu niemiecka pseudoantropologia także osiągnęła punkt szczytowy. „Nienordycy zajmują położenie pośrednie między nordykiem a ...małpą” pisze w roku 1934 Herman Gauch w *Nowych elementach w badaniach rasowych*. Oto inne typowe oświadczenia o faktach „naukowych”, któreśmy zaczerpnęli z odezwy Juliusa Streichera, wydanej w roku 1935: „Ciałka krwi Żyda różni się całkowicie od ciałek krwi nordyka. Dotychczas tego faktu odkrytego przy badaniach mikroskopowych nikt nie ujawnił”. Jak pamiętamy, Streicher był wydawcą „Der Stürmer” - piśmiidła specjalizującego się w rozsiewaniu gwałtownej nienawiści przez plugawe opowieści o Żydach.

W końcu słowo „aryjczyk” straciło w państwie Hitlera wszelki rozsądny sens. Japończycy zostali, na przykład, uznani za aryjczyków w chwili, gdy stali się sojusznikami Niemiec. Pewien dziennikarz nazistowski miał babkę, amerykańską Indiankę z plemienia Siouxów. W roku 1938, po długich roztrząsaniach antropologicznych, Rada Prasowa oświadczyła oficjalnie, że Siouxowie są aryjczykami! (co do innych plemion indiańskich nie zapadły żadne uchwały).

Najwybitniejszym w literaturze wykładnikiem mitologii nazizmu był *Mein Kampf* Hitlera. Drugie miejsce zajmuje 700-stronicowy *Der Mythos des XX Jahrhundert* (Mit dwudziestego wieku) czołowego filozofa nazizmu, Alfreda Rosenberga. Mamy w niej wszelkie elementy obłądnej twórczości skrajnego maniaka. Autor odrzuca bezwzględnie wszystkie ogólnie przyjęte teorie antropologiczne i historyczne. „Mit” sprowadza się do wzmożenia czujności nordyków niemieckich w zachowaniu ich czystości rasowej i świadomości posłannictwa do rządzenia światem. Wszystko co dobre, nazywa się „aryjskie”. Całe zło pochodzi od Żydów, katolików, Rosjan i ortodoksyjnych protestantów. Nawet Chrystus był aryjczykiem, chociaż jego poglądy zostały wypaczone przez wpływy żydowskie. Warto zwrócić uwagę na to, że szanujący się uczeni niemieccy zignorowali tę książkę, nie traktując jej poważnie. Książka Rosenberga miała jednak niezwykle silny wpływ w Niemczech.

Żaden naród nie uniknął trucizny rasizmu, a Stany Zjednoczone nie są pod tym względem wyjątkiem. Naszym największym grzechem jest stosunek do ludności kolorowej; grzech ten wiąże się nierozzerwalnie z rasistowską pseudonauką. Po dziś dzień nawet w Stanach północnych przeciętny biały człowiek myśli o Murzynie, jako o istocie dziedzicznie niższej, natomiast w Stanach południowych przekonanie to jest prawie powszechne. Tymczasem w świetle współczesnej antropologii pogląd ten traktuje się na równi, na przykład, z wiarą, iż Ziemia jest płaska. Z tą tylko różnicą, że rasizm może sprawić ludziom znacznie więcej cierpień. Gdy Murzynom stwarza się te same warunki - w sensie możliwości rozwojowych - co ludziom białym, ich osiągnięcia twórcze i intelektualne dorównują osiągnięciom białych. Aby odkryć różnice genetyczne między obu rasami,

upoważniające do uznania wyższości jednej nad drugą, wykonano setki starannych i kontrolowanych doświadczeń. Wszystkie zawiodły!

To, co się działo na terenie Ameryki, streścił znakomicie George Bernard Shaw w *Człowieku i nadczłowieku*. „Dumni Amerykanie najpierw zmusili Murzynów do czyszczenia butów, aby potem dowodzić ich niższości, opierając się na tym, że są pucybutami”.

We wczesnych dziejach Stanów, w okresie wzmożonej wrażliwości rasowej, napisano wiele książek i broszur, mających udowodnić niższość Murzynów. Wśród nich trudno jednak znaleźć chociażby jedno dzieło napisane przez zawodowego antropologa. Większość ma charakter religijny, szukający oparcia w *Piśmie Świętym*. Mamy tam różne odmiany, podstawowym jednak wątkiem tych wszystkich nędznych prac jest to, że Bóg stworzył różne rasy i nie chciał żeby się ze sobą łączyły, oraz że Murzyni są rasą sług. Na całym obszarze Stanów południowych utrzymuje się do dziś taki właśnie pogląd. „Pokaż mi Murzyna, który potrafiłby rozwiązać któryś z problemów geometrii Euklidesa lub odmienić grecki czasownik” - powiedział kiedyś John Calhoun, - a uwierzę, że jest on istotą ludzką”.

Dziś wydaje się niemożliwe, aby ludzie inteligentni uważali Murzynów za istoty niższe od człowieka; niemniej jednak taki właśnie pogląd na Południu był czymś zwykłym nawet jeszcze w początkach tego wieku. W roku 1867 wieloletni Buckner H. Payne, występujący pod pseudonimem „Ariel” napisał broszurę (którą rozszerzył potem do rozmiarów dużego dzieła) pod tytułem *The Negro: What is His Ethnological Status?* (Murzyn: jaka jest jego sytuacja etnologiczna?). Payne dochodzi tam do wniosku, że Murzyn jest zwierzęciem bez duszy. Ostateczne jednak sformułowanie tej teorii pochodzi od mieszkańca St. Louis-Charlesa Carrola. Dwie jego książki: *The Negro a Beast* (Murzyn jest zwierzęciem) z roku 1900 i *The Tempter of Eve* (Kusiciel Ewy) z roku 1902 są w dziedzinie literatury rasistowskiej rekordem nie do pobicia.

Zdaniem Carrola Murzyni byli stworzeni obok zwierząt, jako wyższy rodzaj małp, przeznaczonych do wykonywania w raju wszelkich prac fizycznych. Umysł Murzyna nie różni się od umysłu innych ssaków; nie ma on też duszy. „Wąż”, który kusił Ewę, był w istocie młodą służącą Murzynką. Prastare zagadnienie, skąd wziął Kain żonę, znajduje w rozważaniach Carrola proste rozwiązanie: Kain pojął za żonę Murzynkę: oto pierwszy w dziejach przykład potwornej zbrodni połączenia się człowieka ze zwierzęciem. Wszystkie rasy, wyjąwszy białych, są mieszańcami rasy Adama i negroidalnych zwierząt³⁵.

Czy te mieszańce mają dusze? Nic nie wskazuje na to, by Carroll uważał to pytanie za kłopotliwe. Oświadcza po prostu, że duszy nie mają. „Człowiek nie może przenieść na swoje potomstwo z Murzynem najmniejszych nawet śladów duszy” pisze Carroll. „Zatem krew mieszana duszy nie ma” (podkreślenie autora). Carroll nie zaprzęta sobie głowy wspaniałymi osiągnięciami intelektualnymi mulatów. „Z faktu, że Alexandre Dumas posiadał doskonały rozum, nie wynika bynajmniej, że miał duszę”.

³⁵ Jakże piorunujące wrażenie zrobiłaby na Carrollu lektura trzytomowej pracy amerykańskiego Murzyna J. A. Rogersa pt. *Sex and Race* (Płeć i rasa), opublikowanej w latach 1941-1944. Rogers broni w niej bardzo wątpliwej tezy, mającej jednak obszerną literaturę: że pierwotnym pniem ludzkości byli ludzie czarnej odmiany rasowej, o nieco jaśniejszej, niż dzisiaj, skórze. Część ich rozwinęła się w rasę białą, druga zaś część, żyjąca w Afryce, stała się rasą ciemniejszą niż ich przodkowie. Wszystkie obecnie istniejące rasy pochodzą z tych dwóch grup o różnym stopniu zmieszania się. Rogers nie jest jednak rasistą, ponieważ nie przyznaje żadnej z nich niższości genetycznej; jego książki są dobrym przeciwstawieniem się mętnym wywodom skrajnych rasistów.

Dlaczego jednak do czerwonych, żółtych i brązowych ludzi, jak też do wszystkich, którzy mają czerwonych, żółtych lub brązowych przodków, a którzy przecież nie mają duszy, zadajemy sobie trud posyłania misjonarzy, którzy mają nauczać ich Ewangelii? Tak jak wielu pomylnych uczonych, Carroll jest również uderzająco konsekwentny w stosunku do swoich tez. Pan nigdy nie chciał, aby głoszone Ewangelie półdzikim - twierdzi Carroll. - A że mimo to, wysłała się tam misjonarzy, dowodzi tylko, jak dalece kościoły współczesne stały się grzeszne, skorumpowane i „zmurzynione”. Istotnym źródłem wszystkich chorób, które gnębią ludzkość od czasu grzechu pierworodnego, jest to, że nie potrafimy dostrzec zwierzęcej natury we wszystkich ludziach, z wyjątkiem potomków Adama.

Carroll pisze świetnie; cytuje wybitnych antropologów, zamieszcza tablice zwierające ciężary mózgów i wiele innych materiałów, mających „naukowo” udowodnić słuszność jego poglądów. Kilkanaście ilustracji w jego poprzedniej książce są złośliwymi karykaturami Murzynów, których przeciwstawia podobiznom Jezusa, Marii Panny oraz białych mężczyzn i kobiet. Nic nie wskazuje na to, by siebie uważał Carroll za „uprzedzonego”. Jest tylko pokornym „sługą Pana”, w wielkiej sprawie usunięcia „Murzynów z obecnej nienaturalnej pozycji w rodzinie ludzkiej i umieszczenie ich z powrotem w miejscu właściwym, pośród małp”. Oponentów swoich nazywa „bigotami o ciasnych umysłach” i ignorantami zarówno w *Piśmie Świętym*, jak i w nauce współczesnej. Na zdjęciu umieszczonym w jednej z książek Carrolla widzimy autora, jako mężczyznę o inteligentnym wyglądzie, o ciemnych włosach i ciemnych oczach, z czarną brodą i wąsami. Pierwszą jego książkę szybko rozkupiono zapewne dlatego, że w roku 1901 pewien pastor, William G. Schell poczuł się w obowiązku opublikować odpowiedź zatytułowaną *Is the Negro a Beast?* (Czy Murzyn jest zwierzęciem?).

Dzisiaj - miejmy nadzieję - nikt na Południu nie wierzy w to, że Murzyni nie mają duszy. Niemniej jednak w pismach religijnych po dziś dzień używa się wciąż antropologicznych argumentów Carrolla, aby udowodnić niższość Murzynów. Najczęściej używanym argumentem w tej dziedzinie jest to, że mózg Murzyna jest średnio biorąc nieco mniejszy niż mózg człowieka białego. A przecież mózg człowieka białego jest nieco mniejszy niż mózg Eskimosy, Polinezyjczyka, Indianina i Japończyka; nie mówiąc już o tym, że jest mniejszy od mózgu wielu plemion afrykańskich, Kafrów i Amaksosów. Nawet mózg neandertalczyka z Chappelle aux Saints jest większy od mózgu współczesnego człowieka białego!

Jeśli chodzi o zdolności umysłowe, wspomniane różnice antropologiczne nic absolutnie nie znaczą. Mimo to takim nonsensom poświęcono niestłuchaną ilość pseudonaukowych prac. Tak na przykład w roku 1871 francuski antropolog, Paul Broca, obdarzony szeroką czaszką, napisał aż pięć tomów mających udowodnić, że im szerszą ma się głowę, tym lepszy mózg; i że Francuzi mają wyjątkowo szerokie głowy.

Bardzo rozpowszechnione wśród białych nieuków przekonanie o tym, że kolorowi są anatomicznie bliżsi małpom niż inne rasy, nie ma żadnego uzasadnienia. Każda rasa ma pewne cechy zbliżone do cech małpich; cechy te łatwiej się widzi u innych ras, niż u własnej. Murzyńskie grube wargi, kręcone włosy, nieznaczne owłosienie ciała wskazują na to, że Murzyni są dalsi od małp, niż na przykład biała odmiana rasowa. Małpy mają przecież wąskie wargi, proste włosy i silne owłosienie ciała. Wiele hałasu w Anglii i w Stanach Zjednoczonych wywołała książka pt. *Mongol in our Midst* (Mongol wśród nas) wydana w roku 1924, której znaczna część poświęcona jest podobieństwu białych do szympanosów. Napisał ją lekarz Francis G. Crookshank. Ostatnie jej wydanie z roku 1931 obejmuje aż 539 stron i zawiera wiele zabawnych zdjęć. Według Crookshanka, mamy trzy główne gałęzie ras

ludzkich: białą, żółtą i czarną. Rasa biała jest spokrewniona z szympansem, żółta - z orangutanem, czarna zaś - z gorylem. W wyniku rozmnażania się ras zdarzają się w nich atawizmy. Mongoloidalny idiota wskazuje na posiadanie przodków „orangoidalnych”; mikrocefalik i schizofrenik jest atawizmem ku krewnym „szympansoidalnym”; idiota zaś etiopski jest typem „goryloidalnym”. Nie trzeba chyba dodawać, że mamy tutaj do czynienia z najczystsza postacią pseudonauki.

Wśród pisarzy rasistowskich w Stanach Zjednoczonych największą siłę argumentacji wykazali dwaj prawnicy: Madison Grant i Lothrop Stoddard. Ze wszystkich prac amerykańskich ich prace były najbliższe ideom antropologów nazistowskich. Obaj autorzy przyjmują mit o wyższości nordyków i ostrzegają tę rasę przed degeneracją w wyniku mieszania się z innymi typami. Nie bez znaczenia jest fakt umieszczenia w jednej z książek Günthera podobizny Granta i Stoddarda obok portretów Gobineau i Chamberlaina: czterech najwybitniejszych obrońców ideałów nordyckich. Podobiznę Granta stanowi fotografia jego brązowego popiersia, zapewne dlatego, aby ukryć jego śniadą cerę (zatem nie nordycką).

Zmarły w roku 1937 Grant był nowojorskim adwokatem, zoologiem-amatorem, członkiem zarządu Amerykańskiego Muzeum Przyrodniczego. Głównymi jego pracami z dziedziny zagadnień rasowych były *The Passing of the Great Race* (Przemijanie wielkiej rasy) z roku 1916 i *The Conquest of a Continent* (Zdobycie kontynentu) z roku 1933. Obie książki wstępem zaopatrzył wybitny geolog Henry Fairfield Osborn, ku wiecznemu zakłopotaniu swoich wielbicieli.

Chcąc scharakteryzować obie książki Granta wystarczy powiedzieć, że są wymownymi atakami na to, co wyryto na podstawie Statui Wolności:

„Oddajcie mi wasze zmęczenie, waszą biedę,
O wy, stłoczone masy tęskniące do wolności,
Wasze nędzne resztki wodnistej stawy
Dajcie mi je, o bezdomni!”

Grant wierzy, że Ameryka była pierwotnie zamieszkała przez czysty rasowo szczep nordyków protestanckich (pogląd kwestionowany przez dra Alesa Hrdlicka w pracy *The Old Americans* (Dawni Amerykanie) wydanej w roku 1925. Na nieszczęście ta szlachetniejsza gałąź, zdolna do podniesienia Ameryki na bardzo wysoki poziom, nagle „została zdeprecjonowana” w wyniku zalewu imigracji „obcych”. W rezultacie staliśmy się nagle rasą mieszańców, takim samym „rasowym chaosem”, jaki zapanował w Rzymie przed jego upadkiem. Na szczęście mamy jeszcze 70% nordyków i 80% protestantów. Jeśli nam się uda - pisze Grant - powstrzymać tę „inwazję obcych”, możemy dalej rozwijać swoją tężyźnię i spełniać swoje przeznaczenie.

Zdaniem Granta mieszanie się ras jest złe.

„Musimy pamiętać, że specjalizacja cechująca rasy wyższe rozwinęła się niedawno i jest wysoce niestała. Jeżeli zostanie zmieszana z cechami pospolitymi lub prymitywnymi, to zaniknie. Czy to się nam podoba, czy nie, wyniki mieszania się dwóch ras na dłuższą metę dają rasę zbliżoną do typu dawnego, pospolitego, niższego. Krzyżowanie się białego z Murzynem daje Murzyna; białego z Hindusem - Hindusa. A krzyżowanie się każdej z trzech ras europejskich z Żydem daje Żyda”.

Wszystkie te stwierdzenia nie mają, rzecz jasna, nawet najmniejszego śladu uzasadnienia naukowego. Tkwią one w świecie wierzeń ludowych i są równie zabobonne i mitologiczne, jak twierdzenie, że na

przykład białemu małżeństwu może się urodzić „czarne dziecko”, jeśli jedno z rodziców ma choćby ślad krwi murzyńskiej.

Grant przyjmuje jako założenie, że Murzyn jest czymś najniższym w hierarchii rasowej.

„...Istnieją dane - pisze - wskazujące na to, że zdolności i inteligencja człowieka kolorowego są ściśle proporcjonalne do posiadanej przez niego zawartości białej krwi... Nawet mulat, który posiada tyle białej krwi, że «przejdzie», ma jednak cechy emocjonalne i intelektualne wiążące go zdradliwie z czarnymi przodkami; cechy te może on w ten sposób wnieść do rasy białej”.

„Jak należy traktować Murzyna, wiedzą Południowcy - z dobrocią i stanowczością; Murzyni są lubiani poza linią Masona-Dixona tak długo, jak długo mają właściwy stosunek do białych...”. A oto rozwiązanie „problemu murzyńskiego” zaproponowane przez Granta: należy wprowadzić bezwzględne prawa zabraniające małżeństw mieszanych (mamy istotnie takie prawa w trzydziestu stanach, przy tym w wielu z nich zabrania się także małżeństw biało-żółtych) i zrobić wszystko co można, aby zapobiec dalszemu społecznemu mieszaniu się; wreszcie uświadomić Murzynów o regulacji urodzin, by nie mnożyli się tak szybko.

Drugi amerykański adwokat Lothrop Stoddard (mający stopień doktora Uniwersytetu Harvardzkiego) wyznaje te same w zasadzie poglądy, co i Grant. Najbardziej znaną jego pracą jest *The Rising Tide of Color* (Przyptyw kolorowych), opublikowana w roku 1920 przez wydawnictwo Scribners. Jak wynika z tytułu, rasy kolorowe (czarna, żółta, brązowa i czerwona) - zdaniem Stoddarda - przybierają na sile jak przyptyw zagrażający zalewem wyższej rasie białych. Biały człowiek niczym król Kanut „siedzi na nadbrzeżnym piasku i błaga fale, aby się zatrzymały. Byłby szczęśliwy, gdyby mu się udało uciec w mokrych butach”.

Według Stoddarda prawdziwą „duszą” kultury jest rasa; cywilizacja zaś jest zaledwie jej ciałem. „Gdy znika dusza - pisze autor - ciało pleśnieje”... Cóż wywołuje zanikanie duszy? Mieszanie się. Wszystkie krzyżówki rasowe są złe; szczególnie złe, gdy w tym biorą udział rasy niższe. Im prymitywniejsza jest rasa, tym bardziej jej geny dominują. „Oto dlaczego krzyżowanie się z Murzynem jest z reguły fatalne”.

„Jeśli obecny prąd nie ulegnie zmianie - pisze Stoddard - biali będą absolutnie straceni... A to oznacza, że rasa najwyraźniej obdarzona największą zdolnością twórczą, rasa której zawdzięczamy największe osiągnięcia przeszłości i która daje najlepsze widoki na przyszłość, rasa ta przeminie unosząc do grobu możliwości, których urzeczywistnienie było największą nadzieją ludzkości. Milion lat ewolucji ludzkości ulegnie zaprzepaszczeniu, a najwyższy twór życia na Ziemi, człowiek, nigdy nie spełni swego potencjalnego przeznaczenia”.

Jakże często przewija się słowo „przeznaczenie” w pismach ludzi, którzy przyjmują, że ich rasa jest wyższa niż wszystkie inne. Jeśli Steny Zjednoczone mają spełnić swe przeznaczenie, muszą - zdaniem Stoddarda - zbudować „tamę” stawiającą czoła wzrastającemu przyptywowi kolorowych. Stanie się to tylko wtedy, gdy biali posiadą „prawdziwą świadomość rasową” i zrozumieją wyjątkową wagę zachowania odziedziczonej wyższości rasy.

Nowe u Stoddarda polega na twierdzeniu, że „elementem podstawowym jest krew. Czysta, męska krew, nosicielka geniuszu, płynąca wiekami, nie zakłócona błędnym dziedzictwem, mnożąca się

w sprzyjających okolicznościach, oto co rozwiąże nasz problem i doprowadzi nas do wyższych i szlachetniejszych przeznaczeń”.

W roku 1935 wydawnictwo Scribners opublikowało drugą książkę Stoddarda napisaną na ten sam temat: *Clashing Tides of Color* (Huczący przyptyw kolorowych). „Wzbierający” przyptyw spotkał się obecnie z „powracającą falą”, tworząc kłębowisko kręcących się wirów i piętrzących się bałwanów, które zderzają się ze sobą. Wprawdzie nowe nazistowskie doktryny uznaje autor za „trudne do oceny”, niemniej cytuje raz po raz nazistowskiego antropologa Günthera. Ostatnią książkę Stoddarda opublikowało w roku 1940 wydawnictwo Duell, Sloan i Pearce. Jest to opis podróży autora do Niemiec na krótko przed wybuchem wojny ze Stanami. Książka ta pod tytułem *Into the Darkness* (W ciemność) łagodnie krytykuje hitlerowski program rasowy i eugeniczny. Całość sprawia jednak wrażenie, że autor sympatyzuje z wieloma dążeniami hitlerowskiego rasizmu.

Stoddard nie jest oczywiście doświadczonym antropologiem. Tak jak i Grant, pisze na tematy, w których jest dyletantem. Jeszcze większy brak podłoża naukowego charakteryzuje autorów mniej sofistycznych prac rasistowskich, takich jak: *America: a Family Matter* (Ameryka: sprawa rodzin) napisanej przez Charlesa W. Goulda w roku 1920; *White America* (Biała Ameryka) z roku 1923 Earnesta S. Coxa; *Can the White Race Survive?* (Czy rasa biała może przetrwać?) Jamesa D. Sayersa w roku 1929 i wreszcie *The Right to be Well Born* (Prawo do dobrego urodzenia), którą napisał w roku 1917 milioner, hodowca koni w Lexington w stanie Kentucky, William E. D. Stokes. Ponadto wiele prac brytyjskich o podobnej tematyce, np. *Our Testing Time* (Czas naszej próby) H. Curle'a z roku 1926.

To, że żaden z tych autorów nie uzyskał pozycji „uczonego” świadczy wyraźnie na korzyść narodu. Oznacza to, że mimo istnienia w społeczeństwie amerykańskim silnych i przenikających wpływów rasistowskich, zwłaszcza wśród ludzi o niskim intelekcie, jesteśmy jednak dalecy od nazistów. Żaden z naszych uznanych profesorów antropologów nie usankcjonował nienawiści rasowej, czołowi zaś wydawcy przestali publikować książki rasistowskie jeszcze w roku 1935.

Najgwałtowniejszą propagandę antysemityzmu szerzą z reguły nasi naukowci analfabeci. Głównym źródłem wszystkich rasistowskich kłamstw przez nich szerzonych jest znane fałszerstwo pod nazwą *The Protocols of Zion* (Protokoły mędrców Syjonu). Jest to rzecz niezmiernie prymitywna i bezładna, zawierająca rzekomo protokoły z szeregu tajemnych posiedzeń, na których żydowscy przywódcy spiskowali nad objęciem rządów nad światem. W rzeczywistości są to odpisy z pracy Francuza, Maurice'a Joly'ego, opublikowanej w roku 1865, w której napada na rządy Napoleona III. Książka Joly nie ma nic wspólnego z Żydami. Mimo, że fałszerstwo ujawniono w pełni już w roku 1921, wszędzie gdzie ruch antysemicki wychłodzi na arenę, pojawia się ta książka. Opublikował ją w roku 1921 filozof nazistowski Alfred Rosenberg, zaopatrując w rozległy komentarz. Do dziś kursuje ona w Stanach Zjednoczonych pomiędzy zawodowymi antysemitami.

Warto jeszcze wspomnieć o jednej dość interesującej książce napisanej przez Amerykanina Samuela Rotha (nowojorskiego wydawcę publikacji na pół erotycznych). Tytuł dzieła brzmi: *Jews Must Live* (Żydzi muszą żyć), podtytuł zaś *An Account of the Persecution of the World by Israel on all the Frontiers of Civilization* (Sprawozdanie o prześladowaniach całego świata przez Izraela na wszystkich odcinkach cywilizacji). Książka ta zasługuje na wątpliwą sławę najbardziej antysemickiego wyczynu, jaki kiedykolwiek wyszedł spod pióra rodowitego Żyda. Dodatek do niej brzmi: *Do the Jews emit a peculiar odor?* (Czy Żydzi wydzielają specyficzny zapach?). Autor odpowiada na to twierdząco. Roth

opublikował tę rzecz na koszt własny (tak zresztą jak i wszystkie inne swoje książki) w roku 1934. W Stanach Zjednoczonych nie zyskał poczytności, natomiast szeroko przedrukowywano je w Niemczech i w organizacjach nazistowskich innych krajów. Ostatnia z książek Rotha *The Peep-Hole of the Present* (Przez dziurkę od klucza współczesności) z roku 1945 wytycza nowy system filozofii i fizyki. Praca jest tak niejasna, zagmatwana i ma tak złą korektę, że jej zrozumienie jest wręcz niemożliwe. Dlatego też nie włączyliśmy jej do rozdziału poświęconego przeciwnikom Einsteina, gdzie powinna by się znaleźć ze względu na tematykę.

Zanim czytelnik uśmieje się z tych ludzi, którzy takie nonsensy biorą poważnie, niech się przez chwilę zastanowi nad tym, jakże szeroki zasięg objęły w Stanach Zjednoczonych przesady rasowe, których się nie traktuje jako absurdu. A oto przykłady: podczas drugiej wojny światowej opinia publiczna zmusiła Czerwony Krzyż do utrzymywania oddzielnych przechowalni dla plazmy krwi białych i Murzynów, aczkolwiek w obu przypadkach plazma była identyczna. Na południu przy każdej studni publicznej z wodą do picia znajdują się napisy „Biali” i „Kolorowi” - haniebny pomnik uporczywych obłąkańczych poglądów rasowych.

Pamiętamy wszyscy przypowieść o Dobrym Samarytaninie; jednak tylko niewielu zdaje sobie sprawę z tego, że Chrystus podając przykład prawdziwej miłości bliźniego wybrał Samarytanina, ponieważ w starożytnej Jerozolimie Samarytanie byli pogardzaną mniejszością. Zastąpmy więc Samarytanina Murzynem, a wtedy zrozumiemy sens przypowieści zgodnie z tym, jak ją rozumieli ci, którzy słyszeli Chrystusa.

„Bądź piękny, bądź naturalny, bądź podobny do Boga” deklamował kiedyś nazista Streicher.
„Narodowy socjalizm przywraca boski porządek i dlatego działa zgodnie z wolą Pana” - oświadczył swego czasu szef hitlerowskiego Biura Polityki Rasowej dr Walter Gross. Trudno w dziejach całego chrześcijaństwa o większe bluźnierstwo, niż to kojarzenie pseudonauki z imieniem Nazareńczyka, który przecież głosił naukę powszechnego współczucia i miłości.

Rozdział XII

Atlantyda i Lemuria



Wielu antropologów podziela wraz z ortodoksyjnymi chrześcijanami wiarę, że rasy ludzkie pochodzą z jednego pnia rodzicielskiego. Jeżeli to jest prawda, to pytanie, gdzie ten pień wzrósł, nabiera nielada wagi, i tomy całe można by napisać o rozwlekłych wypowiedziach pseudoantropologów i religijnych maniaków. Rosyjscy etnologowie ogłosili, że rodzaj ludzki po raz pierwszy pojawił się w Rosji. Wielu natomiast orientalnych antropologów wypowiedziało się na korzyść Wschodu. Mało które miejsce na naszym globie uniknęło przypisywania mu zaszczytu stania się kolebką rodzaju ludzkiego.

Im bardziej nieprawdopodobny był obszar, tym bardziej przyciągał on myślicieli pewnego typu. Trudno sobie wyobrazić obszar mniej odpowiedni, niż Biegun Północny, a jednak William F. Warren, duchowny metodystów i rektor Uniwersytetu Bostońskiego przez 30 lat, był głęboko przekonany, że biegun stanowił teren Raju. Jego książka *Paradise Found* (Raj odnaleziony) z roku 1885 robi wrażenie opracowania naukowego i zawiera przeszło 500 stron. Opierając się na geologii, klimatologii, botanice, zoologii, antropologii i mitologii, Warren usiłuje wykazać, że klimat na Biegunie Północnym był ongiś nadzwyczaj ciepły i przyjemny. Tu Adam i Ewa zostali stworzeni. Potem potop Noego zalał Ziemię, na której był położony Raj, i doprowadził klimat do jego obecnej surowości.

Dużo bardziej jednak pomysłową teorię opublikowano 3 lata przed książką Warrena. Twórcą jej był Ignatius Donnelly reformator z Minnesoty, na którego natknęliśmy się już w rozdziale III, jako na prekursora Velikovskij'ego. Jego książka *Atlantis*, wydana przez firmę „Harper and Brothers” w roku 1882, osiągnęła ogromne powodzenie. Potem przetłumaczono ją na wszystkie ważniejsze języki świata. Przed zaledwie kilku laty ukazało się w Ameryce i w Anglii jej nowe wydanie, opatrzone komentarzem. Żadna książka z tej dziedziny nie przewyższyła jej popularnością i wpływem.

Teza Donnelly'ego, mówiąc pokrótce, głosi, że raj biblijny był położony na wielkim kontynencie, który ongiś istniał na Oceanie Atlantyckim. To właśnie tam ludzkość dźwignęła się z barbarzyństwa po epoce lodowej i rozwinęła pierwszą na świecie cywilizację. Kultura i nauka osiągnęły wysoki poziom, w religii cześć oddawano Słońcu. Kolonizatorzy z Atlantydy rozeszli się we wszystkich kierunkach i oni to zaludnili obie Ameryki, Europę i Azję. Królowie, królowe i bohaterowie Atlantydy stali się bóstwami starożytnych religii. Około 13 000 lat temu gwałtowne wybuchy wulkaniczne wstrząsnęły Ziemią, a cały kontynent Atlantydy został zatopiony. Legendy o potopie, podobnie jak historia Noego, są wspomnieniem tej wielkiej katastrofy.

Na poparcie tego twierdzenia Donnelly zgromadził wielką ilość wątpliwej wartości materiałów geologicznych, archeologicznych i legendowych mających przede wszystkim wykazać podobieństwa między kulturą starożytnego Egiptu, a meksykańsko-indiańskimi kulturami dawnej Ameryki Południowej. W obu tych regionach spotyka się, na przykład, umiejętność balsamowania, stosowanie 365-dniowego kalendarza, budownictwo piramid, mity o potopie itd. Aby utworzyć pomost łączący świat Śródziemnomorski z Południową Ameryką, Donnelly dowodzi, że powinno się przyjąć istnienie wcześniejszej kultury, powstałej między tymi dwoma obszarami. Niewielu piszących na ten temat przewyższyło Donnelly'ego w wysuwaniu wniosków, jak to wyraził jeden z krytyków, „od wzgórka faktów do góry domysłów”.

W rzeczywistości książka Donnelly'ego nie jest niczym innym, niż unowocześnioną obroną starożytnego mitu greckiego o Atlantydzie, po raz pierwszy podanego przez Platona. Platon opisuje Atlantyde, jako krainę barbarzyńskiej kultury, pełnej wystawności i zbytku, która niegdyś istniała w pobliżu połączenia Morza Śródziemnego z Atlantykiem. Bogów oburzało zepsucie, krzawiące się na wyspie. Za karę zesłali wielkie trzęsienie ziemi, które sprawiło, że Atlantyda zatoniła w ciągu jednej doby. Może to było owo na wpół zatopione miasto Atlantów, które Poe opisał w swoim *City in the Sea* (Mieście w morzu).

Średniowieczni uczeni powszechnie uznawali istnienie Atlantydy. Wiele o niej wzmianek można znaleźć w pismach z tej epoki, lecz nic istotnego nie dodano ponadto, co podał Platon. W okresie odrodzenia mit ten był przedmiotem licznych spekulacji, zaś w XIX wieku jedynie kilka prac poświęcono specjalnie temu zagadnieniu. Ale nikomu przed Donnelly'm nie udało się opracować tak zwartej i pozornie naukowej obrony legendy Platona. Wybitna osobistość, William Gladstone³⁶, premier angielski, był pod tak silnym wrażeniem książki Donnelly'ego, że zwrócił się do gabinetu ministrów o przyznanie funduszy na wysłanie statku na Atlantyk, aby wyznaczyć granice zatopionego kontynentu.

Od czasu wydania książki Donnelly'ego ukazała się niewiarygodna ilość podobnych prac, chociaż żadna z nich dotychczas nie przewyższyła swego pierwowzoru pomysłowością i siłą argumentacji. Skromnie licząc lista wszystkich tytułów na temat Atlantydy, które były opublikowane w bieżącym stuleciu we wszystkich językach, zawiera kilka tysięcy pozycji. Większość z nich są to, naturalnie, chaotyczne płody ekscentryków, nawet bez żadnej wartości beletrystycznej. Najbarwniejsze są prace okultystów różnych odcieni. Ci bowiem rozporządzają źródłami tajemnej informacji, nieosiągalnymi dla materialistów. Teozofowie i antropozofowie oraz wyznawcy kultu „Róży i Krzyża”³⁷, piszący o Atlantydzie, opierają się na wiedzy posiadanej przez wtajemniczony chi, którym została ona przekazana na przestrzeni wieków, przez prawtajemniczonych. W wielu przypadkach wykazują w tej sprawie intuicję jasnowidzów. Wiadomości zawarte w niektórych książkach - takich, jak licząca 807 stron *Submerged Atlantis Restored* (Zatopiona Atlantyda odnowiona) Josepha B. Leslie, wydana w Rochesterze w stanie Nowy Jork w roku 1911 - zostały przekazane autorom w całości przez duchy zmarłych Atlantów w seansach spirytystycznych. Taka pozycja daje, naturalnie, autorom możliwość

³⁶ Gladstone sam był czymś w rodzaju pseudouczonego, jako że napisał książkę o Homerze, w której dowodził, że starożytni Grecy mieli wzrok nieczuły na barwy, na co wskazuje szczupłość kolorystycznych określeń w Iliadzie i Odysei.

³⁷ „Róża i Krzyż” - tajne stowarzyszenie, którego niejasne zaczątki sięgają XIV wieku. Nazwa pochodzi przypuszczalnie od nazwiska niemieckiego notabla i podróżnika - Christiana Rosenkranza. W dalszej fazie (XVII wiek) stowarzyszenie przybrało charakter mistyczny i okultystyczny, stając się w pewnym stopniu prekursorem masonerii (przyp. tłum.).

uzyskania obszernej i wnikliwej wiedzy o wszelkich szczegółach życia starożytnej Atlantydy i, mimo że książki ich trudno zaliczyć nawet do pseudonauki, to jednak niektóre z nich są na tyle zabawne, że warto o nich wspomnieć.

Najbardziej trzeźwym z tajemnych znawców Atlantydy jest szkocki prezbiterianin, nazwiskiem Lewis Spence. Jest on autorem 40 „uczonych” książek o folklorze, z których kilka odnosi się do Atlantydy. W przeciwieństwie do innych okultystów, Spence opiera się prawie wyłącznie na geologii, biologii, mitologii i archeologii - naturalnie mocno zabarwionych wyobraźnią. Przyjmuje on wersję Platona, jako realnie prawdziwą. Sądzi, że Atlanci byli rasą mieszaną, o dużych mózgach, i że ich pierwsi przybysze do Europy należeli do rasy, którą antropologowie nazywają kromanoidalną. „Jeśli czytelnik zechce mi, jako patriocie szkockiemu, wybaczyć pewną przechwałkę - pisze w *The Problem of Atlantis* (Problemie Atlantydy) z roku 1924 - pozwolę sobie zauważyć, że jestem głęboko przekonany, iż uznana wyższość Szkocji w sferze umysłowej i duchowej wynika prawie całkowicie z przewagi krwi kromaniońskiej, która z pewnością płynie w żyłach jej ludu...”.

W początkach II wojny światowej Spence'a ogarnęła obsesja na punkcie paraleli między dekadencją starodawnej Atlantydy, a dekadencją nowoczesnej Europy. W książce pod tytułem *Will Europe follow Atlantis?* (Czy Europa pójdzie w ślady Atlantydy?) z roku 1942, dowodzi on, że cała Europa, a szczególnie Niemcy, cierpią na wielki moralny rozkład. Podobnie jak sztuki tajemne, takie jak astrologia (w którą Spence głęboko wierzy), zostały doprowadzone do upadku przez starożytnych Atlantów - tak obecnie naziści przekształcili sztukę tajemną w sataniczną formę „czarnej magii”. Spence'a specjalnie irytuje pogląd Rosenberga i innych niemieckich autorów, że rasa nordycka bierze swój początek z Atlantydy, podczas gdy świadectwa wykazują jasno, że właśnie Anglosasi są prawdziwymi spadkobiercami ludu zatopionego kontynentu. Tak jak Atlantyde spotkał gniew boży, tak i Niemcy, a wraz z nimi cała Europa, ulegną wielkiemu kataklizmowi, chyba że wykażą skruchę i powrócą do prawdziwego chrześcijaństwa. „Czy ta kara będzie taka sama, jak straszny los ludu Atlantydy? - pyta. - Nie zdoła odpowiedzieć na to śmiertelnik zrodzony z kobiety”. Wcześniejsze książki Spence'a miały duży wpływ na niemieckie spekulacje na temat Atlantydy, nic jednak nie wskazuje na to, by naziści przejęli się myślą, że Niemcy mogą podzielić losy Atlantydy i przegrać wojnę przez nagłe zatopienie. W roku 1944 Spence w książce *The Occult Causes of the Present War* (Tajemne przyczyny obecnej wojny) zapuścił się w jeszcze większe szczegóły dotyczące satanicznych początków niemieckiego okultyzmu i wiszącej nad Germanią zagłady.

Teozofowie zawsze brali Atlantyde bardzo na serio i do tej legendy dodali jeszcze inną - o Lemurii. Ta nazwa początkowo była przewidziana przez pewnego zoologa w XIX wieku dla dużego masywu lądowego, który, według niego, musiał istnieć na Oceanie Indyjskim, a który wyjaśniałby problem geograficznego rozmieszczenia lemurów. Madame Blavatska, wysoka kapłanka teozofii, przyjęła tę nazwę i pisała szczegółowo o „trzeciej głównej rasie”, która, jak wierzyła, rozkwitła właśnie na tej wyspie.

W myśl poglądów Blavatskiej, na naszej planecie pojawiło się dotychczas pięć głównych ras, a utworzenie się dwóch dalszych jest sprawą przyszłości. Każda główna rasa ma siedem podras, a każda podrasa - siedem „gałęzi rasowych” (siódemka jest u teozofów liczbą mistyczną). Pierwsza główna rasa żyjąca gdzieś koło Bieguna Północnego była rasą ludzi „ognia i mgły”, ludzie eterycznych i niewidzialnych. Druga główna rasa zamieszkiwała północną Azję. Ludzie ci mieli ledwie widoczne ciała astralne. Początkowo rozmnażali się przez podział, lecz potem po przejściu przez stadium,

w którym obie płcie były połączone w jednym osobniku, ten sposób rozwinął się w rozród płciowy. Trzecia rasa żyła na Lemurii. Były to małopokształtne olbrzymy, o ciałach materialnych, które z wolna przekształcały się w formy bardziej zbliżone do współczesnego człowieka. Lemuria została zatopiona podczas wielkiego wstrząsu. Zanim to się stało, jedna z podras przeniosła się do Atlantydy, by tam dać początek czwartej głównej rasie.

Piąta główna rasa - aryjska - powstała z piątej podrasy Atlantów. Obecnie - jak twierdzą teozofowie - szósta główna rasa rozwija się powoli z szóstej podrasy aryjskiej. Dzieje się to w południowej Kalifornii, gdzie, według słów Annie Besant³⁸ „klimat jest najbardziej podobny do naszych wyobrażeń o raju”. W końcu Ameryka zatonięła, a Lemuria wynurzyła się z Oceanu Spokojnego, by stać się siedliskiem szóstej głównej rasy. Potem, gdy siódma główna rasa (która powstanie z siódmej podrasy szóstej głównej rasy) rozwinie się, a potem upadnie - cykl ziemski zostanie zakończony, a nowy rozpocznie się na Merkurym.

Późniejsi okultyści podjęli wątek myśli Blavatskiej, Besant i innych współczesnych przywódców teozofii i uzupełnili ich dzieło fascynującymi szczegółami. Teozoficzna praca W. Scott-Elliotta *The story of Atlantis* (Legenda Atlantydy) z roku 1914, jest najbogatszym źródłem informacji o siedmiu podrasach, które występowały kolejno po sobie na tym kontynencie. Pierwsza z nich, pochodząca z Lemurii, zwała się Rmoahal. Przedstawiciele jej mieli wzrost 10 do 12 stóp i odznaczyli się mahoniowoczną skórą. Druga podrasa, Tlavatli, miała barwę miedzi i oddawała cześć przodkom. Po niej przyszła Toltec, która stworzyła najwyższą kulturę Atlantydy, trwającą około 10 000 lat. Ci byli jeszcze bardziej miedzianoskórzy, wysocy, o greckich rysach. Ich poziom wiedzy był bardzo wysoki. Toltekowie mieli statki powietrzne, napędzane siłą kosmiczną, dzisiaj nieznaną. Niekiedy Toltekowie pili gorącą krew zwierząt. (Annie Besant napisała poprzednio, że Toltekowie mieli po 27 stóp wzrostu, a ciało ich było tak twarde, że „naszym nożem można by było krajać ich ciało z równym skutkiem, jak dzisiejszą skałę”).

Miejsce Tolteków zajęli Turańczycy - nieodpowiedzialni indywidualiści, lecz wybitni kolonizatorzy. Potem pojawili się Semici, z ich wysoko rozwiniętymi zdolnościami spekulatywnymi i wewnętrznym poczuciem sprawiedliwości. Stanowili oni burzliwą rasę malkontentów, wciąż w zwadach ze swymi sąsiadami. Szósta podrasa - Akkadyjczycy, byli pierwszymi prawodawcami. Wreszcie Mongołowie. Ci wyruszyli do Azji i byli pierwszymi Atlantami, którzy rozwinęli swoją kulturę poza rodzinną wyspą.

Nieżyjący już dziś Steiner, założyciel Towarzystwa Antropozoficznego (kult ten rozwija gwałtownie się w powojennych Niemczech Zachodnich), przyjął wszystko, co podaje Scott-Elliott, po czym dodał od siebie pewne szczegóły, których pochodzenia, jak twierdził, nie wolno mu było ujawniać. W swojej książce *Atlantis und Lemuria* (Atlantyda i Lemuria) z roku 1913 podaje, że Lemurowie nie potrafili ani rozumować, ani liczyć, a żyli kierując się instynktem. Nie mieli mowy, lecz porozumiewali się ze sobą drogą telepatii. Mieszkali w jaskiniach i mieli wysoce rozwiniętą siłę woli, co pozwalało im podnosić ogromne ciężary. Powietrze było wówczas gęstsze, niż obecnie, woda bardziej płynna, a ziemia miała plastyczną, niezespoloną konsystencję.

Najbardziej niestrudzonym propagatorem Lemurii lub Mu (jak ją nazywał) był pułkownik James Churchward, Brytyjczyk, który służył w Indiach, w lansjerach bengalskich. Jako młody oficer

³⁸ Annie Besant (1847-1933), angielska wolnomyślicielka i teozofka, w późniejszym okresie przywódczyni hinduskiego ruchu politycznego (przyp. tłum.)

odkomenderowany do służby pomocniczej podczas klęski głodowej, zaprzyjaźnił się z pewnym wysokim kapłanem ze szkoły klasztornej w Indiach. Pułkownik twierdził, że kapłan pozwolił mu zapoznać się z kolekcją tabliczek z napisami w starodawnym języku Mu, które, dzięki pomocy tegoż kapłana, udało się w końcu odcyfrować. W wieku lat 70, mieszkając jako oficer emerytowany w Mount Vernon, w stanie Nowy Jork, Churchward rozpoczął publikować swoją serię książek o Mu, opartych na tabliczkach z klasztoru: *The Lost Continent of Mu* (Zaginiony kontynent Mu) w roku 1926, a następnie *The Children of Mu* (Dzieci Mu) w roku 1931; *The Sacred Symbols of Mu* (Święte symbole Mu) w roku 1933 i *Cosmic Forces as They Were Taught in Mu* (Siły kosmiczne według nauki w Mu) w roku 1934. Pułkownik zmarł w roku 1936 w wieku 86 lat.

Mu było, jak twierdził Churchward, właściwym rajem, gdzie człowiek został stworzony 200 milionów lat temu. Był to specjalny akt stworzenia, a nie wynik ewolucji. Lemurowie osiągnęli wysoką cywilizację, z nauką daleko przewyższającą naszą naukę. Między innymi opanowali oni „siłę kosmiczną”, która pozwalała im pokonać siłę grawitacji. Była to ta sama siła, której użył Jezus, gdy chodził po wodzie. Faktycznie Jezus studiował świętą religię Mu u mędrców z Indii i Tybetu, a więc nauka jego jest pochodną kultu Mu. Około 12 000 lat temu wybuchł podziemny pas gazowy, rozciągający się w pobliżu równika. W kataklizmie, który nastąpił, cały kontynent Mu zatonął i jego 64 miliony mieszkańców zginęło. Wyspy Oceanu Indyjskiego są „żałosnymi kikutami wielkiego lądu”. To samo wodne fatum stało się udziałem kontynentu Atlantydy.

Pułkownik przyjmuje cały aparat okultyzmu: reinkarnację, telepatię, fotografie duchów, ciała astralne itp. Jedna z jego książek o Mu kończy się opowiadaniem, jak Rishi - ten sam wysoki kapłan w Indiach, który pokazał mu tabliczki Mu - wprowadził go w trans i razem z nim odwiedzili miejsce swoich poprzednich wcieleń. Rishi stale nazywał Churchwarda: „mój syn”. W tej „przeszłościowej” wizycie widział siebie samego, jako zabitego żołnierza, a obok płaczącego Rishi, który wołał: „Mój jedyny syn poległ w bitwie!”

Wszystkie te książki o Mu są pisane nieudolnie i stanowią taki groch z kapustą geologicznych i archeologicznych błędów, że nawet zwolennicy Atlantydy i Mu uważają je za świadomą mistyfikację. Jest znamienne, że nikt nigdy nie widział tabliczek, które były źródłem wiedzy pułkownika. Nie określił on nawet nigdy bliżej klasztoru, w którym je znalazł.

Pokrzepiająco nowy punkt widzenia na zatonięcie Atlantydy ma Hans S. Bellamy, którego przedstawiliśmy w jednym z początkowych rozdziałów, jako głównego w Anglii szermierza teorii lodu kosmicznego Hörbigera. W swojej książce *The Atlantis Myth* (Mit Atlantydy), wydanej w roku 1948, Bellamy dowodzi, że pogrążenie się Atlantydy zostało spowodowane wstrząsami, które towarzyszyły schwytniu przez Ziemię jej obecnego Księżyca. Amerykański rywal Bellamy'ego, dr Immanuel Velikovsky ma tu inne zdanie. W *Worlds in Collision* (Światy w zderzeniu) pan doktor informuje nas, że Platon omylił się nieco, ustalając czas pogrążenia się wyspy na 9000 lat przed Solonem. „To jest o jedno zero za dużo” - pisze Velikovsky i dodaje uspokajająco: „Najbardziej prawdopodobnym okresem zatonięcia Atlantydy jest... 900 lat przed Solonem”. To oczywiście zbiega się z pierwszym pojawieniem się błędzącej komety Velikovsky'ego.

Jak można wytłumaczyć ten zachwyt, jaki mit zatopionych kontynentów wzbudzał w umysłach tak wielu wykształconych ludzi? Geologowie zgadzają się, że w odległych epokach układ lądów i mórz był zupełnie inny, niż obecnie. Ale również jednomyślnie uznają, że w tym stosunkowo krótkim czasie, od kiedy człowiek istnieje, nie zatonął żaden większy kontynent. Nie ma oczywiście ani strzępka

rzetelnego dowodu geologicznego lub archeologicznego na podtrzymanie bliźniaczego mitu o Atlantydzie i Lemurii. Jednak literatura ta w dalszym ciągu się mnoży. Od roku 1900 dziesiątki pisemek swe łamy w różnych krajach poświęcają sprawie Atlantydy. Przez pewien czas Spence wydawał takie czasopismo w Anglii, obecnie na czele podobnego wydawnictwa stoi Bellamy. Założono mnóstwo towarzystw związanych z Atlantydą. Przed z górą dwudziestu laty grupa Duńczyków wypuściła atlantydzkie znaczki pocztowe i banknoty oraz ustaliła atlantydzką flagę. W roku 1936 w Chicago założono „Bractwo Lemuryjskie”, którego celem było propagowanie starożytnej mądrości macierzystej ziemi oraz zaprowadzenie nowego, lemurskiego porządku. Literatura Bractwa została napisana przez pewnego reinkarnowanego Lemuryjczyka, i opublikowana przez firmę „Lemurian Book Industries” w Milwaukee. Bractwo planowało zbudowanie gdzieś w południowej Kalifornii „supermiast”, lecz widocznie ich lemuryjska mądrość nie zdołała zaopatrzyć ich członków w dostateczne fundusze na ten cel.

Nietrudno zrozumieć, jakie jest podłoże psychologiczne tego zjawiska. Wchodzi tu w grę, oczywiście, element ucieczki w marzenie o wielkiej, mitycznej ziemi cudów. Lecz to nie wszystko. Działa tu inny, silny czynnik: stajemy się jednym z wybranych, czujemy w sobie krew Atlantów, lub wierzymy, że jesteśmy reinkarnacją jednego z nich, albo przynajmniej osobą wprowadzoną w wielkie misterium, ukryte przed okiem zwykłego pospółstwa. H. G. Wells w swojej powieści *Ojciec Krystyny Alberty* naszkicował trafny obraz niejakiego Mr. Preemby, człowieka samotnego, skłonnego do urojeń, neurotyka, którego mit Atlantydy tak bardzo pociągnął. To głos pana Preemby można usłyszeć w słowach Bellamy'ego:

„Istnieje magia nazw... a najpotężniejszym spośród tych magicznych słów jest Atlantyda. Kiedy je wymawiamy, nic nam ono nie mówi, lecz nagle, jak gdyby promień słońca przebił ciemność przeszłości i pozwolił nam ujrzeć spowite w chmury wierzchołki wież, wspaniałe pałace i uroczyste świątynie; wizja zaginionej kultury dotyka najtajniejszych zakątków naszej duszy”.

Powieści fantastyczne i „science fiction” również nie pozostały głuche na zew magii. W *Dwudziestu tysiącach mil podmorskiej żeglugi* J. Verne'a, łódź podwodna kapitana Nemo odwiedza zrujnowane wieże Atlantydy. W innej powieści o tematyce „science fiction” *Głębina Marakotu* Conan Doyle'a, grupa uczonych opuszcza się do Atlantydy w stalowej kuli i znajduje tam kwitnące miasto okryte wodoszczelnym dachem, wytwarzające swoje własne powietrze, oświetlone lampami fluorescencyjnymi i zamieszkałe przez ludzi szczęśliwych. Pewnemu atlantydzkiemu uczonemu, który przewidział nadchodzącą zagładę, w ten sposób udało się ocalić część miasta. Mieszkańcy opanowali energię jądrową i mogą przekazywać swoje myśli na ekran. W rozdziale o latających spodkach wspominaliśmy o *Wielkiej tajemnicy Shavera*, drukowanej w „Amazing Stories”. Zły deros, który występuje w opowieściach Shavera, pochodził właśnie z zaginionej Lemurii.

Można przewidywać z pewnością, że rozważania o Atlantydzie i o starej ojczyźnie Mu będą zajmowały pseudoarcheologów przez następne dziesięciolecia. Dopóki ostatni skrawek dna morskiego nie zostanie do końca zbadany, ci, którzy mają do tego skłonność, mogą w dalszym ciągu w nią wierzyć.

Rozdział XIII

Wielka Piramida

„Bóg wielki, mocny, Pan zastępów imię twoje... Któryś czynił znaki i cuda w ziemi Egipskiej aż do dnia tego...”

Jeremiasz 32; 18-20



Literatura dotycząca archeologii biblijnej stanowi zadziwiające zjawisko. Obejmuje ona cały wachlarz, począwszy od badań obiektywnych, stojących na wysokim poziomie, prowadzonych przez ludzi przykładających wiele starań, aby nie wyciągać pochopnych wniosków z artefaktów, aż do prac zgoła innych ludzi, którzy naciągają swoje wyniki we wszelkie możliwe sposoby, aby dopasować je do Biblii. W ubiegłym stuleciu napisano tysiące książek i broszur, które miały wykazać, że „ostatnie odkrycia” archeologii potwierdzają w każdym szczególe historię zawartą w *Piśmie Świętym*, zwłaszcza dane o cudach, które są przedmiotem szyderstw niedowiarków. W pewnych przypadkach trudno nawet uwierzyć, by zniekształcenie miało być nieświadome. Profesor Hubert Grimme z Uniwersytetu Monachijskiego, na przykład, opublikował w latach dwudziestych „przekład” tabliczki kamiennej, która opisywała, w jaki sposób Mojżesz jako niemowlę został uratowany z szuwarów przez córkę faraona. Potem wyjaśniło się, że profesor wykorzystał pęknięcia i wyżłobienia na kamieniu, łącząc je dowolnie z hieroglifami, aby przekład wypadł według jego myśli.

Najbardziej godnymi uwagi pozycjami w języku angielskim w tej pseudoarcheologicznej literaturze są trzy książki sir Charlesa Marstona z lat 1934-1937 i książka Johna O. Kinnamana *Diggers for Facts*

(Kopacze faktów) z roku 1940, z której możemy się dowiedzieć, że dom Abrahama, a nawet jego podpis, zostały odkopane; możemy również poznać dowód, że św. Paweł niegdyś nauczał w Anglii. Ale przy identyfikowaniu solnych szczytków żony Lota Kinnaman jest ostrożny. „W tym rejonie znajduje się współcześnie wiele słupów soli - pisze - lecz nie wiadomo, który z nich stanowi pozostałość po tej nieszczęsnej kobiecie”.

Ekspedycje na górę Ararat dla odnalezienia arki Noego odbywają się co kilka lat. Egerton Sykes, kierownik Instytutu Hörbigera w Anglii i wydawca periodyku poświęconego Atlantydzie, projektował taką wyprawę przed paru laty, lecz jakoby władze radzieckie wywarły nacisk na tureckie czynniki oficjalne w Ankarze, by odmówiły mu wizy. Inna jednak ekspedycja w roku 1949 prowadzona przez dra Aarona Smitha z Greenborough w stanie Północna Karolina, zdołała wspiąć się po zboczu Araratu na wysokość 12 000 stóp. Niestety, nie udało jej się odnaleźć arki.

„Nie możemy ustalić, czy arka nie wylądowała niżej - donosił Smith - czy też może nie została kompletnie zasypana przez trzęsienia ziemi, tak gwałtowne w tym rejonie. Może znajduje się ona po północnej stronie łańcucha górskiego, pod lodem i śniegiem. Myśmy jej nie znaleźli, lecz z pewnością utworowaliśmy drogę innym, którzy może będą mieli więcej szczęścia, niż my”.

Trudno byłoby oczywiście prześledzić, nawet pokrótce, całą ekscentryczną literaturę biblijnej archeologii. Jednak jeden z jej działów, znany jako piramidologia, jest dostatecznie interesujący i barwny, by przyciągnąć uwagę. Tym tematem (który rywalizuje z Atlantydą co do liczby książek mu poświęconych) zajmiemy się w dalszej części rozdziału.

Wielka Piramida Egipska przewijała się w wielu kulturach średniowiecza i odrodzenia, głównie w tradycjach „Róży i Krzyża” i w innych tajemnych wierzeniach, lecz nowoczesna „piramidologia” narodziła się dopiero w roku 1859. Wówczas to John Taylor, pewien ekscentryczny wspólnik londyńskiej firmy wydawniczej, opublikował swoją *The Great Pyramid: Why was it Built? And Who Built it?* (Wielka Piramida: Dlaczego została zbudowana i kto ją zbudował?).

Taylor nigdy nie widział Piramidy, lecz, im dłużej studiował jej budowę, tym bardziej przekonywał się, że jej architektem nie był Egipcjanin, lecz Izraelita i to działający pod natchnieniem bożym. Mógł to być sam Noe. „Ten, który zbudował arkę, był najbardziej ze wszystkich powołany do zbudowania Wielkiej Piramidy” - pisał Taylor. Jak wam się podoba obraz biednego, starego Noego, który, po swoim herkulesowym trudzie zbudowania arki i po ocaleniu z potopu, zostaje wysłany do Egiptu, aby kierować jeszcze bardziej herkulesowym zadaniem budowy Piramidy?

Główną przyczyną, dla której Taylor sądził, że Piramida jest częścią planu bożego - był fakt, że odkrył w jej budowie różnego rodzaju prawa matematyczne, które daleko wykraczały poza wiedzę starożytnego Egiptu. Dla przykładu: jeżeli podzieli się wysokość tej budowli przez podwójną długość boku jej podstawy, to otrzyma się prawie dokładnie liczbę π (stosunek obwodu koła do średnicy). W dodatku Taylor znalazł wymyślne powody, aby mniemać, że jednostką miary używaną przez budowniczego Piramidy było nie co innego, jak właśnie biblijny „łokiec”, używany przez Noego przy budowie arki, przez Abrahama przy budowie arki przymierza i przez Salomona w architekturze jego świątyni. „Święty łokiec” wynosił, według Taylora, 25 cali i był oparty na długości osi ziemskiej. Skoro średnica Ziemi jest różna wskutek spłaszczenia na biegunach, to co może być bardziej naturalną podstawą dla boskiej jednostki miary, jak nie oś, wokół której nasz glob się obraca? Jeżeli podzieli się oś przez 400 000, to otrzyma się święty łokiec. Taylor w Piramidzie odszukał inne boskie jednostki

miar - na przykład w objętości komory granitowej w Komnacie Królewskiej. Wszystkie one miały podstawy w naturze i dlatego posiadały wyższość nad wszelkimi innymi systemami miar.

W dodatku do wszystkich tych rzekomych prawd wcielonych w Piramidę, Taylor odszukał również kilkadziesiąt wersetów, zarówno ze *Starego*, jak i *Nowego Testamentu*, które, jeżeli wyrwać je z kontekstu, mogą być interpretowane, jako odnoszące się do tego kamiennego pomnika. Na przykład, czytamy u Izajasza (19:19-20) „Dnia onego stanie ołtarz Pański w pośród ziemi Egipskiej... A będzie na znak i na świadectwo Panu Zastępów...” i u Joba (38 ; 5-7) Któż uczynił rozmierzenie jej? powiedz, jeżeli wiesz; albo kto sznur nad nią rozciągnął? Na czym są podstawki jej ugruntowane? albo kto założył kamień jej węgielny? Gdy współ śpiewały gwiazdy zaranne, a weselili się wszyscy synowie Boży”. Nawet św. Paweł, zdaniem Taylora, wspomina o Piramidzie w takim ustępie (List do Efezów 2:20-21) „Zbudowani na fundamencie Apostołów i proroków, którego jest gruntownym węgielnym kamieniem sam Jezus Chrystus, na którym wszystko budowanie współ spokojne rośnie w kościół święty w Panu”.

Piramida symbolizowała, jak tłumaczył, prawdziwy Kościół z Chrystusem jako kamieniem węgielnym (ten symbol był popularny w chrześcijańskiej nauce mistycznej i został nawet umieszczony na odwrotnej stronie pieczęci³⁹ Stanów Zjednoczonych).

Szybko by pewnie zapomniano o spekulacjach Taylora, gdyby nie pewien astronom ze Szkocji, profesor Uniwersytetu w Edynburgu, nazwiskiem Charles Piazzi Smyth. Zagorzały entuzjasta teorii Taylora, Smyth szybko utwierdził się w mniemaniu, że Piramida symbolizuje jeszcze większe prawdy, niż to przypuszczał Taylor. Jego 664-stronicowe dzieło *Our Inheritance in the Great Pyramid* (Nasze dziedzictwo w Wielkiej Piramidzie) jest w biblijnej „piramidologii” tym, czym była książka Donnelly'ego w „atlantologii”. Pierwsze wydanie z roku 1864 osiągnęło natychmiastowy sukces. Nastąpiły cztery dalsze wydania (ostatnie, gruntownie przejrane, w roku 1890). Książka została przełożona na wiele języków i osiągnęła znacznie większy wpływ, niż wszystkie następne prace na ten temat. W roku 1865 Smyth pojechał do Egiptu na własny koszt, by osobiście przeprowadzić pomiary Piramidy. Wyniki tych badań ukazały się w jego 3-tomowym dziele *Life and Work at the Great Pyramid* (Życie i praca nad Wielką Piramidą) z roku 1867 i w *On the Antiquity of Intellectual Man* (O starożytności człowieka inteligentnego) z roku 1868.

Nasze dziedzictwo jest swoiście klasyczną pozycją.

Mało książek stanowi tak piękny przykład owej łatwości z jaką człowiek inteligentny, z pasją oddany pewnej teorii, potrafi manipulować przedmiotem swoich badań w taki sposób, by osiągnąć jego zgodność z uprzednio powziętym sądem. Niestety, szczupłość miejsca pozwala nam tylko na bardzo zwięzłe streszczenie sensacyjnych odkryć Smytha.

Odkrył on mianowicie, że długość boku podstawy Piramidy podzielona przez szerokość kamienia obliczania równa się dokładnie 365 - a więc liczbie dni w roku. Zewnętrzna powierzchnia Piramidy była pierwotnie obliczana tym kamieniem. Pierwszy z tych bloków odkopano dopiero po śmierci Taylora, toteż jego szerokość nie mogła być znana zmarłemu badaczowi. Kamień miał nieco więcej niż 25 cali i Smyth doszedł do wniosku, że ta długość stanowi właśnie ów święty łokieć. Jeżeli przyjąć ten nowy cal - Smyth nazywa go „calem piramidowym” - który wynosi dokładnie szerokości kamienia

³⁹ Contrasygellum – pieczęć dwustronna zawieszana u urzędowych dokumentów (przyp. red. pol.).

licowego, to otrzymamy najmniejszą boską jednostkę miary, używaną przy budowie tego pomnika.- Jest to dokładnie jedna dziesięciomilionowa ziemskiego promienia biegunowego. Szcocki astronom wierzył, że jednostka ta, po przejściu przez długi ciąg pokoleń, stała się wreszcie całem anglosaskim, lecz w trakcie tego procesu zmieniła się nieco; cal brytyjski w porównaniu ze swym świętym pierwowzorem stał się nieco krótszy. W wiele lat później odkopano parę dalszych bloków oblicowania. Miały one zupełnie inne szerokości. Do tego czasu jednak cal piramidowy tak się przyjął w literaturze „piramidologicznej”, że zaślepienicy tej idei wzruszali tylko ramionami i przyznawali, że „przypadkowo” pierwszy blok oblicowania miał akurat szerokość łokcia.

Z niewiarygodną gorliwością Smyth przymierzał swój cal piramidowy do każdego dającego się zmierzyć fragmentu Piramidy, w środku i na zewnątrz, by przekonać się, jak wiele naukowych i historycznych prawd jest w niej zawartych. A znajdował je w dużej obfitości. Na przykład, przez pomnożenie wysokości Piramidy przez 10 do dziewiątej potęgi, otrzymuje się wielkość zbliżoną do odległości Ziemi od Słońca. Podobne manipulacje z długością Piramidy dają nam przeciętną gęstość Ziemi, okres precesji jej osi, średnią temperaturę powierzchni i wiele innych naukowych danych, odkrytych dopiero w czasach współczesnych. W uzupełnieniu do systemu świętych jednostek długości, ciężaru, objętości itd. Smyth zaproponował nawet „piramidowy termometr”. Jako zera użył w nim temperatury krzepnięcia wody, zaś dla $+50^{\circ}$ przyjął temperaturę Komnaty Królewskiej, znajdującej się na piętnastym poziomie wewnątrz Piramidy.

Najbardziej jednak efektownym wkładem Smytha w te badania było opracowanie teorii wysuniętej przez niejakiego Roberta Menziesa, która głosi, że wielki zarys historii jest symbolizowany przez wewnętrzny system przejść w Piramidzie. Przy dokładnym mierzeniu tych przejść w calach piramidowych w ten sposób, że cal odpowiada rokowi, i przy należytej interpretacji symbolów, wychodzi na jaw układ głównych dat z przeszłości i przyszłości Ziemi. Odkrywa się, na przykład, że świat był stworzony 4004 lata przed Chrystusem. Są tam podane również daty potopu, exodusu i zbudowania Piramidy. Początek nachylonego korytarza, zwanego Wielką Galerią, oznacza narodzenie Chrystusa. Inne punkty oznaczają Odkupienie Pańskie (po 33 calolatach życia), zstąpienie do piekieł i wreszcie Zmartwychwstanie. Posuwając się w górę wzdłuż galerii odkrywa się, że kończy się ona w punkcie między rokiem 1882 a 1911, zależnie od tego, w jaki sposób się mierzy jej długość. Dla Smytha ten 29-letni okres stanowi czas Wielkiej Udręki, która poprzedzi Drugie Przyjście Chrystusa.

Nietrudno jest zorientować się, w jaki sposób Smyth doszedł do tych zadziwiających zgodności naukowych i historycznych. Jeżeli przystępuje się do pomiarów skomplikowanej konstrukcji, jaką jest Piramida, uzyska się wkrótce dostatecznie wielką obfitość różnych długości, aby nimi czarować. I jeżeli ma się dość cierpliwości na żonglowanie nimi, można być pewnym, że się dojdzie do wielu liczb, które okażą się zgodne z ważnymi historycznymi datami, lub wartościami liczbowymi, odnoszącymi się do różnych dziedzin nauki. Skoro więc nie jest się skrupowanym żadnymi prawidłami, byłoby doprawdy dziwne, gdyby to szukanie piramidowych „prawd” nie zostało uwieńczone znacznym sukcesem.

Weźmy dla przykładu wysokość Piramidy. Smyth mnoży ją przez 10 do potęgi dziewiątej (10^9), aby otrzymać odległość do Słońca. Wykładnik 9 jest tu przyjęty całkowicie dowolnie. Gdyby żaden prosty mnożnik nie odpowiadał odległości do Słońca, można by przyjąć inne mnożniki, które dałyby na

przykład odległość do Księżyca, czy do najbliższej gwiazdy, lub w ogóle jakąś liczbę znaczącą coś w nauce.

Ten proceder żonglowania niezmiernie ułatwiają dwa ważne czynniki: 1. Pomiar długości różnych elementów Piramidy są dalekie od dokładności. Kompetentni archeologowie za czasów Smytha nie byli zgodni co do prawie żadnego z nich, włącznie z najważniejszym elementem - długością boku podstawy Piramidy. Archeologowie późniejsi od Smytha dokonali dokładniejszych pomiarów, a mimo to uzyskiwali różne liczby. W wielu przypadkach Smyth miał do wyboru kilka długości. W innych znów przypadkach używał swoich własnych pomiarów, a niekiedy dodawał niezgodne wielkości i brał z nich średnią. 2. Liczby reprezentujące naukową prawdę również były chwiejne. Odległość od Słońca na przykład, nie była w czasach Smytha tak dokładnie znana, a ponadto odległość ta jest zmienna, ponieważ orbita Ziemi nie jest kołem, lecz elipsą. W takim przypadku ma się duży wybór wielkości. Można użyć najkrótszej odległości od Słońca, albo najdłuższej, albo średniej. A ponadto we wszystkich tych trzech wypadkach można wybierać między niezgodnymi ocenami różnych astronomów danej epoki. Taka sama wieloznaczność odnosi się do prawie każdej naukowej „prawdy” wykrywanej przez Smytha.

Jedyną „prawdą” Piramidy, której nie można tak łatwo objaśnić w ramach tej żonglerki, jest wartość liczby π . Być może, że Egipcjanie świadomie posługiwali się tym stosunkiem, lecz wydaje się raczej, że stanowi on produkt uboczny innego obliczenia. Herodot stwierdza, że Piramida była zbudowana tak, że powierzchnia każdej ściany bocznej jest równa powierzchni kwadratu o boku równym wysokości Piramidy. Jeżeli taka konstrukcja została wykonana, to jest ona zupełnie zgodna z wymiarami Piramidy i stosunek wysokości do podwójnej podstawy da nam wyraz dokładnie wartości liczby π .

Zarówno Taylor jak i Smyth przykładają wiele wagi do tego, że w konstrukcji Piramidy liczba 5 gra rolę kluczową. Ma ona 5 rogów i 5 boków. Cał piramidowy stanowi jedną piątą jednej piątej łokcia. Można te przykłady mnożyć. Joseph Seiss, jeden z uczniów Smytha, wyraża to w ten sposób: „Ta regularna «piątkowość» nie może być przypadkowa, odpowiada ona bowiem także ustanowieniom boskim, zarówno w naturze, jak i w Objawieniu. Zanotujmy pięciocłonowość zakończenia każdego członka ciała ludzkiego, pięć zmysłów, Pięć ksiąg Mojżesza i dwa razy po pięć przykazań Dekalogu”.

Jeżeli ktoś dla zabawy przejrzy dane w „World Almanac” dotyczące pomnika Washingtona, to znajdzie tam wyraźną „piątkowość”. Jego wysokość od podstawy wynosi 555 stóp i 5 cali. Podstawa jest kwadratem o boku 55 stóp, a okna znajdują się na wysokości 500 stóp od podstawy. Jeżeli pomnożymy podstawę przez 60 (czyli 5 razy ilość miesięcy w roku), to otrzymamy 3300, co odpowiada dokładnemu ciężarowi kamienia szczytowego w funtach. Również słowo „Washington” ma dokładnie 10 liter (2 razy 5). Skoro przemnożymy ciężar kamienia szczytowego przez podstawę - otrzymamy wynik 181 500 - prawie dokładną wartość prędkości światła wyrażoną w milach na sekundę. Jeżeli zmierzymy podstawę „stopą pomnikową”, która jest nieco mniejsza od stopy standartowej, to długość jej wyniesie 56,5 stopy. Mnożąc to przez 3300, otrzymamy liczbę jeszcze bliższą prędkości światła.

A czy nie jest to znamienne, że pomnik ma kształt obelisku - staroegipskiej formy strukturalnej? Albo że wizerunek Wielkiej Piramidy znajduje się na banknocie dolarowym po drugiej stronie portretu Waszyngtona? Co więcej, decyzja drukowania obrazu Piramidy (tzn. odwrotnej strony pieczęci Stanów Zjednoczonych) na banknotach dolarowych, została podana do wiadomości przez ministra

skarbu w dniu 15 czerwca 1935 roku - zarówno data, jak i rok dzielą się przez 5. I czy tytuł „*The Secretary of the Treasury*” (minister skarbu) nie zawiera akurat 25 liter (5 razy po 5)?

Przeciętny matematyk poświęciłby około 55 minut na odkrycie powyższych „prawd”, posługując się tylko szczupłym zasobem liczb z Almanachu. Skoro się zważy, że Smyth dokonywał swoje własne pomiary otrzymując setki długości, które opracowywał, i że spędził 20 lat ślęcząc nad tymi liczbami - nietrudno jest ocenić, w jaki sposób osiągnął tak wybitne rezultaty.

Niemniej jednak książki Smytha wywarły głębokie wrażenie na milionach naiwnych czytelników. We wszystkich językach ukazały się dziesiątki tomów, kontynuując dalej wielką pracę i dorzucając materiał dodatkowy. We Francji czołowym obrońcą „piramidologii” był ksiądz kanonik F. Moigno z kościoła St. Denis w Paryżu.

W roku 1879, w czasie zjazdu Kościoła Południowego (Old South Church) w Bostonie, został zorganizowany „International Institute for Preserving and Perfecting Weights and Measures” (Międzynarodowy instytut dla zachowania i doskonalenia wag i miar). Celem tego Towarzystwa była reforma jednostek miar, idąca w kierunku uzgodnienia ich ze świętym systemem piramidowym oraz zwalczająca francuski „ateistyczny system metryczny”. Prezydent James A. Garfield był protektorem Towarzystwa, nie zgodził się jednak zostać jego przewodniczącym.

Oddział Towarzystwa w Ohio wydawał nawet w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia czasopismo pod nazwą „The International Standard” (Wzorzec międzynarodowy). Przewodniczący tego oddziału, pewien inżynier budowlany, chlubił się tym, że jego ręka miała długość dokładnie jednego łokcia. Oto jego wypowiedź w pierwszym numerze tego czasopisma:

„Wierzmy, że dzieło nasze pochodzi od Boga; nie kierują nami ani egoizm ani chęć zysku. Nie chodzi nam o osobiste konflikty wszelkiego rodzaju, lecz proklamujemy nieustanną walkę z tym wielkim złem, jakim jest francuski system metryczny... Spadają na nas zarzuty ignorancji, ośmieszają nas, lecz my nie zwracamy na to uwagi i nie czyni to uszczerbku naszym dążeniom... Jest to bitwa standardów. Niech nasza chorągiew będzie wzniesiona dla sprawy Prawdy, Wolności i Powszechnego Braterstwa, opartych na słusznej wadze i słusznej mierze, które jedynie są do przyjęcia dla Pana”.

Proroctwa zawarte w dziele Smytha trafiały z wielką siłą do uczuć protestanckich fundamentalistów wszelkich odcieni - zwłaszcza w Wielkiej Brytanii. Jedna z najbardziej popularnych książek *Miracle in Stone* (Cud w kamieniu) z roku 1877, pióra Josepha Seissa, osiągnęła 14 wydań. Niejaki pułkownik I. Garnier wydał w roku 1905 książkę, w której, w oparciu o Piramidę, usiłował dowieść, że Chrystus powróci na ziemię w roku 1920. Podobne dzieło opublikował w roku 1926 Walter Wynn. Nie stropiony niespełnieniem się swoich przepowiedni napisał inną książkę w roku 1933, zawierającą podobnie fałszywe proroctwa. Bertrand Russell, w jednym ze swoich esejów, podsumował tę literaturę w taki sposób:

„Podobają mi się również ludzie, którzy studiują Wielką Piramidę, aby rozszyfrować jej mistyczną mądrość. Napisano wiele poważnych książek na ten temat, niektóre z nich zostały mi ofiarowane przez autorów. Jest rzeczą osobliwą, że Wielka Piramida zawsze przepowiada historię świata dokładnie, do chwili opublikowania danej książki, lecz później staje się mniej rzetelna. Autor zwykle oczekuje wojen mających niebawem wybuchnąć w Egipcie, po których nastąpi Armageddon

i nadejście Antychrysta, lecz w naszych czasach tak wielu ludzi uznano za antychrystów, że zniechęcony czytelnik popada w sceptycyzm”.

Pewien amerykański kaznodzieja, będący pod silnym wpływem dociekań Smytha - niejaki Charles Taze Russell z Allegheny w stanie Pensylwania, założył sektę, znaną obecnie, jako Świadkowie Jehowy. W roku 1891 pastor Russell opublikował trzeci tom swej słynnej serii *Studies in the Scripture* (Studia nad Pismem Świętym). Jest to książka o biblijnych przepowiedniach, uzupełniona danymi zaczerpniętymi z Wielkiej Piramidy. Podana jest w niej reprodukcja listu Smytha, w którym szkocki astronom wysoko ocenia Russella za jego nowe i oryginalne osiągnięcia.

Według Russella, zarówno Biblia jak i Piramida podają jasno, że Drugie Przybycie Chrystusa nastąpiło niezauważalnie w roku 1874. Miało to zapoczątkować 40-letni okres „Żniw”, podczas których wierni członkowie Kościoła mieliby być zebrani razem pod przewodnictwem Russella. Przed końcem roku 1914 rozpocznie się Millenium. Umarli powstaną i będzie im dana „druga sposobność” przyjęcia Chrystusa. Ci, którzy odmówią - zostaną zniszczeni opuszczając w ten sposób świat zupełnie oczyszczony od zła. Członkowie Kościoła żyjący na początku Millenium będą po prostu żyli wiecznie. Takie jest znaczenie znanego hasła Świadków Jehowy - „Miliony obecnie żyjące nie umrą nigdy”.

W Anglii dwaj bracia: John i Morton Edgarowie opanowani piramidowymi teoriami Russella pośpieszyli do Egiptu, aby przeprowadzić tam pomiary na własną rękę. Znaleźli na miejscu „piękne potwierdzenie” poglądów pastora, „gdy dzień po dniu, najpierw jeden, a potem drugi, odnajdowali nowe piękno w symbolicznej i proroczej nauce płynącej z tej cudownej budowli”. Te heroiczne badania utrwaliли dla potomności w dwóch grubych tomach. Powyższa cytata została zaczerpnięta z pierwszego tomu. Ukazały się one w latach 1910 i 1913, pod tytułem *The Great Pyramid Passages and Chambers* (Korytarze i komnaty Wielkiej Piramidy).

Ku wielkiej konfuzji russellistów, rok 1914 nie przyniósł niczego bardziej dramatycznego niż wojna światowa, co sprawiło, że sekta straciła tysiące członków. Nowe wydania piramidowych studiów Russella zostały w krytycznych punktach nieco przeredagowane, aby zatuszować błędy. Tak więc w wydaniu z roku 1910 czytamy: „...Zbawienie świętych musi nastąpić nieco przed rokiem 1914...” (str. 228). Natomiast w wydaniu z roku 1923 to zdanie brzmi: „...Zbawienie świętych musi nastąpić wkrótce po roku 1914...” Morton Edgar (brat John umarł przed tą wielką konfuzją) wydał w latach dwudziestych serię książeczek, które odpowiadały przyjętej wówczas linii Russella - a mianowicie, że w roku 1914 Chrystus (będący już na ziemi od roku 1874) zapoczątkował niewidzialne panowanie sprawiedliwości.

Następca Russella, po jego śmierci w roku 1916, sędzia J. P. Rutherford wyrzekł się w końcu piramidologii całkowicie. Zabierając głos w piśmie „The Watch Tower and Herald” (Z 15 listopada i 1 grudnia 1928), Rutherford obala ją w sposób druzgocący i wysuwa wiele pomysłowych argumentów, aby udowodnić, że tzw. Ołtarz w Egipcie był w rzeczywistości podszeptem szatana, w zamiarze sprowadzenia wiernych na bezdroża. Czy Jezus wspominał kiedykolwiek o Piramidzie? Oczywiście nie. Studiować ją - pisze sędzia - jest marnotrawieniem czasu i oznacza brak wiary we wszechwystarczalność Biblii. Ciekawe, czy Morton Edgar po tym wszystkim w dalszym ciągu pozostał wiernym świadkiem Jehowy, odżegnując się od pracy całego swego życia nad Piramidą?

Sędzia nie wspominał czytelnikom w swych artykułach, że on sam także ponosi winę za fałszywe prorocтва. Przez wiele lat twierdził, że rok 1925 zapoczątkuje wielki okres godowy. Niestety, i ten

minął bez jakichś dostrzegalnych oznak zmian. Sekta obecnie nie zachęca do kupowania i czytania pism Russella i nie ustanawia się żadnych określonych dat, mimo że członkowie wciąż wierzą w świtanie Millenium.

Inną sektą fundamentalistów, która czyniła jeszcze większy użytek z *Biblii w Kamieniu*, jest ruch anglo-izraelski, który głosi, że plemiona anglosaskie i celtyckie są potomkami dziesięciu zaginionych plemion izraelskich. Są one wobec tego dziedzicami wszystkich obietnic, które Bóg dał Abrahamowi. W Stanach Zjednoczonych naczelną organizacją jest Anglosaska Federacja Amerykańska, z głównym ośrodkiem w Haverhill, w stanie Massachusetts. Ich sympatyczny miesięcznik „Destiny” (Przeznaczenie) wychodzi od przeszło 20 lat.

Wybitną anglo-izraelską pracą o Piramidzie jest monumentalna księga, o rozmiarach tomu Encyklopedii Brytyjskiej, pod tytułem *The Great Pyramid: Its Divine Message* (Wielka Piramida: jej boskie posłannictwo). Została napisana przez Davida Davidsona, inżyniera budowlanego z Leeds w Anglii i opublikowana w roku 1924. Ósme, przejrane wydanie ukazało się w roku 1940. Książka oparta jest na poglądach Smytha, lecz różni się od nich znacznie w dziedzinie proroctw. „Ostateczna próba” ludów anglosaskich miała się zacząć w roku 1928 i trwać od roku 1936. Od 16 września 1936 roku do 20 sierpnia 1953 roku Anglosasi - tj. „prawdziwy” lud Izraela - zostaną zebrani razem i otrzymają opiekę boską przeciwko koalicji sił światowych, pragnących ich zniszczyć. Będzie to okres apokaliptycznego Armageddonu, który zakończy się nadejściem Chrystusa.

Wszystkie anglo-izraelskie książki i broszury, głównie zaś książka Basila Stewarta opierały się na pracy Davidsona. W Stanach Zjednoczonych grupa haverhillska rozpowszechnia obecnie dziesiąte wydanie książki *Great Pyramid, Proof of God* (Wielka Piramida, świadectwo Boga), napisanej przez George'a F. Rifferta z Easton, w Pensylwanii, która również jest popularną wersją Davidsona. Pierwsze wydanie, które ukazało się w roku 1932, kładło wielki nacisk na datę 16 września 1936. Rzeczywiście, przed nadejściem tego dnia zapanowało silne podniecenie wśród Anglo-Izraelitów, zarówno w Anglii jak i w Stanach Zjednoczonych. Lecz minął on również bez widocznego kataklizmu.

Obecnie wydanie książki Rifferta zawiera dodatkowy rozdział, w którym autor wyznaje: „Ważnym problemem było i jest ustalenie dokładnego znaczenia i charakteru okresu, którego przełomową datą był dzień 16 września 1936 roku”. Wymienia on kilka wydarzeń, które miały miejsce tego dnia. Najważniejszym z nich było, „że Księżę Windsoru, ówczesny król angielski, zakomunikował oficjalnie swemu premierowi, panu Baldwinowi, o swoim postanowieniu poślubienia pani Simpson”.

Riffert tak kończy: „...Do roku 1953 obecny babilońsko-bestialsko-pogański typ cywilizacji, kapitalistyczny system korzyści pieniężnych, wyzysku i lichwy, apokaliptyczny konflikt armageddoński, zmartwychwstanie i odnowienie Ducha Bożego, przygotowanie Izraela do jego kierowniczej służby w nowym Porządku Społecznym i Ekonomicznym, obalenie dyktatur, odrodzenie i przeistoczenie anglosaskich narodów w ogólnoświatowe Królestwo Boże i dosłowny powrót Jezusa Chrystusa, jako Króla Królów, dla przygotowania i zachowania na zawsze wieku Millenium - to wszystko będziemy mieli poza sobą”.

Sekty adwentystów mają pewien brzydki zwyczaj: oto nie spieszą się trąbić do odwrotu, kiedy któreś z ich głównych proroctw się nie sprawdza. Nietrudno odkryć „błędy” w obliczeniach i wprowadzić odpowiednie korektury. Szkoda, że nie mogliśmy obserwować gimnastyki umysłowej przywódców haverhillskich, kiedy dzień 20 sierpnia 1953 roku minął bez oznak Armageddonu. Anglo-Izraelici nie

upadli jednak na duchu. Nowy wiek - jak twierdzą - rozpoczął się niezauważenie i wiele lat może minąć, zanim stanie się jasne dla każdego, że właśnie go przeżywamy. „Destiny” nie potrafiło począć nic innego z kłopotliwą datą 20 sierpnia 1953, jak podać, że w tym dniu Rosjanie ogłosili, że dokonali eksplozji (na 8 dni wcześniej) bomby wodorowej.

Warto zaznaczyć, że istnieje również obszerna literatura okultystyczna związana z Piramidą - głównie w tradycji „Róży i Krzyża” i teozofów. Odrzuca się tam biblijne proroctwa Smytha, ale pozostawia i rozszerza symbolizm matematyczny, astrologiczny i okultystyczny, który przybiera różne odcienie, zależnie od indywidualności autorów. Według madame Blavatskiej, wewnątrz Piramidy było sceną sakralnych rytuałów, związanych z egipską „Księgą Umarłych” i większość teozofów uznaje dziś, że istnieje szeroki krąg misteriów związanych z Piramidą, które dostępne są tylko wtajemniczonym. Najlepsze pojęcie o tym kierunku daje dwutomowa praca brytyjskiego teozofa, Williama Kinglanda *Great Pyramid in Fact and in Theory* (Wielka Piramida w faktach i w teorii), wydana w latach 1932-1935. Jeszcze inne okultystyczne podejście, łączące Piramidę z mistycznymi pismami żydowskimi znanymi jako *Kabała*, znajduje się w książce J. Ralstona Skinnera *Key to the Hebrew-Egyptian Mystery* (Klucz do tajemnic hebrajsko-egipskich), z roku 1875 (przejrzonej i ponownie wydanej w roku 1931).

Mimo że literatura ta jest zupełnie bezwartościowa, jednak wyciągamy z niej pewną naukę. Żadna książka nie wykazała jaśniej, niż dzieło Smytha (inne książki o Piramidzie, oczywiście, w mniejszym stopniu), jak łatwo jest z nieuporządkowanej masy danych stworzyć pewien system, który na pierwszy rzut oka wydaje się tak misternie zbudowany, że trudno jest uwierzyć, iż został on po prostu wymyślony. W pewnym sensie dotyczy to prawie wszystkich dzieł pseudouczonych, których autorzy w żaden sposób nie pozwalają mówić faktom za siebie. Świadomie czy nieświadomie, tak gmatwają i przekręcają obiektywne fakty, aby świadczyły na korzyść z góry przyjętych dogmatów, które nie mają żadnego oparcia w świecie zewnętrznym. Sir Flinders Petrie, słynny archeolog, który dokonał wyjątkowo dokładnych pomiarów Piramidy, podaje, że kiedyś złapał pewnego „piramidologa”, jak spłowywał „cichaczem” wystający kamień, aby dostosować go do jednej ze swoich teorii!

Skłonność umysłu do bałamucenia samego siebie przez podświadome „preparowanie” faktów - przejawianie ich w jednym, zlekceważenie w innym miejscu - jest znacznie większa, niż można przypuszczać. Literatura piramidologiczna jest trwałą, żalosną daniną złożoną tej skłonności.

Czy praca wspomnianych tu wieszczych historyków będzie się wydawała czytelnikom z roku 2000 tak nieprawdopodobna, jak przepowiednie piramidologów? Zabawna Chestertonowska fantazja przyszłości - *Napoleon z Notting Hill* zaczyna się tymi mądrymi słowami:

„Rodzaj ludzki, do którego należy tak wielu moich czytelników, zawsze lubi bawić się w dziecinne gry...

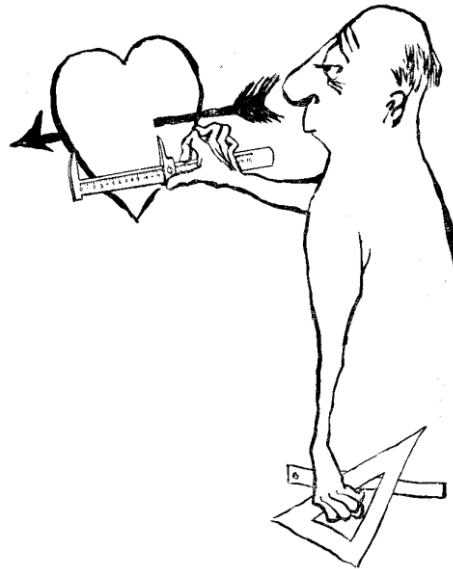
Jedną z ulubionych rozrywek ludzi jest zabawa w «trzymanie jutra w cieniu», zwana również, jak mi wiadomo, przez wieśniaków w Shopshire «zabawą w poszukiwanie proroków». Grający słuchają uważnie i z wielkim szacunkiem wszystkiego, co mądrzy ludzie mają im do powiedzenia o tym, co się przydarzy w następnym pokoleniu. Potem grający czekają cierpliwie, aż ci wszyscy mądrzy ludzie pომierają, a wtedy grzebią ich przykładnie. Potem idą sobie i robią coś zupełnie innego, niż tamci

przepowiadali. I to wszystko. Ale dla ludzi o upodobaniach prostych jest to zabawa bardzo zajmująca”⁴⁰.

⁴⁰ Przekład Janiny Łaszczowej.

Rozdział XIV

Ekscentryczne teorie seksuologiczne



Pseudonaukowe teorie w dziedzinie seksuologii, jak łatwo się domyśleć, są bardzo liczne i bardzo zabawne. Rzadko który aspekt płci uniknął teoretyzowania ekscentrycznych biologów.

Rozważmy na przykład problem, w jaki sposób powstały płcie. Teozofowie i antropozofowie wierzą, że wczesne „rasy podstawowe” były hermafrodytyczne. Pierwiastek męski i żeński miał być połączony w każdym osobniku (rodzaj zmodernizowanej wersji okultystycznej teorii wyłożonej przez Arystofanesa w *Sympozjone* Platona). Wręcz przeciwną teorię sugeruje tytuł mętnej książki, wydanej w roku 1927 przez Williama G. Smytha, angielskiego inżyniera, który znany jest z tego, że wprowadził pojęcie „technokracji”. Tytuł jej brzmi: *Did Man and Woman Descend from Different Animals?* (Czy mężczyzna i kobieta pochodzą od różnych zwierząt?).

Arabella Kenealy, znana w Anglii antyfeministka, zabrała się do tego problemu w roku 1934 w swej książce *The Human Gyroscope* (Ludzki żyroskop). Podtytuł brzmi: „Rozważania nad żyroskopowym obrotem Ziemi, jako mechanizmem ewolucji ziemskich) form życia wyjaśniającym zjawisko płci. Jego pochodzenie i rozwój oraz jego znaczenie w procesie ewolucji”.

A oto maratońskie zdanie wstępne, w którym autorka streszcza swoją tezę, jak następuje:

„Biorąc pod uwagę, że, podobnie, jak plastyczna glina na wirującej tarczy małego koła w warsztacie garncarza formuje się i kształtuje w różnorodność form symetrycznych a trójwymiarowych, wciąż dążąc do położenia pionowego, tak na wirującej powierzchni wielkiego ziemskiego koła garncarskiego Twórczej Ewolucji plastyczna materia ziemskich organizmów formowała się i kształtowała w niezliczoną różnorodność coraz to bardziej skomplikowanych, strukturalnie zróżnicowanych, trójwymiarowych form istot żyjących, stopniowo podnoszących się do pionu, w kształtach coraz to bardziej złożonej wyprostowanej postawy ciała - to wszystko ogarniając, postanowiłam oprzeć moją argumentację na grawitacji wielkiego Newtona, zamiast na późniejszej teorii Einsteina”.

Cały Kosmos, od skromnego atomu do wyniosłej galaktyki, - według Kenealy - wykazuje dualistyczny, męsko-żeński aspekt. Męskość i żeńskość są faktycznie osnową i wątkiem w procesie stworzenia. Autorka sądzi również, że północne rasy są męskie, a południowe - żeńskie (zawdzięcza się to w jakiś sposób ruchowi obrotowemu Ziemi), i że prawa strona każdego ciała jest bardziej męska, niż lewa. Książka zawiera doskonałe fotografie żyrafy, psa, wielbłąda, mgławicy spiralnej, kraba i żyroskopu oraz interesujący rozdział o jej doświadczeniach z dziedziny telepatii. „Podczas mego narzeczeństwa przed laty - pisze - z człowiekiem, którego głęboko kochałam, byliśmy oboje w nieustannym kontakcie telepatycznym. To było tak naturalne, jak oddychanie”.

Inny interesujący dział literatury tworzą osobliwe książki i artykuły poświęcone względnej wyższości jednej płci nad drugą. Obejmuje on cały wachlarz, od wczesnych prac, w których dowodzi się wrodzonej niższości kobiety (mniejsza objętość mózgu itp.), aż do artykułu antropologa Ashleya Montagu w „Saturday Review”, w którym usiłuje przekonać o przyrodzonej wyższości kobiety⁴¹. Pytanie, czy płęć piękna doskonalili się, czy też podupada wskutek dążenia do równouprawnienia z mężczyzną, było bodźcem do powstania wielu niezwykłych książek, począwszy od sławnego ataku Arabelli Kenealy na feminizm w książce *Feminism and Sex Extinction* (Feminizm i zanik płci) z roku 1920, aż do bardziej współczesnych publikacji.

Inna, warta rozpatrzenia gałąź seksualnej pseudonauki dotyczy metod zdeterminowania płci dzieci przed ich poczęciem. Ludowe przesady w tej sprawie wiążą płeć nienarodzonych dzieci z mnóstwem przyczyn, takich jak pogoda, fazy Księżyca, rodzaj odżywiania, stosunek wieku rodziców, pozycja podczas spółkowania itp. Wiele z tych teorii stało się przedmiotem uczonych traktatów. Arystoteles sądził, że nie bez wpływu jest tu kierunek wiatru. Tomasz z Akwinu wyraził zdanie, że gdyby nie grzech pierworodny, rodzice mogliby mieć dzieci takiej płci, jakiej by sobie życzyli, lecz nie podał metody, za pomocą której można by to osiągnąć. Nowsza teoria, że jajnik po jednej stronie ciała kobiety produkuje męskie organizmy, a po drugiej żeńskie, spowodowała w Europie bardzo pokaźny wzrost prac laboratoryjnych. Potem jednak uznano ją za bezwartościową.

Pewien niemiecki seksuolog utrzymywał, że prawe jądro i prawy jajnik są męskie, a lewe jądro i lewy jajnik – żeńskie⁴², lecz nie określił, co wynika, gdy sperma z prawego jądra łączy się z lewym jajem. Bernar Macfadden, który miał ośmioro dzieci, w tym sześć córek, był wyznawcą innej niemieckiej teorii, że dzieci zazwyczaj są płci przeciwnej, niż to z rodziców, które odznacza się większą namiętnością i tężyzną.

Inne autorytety, które dały życie przeważnie synom, z zapałem broniły poglądu, że dzieci są tej samej pici, co bardziej krzepkie z rodziców. Istnieje również teoria, że wpływ telepatyczny działa w kierunku powstawania potomstwa o płci przeciwnej niż ta, która jest gorąco upragniona przez ojca.

Podobnie metody przewyciężenia impotencji były przedmiotem licznych badań pseudonaukowych. Zawsze się znajdzie jakiś autorytet, który będzie bronił przesądów ludowych dotyczących wartości niektórych podniecających płciowo pokarmów - przeważnie pokarmów o niezwykle urozmaiconym składzie, mających w jakiś sposób coś wspólnego z płcią. Na przykład: jaja i kawior (jaja rybie), lub też

⁴¹ Dr Montagu rozwinął swój artykuł do rozmiarów książki, którą opublikował w roku 1953 pod tytułem *The Natural Superiority of Woman* (Naturalna wyższość kobiety).

⁴² Przekonanie, że prawe lub lewe jądro określa płeć, znane było już w starożytnej Grecji. Jedno z niewielu doświadczeń, proponowanych przez Arystotelesa, miało polegać na podwiązaniu lub usunięciu jednego jądra, w celu wykazania błędności tej teorii.

pożywienie, które przypomina organy płciowe (szparagi, selery, cebula, ślimaki, ostrygi itp.). Setki znachorskich leków i „sztuczek” miało na celu zwiększenie potencji.

Długą i żalną historię ma sprawa odmładzania. W latach dwudziestych „doktor” John R. Binkley z Kansas dorobił się milionowego majątku przeszczepiając (naturalnie bezskutecznie) tysiącom naiwnych starszych panów gruczoły kozłów. Przy tym operacja taka w jego klinice w Milford kosztowała od 750 do 1500 dolarów.

„Doktor” miał nawet swoją prywatną radiostację przez którą ogłaszał, że przeprowadza operacje gruczołu krokowego i lansował lekarstwo zawierające jedynie błękit metylowy i nieco kwasu solnego. W swoim stanie stał się tak popularną postacią, że omal nie wybrano go na gubernatora. Zebrał też tysiące głosów w przyległej Oklahomie, gdzie wcale nie figurował na liście wyborczej. Zjawisko to jest tym bardziej niepokojące, że „doktor” finansował miejscową faszystowską organizację Williama Dudleya Pelleya - zwaną „Srebrne koszule”. W Milford, na kościele - pomniku ufundowanym przez Brinkleya widnieje następujący wzruszający napis: „Wzniesiony Bogu i Jego Synowi Jezusowi przez J. R. Brinkleya, z wdzięczności za wiele błogosławieństw zesłanych nań”.

Homoseksualizm ma też swoje bogate pseudonauko-we piśmiennictwo. Prym tu wiedzie niemiecka zwyrodniała literatura, pod wielu względami stanowiąca odpowiednik literatury rasistowskiej. Pisarze, którzy z różnych względów odnosili się wrogo do homoseksualistów, w swych książkach rozpatrywali to zagadnienie jako pewną formę zepsucia i degeneracji. Inni seksuolodzy, jeżeli sami byli homoseksualistami, głosili, że zбочenie to jest wyższą formą życia, że większość wielkich ludzi - zarówno mężczyzn jak i kobiet - była homoseksualistami i że na kulturalne wyżyny wstępowały tylko te społeczeństwa, w których dominował homoseksualizm.

Ekscentryczne teorie dotyczące homoseksualizmu mają duży zasięg: począwszy od okultystów, którzy sądzą, że dusza męska została wcielona w ciało kobiece lub na odwrót, a kończąc na bardziej naukowych powagach, które znajdują w mózgu „centra homoseksualne”. Amerykański autor Charles G. Leland napisał w roku 1904 osobliwą książkę *The Alternate Sex* (Zmieniająca się płeć), w której dowodził, że podświadoma część umysłu należy zawsze do przeciwnej płci. Miewał on bowiem sny, w których wydawało mu się, że jest kobietą i stąd wzięło się jego uogólnienie. Jedną z najdziwniejszych homoseksualnych teorii wysunął sir Richard Burton. Sądził on, że istnieje pewien geograficzny pas, okalający Ziemię, zwany „strefą sotadyczną”, w której koncentruje się homoseksualizm.

Dziwaczne teorie seksuologiczne, nie podbudowane faktami, wyrastają tam, gdzie najmniej można ich oczekiwać. W *Małżeństwie doskonałym* holenderskiego ginekologa T. H. Van de Velde'a można dowiedzieć się, że seler jest środkiem pobudzającym płciowo i że w oddechu kobiety po spółkowaniu czuć zapach nasienia. Frank Harris, który uważał siebie za jednego z najprzedniejszych w świecie kochanków i nielada znawcę spraw seksualnych, podaje w pierwszym tomie swojej znanej książki *My Life and Loves* (Moje życie i romanse) zadziwiająco ilość błędnych informacji. Między innymi sądzi, że „bezpieczny” okres u kobiety wypada dokładnie w połowie między menstruacjami, że nie ma obawy zapłodnienia przy drugim i trzecim powtórzeniu aktu płciowego, że natrysk wodny zabija spermę i że nocne polucje są osłabiające. Jeszcze jako młody człowiek „wykurował” sam siebie z takich polucji za pomocą mocno związanego kawałka sznurka. Nie przeczytałem jeszcze drugiego tomu książki Harrisa, w którym obiecuje on ujawnić sekrety miłosne Europy i Wschodu.

Z wielu dziwacznych teorii dotyczących aktu płciowego najdziwaczniejsze chyba były poglądy kongregacjonalisty Johna Humpreya Noyesa, założyciela wspólnoty „Oneida”. Noyes ukończył uniwersytet w Dartmouth w roku 1830 i studiował jakiś czas teologię w Yale. Tam nabrał przekonania, że w 70 roku n.e. jednocześnie z upadkiem Jerozolimy Chrystus powrócił na Ziemię i od tej pory oczekuje moralnej „doskonałości” od wszystkich swoich naśladowców. Czy Pan nie powiedział „bądźcie doskonałymi?” Noyes powrócił do swego rodzinnego Vermont i w roku 1843 założył we wsi Putney towarzystwo pod nazwą „Putney Corporation of Perfectionists” (Putneyska Korporacja Perfekcjonistów). Poglądy grupy wzbudziły jednak u okolicznych mieszkańców tak duże sprzeciwy, że w roku 1848 musiała się ona przenieść do Oneida Creek w stanie Nowy Jork. W parę lat kolonia wzrosła do kilkuset członków.

Organizacja grupy, według Noyesa, polegała na biblijnym komunizmie - całe bowiem mienie stan owiło wspólną własność. Życie seksualne tego zbiorowiska opierało się na dwóch zasadach: na męskiej powściągliwości i zespołowym małżeństwie. Założyciel uważał, że każdy członek kolonii powinien jednakowo kochać każdego innego członka i że wierność małżeńska jest grzechem egoizmu. Dlatego stosunki seksualne były dozwolone pomiędzy każdym mężczyzną i każdą kobietą, którzy wzajemnie tego pragnęli. Natomiast urodziny były ściśle regulowane zgodnie z prawami eugeniki, ustalonymi w celu poprawienia składu tej wspólnoty. Słowo „eugenika” nie było wówczas jeszcze znane. Noyes nazywał to „hodowlą rodową”. I rzeczywiście, jego kolonia była pierwszym na świecie praktycznym eksperymentem w dziedzinie eugeniki stosowanej. W tym względzie Noyes zasługuje może na wysokie uznanie, którego nie skąpili mu Havelock Ellis i George Bernard Shaw. Broszura Noyesa pt. *Male Continence* (Męska powściągliwość) była niewątpliwie jedną z pierwszych, która dowodziła, że rozkosz płciowa i rodzenie dzieci są zjawiskami, które w interesie społecznym należy traktować oddzielnie.

Noyes trafił do naszej książki przede wszystkim przez swoje wyjątkowe poglądy na najlepszy sposób zrealizowania tego podziału. Jego metoda, później nazwana *coitus reservatus*, polegała na całkowitym powstrzymaniu się od męskiego orgazmu. Potem, gdy kobieta osiągnęła punkt kulminacyjny, mężczyzna pozwalał na stopniowe opadanie pożądania. Ten sposób działał, podobno, wcale nieźle i bez wyraźnej szkody dla mężczyzn. Co ciekawe, że Noyes wierzył, iż taka praktyka zachowuje u mężczyzny energię i prowadzi do polepszenia zdrowia i wzmocnienia potencji.

Chłopcy po osiągnięciu dojrzałości płciowej byli wprowadzani w sztukę *reservatus* przez starsze kobiety z kolonii. Dziewczęta podobnie, chociaż w nieco późniejszym wieku, przez starszych mężczyzn. Tylko starannie dobrane pary mogły mieć dzieci, które po urodzeniu oddawano na wychowanie wspólnocie, na sposób ongiś polecany przez Platona. Miało to zapewnić równość i przeszkodzić temu, co Noyes nazywał „bałwochwalczą miłością matki do dziecka”. System „wzajemnej krytyki”, w którym każdy członek podlegał publicznej krytyce przez innych, zajął miejsce sądów i kary.

Wspólnota rozwijała się bujnie przez prawie 30 lat, prowadząc szeroką propagandę za pomocą książek, broszur i periodyków. Utrzymywała się początkowo z wyrobu doskonałych stalowych pułapek łowieckich. Potem utworzono przedsiębiorstwo dochodowe, wyrabiające platery, które rozwinęło się w końcu w znany obecnie przemysł „Community Plate”. W końcu kolonia rozpadła się na odłamy, a Noyes musiał szukać schronienia w Kanadzie. Eksperyment skończył się ostatecznie w roku 1879.

Pogląd, że *coitus reservatus* zwiększa energię i przedłuża żywotność męską, przedostał się potem do niektórych kultów religijnych; wielu też pisarzy występowało w jego obronie. Amerykańska lekarka pani Alice Bunker Stockham nazwała to zjawisko *karezza*. W swojej książce o tym samym tytule, opublikowanej w roku 1896, lansuje pogląd, że para miłosna wówczas przeżywa „niezwykły zachwyty”, kiedy akt płciowy jest ograniczony do spokojnych ruchów” i kiedy oboje partnerzy unikają orgazmu (chyba, że chcą mieć dzieci). „Po godzinie - pisze - fizyczne napięcie ustępuje, duchowa egzaltacja wzrasta, pojawiają się wizje niezwykłego życia i doświadczają się przyływu nowych sił”.

Pani Stockham sądzi, że między poszczególnymi seansami *karezy* należy zachować przerwę dwóch lub trzech tygodni, i dodaje: „Wielu ludzi uważa nawet, że trzy albo czteromiesięczne przerwy zapewniają większą siłę i wzrost popędu, jak również dają więcej osobistego zadowolenia. Podczas tej przerwy obopólną rozkosz daje tysiąc i jedna wzajemnych czułości, na podobieństwo miłości, które stanowią zapowiedź końcowego połączenia”. Książka była bardzo popularna, zwłaszcza wśród kobiet, i osiągnęła wiele wydań.

Prawie wszyscy współcześni seksuolodzy są przeciwnikami *karezy*, chociaż niektórzy z nich z przyczyn równie jak ona ciekawych. Dr Marie Stopes⁴³, znana angielska propagatorka regulacji urodzeń utrzymuje, że płyn z męskiego gruczołu krokowego, absorbowany przez kobietę, ma dla niej toniczne, zdrowotne działanie. Joseph Yahuda, w opublikowanej w roku 1951 w języku angielskim pracy pt. *New Biology and Medicine* (Nowa biologia i medycyna), posuwa ten pogląd o krok dalej i zapewnia, że podobnie mężczyzna otrzymuje i absorbuje wzmacniające zdrowie wydzieliny. Określa przy tym, że jest to rodzaj wzajemnego „szczepienia”.

Dr Alfred Kinsey, w swoim sławetnym reportażu, przyjmuje pogląd, że dla zdrowego mężczyzny jest rzeczą „normalną” osiągać orgazm w bardzo krótkim czasie. Podstawą do takiego zdania jest fakt, że u szympansa ejakulacja następuje w ciągu 10 do 20 sekund. „Trudno sobie wyobrazić - pisze doktor - żeby szybkie i gorące reakcje osobnika można oceniać inaczej, niż dodatnio. To samo w większości przypadków odnosi się do szybkiej ejakulacji u mężczyzny, niezależnie od tego czy odpowiada to jego partnerce”. Dr Kinsey nie stara się wyjaśnić, jak i dlaczego ewolucja miałaby stworzyć tak tragiczne niedopasowanie.

Innym współczesnym autorytetem w sprawach płci jest żyjący obecnie w Stanach Zjednoczonych, niemiecki psychiatra Wilhelm Reich, który jeszcze gwałtowniej zwalcza *karrezę*. W jego mniemaniu orgazm (dla obu płci) zajmuje bardziej centralne i ważniejsze miejsce, niż w poglądach innych autorytetów. Osobnik neurotyczny, zdaniem Reicha, nie jest zdolny do przeżycia pełnego i normalnego orgazmu. „Jedna tylko przyczyna powoduje neurotyczny stan pacjenta - pisze w swej najlepszej, znanej pracy pt. *The Function of the Orgasm* (Działanie orgazmu) - niemożność osiągnięcia pełnego i powtarzanego zadowolenia płciowego”. Z tego punktu widzenia orgazm staje się najlepszym wskaźnikiem umysłowego zdrowia pacjenta i, w konsekwencji, osiągnięcie prawdziwego „reichowskiego orgazmu” (jak to nazwali niektórzy, idący w jego ślady) jest jednym z głównych przedmiotów jego terapii.

⁴³ Ostatnia książka dr Stopes *Sleep* (Sen), 1956 zaleca spanie w położeniu północ-południe. „To, czy nogi, czy głowa znajdują się w północnej stronie łóżka, nie ma zasadniczego znaczenia - pisze - ważne jest natomiast, aby... ciało spoczywało... w kierunku północ-południe lub południe-północ.

Wobec tego, że Reich w ostatnich latach zebrał koło siebie oddane grono uczniów, głównie ze sfer awangardy literatury i sztuki w Nowym Jorku i w Kalifornii, jego teoria zasługuje na obszerniejsze omówienie. W następnym rozdziale rozpatrzemy niektóre z jego godnych uwagi odkryć.

Rozdział XV

Orgonomia



Wilhelm Reich, odkrywca energii orgonalnej (albo „energii życiowej”), urodził się w Austrii, w roku 1897. Doktorat medycyny uzyskał na Uniwersytecie Wiedeńskim w roku 1922. Stał się wkrótce protegowanym Freuda i w ciągu następujących ośmiu lat osiągnął duże znaczenie w kołach psychoanalityków. Zajmował wybitne stanowiska naukowe i administracyjne w wiedeńskich stowarzyszeniach psychoanalitycznych i publikował w ich wydawnictwach. Możemy znaleźć wiele o nim wzmianek, rozrzuconych między notatkami i bibliografiami wczesnego okresu pism Freuda.

Reich był czynnym członkiem Austriackiej Partii Socjalistycznej aż do roku 1930, kiedy zerwał z nią i przeniósł się do Berlina, gdzie przyłączył się do komunistów. Był on freudowskim marksistą; to on właśnie, inspirowany przez Malinowskiego⁴⁴, opublikował książkę *The Function of the Orgasm* (Funkcja orgazmu), w której wykładał, że seksualne wyjałowienie proletariatu spowodowało zanik jego politycznej świadomości; tylko przez pełne, nieskrępowane danie folgi popędowi seksualnemu może klasa pracująca zrealizować swoje rewolucyjne możliwości i historyczną misję; cała rzecz była mniej niedorzeczna, niżby to się mogło wydawać.

Reichowi nie udało się jednak przekonać swoich towarzyszy o rewolucyjnej wadze jego poglądów. Moskwa napiętnowała jego pisma, jako „antymarksistowskie bzdury” i wkrótce potem zerwał on swoje stosunki z ruchem komunistycznym. Różnice zdań z Freudem i jego następcami doprowadziły w rezultacie w roku 1934 do formalnego wykluczenia Reicha z Międzynarodowego Towarzystwa Psychoanalitycznego.

Kiedy naziści doszli do władzy, nie patrzyli na Reicha przychylnie. W roku 1933 bowiem napisał on książkę, w której zaatakował faszyzm niemiecki-, określając go jako wyraz okrucieństwa nie wyżytych seksualnie neurotyków. Uciekł zatem do Danii, potem do Szwecji, aż w końcu osiedlił się w Oslo, gdzie w ciągu kilku następujących) lat prowadził dalej swoje badania. Wskutek jednak zajadłej kampanii prasowej przeciwko jego poczynaniom, Reich wyjechał w roku 1939 do Stanów Zjednoczonych, aby odzyskać spokój niezbędny do niezakłóconej pracy.

⁴⁴ Bronisław Malinowski (1884-1942) polski etnograf związany z nauką angielską. Twórca kierunku funkcjonalnego w etnografii (przyp. red. pol.).

W ciągu dwóch lat Reich był profesorem nadzwyczajnym w Nowej Szkole Badań Socjalnych w Manhattan. Założył tu Instytut Orgonomiczny (Orgone Institute), laboratorium w Forest Hills (Long Island) i drukarnię w Greenwich Village, w której zaczęto wydawać angielskie przekłady jego książek. W liberalnych, socjalistycznych i anarchistycznych pismach spotkały się one z przychylnymi recenzjami i były cytowane często w takich pracach, jak *Psychoanalytic Theory of Neurosis* (Psychoanalityczna teoria nerwicy) Fenichela, z roku 1945 i *Modern Woman, the Lost Sex* (Nowoczesna kobieta, zagubiona płeć) Lundberga i Farnhama, wydanej w roku 1947.

Obecnie Reich jest rumianym, dystygowanym panem, półemerytem, mieszkającym w swoim, majątku koło Rangeley w stanie Maine, skąd kieruje różnorodną działalnością Instytutu Orgonomicznego oraz Fundacji Wilhelma Reicha. Poza wydawaniem książek Reicha Fundacja wydaje również „Orgone Energy Bulletin” (Biuletyn Energii Orgonalnej), kwartalnik, który zajął miejsce „International Journal of Sex-Economy and Orgone Research” (Międzynarodowego czasopisma ekonomii seksualnej i badań orgonalnych), the „Annals of the Orgone Institute” (Roczniki Instytutu Orgonomii) i inne publikacje.

Wczesne książki Reicha: *The Function of the Orgasm* (Funkcja orgazmu) z roku 1927, *The Sexual Revolution* (Rewolucja seksualna) z roku 1930, *The Mass Psychology of Fascism* (Psychologia mas w faszyzmie) z roku 1933 i *Character Analysis* (Analiza charakteru) z roku 1933 były bliskie tradycji freudowskiej. I chociaż zawarty w niej materiał jest jeszcze bardzo dyskusyjny, podany stylem ciężkim, pełnym niepotrzebnych powtórzeń i zupełnie pozbawionym poczucia humoru - to jednak spotyka się tam również wiele świeżych i pełnych wyrazu myśli, które zostały przyjęte jako trwałe wkład do literatury psychoanalitycznej. Analiza charakteru, najbardziej zapewne ważka z jego książek, jest wciąż używana (w pierwotnym wydaniu) przez wielu psychoanalityków, którzy ubolewają nad późniejszym sposobem rozumowania, Reicha.

Szczególnie cenne były wczesne poglądy Reicha na neurotyczne aspekty społecznych i politycznych sił, oraz jego nacisk na zdrowie seksualne, jako pierwotny atrybut wrodzonej moralności i postępu politycznego.. Według Reicha, szczęście i dobro są pochodnym wytworem seksualnego powodzenia i, skoro kultura nie jest seksualnie zdrowa, wszelkie wysiłki zbudowania dobrego społeczeństwa są skazane na niepowodzenie. „Przemiana serca” czy „odrodzenie”, które chrześcijańscy socjaliści i tołstojowscy anarchiści uważają za podstawę politycznych reform, Reich zastępuje koncepcją „potencji orgastycznej”.

I odwrotnie; osobniki o właściwej potencji orgastycznej są wytworem należytego wychowania przez ich rodziców i społeczeństwo, albo też są to dawni neurotycy, którzy z powodzeniem poddali się terapii orgonalnej. Ponieważ w naszym otoczeniu znajduje się mało takich osobników (poza społeczeństwami pierwotnymi), wobec tego większość działań politycznych jest bezskuteczna. Niezależnie od tego, jak się zmieniają społeczeństwa, te same chore osobniki kierują nimi i te same chorobliwe popędy szybko deprawują dobre zamierzenia. Dopóki nie będziemy mieli społeczeństwa złożonego ze zdrowych (w sensie potencji orgastycznej) obywateli, nie będziemy zdolni osiągnąć należytego ustroju politycznego. Skoro ustrój taki zostanie osiągnięty, będzie on miał w dużym stopniu własność samoregulacji, bez „przymusowych” praw i moralności. „Demokracja pracy” - oto termin Reicha na określenie takiego społeczeństwa. Nietrudno zrozumieć, dlaczego te poglądy zespoliły się tak łatwo z anarchistycznymi ciągotami w Anglii i w Stanach Zjednoczonych.

Nie tu jest miejsce na obszerną charakterystykę wczesnych przyczynków Reicha do teorii psychiatrii. Większość z nich jest tak skomplikowana i specjalistyczna, że aby je zrozumieć, trzeba by dobrze opanować wymyślną i przeładowaną terminologię Reichowską. To jednak, co zostało powiedziane, powinno dać pewne pojęcie o wadze zagadnień, którymi Reich parał się odważnie w niemieckiej fazie swojej kariery naukowej.

Poczynając od tego punktu, można zrobić wybór między trzema możliwymi interpretacjami linii rozwojowej Reicha: 1) stał się największym biofizykiem świata; 2) z pozycji wykwalifikowanego psychiatry stoczył się do roli maniaka, zwodzącego samego siebie; 3) zбочzył po prostu na teren, na którym jego poprzednia niekompetencja stała się bardziej widoczna. Krytycy, którzy obstają przy tym ostatnim punkcie, wykazują, że psychoanaliza jest wciąż w takim stanie zamieszania pionierskiego, iż piszący o niej niekompetentny teoretyk może łatwo maskować swoją ignorancję, operując specjalistycznym żargonem, z zawartą w nim odrobiną słusznych myśli, zapożyczonych od innych. Kiedy Reich skierował się ku biologii, fizyce i astronomii - naukom opartym na solidnym rdzeniu możliwej do sprawdzenia wiedzy - jego ekscentryczne pomysły stały się łatwiejsze do zdemaskowania.

Niezależnie od tego, jakie prawidłowe wyjaśnienie przyjmiemy, nie ulega wątpliwości, że nastąpił ważny punkt zwrotny w karierze naukowej Reicha. Miało to miejsce w końcu lat trzydziestych, kiedy w Norwegii odkrył on istnienie „energii orgonalnej”. Freud poprzednio już wyrażał nadzieję, że pewnego dnia jego teoria libido czyli energii seksualnej może otrzymać biologiczną podstawę. Reich jest przekonany, że odkrycie przezeń energii orgonalnej spełniło tę nadzieję. Znaczenie tego odkrycia porównuje on do rewolucji Kopernikańskiej. Od czasu przybycia do Ameryki uważa siebie mniej za psychiatrę, niż za biofizyka, sondując coraz to głębiej tajemnice energii orgonalnej i stosując tę dziwną, nową wiedzę do leczenia fizycznych i umysłowych schorzeń.

Czym jest ściśle biorąc energia orgonalna? W myśl poglądów Reicha, jest to pewna nieelektromagnetyczna siła, która przenika całą przyrodę. Jest to ów *elan vital*, bądź pęd życiowy Bergsona, praktycznie udostępniony „i wykorzystany. Ma ona barwę niebieską. Według jednej z książeczek Reicha: „błękit jest specyficzną barwą energii orgonalnej, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz organizmu. Fizyka klasyczna stara się wytłumaczyć błękit nieba przez rozproszenie światła białego w atmosferze. Niemniej jednak, jest faktem, że barwa niebieska występuje we wszystkich funkcjach kosmicznej, atmosferycznej czy organicznej energii orgonalnej”. Protoplazma - mówi Reich - jest niebieska od energii orgonalnej, a traci swą niebieskość, kiedy komórka umiera. Ta sama przyczyna powoduje niebieskość oceanów i głębokich jezior oraz niebieskie zabarwienie niektórych żab, gdy są płciowo podniecone. „Kolor świecącego, próchniejącego drewna jest niebieski; takie też są świecące zakończenia odwłoków robaczków świętojańskich, ogień Św. Elma i zorza polarna; świecenie powstałe w rurach próżniowych naładowanych energią orgonalną jest również niebieskie” (to ostatnie zostało sfotografowane na kolorowym filmie i wydrukowane na okładce książeczki, z której pochodzą powyższe cytaty).

Tak zwane „fale ciepłe”, które się widzi nieraz jak migocą nad drogami i wierzchołkami gór, nie są w ogóle ciepłem - oświadcza Reich - lecz energią orgonalną. Te fale się nie wznoszą. One poruszają się z zachodu na wschód z prędkością większą niż obrót Ziemi. To one powodują miganie gwiazd. Te wszystkie zjawiska, które ortodoksyjni fizycy przypisują „elektryczności statycznej” - na przykład zaburzenia elektryczne podczas wzmożenia plam na Słońcu, błyskawice, zakłócenia radiowe

i wszystkie inne rodzaje wyładowań statycznych - są wytworem energii orgonalnej. „Tworzenie się chmur i burze - pisze - zjawiska, które do dziś nie zostały wytłumaczone - zależą od zmian w koncentracji orgonu atmosferycznego”. Oto dlaczego chmury burzowe i huragany są ciemnoniebieskie. „Jeden z huraganów, który osobiście zaobserwował autor [Reich] w roku 1944, miał barwę ciemnogrnatową”. W jednym z artykułów w „Biuletynie energii orgonalnej” z lipca 1951 roku Reich opisuje pewne eksperymenty przez niego przeprowadzone, które wskazują, że różdżki działają na zasadzie energii orgonalnej!⁴⁵

W ciele ludzkim orgon jest podstawą energii seksualnej. Jest to freudowskie id w bioenergetycznej, konkretnej formie. Podczas stosunku płciowego orgon koncentruje się w organach płciowych). Podczas orgazmu odpływa on z powrotem poprzez całe ciało. Ciało przy oddychaniu ładuje swoje czerwone ciążka krwi energią orgonalną. Reich odkrył pod mikroskopem „niebieski połysk” czerwonych ciałek, gdy te absorbują ów czynnik. W roku 1947 dokonał pomiaru energii orgonalnej za pomocą licznika Geigera. Najnowszy film stworzony przez jego adeptów demonstruje, w jaki sposób można będzie w przyszłości napędzać silnik energią orgonalną.

Reich twierdzi, że jednostką żywej materii nie jest komórka, lecz coś o wiele mniejszego, co nazywa on „pęcherzykiem energii” lub „bionem”; składa się on z błony otaczającej płyn i pulsuje ustawicznie energią orgonalną. Ta pulsacja jest tańcem życia - podstawowym, konwulsyjnym rytmem miłości, który znajduje swój najwyższy wyraz w pulsacji orgazmu. Biony mnożą się podobnie jak bakterie. Krytycy Reicha przypuszczają, że to, co nazywa on bionem, w rzeczywistości jest bakterią.

Według Reicha, biony powstają w przyrodzie stale przez rozkład materii zarówno organicznej, jak nieorganicznej. Biony początkowo grupują się w bryłki, potem organizują się w pierwotniaki! W książce Reicha *The Cancer Biopathy* (Biopatologia raka) z roku 1948, znajduje się seria mikrofotografii różnych typów zwierząt jednokomórkowych, takich, jak ameby i pantofelki, w procesie tworzenia się ze skupień bionów.

Nie trzeba nawet dodawać, że żaden z „ortodoksyjnych” biologów nie był zdolny powtórzyć tych „rewolucyjnych” eksperymentów. Zdaniem bakteriologów, którzy zadali sobie trud wejrzenia w fotografie Reicha, pierwotniaki dostały się do jego kultur z powietrza, lub też znajdowały się już wcześniej w rozkładającej się materii w postaci przetrwalnikowych cyst. Reich zna oczywiście te obiekty i gwałtownie zaprzecza, aby pierwotniaki mogły się znaleźć w jego kulturach w inny sposób, niż w taki, jak sam opisuje.

⁴⁵ Współczesna historia fizyki roi się od doniesień o nie istniejących promieniowaniach, które ich odkrywcy przyjmują nieraz za podstawę różdżkarstwa lub innych okultystycznych zjawisk. Za przykład może służyć odkrycie w XIX wieku siły zwanej Od, przez niemieckiego fizyka, barona Karla von Reichenbacha. Inni badacze, rzecz jasna, nie byli zdolni powtórzyć eksperymentów barona.

W roku 1903 Prosper Blondlot, znany fizyk francuski z Uniwersytetu w Nancy, odkrył tzw. przez niego promienie N (od słowa Nancy). We francuskich czasopismach ukazały się dziesiątki artykułów opisujących ciekawe właściwości promieni N, a Akademia Francuska nagrodziła nawet Blondlota za jego odkrycie. Jednak amerykański fizyk Robert W. Wood wymierzył odkryciu Blondlota cios ostateczny, kiedy odwiedził go w jego laboratorium. Podczas gdy Blondlot obserwował i opisywał widmo promieni N, Wood niepostrzeżenie wyjął z aparatu pryzmat podstawowy, co nie wpłynęło na obserwacje biednego Blondlota.

Nie ma wątpliwości, że fizyk francuski był tu szczerzy. Aby wytłumaczyć jego postępowanie, trzeba sięgnąć w dziedzinę psychologii - jest to wzbudzona przez siebie halucynacja wzrokowa. Ujawnienie sprawy przez Wooda doprowadziło Blondlota do obłądzenia i śmierci.

W roku 1940 Reich wynalazł skrzynię terapeutyczną, którą lansował pod techniczną nazwą „akumulator energii orgonalnej”. Jest to konstrukcja podobna do niskiej kabiny telefonicznej, zbudowana z blachy żelaznej po stronie wewnętrznej, i z materiału organicznego (drewno lub celotex) po zewnętrznej. Później instalowano akumulatory trzy do dwudziestopłytkowe, złożone na przemian z warstw wełny stalowej i wełny żuźlowej. Jako podstawę teoretyczną Reich przyjął, że energia orgonalna, przyciągana przez materię organiczną po stronie zewnętrznej, przechodzi do metalu, który następnie wypromieniowuje ją do środka. Wobec tego, że metal ją odbija, skrzynia wkrótce osiąga niezmiernie wysoką koncentrację tej energii. W swoim laboratorium w Maine Reich ma dużą „salę orgonalną”, wyłożoną żelazną blachą. Kiedy wszystkie światła są wyłączone, w pokoju widoczna jest, jak twierdzi, niebieskoszara luminescencja.

Jeżeli wierzyć drowi Theodorowi P. Wolfemu, dawnemu tłumaczowi dzieł Reicha, akumulator energii orgonalnej jest bez wątpienia najważniejszym odkryciem w historii medycyny. W roku 1951 Reich wydał książeczkę (bez nazwiska autora na stronie tytułowej) pt. *The Orgone Energy Accumulator* (Akumulator energii orgonalnej), która jest najlepszym osiągalnym opisem konstrukcji akumulatora i jego zastosowania w leczeniu. Większość podanego niżej materiału została stamtąd zaczerpnięta.

Akumulatory orgonalne są do nabycia, ale Fundacja zachowuje prawa do ich zastosowania w medycynie i wydierżawia je pacjentom za miesięczną opłatą, uzależniając jej wysokość od ich zdolności płatniczej⁴⁶. Ciało pacjenta znajdującego się wewnątrz kabiny, w lekkim ubraniu, nasycy się energią orgonalną. Początkowo ma się uczucie „igiełek” i ciepła, połączone z rumieńcem na twarzy i podwyższeniem temperatury ciała. Doznaje się uczucia silnego rozpalania ciała. Potem, gdy ciało wchłonęło tyle energii orgonalnej, ile organizm wymaga, zaczyna się lekki zawrót głowy i mdłości. Jeżeli to nastąpi, należy wyjść z akumulatora, odetchnąć świeżym powietrzem, a objawy przeładowania szybko ustąpią. „Pod żadnym pozorem - czytamy w książeczce Reicha - nie powinno się siedzieć w akumulatorze godzinami, albo też, co niektórzy czynią, układać się tam do snu. Może to spowodować poważne szkody dla organizmu (silne wymioty itd.). Lepiej jest, jeżeli zachodzi potrzeba, używać akumulatora kilka razy w ciągu dnia przez krótki okres, niż przedłużać jeden seans

⁴⁶ W roku 1954 Administracja Żywności i Leków wszczęła przeciwko Reichowi, jego żonie Ilse Ollendorf i Fundacji Wilhelma Reicha akcję, mającą na celu zakaz wysyłania do innych stanów akumulatorów orgonalnych i wszelkiej literatury dotyczącej energii orgonalnej. AŻL oceniała, że wydierżawiono i sprzedano ponad tysiąc akumulatorów. Po szeregu starannie przeprowadzonych badań, uczeni z AŻL stwierdzili, „że energia orgonalna nie istnieje i że urządzenie zwane akumulatorem energii orgonalnej nie ma żadnych wartości leczniczych. Przeciwnie, dla osób, które przerywają racjonalną kurację, aby korzystać z tak bezwartościowych urządzeń, może stać się przyczyną nieodwracalnych szkód”.

Reich uznał za stosowne odrzucić zarzut, a rysownik William Steig, kierujący Orgonalnym Funduszem Prawnym, rozpoczął zbiórkę na koszty procesu, który odbył się w maju 1956 roku, w Portland w stanie Maine. Reich bronił się sam, bez udziału adwokata. Sąd wydał wyrok skazujący Reicha na 2 lata więzienia, jego Fundacja została obłożona grzywną, a jego współpracownik, dr Michael Silvert, został skazany na 1 rok i 1 dzień więzienia. Reich oczywiście apelował i obaj skazani zostali zwolnieni za kaucją 15 000 dolarów.

Ponieważ federalny nakaz sądowy polecił zniszczyć wiele książek Reicha, które zawierały choćby małą tylko wzmiankę o energii orgonalnej, sprawa wkrótce przestała dotyczyć oceny naukowej pracy Reicha i nabrała charakteru procesu cywilnego. Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich złożyła sprzeciw, a listy z protestami zasypały różne liberalne pisma. Między innymi „Time” z 25 czerwca 1956 zamieścił list, w którym autor stwierdza, że „wielkie odkrycia Reicha są oparte na faktach, możliwe do zademonstrowania i niezaprzeczone, podobnie jak osiągnięcia Galileusza. Jak długo będziemy czekać, aż władze, prasa, opinia publiczna otrząsną się z apatii, dostrzegą hojny wkład, który organomia wnosi, i staną do walki, by jej bronić?”

Reich wyraził zdanie, że w AŻL znajduje się grupa „komunistów”, szukających dostępu do jego nieopublikowanych materiałów, by zawładnąć tajemnicą czynnika Y jego silnika orgonowego.

niepotrzebnie. W obecnym stadium badań akumulatory większe, niż 3-płytowe, nie powinny być używane bez nadzoru lekarza”.

Dla ludzi obłożnie chorych Reich stworzył „kołdrę-akumulator energii orgonalnej”. Jest to wygięta konstrukcja, którą można ustawiać na łóżku, nad leżącym w nim pacjentem, podczas gdy zespół płaskich warstw znajduje się pod materacem. Istnieją również małe pudełka orgonalne, zwane „pistoletami”, do stosowania na ograniczonej przestrzeni. Giętki kabel żelazny, z którego wewnętrzne druty zostały usunięte, przewodzi energię z pudełka do części ciała podlegającej napromieniowaniu. Jeżeli powierzchnia ciała jest większa niż koniec kabla, to dołącza się lejek. „Powinno się używać tylko lejka metalowego (żelaznego) - ostrzega książeczka - lejki wykonane z plastyku są nieskuteczne”.

Reich wierzy, że naturalny proces gojenia się ran można znacznie przyspieszyć przez zastosowanie „pistoletu”.

„Nawet ciężkie bóle szybko ustają, jeżeli zastosuje się lokalnie energię orgonalną za pomocą «pistoletu» - twierdzi książeczka. - Doświadczenie wykazało zadziwiający fakt, że w ciężkich wypadkach poparzeń nie tworzą się pęcherze i że pierwotne zaczerwienienie z wolna znika. Zagojenie rany jest sprawą paru godzin; ciężkie wypadki wymagają dnia lub dwóch.

Tylko chroniczne, zaawansowane procesy degeneracyjne wymagają tygodni i miesięcy codziennego napromieniowywania. Lecz tu również ciężkie porażenia, jak na przykład owrzodzenia żylakowate, ustępują pod wpływem promieniowania energii orgonalnej”.

Poza przyspieszeniem gojenia, energia ta również sterylizuje ranę.

„Mikroskopowe obserwacje wykazują, na przykład, że bakterie w pochwie zostają unieszkodliwione po zaledwie jednonminutowym napromieniowaniu przez wprowadzoną rurę szklaną, napełnioną stalową wełną. *Nie wolno mieszać napromieniowania orgonalnego ze środkami chemicznymi. Energia orgonalna jest bardzo silnie działającym, środkiem. Nie wiemy dotychczas, co takie połączenie może wywołać*”. (Kursywa jego).

Do chorób, w których kuracja orgonalna może być stosowana z wielką korzyścią, Reich zalicza następujące cierpienia: wyczerpanie, anemię, raka we wczesnych stadiach (z wyjątkiem guzów mózgu i wątroby), ciężkie chroniczne zaziębienie, gorączka sienna, artretyzm, chroniczne wrzody, pewne typy migren, zapalenie zatok i każdy rodzaj porażenia, blizny lub rany. Za pomocą fizycznej energii orgonalnej nie można leczyć neuroz - stwierdza książeczka. Mogą się tylko cofnąć lub złagodnieć pewne przypadki powstałe na tle biopatologicznym i pewne somatyczne następstwa ciężkich neuroz. Zdaniem Reicha, bakterie chorobotwórcze są często wytworem zdegenerowanych bionów ciała, spowodowanych neurozami pacjenta. To „samozakażenie” można zlikwidować przez kurację w akumulatorze, chociaż wiele chronicznych cierpień wymaga szeregu lat leczenia. Powolny wzrost poziomu energii w organizmie można zaobserwować na podstawie próby krwi metodą Wilhelma Reicha.

Komórki rakowe - zdaniem Reicha - są to pierwotniaki, które rozwijają się z bionów, pochodzących z rozkładu tkanek. „Wiele komórek rakowych - według obserwacji autora - ma ogonek i porusza się na podobieństwo ryby”. Gdyby tworzenie się tych pierwotniaków nie było powstrzymane przez wczesną śmierć - pisze - „rakowata mysz lub rakowaty pacjent zmieniliby się bez reszty

w pierwotniaki”. Te cytaty pochodzą z *Biopatologii raka*, gdzie to wszystko jest szczegółowo wyłożone.

Terapia orgonalna obejmuje typ leczenia, zwany „analizą charakteru”. Dokładne szczegóły tego nie zostały ogłoszone z obawy przed niezrozumieniem ich i możliwością nadużycia. Zwykle pacjent ubrany tylko w kostium kąpielowy uклада się na kozetce, aby orgonomista mógł obserwować jego reakcje mięśniowe. Reich wierzy, że każda nerwica wiąże się ze „zbroją mięśniową” - z pewną sztywnością, taką jak ściągnięte brwi, napięte mięśnie szyi, zgarbione plecy, zaciśnięty odbyt. „Nie ma neurotyka, który nie wykazywałby pewnego napięcia mięśni brzucha” - pisze Reich.

Orgonomista stara się wyjaśnić pacjentowi przyczynę jego napięć mięśniowych; są bowiem pewne sposoby techniczne, by uwolnić go od nich. Jeżeli, na przykład, pacjent ma pewne napięcie mięśni szczęk spowodowane nieświadomą chęcią, by kogoś pogryźć, można podać mu ręcznik, i zalecić, żeby go gryzł. Równoległe z „terapią orgonalną” przebiega „analiza charakteru”. Ta ostatnia wymaga wolnych skojarzeń i innych standartowych schematów, które dążą do przeniknięcia „zbroi charakteru” pacjenta.

Ważną częścią terapii orgonalnej jest oddychanie. Stanowi to inny pewnik Reicha, który twierdzi: „Żaden neurotyk nie jest zdolny do głębokiego i równego wydechu”. Trzeba położyć to na karb napięcia brzuszno. Pacjent musi przewyciężyć to wstrzymywanie się od prawidłowego wydechu, często nawet przy pomocy leczącego, przez stosowanie nacisku na brzuch. W miarę postępu terapii oddechowej, występuje ciekawe zjawisko. Pacjent przejawia mimowolny odruch do poruszania miednicą. „Martwa miednica”, według Reicha, jest to sztywność spowodowana „obawą przed rozkoszą”, która z kolei zakorzenia się w dzieciństwie, przez kary za moczenie łóżka, bawienie się genitaliami itp. To przeszkadza neurotykowi poruszać miednicą w sposób naturalny podczas aktu płciowego, a również powoduje lumbago i hemoroidy. Ruch do przodu, który zjawia się samorzutnie w trakcie leczenia, jest ruchem instynktownym. Jest to ten sam ruch bioder, który występuje podczas normalnego stosunku płciowego - „odruch orgazmu”. Świadomy wysiłek, aby poruszać miednicą podczas aktu płciowego, jest uważany za objaw neurotyczny.

Ostatecznym celem terapii jest rozwinięcie zdolności pacjenta do osiągnięcia pełnego i kompletnego orgazmu - co jest możliwe tylko u „genitalnego”, czyli nie neurotycznego osobnika. Normalny akt płciowy odbywa się według Reichowskiej czterotaktowej „formuły orgazmu”: mechaniczne naprężenie, bioelektryczny ładunek, bioelektryczne wyładowanie i mechaniczne odprężenie. Podczas orgazmu energia orgonalna podnosi bioelektryczny potencjał skóry, specjalnie w strefie aktywności płciowej. Jedno z oscylofotograficznych zdjęć w *Funkcji orgazmu* nosi napis: „Błona śluzowa odbytu kobiety w stanie płciowego podniecenia”.

W ostatnich latach poczucie własnej wielkości wzrosło u Reicha alarmująco. Wzrosła zarazem jego gorycz do swych kolegów, którzy traktują jego badania orgonowe, jako świadectwo tragicznego upadku świetnego niegdyś myśliciela. „Plagą emocjonalną” - nazywa społeczne objawy schorzenia seksualnego. Jak można tego oczekiwać, wszelką opozycję, skierowaną przeciwko jego pracy, traktuje jako przejaw tej właśnie plagi. W roku 1947 jego pogląd na plagę osiągnął swój szczyt, kiedy Urząd do spraw Czystej Żywności i Leków zaczął badać jego akumulatory orgonalne, a Mildred Brady napisała o nim dwa artykuły: *The New Cult of Sex and Anarchy* (Nowy kult płci i anarchii) w „Harpers”, z kwietnia 1947 i *The Strange Case of Wilhelm Reich* (Dziwna sprawa Wilhelma Reicha) w „New Republic”, z 26 maja 1947. W następnym roku dr Wolfe wystąpił z repliką w broszurze pod tytułem

Emotional Plague Versus Orgone Biophysics (Plaga emocjonalna przeciw biofizyce orgonalnej), z której zaczerpnięte są następujące słowa Reicha:

„Jest to stara historia. Starsza, niż starożytni Grecy, których uważamy za twórców kwitnącej kultury. Nie inaczej było w dwa tysiące lat później. Giordano Bruno, który walczył o naukową wiedzę przeciwko astrologicznym przesądom, został skazany na śmierć przez Inkwizycję. Jest to ta sama psychiczna zaraza, która wydała Galileusza Inkwizycji, kazała Kopernikowi umrzeć w niedostatku, zrobiła Leeuwenhoeka pustelnikiem, pchnęła Nietzschego w obłąd, Pasteura i Freuda na wygnanie. Jest to podła, niska postawa współczesnych w każdej epoce. Trzeba to powiedzieć jasno, raz na zawsze. Nie można poddać się takim objawom zarazy”.

Jeszcze silniejsze akcenty brzmią w *Listen Little Man!* (Słuchaj, mały człowieczku!) - gniewnym tomie Reicha, wydanym w roku 1948 i świetnie ilustrowanym przez Williama Steiga (Steig jest członkiem-korespondentem Fundacji Wilhelma Reicha). Celem ataku książki jest neurotyczny, seksualnie schorzały „człowieczek”, który nie dostrzega własnej choroby i jest odpowiedzialny za panoszenie się wszelkich odmian faszyzmu. Książka jest gwałtownym wybuchem przeciwko światu, który nie chce uznać wielkości Reicha.

„...Kiedy odkrywca właśnie ustalił dlaczego ludzie umierają na raka - pisze Reich - a ty, Człowieczku, jesteś akurat profesorem patologii raka, ze stałymi poborami - wtedy powiesz niewątpliwie, że odkrywca jest łobuzem; albo, że nie rozumie się wcale na mikrobach w powietrzu; albo będziesz obstawał, że masz prawo egzaminować go, aby ustalić, czy posiada kwalifikacje do pracy nad «twoim» problemem raka, problemem, którego ty nie potrafisz rozwiązać; albo będziesz wolał, by wielu, wielu twoich pacjentów raczej umarło, niż przyznać, że on odkrył to, czego ty tak bardzo potrzebujesz, jako ratunku dla swoich pacjentów. Dla ciebie twoja pozycja zawodowa, albo konto bankowe, albo powiązanie z przemysłem radowym, znaczą więcej, niż prawda i nauka. I właśnie dlatego jesteś tak marny i nędzny, Człowieczku”.

Podobnie, jak wszystkie inne „przyzwoite pisma doby obecnej” książka Reicha jest skierowana „do kultury za 1000 czy 5000 lat, do której tak się ma nasza, jak pierwsze koło wodne sprzed tysięcy lat, do współczesnej lokomotywy z silnikiem Diesela”. To prawda - pisze - że nowa „era energii jądrowej nadeszła... Lecz nie w ten sposób, jak wy myślicie. Nie w waszym piekle, ale w moim cichym, pracowitym laboratorium, w dalekim zakątku Ameryki”.

Reich porównuje siebie do samotnego orła, który wysiaduje kurze jaja, w płonnej nadziei, że wyklują się z nich orlęta.

„...Lecz nie, w końcu nie są one niczym innym, niż gdaczącymi kurami. Kiedy orzeł to pojmie, z trudem przychodzi mu poskromić chęć, by pożreć kurczęta i gdaczące kury. Powstrzymuje go od tego jedynie nikła nadzieja. Ta mianowicie, że wśród gdaczących kurczęt może znajdzie się zabłąkane orlę, zdolne, jak on sam, spojrzeć z wyniosłego masztu w daleką przestrzeń, by odkryć nowe światy, nowe myśli i nowe formy życia. To jedynie ta mała nadzieja wstrzymała samotnego, smutnego orła, by nie pożarł gdaczących kurczęt i kur... Lecz on przemyślał wszystko i zaczął litować się nad nimi. Spodziewał się, że kiedyś znajdzie się, musi się znaleźć, między gdaczącymi, kwokzącymi, krótkowzrocznymi kurczętami orlętko zdolne, by stać się podobne do niego samego. Samotny orzeł po dziś dzień nie porzucił tej nadziei...”.

Ostatecznie Reich konkluduje:

„Cokolwiek czyniliście mi lub uczynicie w przyszłości, czy będziecie mnie sławić jako geniusza, czy też umieścicie mnie w domu obłąkanych, czy uczcie jako swego zbawcę, czy też powiesicie jako szpiega, wcześniej czy później konieczność zmusi was do zrozumienia, że ja odkryłem prawa życia... Ja wam odkryłem nieskończenie rozległą przestrzeń życia w was samych, przestwór waszej kosmicznej natury. Oto jest moja wielka nagroda”.

Ostatnia książka Reicha *Cosmic Superimposition* (Kosmiczne spiętrzenia) z roku 1951, w 30 lat po jego pierwszych krokach w dziedzinie nauk przyrodniczych przenosi organomię w sferę astrofizyki.

„Przenosimy się na otwarte przestrzenie - pisze - by dowiedzieć się, jeśli to możliwe, co nowo narodzone dziecko przynosi ze sobą na wewnętrzną scenę”. Jak sam to określa, przechodzi on od mikroskopu, którego używał w badaniach mikrokosmosu, do teleskopu, dla badania makrokosmosu - w poszukiwaniu pewnego wspólnego elementu, który zjednoczy ludzką miłość z całą naturą.

Oczywiście, czterotaktowa formuła orgazmu nie jest tu odpowiednia. Ten wstrząs jest właściwy tylko istotom żywym, toteż Reich stanowczo ostrzega przed niebezpieczeństwem szukania analogii w świecie nieorganicznym. Trzęsienia ziemi, na przykład, są wstrząsami, lecz nie typu orgazmu. Prawdziwa odpowiedź jest prostsza. Są to „seksualne objęcia”, które poprzedzają orgazm i które Reich nazywa „spiętrzeniem”. „Skąd pochodzi ten przemożny pociąg do spiętrzenia męskiego i żeńskiego systemu organotycznego?” - pyta. Odpowiedź brzmi, że jest to pociąg, który przenika całą naturę, od najdrobniejszych cząstek wewnątrzatomowych, aż do wielkości rzędu gwiazd. Jest to podstawowe znamię zarówno miłości, jak i prawa naturalnego.

Jednostki energii orgonalnej poruszają się po torze spiralnym - tłumaczy Reich. Gdy dwie lub więcej takich jednostek zbliża się, jedna do drugiej, nakładają się one w sposób podobny do seksualnego uścisku. Rezultatem jest stworzenie „potomstwa” - w tym przypadku cząstki materii.

W astrofizyce podobne zjawisko zachodzi przy narodzinach galaktyk. Beładne potoki energii orgonalnej (jako przykład Reich podaje Obłoki Magellana) przyciągają się nawzajem. Nakładają one się w wielkim, kosmicznym uścisku. W rezultacie - nowa galaktyka! Książka zawiera wiele świetnych fotografii mgławic demonstrujących spiralne ramiona, z których świetlistego uścisku wynurzają się galaktyczne słońca.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Przestrzeń nie jest pusta. Jest ona w rzeczywistości bezmiernym oceanem energii orgonalnej i jej ruchy są przyczyną ruchów ciał niebieskich.

„Funkcja grawitacji jest rzeczywista - pisze - nie jest ona jednak wynikiem przyciągania mas, lecz skutkiem skoncentrowanych ruchów dwóch pierwotnych potoków energii orgonalnej... I Słońce i planety poruszają się w tej samej płaszczyźnie i obracają się w tym samym kierunku, wynikającym z ruchów i kierunku potoku energii orgonalnej w Galaktyce. W ten sposób Słońce bynajmniej niczego nie przyciąga. Jest ono tylko największym bratem w całej grupie”.

W ten sposób Reich, przeszukując niebo ze swego obserwatorium w Maine, zbadał tajemnicę grawitacji, pochodzenie materii i przyczynę kształtu mgławic spiralnych.

„W miarę, jak proces funkcjonalnego rozumowania rozwija się coraz dalej - wyznaje - obserwator [tj. Reich] doznaje najwyższego zdumienia nad swoją własną siłą rozumowania, która jest tak doskonale zharmonizowana z naturalnymi zjawiskami, właśnie odkrytymi”.

W obecnej chwili Reicha pochłania ciężka praca nad jeszcze ważniejszym problemem - nad środkiem przeciw nuklearnemu zniszczeniu życia. Jeszcze w roku 1945, wkrótce po wybuchu pierwszej bomby atomowej, Reich napisał w swoim dzienniku, że „energia orgonalna nie jest w istocie niczym innym, niż energią atomową w jej początkowej, naturalnej formie”. Jednak, przeciwnie niż energia atomowa, tworzy ona materię i wzmacnia życie, oraz działa w powolny, konstruktywny sposób. Energia jądrowa jest czynnikiem zniszczenia na drodze wybuchu. Obie energie w istocie stanowią podstawowe zasady miłości i nienawiści, dobra i zła, Boga i Szatana. „Okropność wynalazku bomby atomowej - pisze Reich - znajduje swoje przeciwstawienie w spokojnym, lecz żarliwym entuzjazmie każdego, kto pracuje nad energią orgonalną, lub doświadcza jej leczniczych skutków”.

Skoro energia jądrowa i energia orgonalna odznaczają się tak sprzecznymi właściwościami, to Reich bardzo naturalnie przypuszcza, że ta druga może służyć jako antidotum na promieniowanie nuklearne. „Gdybym, wbrew oczekiwaniom, miał odkryć jakieś mordercze właściwości energii orgonalnej - pisał w roku 1945 - to zachowałbym to w tajemnicy. Musimy nauczyć się przeciwdziałać morderczym formom energii jądrowej za pomocą przedłużających życie działań energii orgonalnej i w ten sposób osiągnąć nieszkodliwość tej pierwszej”.

W styczniu 1951 roku Reich stworzył zespół badawczy ORANUR (orgonomiczna antynuklearna radiacja), dla opracowania szczegółów tego zdumiewającego przedsięwzięcia. Sprawozdania ukazują się na bieżąco w „Biuletynie Energii Orgonalnej” j w innych publikacjach. Opis początkowych prac eksperymentalnych brzmi jak opera komiczna. Reich nabył nieco radu, umieścić go w pokoju orgonalnym, po czym, zanim ktoś zrozumiał, co się dzieje, OR (orgonalna energia) w walce z NR (nuklearna energia) - wpadła w szal. Niespodziewanie przerzuciła się w SOR („śmiertelna orgonalna energia”) i cała załoga laboratorium zapadła na „chorobę ORANUR”.

Ostatnim sprawozdaniem o tym ewenemencie jest krótka notatka pod tytułem Emergency at Orgonon (niebezpieczeństwo w Orgonon). Jest datowana 12 maja 1952 i brzmi następująco:

„...Od 21 marca 1952 istnieje w Orgonon [nazwa głównej siedziby Reicha w Rangeley] silne niebezpieczeństwo, spowodowane gwałtowną aktywnością oranuru. Aktywność ta pojawiła się w kilka godzin po tornadzie szalejącym na Środkowym Zachodzie, w dniu 21 marca. Szczegóły niebezpieczeństwa, które powstało z powodu ostrej aktywności oranuru, będą podane w następnym sprawozdaniu z eksperymentu oranuru, które winno się ukazać w ciągu października 1952 roku bądź też w 1953 roku.

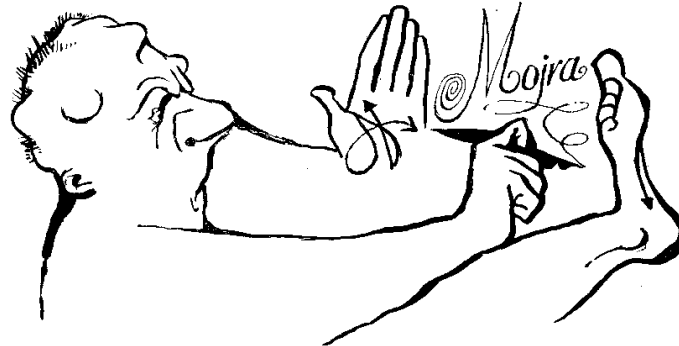
Systematyczna praca w Orgonon załamała się. Wielu pracowników musiało opuścić swoje zajęcia. Większość budynków w Orgonon stała się niezdatna do zamieszkania, tak że obecnie nie można w nich pracować. Trudno podać, czy i kiedy warunki wrócą do normy, nie znana jest również dokładnie przyczyna tej awarii.

Praca musi być ograniczona do niezbędnego minimum, a przede wszystkim należy dołożyć wszelkich starań, aby wyjaśnić i opanować sytuację”.

Jasne jest, że jedyną drogą, aby dokładnie wyjaśnić, co zaszło, byłoby zasięgnięcie opinii fizyka jądrowego, należy jednak wątpić, czy Reich uzna to za niezbędne. Przepuszczalnie sytuacja w końcu zostanie opanowana, tajemnica w pełni wyjaśniona i praca, miejmy nadzieję, ruszy dalej, z zachowaniem większej ostrożności.

Rozdział XVI

Od guzów frenologicznych do charakteru pisma



Istnieje wiele „nauk”, dzięki którym można określić charakter człowieka na podstawie zarówno takich oznak, jak kształt jego czaszki, nosa, rąk itp., jak i ze sposobu, w jaki on przekreśla swoje t, albo stawia kropki nad i. Każda z tych domniemanych nauk posiada własną literaturę, idącą w wiele tysięcy tomów i, w niektórych przypadkach, sięgającą wstecz do starożytnych Greków. Jednak dopiero w czasach współczesnych) zaczęto robić próby oparcia takich studiów na zdrowych podstawach naukowych. Zwłaszcza w Europie pojawiło się kilku, pseudouczonych, w rodzaju tych, którymi zajmowaliśmy się poprzednio, lecz ich działalność nie jest ani zabawna, ani dramatyczna. Dlatego też rzucimy tylko przelotnie okiem na cztery z tych wątpliwych kunsztów: frenologię, fizjognomistykę, chiromancję i grafologię.

Frenologia, która została zapoczątkowana około roku 1800 przez austriackiego anatoma Franza Josepha Galla, wywołała olbrzymie powszechne zainteresowanie. W całej Europie - potem w Anglii i Ameryce - wyrosło setki towarzystw frenologicznych. A zwolennicy frenologii bronili jej z religijnym wprost fanatyzmem. Rozkwitały i zamierały liczne czasopisma, wśród których najbardziej wpływowym był „Phrenological Journal”, wydawany w Edynburgu. Oczywiście ukazywały się też tomy książek i broszur.

Gall i jego uczniowie dowodzili, że osobowość ludzka zawiera pewną ilość wrodzonych niezależnych „władz” umysłowych, z których każda jest zlokalizowana w oddzielnej części mózgu. Im większy jest rozmiar danej części, tym silniejsza „władza”. Na podstawie więc zbadania guzów czaszki można określić charakter człowieka. Ostatecznie rząd austriacki zabronił Gallowi wykładów (na tej podstawie, że jego przekonanie o bliskim związku pomiędzy mózgiem a osobowością gwałci dogmaty religijne), on jednak w dalszym ciągu rozpowszechniał swoją doktrynę w Niemczech i we Francji. Co ciekawsze, kiedy zmarł w Paryżu w roku 1828, pośmiertna obdukcja wykazała, że jego czaszka była dwukrotnie grubsza niż normalna - fakt, który wywołał wiele złośliwych żartów.

W XIX wieku frenologia była powszechnie przyjęta przez inteligencję, zwłaszcza przez jej część mającą skłonność do okultyzmu. Kiedy Sherlock Holmes wywnioskował z dużego rozmiaru kapelusza, że jego właściciel był „dużej klasy intelektualistą”, opierał on swoją dedukcję na rozpowszechnionym wówczas frenologicznym ujęciu. Alfred Russell Wallace⁴⁷ podobnie jak Conan Doyle, stał się spirytystą

⁴⁷ Alfred Russell Wallace (1823-1913), biolog angielski, współtwórca teorii ewolucji (przyp. red. pol.).

i także uwierzył we frenologię. Przy pewnej okazji, gdy badany osobnik znajdował się w głębokim transie, on sam dotykał różnych rejonów frenologicznego modelu głowy. Za każdym dotknięciem medium reagowało wyrazem twarzy odpowiadającym właściwemu guzowi. Według Wallace'a nie była to telepatia, bowiem, kiedy myśląc, że dotyka pewnego guza, pomylił się i w rzeczywistości dotknął innego, badany osobnik zareagował prawidłowo.

Walt Whitman⁴⁸ tak był dumny z tego, że frenologia uznała go za dobrze rozwiniętego we wszystkich kierunkach, że pięciokrotnie opublikował mapę swoich własnych guzów na głowie. Jego tom wierszy *Leaves of Grass* (Żdźbła traw) jest przepełniony terminologią frenologiczną. Przez całe lata krytycy zastanawiali się nad takimi wierszami, jak: „O przyczepności - o pulsie mego życia!”, aż w końcu odkryli, że przyczepność jest właściwością frenologiczną, mającą określać przyciąganie jednej duszy przez drugą. W jednym ze swoich osobistych zapisków Whitman wspomina przypadkowo o liczbach 16 i 164, Na przykład: „Zawsze utrzymuj łagodnego ducha i zachowuj się według 16, lecz więcej jej nie ścigaj”. Wcześni krytycy, którzy nie chcieli uwierzyć, że Whitman był homoseksualistą, używali tych wzmianek, aby wykazać jego zainteresowania kobietami. Dopiero później wyjaśniło się, że 16 i 164 to były rozdziały popularnej książki o frenologii, które odnosiły się do nadziei i wrażliwości.

Nowoczesne badania mózgu, jak powszechnie wiadomo, kompletnie obaliły starą „psychologię władz”. Tylko centra sensoryczne są zlokalizowane. I tak na przykład, podstawa mózgu z tyłu głowy odnosi się do widzenia, a nie, jak Gall nauczał, do „filoprogenitywności”, tj. do miłości do dziecka. Frenologia jako pseudonauka prawie zupełnie zamarła i stosowana jest jeszcze tylko przez jarmarcznych wróżbitów.

Fizjognomika - sztuka określania charakteru z rysów twarzy - sięga wstecz, aż do traktatu przypisywanego (fałszywie) Arystotelesowi. Od czasów greckich aż do dziś zdania były podzielone co do tego, czy wyraz twarzy określa cechy osobowości, czy też, jak Szekspir pisze, „nie ma sposobu odnaleźć budowy umysłu z twarzy”. Literatura fizjognomiczna jest obszerna i nie pozbawiona sprzeczności, z tym, że najgodniejsze uwagi dzieła ukazały się w czasach odrodzenia. Szereg współczesnych badań prowadzonych przez wykwalifikowanych psychologów dał wynik negatywny. Kształt nosa, uszu, warg, barwa włosów i oczu, tekstura skóry i inne cechy - nie wydają się wykazywać jakiegokolwiek korelacji z cechami umysłowymi.

Należy jednak dopuścić pewne wyjątki. Bywają przypadki, kiedy długotrwała postawa duchowa, z odpowiednim dla niej wyrazem twarzy, pozostawia ślad w postaci linii albo układu mięśni twarzy. Na przykład osoba, która przez 30 lat odczuwała głęboki smutek, prawdopodobnie będzie wyglądać ponuro, a człowiek, który wciąż się śmieje, może mieć rozwinięte wyraźne zmarszczki wesołości wokół oczu. Socjologowie podkreślają, że niektóre wierzenia ludowe - jak to, że ludzie rudzi mają gwałtowne charaktery, albo, że wystający podbródek jest oznaką stanowczości - mogą współdziałać w wykształceniu takich właśnie cech u dzieci, mających odpowiednie fizyczne właściwości. Jeżeli wszyscy oczekują, że dzieciak z czupryną koloru marchwi może mieć wybuchy rozdrażnienia, może to współdziałać w ich powstawaniu. Jednak, jak dotąd, studia naukowe w tym kierunku niewiele posunęto.

Teoria, że zbrodniarze mają charakterystyczne stygmaty - rysy twarzy i cechy ciała, które odróżniają ich od innych ludzi - była przedmiotem quasi-naukowego studium włoskiego okultysty, Cesare

⁴⁸ Walt Whitman (1819-1892), jeden z największych poetów amerykańskich (przyp. red. pol.).

Lombroso (1836-1909). Jego statystyczne metody były tak tandetne, że praca ta słusznie trafiła do lamusa, lecz w ostatnich latach jej podstawowe pojęcia zostały znów podjęte przez profesora Earnesta A. Hootona z wydziału antropologii Uniwersytetu Harwardzkiego. W swoim studium opracowanym w latach trzydziestych dr Hooton stwierdził wiele rodzajów korelacji między cechami ciała, a pewnymi typami przestępczości. Rabusie, na przykład, mają zazwyczaj ciężkie podbródki, rozsiały pigment tęczówki, przyrośnięte płatki uszne, i sześć innych jeszcze cech cielesnych. Nie należy jednak uważać Hootona za maniaka. Jego opracowanie jest zbyt starannie wykonane, by podpaść pod tę kategorię; mimo to większość jego kolegów nie uznało jego wniosków twierdząc, że badaniom tym brakowało należytej kontroli.

W związku z tym warto wspomnieć pracę dra Wiliama H. Sheldona o współzależności między cechami umysłowymi a typami ciała (endomorficzny, ektomorficzny i mezomorficzny). Jego książki są wysoce kontrowersyjne, ale z pewnością nie należą do tego typu prac, które by nadawały się do omawiania w tym miejscu. Nie jesteśmy też kompetentni do rozpatrywania „testu Szondiego”, obmyślonego przez Leopolda Szondi, psychiatrę w Zürichu. W tym teście pacjentowi daje się zespół fotografii osób, które reprezentują 8 głównych typów psychotycznych. Pacjent wybiera te, które mu się najbardziej i najmniej podobają; potem jego wybór jest starannie analizowany. Za podstawę teoretyczną testu przyjmuje się, że pacjenci wolą wizerunki typów psychicznych, podobnych w wyrazie twarzy, natężeniu mięśni itp. do swoich własnych.

Chiromancja jest inną starą sztuką, posiadającą literaturę niewiarygodnie obfitą. Zwykle dzieli się ją na dwie gałęzie: chiromancję właściwą, która zajmuje się przepowiadaniem przyszłości z linii dłoni, oraz chirozofię - sztukę odczytywania charakteru z kształtu palców, rozmiaru „wzgórków” i innych rysów ręki. W Chinach istnieje pokrewna sztuka zwana pedomancją - polegająca na wróżeniu i odczytywaniu charakteru z linii i wzgórków stopy; lecz, jak dotąd, ma ona niewielkie powodzenie w kawiarniach Zachodu. Pewne współczesne książki usiłowały oprzeć chirozofię na naukowych podstawach - tu trzeba wymienić książkę *The Human Hand* (Ręka ludzka) z roku 1943, pióra Charlotty Wolff z Uniwersytetu Londyńskiego oraz kilka popularnych książek Josefa Ranalda. Ich badania są interesujące, lecz oparte na wyjątkowo niepewnych metodach doświadczalnych.

Grafologia, sztuka odczytywania charakteru z pisma, powstała podobno we Włoszech na początku XVII wieku. Jej obecna popularność zaczęła się w połowie XIX wieku, kiedy ksiądz Jean-Hyppolyte Michon z Paryża opracował starannie zespół „znaków”: kształt brzuszków liter, rodzaj zakrętasów, sposób przekreślenia t, miejsce kropki nad i i inne, które odnosił do specjalnych cech umysłowych. Wiele następnych badań, głównie w Europie, podważyło znaczną ilość „znaków” księdza; istnieją jednak dane, że pewne, bardziej ogólne, całościowe cechy pisma mogą znajdować się w pewnej statystycznej współzależności z niektórymi rysami charakteru. Można całkiem trafnie przypuszczać, że na przykład osoba leniwa i wygodnicka nie ożywi się nagle, biorąc pióro do ręki, albo że osoba schludna i porządna nie napisze oficjalnego listu niechlujnie i nieporządnie. Nie będziemy również oczekiwać od człowieka o konwencjonalnej postawie, że będzie się popisywał pisaniem dużych liter w sposób wysoce wyszukany.

Nie da się bowiem z góry wykluczyć, zwłaszcza w świetle głębszych badań psychologicznych, tej możliwości, że mogą istnieć subtelne, nieświadome związki między pewną postawą umysłową, a jej symbolicznymi analogiami w charakterze pisma. Na przykład, mistyk religijny może nieświadomie wyrażać swe duchowe dążenia kończąc słowa zakrętasami, które unoszą się niezwykle wysoko.

Z takiego punktu widzenia charakter pisma może być rozpatrywany jako jedna z form „reakcji ekspresyjnej”, jak mówienie, chodzenie, wyraz twarzy, śmiech, czy uścisk dłoni - i, jako taka, może mieć pewien związek z osobowością⁴⁹. Jednak dokładne określenie, jakiego rodzaju jest ten związek, wciąż oczekuje na zadowalające dowody, mimo wielu godnych uwagi studiów, które zostały podjęte w ostatnich latach. Dobrym źródłem psychologicznego pogranicza tego zagadnienia jest książka Klary G. Roman pt. *Handwriting: a Key to Personality* (Charakter pisma: klucz do osobowości) z roku 1952. Pani Roman, wychowana przez węgierską szkołę grafologii, przez wiele lat wykładała ten przedmiot w Nowej Szkole Badań Socjalnych. Jej książka, jak większość prac o grafologii, mało ma do powiedzenia, gdy chodzi o staranne eksperymentalne sprawdziany, lecz zawiera dobre zestawienie współczesnych badań i jest świetnym wprowadzeniem w nowoczesną teorię grafologiczną. Pewna uwaga należy się również książce *Diagrams of the Unconscious* (Wykresy nieświadomości), wydanej w roku 1948 przez prof. Wernera Wolffa z Bard College. Autor kładzie tam nacisk na freudowskie podejście do grafologii.

Jedną z głównych trudności we wszystkich badaniach nad odczytywaniem charakteru jest to, że, jak dotąd, nie zostały jeszcze opracowane naprawdę dokładne metody określające, czy wynik analizy odpowiada obrazowi badanej osoby, czy nie. Na przykład, szerokie marginesy pozostawiane przy pisaniu listu uważa się za cechę „wielkoduszności”. Czy jest ktoś, kto mógłby sądzić, że taka cecha nie odnosi się do niego samego? Ludzie są wielkoduszni w pewien sposób, w inny znów nie. Jest to zbyt mglista właściwość, aby mogła być określana jakąś metodą empiryczną i nawet bliskie osoby mogą się wybitnie różnić w ocenie, czy odnosi się ona do danego osobnika. To samo dzieje się z większością cech grafologicznych. Jeżeli wam się mówi, że je posiadacie, to możecie zawsze wejrzeć w siebie dość głęboko, aby je znaleźć - zwłaszcza, jeśli jesteście przekonani, że grafolog robiący analizę jest znawcą, który rzadko się myli. Oto jest prosty test, który można wypróbować na każdym amatorze, czy też zawodowym badaczu charakteru pisma. Pobierz próbki pisma od 20 twoich znajomych, wszystkich tej samej płci i tego samego mniej więcej wieku, i doręcz je grafologowi. Kiedy otrzymasz jego 20 charakterystyk, daj je (lecz bez próbek pisma) komuś znającemu osobiście tych wszystkich piszących. Poproś tego kogoś, aby na spisie 20 znajomych zestawiał każdą z charakterystyk z nazwiskiem. Jeżeli ustawi je na chybił-trafił na podstawie prawdopodobieństwa, uzyska może jedno właściwe rozeznanie. Jeżeli jednak wynik będzie wyższy - powiedzmy 10 lub więcej - masz obiektywną podstawę do przypuszczenia, że grafolog ma jakieś zdolności. Niski natomiast wynik będzie świadczył, że jest przeciwnie.

Ten rodzaj testu był przeprowadzany dawniej przez niektórych psychologów i zwykle dawał mizerne wyniki dla grafologa. Dopóki badacz charakteru nie może uzyskiwać wysokich wyników na tego rodzaju testach, jego praca będzie stanowiła margines ortodoksyjnej psychologii. To, że miliony ludzi były pod głębokim wrażeniem dokładności odczytań frenologicznych, wskazuje, jak łatwo jest wyobrazić sobie, że analiza charakteru pasuje do osoby badanej - zwłaszcza, jeżeli zna się dobrze tę osobę.

⁴⁹ Jeżeli charakter może mieć wpływ na pismo, to dlaczego nie może istnieć zjawisko odwrotne? W Paryżu grafolog Raymond Trillat zadał sobie to pytanie, a potem opracował tzw. „grafoterapię” - sztukę leczenia neurotyków przez uczenie ich pisma w odmienny sposób. Setki dzieci francuskich - jak twierdzi - odczuło na sobie dobrodziejstwa tej metody.

Bardzo zbliżone do współczesnej grafologii są niektóre testy zachowania się ekspresyjnego opracowane przez psychoanalitików. Jung⁵⁰ i jego następcy kładą silny nacisk na studiowanie gryzmołów ołówkowych, często robionych na przykład przez uczestników różnych zebrań; toteż literatura analityczna jest pełna sprawozdań idących w tym kierunku. Nieco podobny jest test „narysuj osobę”. Badanemu daje się arkusz białego papieru, aby po prostu „narysował osobę”. Jeżeli szkic jest właściwie zanalizowany, to, jak niektórzy sądzą, może on ponoć dostarczyć cennych wskazówek co do zaburzeń w osobowości pacjenta. Karen Machover pracująca w szpitalu w Brooklynie wykonała główną pionierską pracę nad tym testem i wyklada o tym w Nowej Szkole Badań Socjalnych.

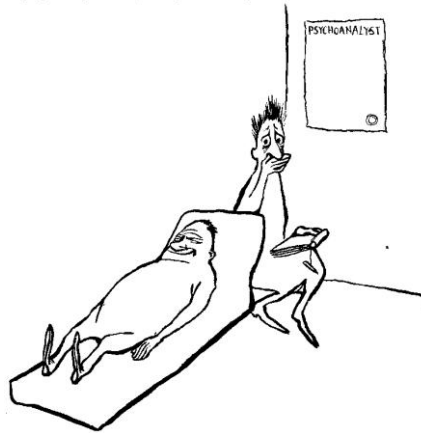
Test „uzupełnienia rysunku”, wynaleziony przez dra Ehriga Wartegga w Niemczech, idzie w tym samym kierunku. Badanemu daje się zespół kwadratów, z których każdy zawiera kilka symbolów bez znaczenia, i każe się wykonać 8 rysunków, które w jakiś sposób zawierają te symbole. Technikę tę omawia współcześnie książka pt. *The Drawing Completion Test* (Test uzupełnienia rysunku), pióra G. Marian Kinget z Uniwersytetu w Chicago. Psychiatrzy i psychoanalitiky od dawna oczywiście używali rysowania i malowania w celach diagnostycznych. Szczególnie obfita jest literatura zajmująca się analizą sztuki neurotycznych dzieci.

Te wszystkie testy - „zachowania się ekspresyjnego” i inne nowe, ukazujące się każdego roku - są wciąż jeszcze w stadium eksperymentu. Całe dziesięciolecia mogą minąć, zanim zostaną stworzone stosowne testy do badania tych testów. Do tego więc czasu arbitralne zaliczanie ich do nauki, czy też pseudonauki, byłoby nierozsądne.

⁵⁰ Carl Gustav Jung (ur. 1875), psychiatra szwajcarski, psychoanalitik; twórca zurychskiej szkoły psychologii analitycznej (przyp. red. pol.).

Rozdział XVII

ESP i PK⁵¹



Wiara w zjawiska metapsychiczne - albo „parapsychologia”, jak dla nadania sobie powagi lubią ją nazywać jej rzecznicy - jest tak stara, jak ludzkość. Dopiero jednak w ubiegłym stuleciu podjęto wysiłki, aby zjawiskom tym dać naukową podstawę, opartą na laboratoryjnych eksperymentach. Kierunki tych badań tworzą cały wachlarz - od dociekań wyraźnie pomylnych, do trzeźwych prac dobrze znanych psychologów, takich jak dr Joseph Banks Rhine z Uniwersytetu Duke i Gardner Murphy z City College w Nowym Jorku. W tym rozdziale skupimy naszą uwagę na pracy Rhine'a, który uczynił więcej, niż ktokolwiek inny, aby badaniom sił parapsychologicznych nadać rangę naukową.

Trzeba od razu stwierdzić, że Rhine z pewnością nie jest pseudouczonym, którego można by choćby z grubsza porównać z większością ludzi, o których mowa w tej książce. Jest on człowiekiem głęboko oddanym swej pracy, pracującym w sposób staranny, posiadającym niewątpliwe kwalifikacje. Jego praca zasługuje na znacznie poważniejsze potraktowanie, niż na to pozwala niniejsze pobieżne opracowanie. Zajmujemy się nim w tym miejscu tylko z racji wielkiego zainteresowania, które skupia się wokół jego odkryć pobudzających do nowej „nieprawowierności” we współczesnej psychologii, a również dlatego, że jest on doskonałym przykładem uczonego „z pogranicza”, którego nie można uważać za maniaka, a który jednak znajduje się na dalekiej peryferii ortodoksyjnej nauki.

Spotykamy się z rozpowszechnionym, irracjonalnym przesądem - któremu hołduje większość amerykańskich psychologów, w większej mierze, niż na przykład angielskich - polegającym na negowaniu możliwości istnienia sił pozazmysłowych. Ten przesąd ja sam w pewnym stopniu podzielam. Tak jak głęboka wiara Rhine'a musi być brana pod uwagę przy czytaniu jego wysoce wnikliwych dzieł, tak również mój przesąd winien być wzięty w rachubę przy czytaniu tego, co piszę poniżej.

Dr Rhine urodził się w roku 1895 w Waterloo (Pensylwania), lecz spędził dzieciństwo w małym miasteczku w stanie Ohio. Jako młody człowiek przesłużył dwa lata w marynarce, następnie wstąpił na Uniwersytet w Chicago, który ukończył w roku 1922. Tam też uzyskał doktorat z botaniki i przez

⁵¹ ESP - skrót terminu „extra-sensory perception” (spozrzeganie pozazmysłowe), obejmującego telepatię i jasnowidztwo; PK - skrót terminu psychokineza, określającego zdolność umysłu do władania materią. Oba skróty przyjęte są również w języku polskim, z tym, że używa się też zamiast ESP-SPZ. Por. H. J. Eysenck, *Sens i nonsens w psychologii*, „Biblioteka Problemów” Warszawa 1965 (przyp. red. pol.).

pewien czas wykładał ją na Uniwersytecie West Virginia. W wieku młodzieńczym zamierzał zostać pastorem, lecz z biegiem czasu jego ortodoksyjne przekonania rozwiały się i zaczął oglądać się za oparciem dla swoich szerszych religijnych poglądów, którym pozostał wierny.

W takim stanie ducha on sam i jego żona na początku lat dwudziestych trafili na odczyt Artura Conan Doyle'a o spirytyzmie. Odczyt ten zrobił głębokie wrażenie na obojgu. „... oczywiście, jeśli w tym, w co on [Doyle] wierzy - pisał Rhine - jest ułamek prawdy, choćby nawet błędził w szczegółach; będzie to miało olbrzymie znaczenie. Ta prosta możliwość była najbardziej ożywczą myślą, jaką miałem od lat”.

Te emocje zapoczątkowały długi okres, w którym Rhine i jego żona nurzali się w literaturze i praktykach spirytystycznych. „Przygody psychiczne” jest terminem, którego używał Rhine na określenie swoich wczesnych prac badawczych. W roku 1927 został on asystentem na Uniwersytecie Duke, pracując nad siłami metapsychicznymi pod kierownictwem profesora Williama McDougalla. W roku 1928 wszedł do rady wydziału Uniwersytetu Duke, a od roku 1940 został dyrektorem tamtejszego laboratorium parapsychologicznego.

Pierwsze sprawozdanie Rhine'a z jego badań było opublikowane w roku 1934, pod tytułem *Extra-Sensory Perception* (Spostrzeganie pozazmysłowe). Następnie ukazały się książki: *New Frontiers of the Mind* (Nowe granice umysłu) z roku 1937, *Extra Sensory Perception After Sixty Years* (Spostrzeganie pozazmysłowe po sześćdziesięciu latach), w roku 1940 (której był współautorem) i *The Reach of the Mind* (Zasięg umysłu)⁵² z roku 1947. Od roku 1937 wydawał „Journal of Parapsychology” - zapewne najważniejsze pismo w historii naukowych badań zjawisk mediumicznych. Ponadto pisał liczne artykuły do popularnych czasopism.

W swoich książkach i artykułach Rhine usilnie stara się dowieść, że ESP („spostzeganie pozazmysłowe” - termin obejmujący telepatię i jasnowidztwo) zostały niewątpliwie dowiedzione za pomocą kilku milionów testów z kartami ESP. Karty te przedstawiają 5 łatwych do odróżnienia symbolów: kwadrat, koło, krzyżyk, gwiazdę i linie faliste. Używa się ich zwykle w taliach złożonych z 25 kart, po 5 dla każdego symbolu. W ostatnich latach Rhine zwrócił uwagę na inny typ zjawiska psi (termin przyjęty przezeń dla pojęcia „psychiczny”), które nazywa on PK. Jest to zdolność umysłu władania materią, przejawiająca się w takich przypadkach, jak mediumiczne lewitacje, leczenie wiarą, zjawiska domów, w których straszy itp. Przez skupienie uwagi na pewnych ściankach kostek do gry, które wstrząsa się ręcznie lub wyrzuca mechanicznie, uzyskuje się, jak Rhine twierdzi, częstsze wypadanie tych ścianek, niżby to wynikało z teorii prawdopodobieństwa. Rhine twierdzi dalej, że zarówno ESP, jak i PK są w dziwny sposób wolne od ograniczeń czasu i przestrzeni. ESP działa, na przykład, równie dobrze, kiedy badana osoba i karty znajdują się w znacznej od siebie odległości. Podobnie dzieje się, gdy badany podaje porządek kart w talii przed ich potasowaniem. Tę ostatnią zdolność nazwał „przedpoznanie”. Jak Rhine twierdzi, „...niezależnie od tego, czy badani podawali obecny, czy też przyszły porządek kart, nie było widocznej różnicy w wyniku”. Zjawisko przedpoznanie

⁵² Ostatnia książka Rhine'a *New Worlds of the Mind* (Nowe światy umysłu) ukazała się w roku 1953. Książka różni się od poprzednich głównie położeniem nacisku na rozważania religijne i sugestiami, aby badać empirycznie także istnienie Boga i skuteczność modlitwy. Oparcie duchowej rzeczywistości na naukowych podstawach - oświadcza Rhine - „miałoby dla religii takie znaczenie, jak bakteriologia dla medycyny; przesunęłoby zakres badań religijnych poza horyzonty obecnych koncepcji”.

Jednocześnie ostatni program badań Rhine'a zajmuje się anpsi (animal psi - psi zwierzęce). Wymienia on doświadczenia, które jakoby wykazały, że koty posiadają właściwości telepatyczne i jasnowidzkie; napomyka też o sensacyjnych nowościach, których należy oczekiwać.

sprawiło Rhine'owi dużo kłopotu, gdyż ogromnie utrudniało układanie testów przeznaczonych do telepatii. Zamiast odczytywać myśl wysyłającego, badany mógł po prostu widzieć za pomocą przedpoznawczego jasnowidztwa końcowy rezultat ułożonego testu! Ponieważ każdy test musi być w końcu w jakiś uporządkowany sposób ułożony, staje się zrozumiałe, jak trudno jest wykluczyć rolę przedpoznania jako wytłumaczenie.

Niezależność zjawisk psi od przestrzeni i czasu - zdaniem Rhine'a - sprawia, że nie możemy ich wytłumaczyć za pomocą jakiegś znanej teorii fizycznej. Na tym opiera on pogląd, że co najmniej część umysłu jest oddzielona od świata fizycznego - fakt, który daje podstawę wierze w duszę, w wolną wolę i w życie pozagrobowe. Ponadto, ponieważ ESP i PK istnieją, w takim razie pewne źdźbło prawdy tkwi we wszelkich oczywistych oszustwach i blagach spirytyzmu. Rhine wierzy na przykład, że media, operatorzy wirujących stolików Ouija i ci, którzy opisują zjawisko automatycznego pisma, często podają informacje uzyskane za pomocą telepatii, jasnowidztwa i przedpoznania. Praca Rhine'a używa podstawy wierzeń ludowym o psychicznych siłach zwierząt. W „American Magazine” z czerwca 1951 publikuje on artykuł pt. *Can Your Pet Read Your Mind?* (Czy twoje zwierzątko może czytać twoje myśli?), w którym przedstawia fakty motywujące te poglądy. Rhine jest przekonany, że klacz Lady popisująca się w Richmond (Virginia) odgadywaniem myśli - posiada psychiczną siłę. Opowiada on również o pewnym psie z Kalifornii, który wył przez cały dzień, a przestał akurat w chwili, gdy trzęsienie Ziemi zdarzyło się w Long Beach. Mówi też o pewnym szkockim owczarku, który warczał pod łóżkiem do chwili, gdy wybuch w pobliskiej fermie nie zabił jego pana. W obu wypadkach, jak Rhine sądzi, psy wykazały przedpoznanie nadchodzących zdarzeń.

Jak należy ustosunkować się do tych zadziwiających stwierdzeń? Czy dr Rhine wraz z towarzyszami dał zjawiskom psi solidną podstawę empiryczną, czy też badania jego budzą ze stanowiska naukowego wątpliwości? Skoro argumentacja przemawiająca na jego korzyść jest tak łatwo dostępna w jego książkach i artykułach, natomiast argumenty strony przeciwnej są ukryte w poważnych teoretycznych publikacjach - podsumujmy najważniejsze głosy krytyki, które zostały podniesione przez sceptycznych psychologów.

Najsilniej przeciwko Rhine'owi przemawia to, że z bardzo nielicznymi wyjątkami eksperymentatorami, którzy potwierdzili jego odkrycia, byli ludzie dzielący jego głęboką wiarę w zjawiska mediumiczne.

Krytycznie nastawieni psycholodzy przeprowadzili setki testów, które dały negatywne rezultaty. Rhine przypisuje to temu, że postawa eksperymentatora ma widoczny wpływ na badanego. Sceptycyzm badającego może spowodować zakłócenia w delikatnym oddziaływaniu zdolności psi u badanego. Krytycy Rhine'a zarzucają mu, że przeprowadza doświadczenia przy słabej kontroli laboratoryjnej i publikuje tylko drobną część przeprowadzonych testów. H. L. Mencken (w artykule o Rhine'ie w baltimorskim „Evening Sun” z 6 grudnia 1937 roku) ujął ten zarzut następująco: „Po prostu profesor Rhine wybiera te wszystkie osoby, które przy odgadywaniu kart cieszą się wyjątkowo «szczęśliwą passą»,. a potem przytacza te wyjątkowo «szczęśliwe passy» jako dowód, że osoby te muszą być obdarzone siłą tajemną...”..

Ta rzekoma „selekcja” nie jest procesem zamierzonym, lecz czymś, co działa subtelnie i nieświadomie. Dla przykładu przypuśćmy, że eksperymentator przeprowadza test na 100 zebranych razem studentach, aby ustalić, kto z nich będzie dopuszczony do dalszych badań. Według teorii prawdopodobieństwa około 50 studentów powinno mieć wynik powyżej przeciętnego, a drugie 50 -

poniżej (według Rhine'a, testy grupowe prawie zawsze wykazują taki właśnie wynik, oparty na prawdopodobieństwie). Eksperymentator decyduje; że ci o wysokich wynikach mają zapewne odpowiednie właściwości mediumiczne, a zatem zostają skierowani do dalszych testów.

W następnym teście ci, którzy uzyskali niskie wyniki, są znów wyeliminowani, a prace prowadzi się dalej ze studentami mającymi wysokie wyniki. W końcu pozostanie jedna osoba, która w kilku następujących po sobie próbach uzyskała poziom ponad przeciętny. W pojedynczym przypadku szanse wysokiego wyniku są małe, biorąc jednak pod uwagę proces przeprowadzonej właśnie selekcji uzyskany wynik jest taki, jakiego można oczekiwać.

Wykwalifikowany eksperymentator nie ośmieszyłby się oczywiście postępowaniem aż tak prymitywnym; opisany przykład ilustruje tylko, jak zwodnicza jest sprawa selekcji: By lepiej to zobrazować, wyobraźmy sobie, że stu profesorów psychologii rozsianych po całym kraju po przeczytaniu opisu pracy Rhine'a postanawia przebadac jakąś osobę. Pięćdziesięciu, którzy nie zdołają odkryć ESP w pierwszym, wstępnym teście zapewne zniechęci się i zrezygnuje, lecz innych pięćdziesięciu podejmie dalsze wysiłki.; Z tej liczby znów część porzuci pracę po drugim teście, podczas gdy niektórzy będą ją kontynuować, ponieważ osiągnęli dobre rezultaty. W końcu zostanie jeden eksperymentator, którego obiekt badań w ciągu kilku następujących po sobie seansów osiągnął wysokie wyniki. Ani eksperymentator, ani badany nie wiedzą a pozostałych 99 rezygnujących, i w ten sposób obaj mają złudzenie, że ESP działa. W rzeczywistości szanse są tu niskie. Ale W całym (i nieznanym) kontekście sukces jest zupełnie prawdopodobny (szansa wygranej W irlandzkim totalizatorze jest nawet mniejsza, a mimo to ktoś w nim wygrywa). A więc eksperymentator pisze entuzjastyczny artykuł, posyła go Rhine'owi, który publikuje go w swoim czasopiśmie i czytelnicy są pod jego wielkim wrażeniem.

W tym miejscu można zapytać, czy eksperymentator nie rozczaruje się, jeżeli będzie dalej prowadził testy na swoim badanym? Odpowiedź jest twierdząca, lecz Rhine uprzedza nas, że badani prawie zawsze wykazują, po początkowych sukcesach, pewien spadek zdolności. Ponadto pisze:

„...eksperymentatorzy, którzy osiągnęli poprzednia sukcesy, mogą nawet stracić swój dar. Zdarzają się... badacze, którzy wykazali swoje uzdolnienie w jednej lub więcej doświadczalnych seriach, a okazali się mniej szczęśliwi w następnych, nawet prowadzonych w tych samych warunkach. Te niepowodzenia są zrozumiałe... z uwagi na spadek początkowego zaciekawienia i entuzjazmu, lecz wskazują również na daleko idącą nieuchwytność psi”. Można też dodać, że niepowodzenia te zrozumiałe są również w świetle teorii prawdopodobieństwa.

Przy prowadzeniu testów indywidualnych, kiedy wyniki spadają do przeciętnych lub poniżej, Rhine znajduje wiele „furtok”, dzięki którym wynik taki podtrzymuje raczej ESP, niż liczy się na jego niekorzyść. A więc badany może trafiać nie na właściwą kartę (zwaną „celem”), lecz na kartę poprzednią. Takie zjawisko nazywa się „przesunięciem w przód”. Może on też stawiać na kartę następną („przesunięcie wstecz”). Takie przesunięcie ESP może objąć dwie, a nawet trzy karty w jedną lub w drugą stronę! Jasne jest, że jeżeli można wybierać między wszystkimi tymi wariantami, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że jeden z nich wykaże wyniki wyższe od przeciętnego. Jeżeli nie stwierdzono żadnego przesunięcia, to jednak taki przygodny wynik można przypisać pewnym zaburzeniom w stanie psychicznym badanego. Może on być skłopotany swymi studiami, znudzony, odrywany przez odwiedzających, niezadowolony z eksperymentatora, chory, zmęczony, sceptycznie odnoszący się do pracy, o niskim ilorazie inteligencji, neurotyczny lub w stanie emocjonalnego

kryzysu. Nawet eksperymentator, jeżeli znajdzie się w jednym z tych godnych pożałowania stanów, może wpływać hamująco na badanego drogą nieświadomej telepatii. Wszystkie te czynniki Rhine dokładnie wymienia jako usprawiedliwienie niskich rezultatów. W jego doświadczeniach rezultat taki może być wywołany, jak twierdzi, nawet tym, że pewna osoba „nie znosi” pewnego układu kostek! (Nie mówi się nam, czy osoba wyraża tę niechęć przed testem, czy po jego zakończeniu). Jak Rhine stwierdza, „najdrobniejszy wpływ może spowodować zaburzenia w działaniu tych zdolności”.

Jeżeli wyniki są wysokie, to oczywiście nikt nie będzie zastanawiał się nad „drobnymi wpływami”. Lecz jeśli wyniki spadają - zaczyna się szukać przyczyn. Oczywiście, nietrudno je znaleźć. Zwykle, jeśli w dalszym ciągu wyniki są niskie, przerywa się testowanie. Jeżeli wyniki są wyjątkowo niskie, to można je rozpatrywać, jako negatywną formę ESP. Nazywa się to „unikaniem celu”. W jednym z poprzednich rozdziałów, poświęconym różdżkarstwu, wspominaliśmy o słabych wynikach z Henry Grosse przy testach przeprowadzanych przez Rhine'a. Parę lat temu jednak (w „The American Weekly” z 23 marca 1952) Rhine ujawnił, że właściwie Henry nie doznał niepowodzenia! On „podświadomie buntował się”, jak to Rhine tłumaczy, i dodaje: „On nie mógłby tyle razy się mylić tylko przez czysty przypadek”.

„Unikanie celu” może zdarzyć się nawet przy grze w kostki. „Zachodzi charakterystyczna zmienność celu, wspólna zarówno dla ESP, jak dla PK - pisze Rhine - ...tendencja, aby w pewnych warunkach nie tylko unikać celu, lecz nawet niekiedy skupiać się na innym celu, bliskim w pewnym względzie celu zamierzonego”. Słowa „w pewnym względzie” wymagają uwagi. Przypuśćmy, że badany stara się, aby kostka wykazała trójkę. Wynik jest negatywny. Lecz przy dokładniejszym zbadaniu okazuje się, że jest duża przewaga czwórek. Czwórka jest „w pewnym względzie” bliska trójki, gdyż następuje po niej. Podobnie blisko jest dwójka, bo poprzedza ją. Albo może ukazuje się szóstka - liczba, na którą badany „stawiał” w poprzednim teście. Jest to „efekt opóźnienia”. Przedpoznanie może oczywiście sprawić, że badany wyrzuci następny numer, by wybrać go dla testu. W jaki więc sposób można przegrać mając możliwość takiego żonglowania? Ja sam przy grze w „26” w Chicago obserwowałem nieraz irytującą tendencję kostek do nadzwyczajnych ilości trafień w inne numery, niż w ten, którego się pragnie.

Jeżeli w ogólnym obrazie wszystkie „przesunięte” wyniki nie zostaną zredukowane do „średniej”, to oczywiście nastąpi statystyczne zniekształcenie. Skoro się ogłasza jedno doświadczenie, aby wykazać, jak badany „trafił w cel”, a następne, aby wyjaśnić, jak badany trafił w inny cel niż ten, który był zamierzony - to niczego w ogóle nie udowodniono. To, że liczba trafień jest bliska prawdopodobieństwa, kiedy wszystkie wyniki zbierze się razem - łatwo wykazuje następujące stwierdzenie Rhine'a: „To odrzucenie celu ustawia wynik poniżej prawdopodobnej średniej i - jeżeli ten stan trwa dostatecznie długo, jak to miało miejsce w szeregu badań - całkowite negatywne odchylenie od średniej osiąga wartość, która nie wynika z prawdopodobieństwa”. Gracz sformułuje to prościej: powie, że ma często ciągi nadzwyczajnie szczęśliwe, które jednak są zwykle przeplatane ciągami bardzo nieszczęśliwymi.

„Niekiedy badany uzyskuje podczas jednego seansu wszystkie wyniki poniżej średniej linii prawdopodobieństwa - twierdzi dalej Rhine - a podczas następnego przeciwnie. Może on nawet nie wiedzieć, co jest powodem tych różnic. Gorzej jeszcze, on może zacząć swój ciąg po jednej stronie linii prawdopodobieństwa i przerzucić się na drugą stronę jeszcze przed zakończeniem ciągu; lub też

w środku ciągu może iść poniżej, na obu jego krańcach zaś - powyżej. Oba kierunki odchyień mogą się wzajemnie znosić i dana seria, jako całość, zamyka się średnim wynikiem pozytywnym”.

Oto opis wyjęty z jednej z kart ewidencyjnych testu ESP:

„...gdy jeden z nadawców obserwował kartę, zachodziło przemieszczenie zarówno w przód, jak i w tył, natomiast u innego badanego, jako nadawcy - tylko w przód; to, czy przemieszczenie zwracało się od celu ku pierwszej, czy ku drugiej karcie, zależało od szybkości prowadzenia testu”.

Nic dziwnego, że Rhine mówiąc o ESP, określa je jako „niewiarygodnie nieuchwytną”, co czyni tę właściwość „niestatą”, „kapryśną”, „pierzchliwą” i „najbardziej zmienną ze znanych”.

Przy ocenie eksperymentów w Uniwersytecie Duke musi być brana pod uwagę, w dodatku do selekcji danych, możliwość „błędów notowania”. Na innych uniwersytetach została przeprowadzona w ostatnich latach pewna ilość testów, które dosadnie wykazały, że wierzący w ESP przy notowaniu punktów są skłonni do robienia pomyłek, które prawie zawsze wypadają na korzyść ESP. Punkty były notowane przez osobę wierzącą w ESP. Zgodnie z teorią prawdopodobieństwa, należało oczekiwać prawidłowego trafienia 200 kart. Końcowy wynik wykazał 229 trafień. Jednak bez wiedzy notującego przeprowadzono kontrolny zapis eksperymentu. Kiedy porównano go z poprzednim notowaniem, ujawniono 46 błędnych zapisów. To zredukowało wynik do poziomu nieco poniżej przeciętnego, który wynikał z prawdopodobieństwa. Skoro doświadczenie powtórzono, a osoba prowadząca wiedziała, że są robione zapisy kontrolne, okazały się w nich tylko dwa błędy.

Test przeprowadzony w roku 1952 przez Richarda S. Kaufmana w Yale polegał na eksperymencie PK z 96 kostkami. Każda z ośmiu osób prowadziła zapis z 40 kolejnych rzutów, nie wiedząc, że ukryty aparat fotografuje cały tok doświadczenia. Cztery osoby, które wierzyły w PK, robiły błędy na korzyść PK, natomiast czterej nie wierzący mylili się w przeciwną stronę. Świadczenie aparatu fotograficznego dało wynik zgodny z rachunkiem prawdopodobieństwa, lecz zapis dwóch wierzących zawierał ilość błędów na korzyść, dostateczną do wykazania PK. Błędy tego rodzaju niekoniecznie muszą być świadomym fałszem. W podnieceniu i napięciu takiej pracy umysł może płać dziwaczne figle i łatwo jest zrozumieć, jak błędy mogą być kierowane czyjąś skłonnością. Nawiasem mówiąc te błędne zapisy na korzyść będą bardziej prawdopodobne na początku seansu, kiedy zainteresowanie i nadzieja sukcesu są u szczytu; potem opadają, gdy zmęczeni i znudzeni rejestratorzy zaczynają robić błędy przypadkowe. To tłumaczyłoby konsekwentny spadek sukcesu, który widać w większości testów Rhine'a z kostkami, a który według niego jest najsilniejszym argumentem na korzyść PK. Wyniki tych testów mają również tendencję do spadku, a potem znów podnoszą się ku końcowi. To również można zrozumieć. Świadomość, że eksperyment już niedługo potrwa, może sprawić, że rejestratorzy ożywają się nieco i znów zaczynają robić błędy na korzyść.

Możliwość błędów zapisu przewija się przez całą pracę Rhine'a. Jego testy były przeprowadzane w bardzo różnych warunkach, opisanych zwykle dość mętnie. Rzadko mówi się tam dokładnie, kto i w jaki sposób notował, lub jaki pogląd na PK reprezentowali rejestratorzy prowadzący zapis. Aby zapobiec takim omyłkom w późniejszych latach, Rhine zaostrzył kontrolę, i jest znamienne, że im bardziej rygorystycznie kontrola ta wypadła, tym mniej ESP ujawniało się. „...przesadna ostrożność wymaga ofiar. - pisze - Eksperymentatorzy, którzy dłużej pracowali na tym polu, mogli zaobserwować, że gdy doświadczenie staje się skomplikowane, ciężkie i powolne, wyniki są wypaczone. Zastosowanie ostrożności zwykle jest samo w sobie czynnikiem rozpraszającym”.

Pokróctce: nadmierna ostrożność zakłóca zdolności psi u badanego. ESP i PK dadzą się wykryć tylko wtedy, gdy doświadczenie jest przeprowadzone stosunkowo niedbale i nadzorowane przez niezachwianych wierzących eksperymentatorów. Chociaż Rhine odkrył wielu badanych, których uważał za obdarzonych właściwościami mediumicznymi w wysokim stopniu, jednak nie znalazł ani jednego, zdolnego demonstrować ESP sceptycznym uczonym z innych uniwersytetów. Naturalnie, ma on na to wytłumaczenie, ale czy można się dziwić „ortodoksyjnym” psychologom, że wahają się uznać istnienie zjawisk psi za udowodnione?

W związku z eksperymentami Rhine'a z kostkami Clayton Rawson podnosi w *Scarne on Dice* (Scarne o kostkach) z roku 1945, że aby obrócić toczącą się kostkę w inną stronę, potrzebne jest pewnego rodzaju popchnięcie siłą PK (rozmiar i ciężar kostek nie mają wpływu na rezultat, jak to Rhine skonstatował). Istnienie takiej siły można bez trudu wykazać - pisze Rawson - za pomocą delikatnie zrównoważonej strzałki w próżni, którą badany wprawiałby w ruch obrotowy, koncentrując na niej uwagę. Jeżeli medium jest zdolne do podniesienia dzięki PK ciężkiego stołu, to z pewnością inne medium potrafi wprawić w ruch taki prosty przyrząd laboratoryjny. Rawson i Scarne chcieliby wiedzieć, czemu Rhine nie sięga do takich jasno określonych doświadczeń, lecz zwraca się do doświadczeń z kostkami, pełnych błędów statystycznych i podświadomej selekcji - takich samych jak w testach z kartami?

Narzuca się inne jeszcze kłopotliwe pytanie. Od dziesiątków lat w Chicago w tamtejszych barach i kabaretach gra się w „26”. Gra polega na tym, że z kubka wyrzuca się dziesięć kostek; gracz, który stawia na pewien numer, wygrywa wówczas, gdy postawiona liczba wyjdzie przynajmniej 26 razy w 13 rzutach. Zmęczona i znudzona pracownica obsługująca grę, która notuje każdy rzut, niewiele oczywiście interesuje się wynikiem. Grający natomiast wyłazi ze skóry, by wyrzucić swoją liczbę. W jaki więc sposób arkusze zapisów, rok po roku, wykazują dochód zakładu dokładnie według tego, co mówi rachunek prawdopodobieństwa? Można by oczekiwać, że warunki takie stwarzają pole do silnego działania PK.

Arystoteles napisał, że jest prawdopodobne, iż nieprawdopodobne od czasu do czasu się zdarzy; albo, jak to Charlie Chan⁵³ kiedyś wyraził „Dziwne wypadki mogą sobie pozwolić na luksus występowania”. Skoro się zważy, że Rhine do tej pory miał do czynienia z kilkoma milionami zapisów kart i kostek, z których przeważna część była sporządzona bez odpowiedniego zabezpieczenia przed błędami zapisu - to byłoby doprawdy niezwykle, gdyby nie natrafił on na ciągi o niewiarygodnie wysokich wynikach. Początkowo w pewnych przypadkach mogłyby nawet zachodzić fakty rozmyślnego oszustwa ze strony badanych, jako że często byli oni opłacani za swoje usługi, a tylko osoba wykazująca własności psi mogła liczyć na wielokrotne badanie. (Wystarczyło, aby tylko 3 karty w talii ESP były naznaczone - chociażby paznokciem na krawędzi - aby umożliwić badanemu, który widzi talię, osiągnięcie średniego wyniku powyżej 7). Nasuwa się pytanie, czy Rhine traktując pomyślnie ciągi jako dowód ESP i PK i znajdując wiarogodne wytłumaczenie dla wyników średnich i wyników słabych - nie stał się ofiarą samookłamywania się na dużą skalę?

Stronnicy ESP oskarżając niekiedy ortodoksyjnych psychologów, że ignorują zjawiska psi, nie mają racji. Przeprowadzono bowiem wiele troskliwie wykonanych doświadczeń, lecz wyniki były negatywne. Wybitnym tego przykładem jest prof. John E. Coover z Uniwersytetu Stanfordzkiego, który przeprowadził obszerne i starannie kontrolowane testy ESP, co opisał dokładnie w roku 1917

⁵³ Detektyw – bohater powieści E. D. Biggersa (przyp. red. pol.).

w swoim 600-stronicowym dziele *Experiments in Psychical Research* (Eksperymenty w badaniach psychicznych). Ostatnio Rhine i inni pomijają tablice Coovera, doszukując się w nich tendencyjnie negatywnego nastawienia. Twierdzą oni, że ESP zawiera się w tam przytoczonych danych liczbowych. Jednakże inni statystycy widzą w tym proces pokrewny do cudownych kryptogramów cyfrowych, których Ignatius Donnelly i inni „znawcy” Bacona i Szekspira potrafili doszukać się w sztukach Szekspira. Zawsze można znaleźć odpowiedni wzór w tablicach liczb przypadkowych, jeżeli się w nie dostatecznie głęboko zajrzy⁵⁴.

Wielu jednak inteligentnych i wybitnych ludzi uznaje ESP, mimo że dowody są bardzo nieprzekonywające. Spośród filozofów i psychologów najwybitniejszymi są: William James, Henry Sidgwick, William McDougall, Henri Bergson i Hans Driesch. Spośród pisarzy: Conan Doyle, Aldous Huxley, Gerald Heard (którego książka *Preface to Prayer* [Wstęp do modlitwy] bada rolę ESP w spełnieniu modlitwy), Jules Romains⁵⁵, H. G. Wells, Maurice Maeterlinck, sir Gilbert Murray, Upton Sinclair i inni.

Niejednego może zadziwić, że psychoanalitycy usilnie dążą do przyjęcia ESP. Freud sam napisał szereg artykułów na ten temat podkreślając, że sny odbierane drogą telepatii ulegają zwykłym zniekształceniom, że wróżbici mogą wyczuwać przytłumione pragnienia swoich klientów oraz że pacjent leżący na kozetce i pochłonięty swobodnym kojarzeniem myśli może mieć myśl zakłóconą przez telepatyczny kontakt z analizującym. Jung i Stekel - to dwaj inni wybitni psychoanalitycy, którzy przyjęli telepatię. Niektórzy współcześni freudyści, jak nowojorski psychoanalityk Nandor Fodor, potrafili połączyć psychoanalizę z całym okultyzmem. Wyniki były tak opłakane, jak tylko można sobie wyobrazić. Przykładem może służyć książka Fodora *Search for the Beloved* (Poszukiwanie ukochanego) wydana w roku 1949. Autor omawia telepatyczny wpływ myśli matki na umysł i ciało jej nieurodzonego dziecka, a nawet przeprowadza spekulacje na temat stanu umysłowego embrionu, który może być przekazywany przez ESP jego matce. Fodor broni starych przesądów co do znamion rodzimych, twierdząc, że wstrząsy psychiczne matki mogą być przekazywane dziecku drogą telepatii.

⁵⁴ Ostatni atak na Rhine'a nastąpił ze strony dra George'a R. Price'a z Wydziału Medycznego Uniwersytetu w Minnesota. W przydługim artykule *Science and Supernatural* (Nauka i zjawiska nadnaturalne) ogłoszonym w „Science” z sierpnia 1955 roku, dochodzi on do wniosku, że wiele odkryć parapsychologii „opiera się na błędach zapisu, błędach statystycznych i na nieświadomym posiłkowaniu się wskazówkami przekazywanymi przez zmysły. Wszelkie wyśrubowane wyniki, których nie można wytłumaczyć w ten sposób, opierają się albo na zamierzonym oszustwie, albo też są osiągnięte w warunkach umiarkowanej nienormalności umysłowej”. Artykuł dra Price'a poruszył gniazdo szerszeni. Styczeńowy numer „Science” zamieszcza odpowiedzi Rhine'a, S. G. Soals. i innych, oraz replikę Price'a i kontrreplikę Rhine'a. Jest tam również krótki artykuł fizyka P. W. Bridgmana sugerujący, że teoria prawdopodobieństwa może być bardziej skomplikowana, niż sądzą uczeni. Oponentów Price'a najbardziej rozdrażniła jego sugestia o „zamierzonym oszustwie”. Jednakże trudno jest przypuścić, aby pośród tysięcy badanych przez Rhine'a ludzi nie znalazło się kilku, którzy ulegli pokusie oszukiwania. Dotyczy to głównie naiwnych prac Rhine'a na początku, kiedy nie osłaniał jeszcze grzbietów kart; wówczas to właśnie osiągnął on swoje najbardziej sensacyjne wyniki. Nie ma bowiem dwóch grzbietów zupełnie identycznych, zwłaszcza jeżeli karty były już używane. Jeżeli bystrookiemu badanemu zdarzyło się zauważyć, powiedzmy, cień plamki w rogu karty, to nawet nie będzie traktował tego za większe oszustwo, jeśli rozpozna tę samą plamkę w dalszych testach. I tak jest głęboko przekonany o swej psychicznej zdolności, co więc szkodzi (w jego mniemaniu), że podniesie nieco swój zapis, zwłaszcza w dniu, w którym czuje, że jego zdolność opada? Historia okultyzmu roi się od ludzi odznaczających się takim właśnie połączeniem szczerości i obłądy.

⁵⁵ Dziwna praca Rhine'a pt. *Eyeless Sight* (Widzenie bez oczu) z roku 1924, poświęcona jest badaniom Romains'a, mającym udowodnić, że komórki skóry na całym ciele zawierają elementarne, mikroskopijne organy wzroku. W ten sposób skóra jest zdolna „widzieć” zarówno kształt, jak i barwę. Tą drogą uzyskuje się fizyczne wytłumaczenie pewnych typów jasnowidztwa.

Przytacza on wypadek „kawowej plamy na szyi pięknej kobiety, której matka będąc w ciąży oblała się gorącą kawą”. Wprawdzie kobieta ze znamieniem rodzimym miała bliźniaczą siostrę bez takiego znaku, lecz fakt ten nie wprawia Fodora w zakłopotanie. „...Nic nie wiemy o wzajemnej wrażliwości bliźniąt” - zaznacza.

Fodor podkreśla szkodę, którą można wyrządzić umysłowi płodu, przez usiłowanie poronienia, przy czym najwięcej szkody powoduje przekazana telepatycznie intencja matki uwolnienia się od dziecka. Rozdział *The Love Life of the Unborn* (Życie miłosne nienarodzonego), w którym autor przypisuje pochodzenie nimfomanii, satyriasis i innych zbroczeń wpływowi seksualnego życia matki na płód, jest z pewnością jednym z najosobliwszych w kronikach literatury freudowskiej. Niemniej jednak Fodor pisuje do wielu cenionych czasopism psychoanalitycznych.

We współczesnej literaturze metapsychologicznej na uwagę zasługuje *Mental Radio* (Radio umysłowe) Uptona Sinclaira, jest bowiem najlepiej znanym i robiącym głębokie wrażenie opisem jasnowidztwa. Książka była opublikowana w roku 1930, z przedmową Einsteina do wydania niemieckiego. Jest to sprawozdanie z serii eksperymentów jasnowidzkich z drugą (obecną) żoną Sinclaira, w których usiłowała ona odtworzyć 290 prostych rysunków, robionych przeważnie przez jej męża w różnych okresach czasu i w różnych warunkach. Testy prowadzono w okresie jej ciężkiej depresji psychicznej i zwiększonego zainteresowania zjawiskami okultystycznymi. Zainteresowanie to powstało przy okazji przyjaźni Sinclairów z Romanem Ostoją, zajmującym się zawodowo odczytywaniem myśli, który w książce Sinclaira występuje pod imieniem „Jan”. To młode medium miało taki repertuar typowych, konwencjonalnych popisowych numerów, że trudno pojąć, jak Sinclairowie mogli je brać poważnie. Jan, na przykład, zdolny był pozostawać wiele godzin w nieprzepuszczającej powietrza trumnie. Dokonywał tak zwanego w gwarze magików „czytania mięśni”. Podczas pewnego seansu dokonał lewitacji 34-funtowego stołu na wysokość 8 stóp ponad głowę Uptona! Sinclairowie wierzyli, że wszystkie te siły rzeczywiście istnieją.

Jak można wywnioskować z *Umysłowego radia*, istniał tam bardzo niedostateczny zespół warunków do prowadzenia badań jasnowidztwa. Przez całe swoje życie Sinclair był łatwowierną ofiarą mediów i metapsychologów. Jego pierwszy artykuł, który napisał mając 20 lat, był przeznaczony dla czasopisma teozoficznego. Jego ostatnie pisma - dziesięć powieści z serii Lanny Budd - są przesycane wtrętami spraw mediumicznych. Ostatni tom *O Shepherd Speak!* (Pasterzu przemów!) zawiera mnóstwo penegiryków na część dra Rhine'a. Znajduje się tam również opis uzdrowienia przez Lanny wiarą oraz opisy seansów, w których Lanny rozmawia z duchami zmarłych Bergsona i Franklina D. Roosevelta. Tytuł książki pochodzi od seansu spirytystycznego, w którym Roosevelt przeprasza za swoje porozumienie ze Stalinem w Jałcie - z pewnością najbardziej żenująca scena ze wszystkich powieści Sinclaira.

Z 290 rysunków użytych w testach z żoną, Sinclair obliczył, że 65 zostało odtworzonych przez nią zupełnie wiernie, 155 „z częściowym sukcesem”, a 70 bez powodzenia. Pary rysunków reprodukowanych w książce obok siebie i demonstrujące szkic pani Sinclair obok oryginału narysowanego przez jej męża, są uderzająco podobne, chociaż przy niektórych podobieństwo to uzyskane zostało przez odwrócenie jednego z rysunków „do góry nogami”. Nie trzeba jednak aż jasnowidztwa, aby wytłumaczyć te wyniki. Przede wszystkim pełna intuicji żona, znająca swego męża najbliższej, może być zdolna odgadnąć z dużą dokładnością, co on jest skłonny rysować - zwłaszcza jeśli rysunek związany jest z jakimś, będącym świeżo w pamięci wydarzeniem, którego doświadczyli we

dwoje. Na początku będą zapewne przeważały rysunki proste, w rodzaju krzesła lub stołu, lecz skoro te się wyczerpią, pole wyboru ogranicza się i tematy będą raczej oparte na ostatnich przeżyciach. Jest również możliwe, że Sinclair podczas niektórych testów mógł w rozmowie dawać ukryte wskazówki, o których w swojej zdecydowanej chęci uwierzenia w eksperyment szybko zapomniał. Również nie można wykluczyć możliwości, że w licznych testach przeprowadzanych na odległość pokoju pani Sinclair mogła widzieć skręty końca ołówka, lub ruchy ręki, które mogły przekazać do jej podświadomości ogólny zarys rysunku (wielu zawodowych spirytystów jest bardzo biegłych w tej sztuce).

Z „sukcesów częściowych” pokazane są tylko nieliczne. Czy są naprawdę takimi sukcesami, jak to Sinclair twierdzi? Poza tym, jak Sinclair podał, do testów użyto 290 rysunków. Czy możemy być pewni, że jest to dokładnie całkowita liczba wszystkich rysunków poddanych doświadczeniu? Łatwo jest znaleźć usprawiedliwienie „niezaliczenia” nieudanej próby - jakiś ból głowy, deprymująca okoliczność, lub coś podobnego. Może więc powstać chęć usunięcia takich nieudanych prób, i Sinclair na pewno rad byłby ich się pozbyć i o nich zapomnieć. Sukcesy, oczywiście, zostaną starannie przechowane. Pewien proces selekcji może tu powstawać różnymi drogami nieświadomie.

Można tylko życzyć sobie, aby testy takie były nadzorowane przez kompetentnego psychologa, obeznanego z tymi subtelnymi chwytami, które mogą eksperyment sprowadzić na manowce. Sinclair, podobnie jak Conan Doyle, jest pisarzem o dużej sile przekonywania w sprawach mediumicznych; lecz musimy również pamiętać, że podobnie, jak Doyle, jest on nadzwyczaj naiwny, jeśli chodzi o niezbędne zabezpieczenie kontroli eksperymentu. Toteż nie można polegać zarówno na pamięci Sinclaira co do decydujących szczegółów, jak i na opisach Doyle'a co do, powiedzmy, badań nad fotografią duchów. Potem, gdy zdrowie pani Sinclair polepszyło się i prof. William McDougall przeprowadził z nią testy z zachowaniem większej ostrożności, wyniki były znacznie gorsze. Od czasu, kiedy Sinclair kandydował na gubernatora Kalifornii w roku 1934, jego żona zaniechała eksperymentów z ESP, chociaż od czasu do czasu zdumiewała męża pewnymi spontanicznymi przejawami oczywistej mediumicznej intuicji.

Thomas Edison⁵⁶ jest innym dobrym przykładem domorosłego znawcy mediumizmu. Nie tylko wierzył on w telepatię, lecz przy pewnej okazji został zupełnie opanowany przez zawodowego szarlatana, dra Berta Reese, który miał nie więcej wrodzonej zdolności czytania myśli, niż nowocześni spirytyści estradowi - tacy jak Dunninger, którego metody są dobrze znane magikom. Jednak na Edisonie zrobiło to takie wrażenie, że napisał list do „The Evening Graphic” w New York City, w którym wyraził swoje przekonanie, że Reese jest prawdziwym medium. Przed paru laty opublikowany *Diary and Sundry Observations of Thomas Alva Edison* (Dziennik i różne obserwacje Tomasza Alvy Edisona) objawia teorię umysłu ludzkiego, zadziwiająco podobną do menorgów i dizorgów Alfreda Lawsona! Edison wyraża pogląd, że w ludzkim mózgu znajdują się miliony submikroskopijnych inteligencji, które nazywa on „człowieczkami”. Spieszą one do wypełniania żądanych funkcji umysłowych i są kontrolowane przez „władców bytu”, które „mieszcza się w fałdzie Broca”. Przed samą śmiercią w roku 1931 Edison pracował nad czułym aparatem do komunikowania się z duchami zmarłych. Przyjaciół Edisona, Luther Burbank, to inny znów przykład człowieka o dziwnych okultystycznych poglądach, który jednak w pewnej dziedzinie praktycznej wiedzy osiągnął poważne znaczenie. Burbank komunikował się często ze swoją siostrą drogą telepatii, miał wizje swojej zmarłej matki i był

⁵⁶ Ten sam wielki amerykański fizyk i wynalazca (przyp. red. pol.).

głęboko przekonany, że rośliny mają czuły system nerwowy, zdolny reagować na miłość i nienawiść. Jog hinduski Paramhansa Yogananda w swej autobiografii powołuje się na słowa swego przyjaciela Burbanka:

„Tak, często zdarzało mi się mówić do moich roślin, by wywołać drganie miłości... Ktoś zasadzi kwiat, będzie starannie doglądał go, a kwiat zwiędnie. Lecz przy takim samym fizycznym doglądzie ktoś inny może rozwinąć ten sam kwiat w zdrową, bujną roślinę. Tajemnicą tą... jest miłość”.

W związku z tym warto zwrócić uwagę na książkę Maxa Freedom Longa *Secret Science Behind Miracles* (Wiedza tajemna za cudami) z roku 1948 wydaną przez „Kosmos Press” w Los Angeles. Long jest dyrektorem Fundacji Badań Huna, poświęconej studiom polinezyjskiej i hawajskiej wiedzy mistycznej Kahuna. Książka zajmuje się wpływem życiowej siły umysłu (którą adepci Kahuny zważą *mana*) na materię. Aby zbadać siłę *many*, Long ostatnio prowadził badania na roślinach. Odkrył on, że jeżeli mówimy do roślin, jak to czynił Burbank dając im miłość i staranie, to rosną one prędzej i bardziej obficie, niż rośliny zaniedbane. O podobnych doświadczeniach ze zbożem i soją donosi Edgar Block, członek-korespondent Huny w Indianola, w stanie Indiana. Dr Rhine ujawnił w „The American Weekly” (z 20 kwietnia 1952), że pewien francuski lekarz i jego żona potrafili dzięki umysłowemu wysiłkowi pobudzać wzrost roślin. Pracę dra Littlefielda z parującymi roztworami soli, opisaną w rozdziale IX, można uważać za jeszcze jedną odmianę zjawisk PK.

Charles Fort uznawał zarówno ESP jak PK, mimo że jego własne, prywatnie robione doświadczenia nie były zbyt udane. Przez cały miesiąc czynił tysiące prób, aby „ujrzeć” jasnowidząco, co zawiera witryna sklepowa, zanim podszedł do niej dość blisko, aby sprawdzić to naocznie. Tylko trzy z jego prób udały się, z tym, że najlepszą była pierwsza. Szedł kiedyś Czterdziestą Drugą Ulicą Zachodnią: nagle skupił się na pobliskim oknie wystawowym i od razu pomyślał „tropy indyka na czerwonym śniegu” (czerwony śnieg był w tym czasie specjalnym zainteresowaniem Forta). Okazało się - jak podaje w *Wild Talents* (Dzikich talentach) - że w oknie ułożone były czarne wieczne pióra na kształt tropów, na tle różowej tektury.

Przy innej okazji Fort eksperymentował nad PK. „Wielką ambicją mego życia - pisze - dla której porzuciłbym w każdej chwili moją maszynę do pisania - nie dlatego, bym gwałtownie chciał dać specjalnie paskudnego prztyczka księżom czy uczonym - jest zawołać do moich stołów i krzesel: Równaj! Naprzód marsz! i widzieć, jak mnie słuchają. Próbowałem tego... Lecz na pewno nikt nie ma tak niewymuszowanego kompletu mebli, jak ja”.

Niemniej jednak Fort uważał PK za jeden z „dzikich talentów”. „Teleportacja” - oto był jego termin, który został spopularyzowany obecnie w „science fiction”. Przedmioty, ludzie, statki - wszystko może być teleportowane (przenoszone z miejsca na miejsce) przez osobniki, które posiadły tę siłę. Ładunki mogą być teleportowane w celach handlowych. Statki kosmiczne można teleportować z planety na planetę.

Fort był przekonany, że agendy wywiadu z innych światów często porywają ludzkie istoty, może dla celów badawczych, i teleportują je gdzieś daleko. „Przypuszczam, że łowią nas, jak ryby” - pisał. Jego książki są pełne prasowych doniesień o ludziach, którzy przepadli tajemniczo i nikt ich nie zobaczył więcej. W roku 1910 pewna dziewczyna zniknęła z Central Parku. Tego samego dnia Fort odkrył, że na jeziorze w parku, koło Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy, ukazał się łabędź. Czyżby był tu jakiś

związek? Ambroży Bierce zniknął w Teksasie. Niejaki Ambroży Small zniknął w Kanadzie. „Czy ktoś może kolekcjonuje Ambrożych?” - zapytuje Fort.

Nie tylko z Ziemi teleportuje się ludzi - sądzi Fort - lecz może również mieszkańców innych światów teleportuje się do nas? Są to zapewne atawistyczne jednostki z upodobaniami do naszych barbarzyństw.

„Oni mogą zacząć wyznawać nasze religie... Oni, straciwszy wszelkie poczucie przyzwoitości, mogą zostać profesorami wyższych uczelni. Skoro raz się zacznie upadek, to staczamy się szybko w dół. Oni mogą skończyć nawet jako członkowie Kongresu”.

„Kołatki” - to złośliwe duszki, które się podejrzewa, że powodują niepokoje w domach, w których straszy. *Haunted People* (Ludzie nawiedzani przez strachy) to freudowskie studium „kołatków” i pokrewnych zjawisk, pióra Nandona Fodora i Herewarda Carringtona, było opublikowane przez Duttona w roku 1952. Jednym z „założeń” Forta jest, że „kołatki” są dziećmi ze związków z istotami przybyłymi do nas drogą teleportacji. Być może, takie dzieci da się wykorzystać w razie wojny. Nawet dr Rhine - który w swojej ostatniej książce rozważa, w jaki sposób zwiększone siły psi mogą uczynić wojnę bezprzedmiotową (gdyż nie da się utrzymać żadnej tajemnicy wojennej) - nie dorównał tej wizji fortystów:

„Dziewczęta na froncie paplają o swoich zwyczajnych, niezbyt ważnych sprawkach. Alarm. Nieprzyjaciel nadchodzi. Rozkaz do dziewcząt-kołatek, aby się skupiły - a one pod krzesłami przylepiają gumę do żucia.

Pułk bucha płomieniem, żołnierze palą się jak pochodnie. Przez końskie chrapy wali dym z płonących wnętrzności. Posiłki zostają zmiażdżone skalnymi złomami, teleportowanymi z Gór Skalistych. W mgnieniu oka Niagara przelewa się przez pole bitwy.

A małe dziewczęta-kołatki sięgają po swoją gumę do żucia”.

Spis treści oryginału, wytłuszczone rozdziały brakujące w tym wydaniu:

- 1 - In the Name of Science
- 2 - Flat and Hollow
- 3 - Monsters of Doom
- 4 - The Fortean
- 5 - Flying Saucers
- 6 - Zig-Zag-and-Swirl
- 7 - Down with Einstein!
- 8 - Sir Isaac Babson Roger Babson and the Gravity Research Foundation**
- 9 - Dowsing Rods and Doodlebugs
- 10 - Under the Microscope
- 11 - Geology versus Genesis
- 12 – Lysenkoism Lamarck and Lamarckism; Lysenko and Lyenkoism**
- 13 - Apologists for Hate
- 14 - Atlantis and Lemuria
- 15 - The Great Pyramid
- 16 - Medical Cults Samuel Hahnemann, The Organon of the Healing Art, and homeopathy**
- 17 - Medical Quacks**
- 18 - Food Faddists Horace Fletcher and Fletcherism William Howard Hay and the Dr. Hay diet**
- 19 - Throw Away Your Glasses! William Horatio Bates, the Bates method, Aldous Huxley, The Art of Seeing**
- 20 - Eccentric Sexual Theories
- 21 - Orgonomy
- 22 – Dianetics L. Ron Hubbard, Dianetics: The Modern Science of Mental Health. (The term Scientology had only just been introduced when Gardner's book was published.)**
- 23 - General Semantics, Etc. Alfred Korzybski, Samuel I. Hayakawa and "general semantics"**
- 24 - From Bumps to Handwriting
- 25 - ESP and PK
- 26 - Bridey Murphy and Other Matters**

BIBLIOTEKA PROBLEMÓW

TOM DZIEWIĘĆDZIESIĄTY OSMY &

Martin Gardner

PSEUDONAUKA I PSEUDOU CZENI

Przełożyli z angielskiego Bronisław Krzyżanowski i Włodzimierz Zonn

Ilustrował: Szymon Kobyliński

Warszawa 1966 Państwowe Wydawnictwo Naukowe

Tytuł oryginału: Fads and Fallacies in the Name of Science Dover Publication, Inc. New York 1957

Copyright by Martin Gardner

Komitet Redakcyjny Biblioteki Problemów

Zbigniew Grabowski, Józef Hurwic, Władysław Kapuściński, Witold Rudowski, Halina Skarżyńska, Alfred Windholz, Tadeusz Zabłudowski,

Mieczysław Zawadka, Jan Żabiński

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

Wyd. I. Nakład 5000 + 270 egz. Ark. wyd. 14,75. Ark. druk. 21,25. Papier piśm. sat. kl. III, 80 g, 84 X 104. Oddano do składania 6 listopada 1965 r. Podpisano do druku 26 marca 1966 r. Druk ukończono w kwietniu 1966 r. Zam. 1736-65. Z-8. Cena zł 32,- ZAKŁADY GRAFICZNE „RUCH” WROCŁAW

